



Pełna humoru i temperamentu powieść  
o przyjaźni, miłości i szaleństwie.

Mariola Zaczyńska

# Kobieta z Impetem

Prószyński i S-ka

Mariola Zaczyńska

**Kobieta**  
z Impetem

Prószyński i S-ka

Kapral Janeczko wyregulował ostrość w lornetce.

– Wielkie bydłę, co? – Szturchnął łokciem kolegę z patrolu. – Zgubił się czy porzucony?

Pies wielkości doga, przeraźliwie chudy, łapczywie chleptał wodę z rzeki.

– Wakacje.

Tę odpowiedź Janeczko rozszyfrował bezbłędnie: znaczy – wyrzucony. Kolega z patrolu Straży Granicznej był małomówny, komunikował się tylko lapidarnymi stwierdzeniami, półsłówkami i mruknięciami.

– Wakacje – potwierdził kapral. – Ludzie to świnię.

Stali na skarpie tuż nad wodą i patrzyli przez lornetki na drugi brzeg, na psa o zapadniętych bokach. W ciszę wdzierają się już pokrzykiwania ptaków, woda w Bugu płynie wartko, nabierając prędkości przy zakolach. Na łąkach po drugiej stronie podnosiła się mgła, jak to o świcie.

Nagle pies przestał pić, a kapral Janeczko dostrzegł, że sierść na karku zwierzęcia zjeżyła się, stanęła na sztorc. Gdyby nie odległość, zapewne usłyszeli cichy warkot. Psie oczy wpatrywały się przed siebie, w nurt. Jaśniały obnażone kły. Kapral wycelował lornetkę w miejsce, w które wpatrywał się pies.

– O kurwa! – wrzasnął nagle kolega z patrolu.

– O kurwa! – zawtórował mu kapral Janeczko.

Pies błyskawicznie odskoczył i zniknął w szuwarach na brzegu, a brunatne lśniące cielsko zanurzyło się w rzece. Przez moment na powierzchni wody rozchodziły się koliste kręgi i tylko one świadczyły, że to, co zobaczyli przed chwilą, wydarzyło się naprawdę.

Kapral Janeczko w panice spojrzał na kolegę, a widząc pytający wzrok tamtego, potwierdził:

– Widziałem!

Znowu przytknęli lornetki do oczu. Kapral wpatrywał się w płynący Bug, jakby chciał zapamiętać każde załamanie nurtu, każdą tańczącą iskrę słońca. Nagle poczuł, że podnoszą mu się krótko ostrzyżone włosy i pomyślał o psie, któremu sierść sterczała na karku niczym świeże rżysko.

– Co to, kurwa, jest?! – krzyknął piskliwie. – Jakieś Discovery?!

Z niedowierzaniem patrzył na charakterystyczne wyłupiaste oczy sunące tuż nad powierzchnią wody.

– Przecież to... no, kurwa, przecież to krokodyl!

Kolega z patrolu pociągnął go za łokieć.

– Nie nasz problem! – Ruchem głowy wskazał kierunek, w którym oddaliło się dziwne zwierzę.

Kapral z ulgą wypuścił powietrze z płuc. Krokodyl, czy też cokolwiek to było, zmierzał na białoruską stronę. Teraz koledzy z Białorusi będą mieli zagwozdkę, co z tym fantem zrobić.

– Rozumiesz coś z tego? – Janeczko bezradnie spojrzał na kolegę.

Ten, nie wdając się w dyskusję, wszedł do terenowego auta i bez słowa czekał, aż kapral do niego dołączy. Białoruś Białorusią, a o tym, co widzieli, i tak trzeba będzie złożyć raport.

– Wakacje – burknął.

Kapral Janeczko skrzywił się jak do płaczu.

– Co?... Że niby też porzucony?!

Kolega spojrzał na niego jak na idiotę.

– Ludzie. Dzieci. Turyści – skwitował, włączając silnik.

Kaprala oświeciło.

– Jasna cholera! Przecież to musi zreć!

Terenowe auto ruszyło w stronę asfaltowej pustej drogi. Śpiew ptaków znowu rozbrzmiał głośniejszy, kula słońca uniosła się nieco wyżej, a na nadbrzeżnej skarpie jeszcze przez moment dźwięczało pełne zdumienia pytanie:

– No, ale, kurwa, żeby krokodyl?!

# Rozdział 1

Przenikliwy dzwonek telefonu był jak wybawienie.

– Rany boskie! To tylko sen! Tylko sen! – Mikołaj z trudem przekraczał granicę jawy, zostawiając za sobą koszmarny obraz kajdanek zatraskujących się na jego nadgarstkach. Jak dobrze, że to tylko senna mara! Ma już za sobą te akcje, protesty, wyjazdy. Koniec!

Spocony sięgnął po telefon.

Zegarek wskazywał szóstą rano, więc w Polsce musiała być piąta, nietypowa pora na pogawędkę. Odebrał zaniepokojony.

– Halo?

– Przyjeżdżaj! Mam złe przeczucia! – Pełen rozpaczy głos po drugiej stronie należał do Janusza Bosaka, właściciela modnej restauracji, o którym rozpisywały się ostatnio zarówno brukowce, jak i czołowe lajfstylowe magazyny. – Są bez litości! Już po mnie!

Mikołaj poczuł, jak zimne macki strachu ściskają mu gardło.

– Janusz? Co się dzieje? – wychrypiał.

– Obawiam się, że już u mnie byli... A ty w Kaliningradzie!

– Byli?!... Kto?!

– Kto?! Kto?!... Ci cholerni gastroagenci! – Szept przeszedł w jadowity syk.

– Kulinarni szpiedzy!

Mikołaj przyłożył palce do nasady nosa i mocno zacisnął powieki.

– Stary – zaczął podejrzenie spokojnym tonem – zrywasz mnie o bladym świetle, żeby powiedzieć, że odwiedzili cię faceci, na których czekasz? I robisz z tego jakiś popieprzony dramat?!

Usłyszał, jak przyjaciel bierze głęboki oddech.

– Po-pie-przo-ny dra-mat?!... To ja jestem na dnie rozpaczy, w czarnej dupie...

– Chłopie, nawet nie wiesz, w jakiej ja jestem dupie!

– Ja! Ja! Wy wszyscy tylko o sobie! Nikogo już nie obchodzę!

– Janusz...

– Tak to jest, gdy ktoś cię porzuci! Człowiek nagle robi się trędowaty!

– Janusz...

– Gdybym to ja był tym porzucającym, oooo, wszyscy byście mnie szanowali! A tak, macie mnie głęboko w odwłoku, a ten drań triumfuje! – Głos mu się załamał.

Oczywiście udało mu się wywołać u Mikołaja poczucie winy. Jak zwykle.

– Janusz, czy nie możesz mu po prostu wybaczyć?

– Nie jestem Jezusem!

– To o nim, w cholere, zapomnij!

– Nie mam alzheimera!

Głuchy ton w słuchawce świadczył, że restaurator się rozłączył.

Pewnie całą noc czytał o sobie na Pudelku, pomyślał Mikołaj.

Media i plotkarskie portale od dłuższego czasu czerpały pożywkę z historii mało eleganckiego rozstania słynnego restauratora ze znanym stylistą. Panowie, za pośrednictwem dziennikarzy, nie szczędzili sobie kąśliwych uwag. Zamilkli, gdy któryś z komentatorów w telewizji śniadaniowej nazwał ten żalony strumień oskarżeń pojedyńkiem na turebki.

– A masz, ty wstrętny łobuzie! – pisał komentator, parodiując cios damską turebką.

Od tej chwili niedawni partnerzy zamilkli, ale za to do czerwoności grzały się łącza telefoniczne. Janusz bardzo przeżywał ten krótki burzliwy romans. Zerwanie nastąpiło w fatalnym dla niego momencie, jako że właśnie ważyły się losy jego restauracji. Wypieszczona, ekskluzywna Mapa miała szansę otrzymać gwiazdkę w legendarnym przewodniku Michelina! Lokal w każdej chwili mogli odwiedzić inspektorzy, co jego właściciela wpędzało w irracjonalną panikę. Restaurator był na skraju załamania nerwowego.

Mikołaj, z nagłą rozbudzony, usiadł na brzegu łóżka, oparł łokcie na kolanach i objął głowę potężnymi jak bochny chleba dłońmi. Miał krótko, po żołniersku obcięte włosy i muskulaturę amerykańskiego żołnierza piechoty morskiej.

– Szósta godzina, szlag by to trafił – mruknął.

Może i dobrze, że Janusz był daleko. Miał ochotę udusić go własnymi rękami, mimo że przez całe życie stawał w obronie tego egzaltowanego histerycznego oryginała. Zawsze byli jak Flip i Flap. W dzieciństwie i w trudnym nastoletnim okresie poszukiwań własnej tożsamości wielki niczym tur Mikołaj chronił drobniutkiego blondynka, którego uliczna gawiedź wybrała sobie na obiekt kpiny i prześladowań. Jak każdego, kto był inny. Wrażliwy chłopak o androgenicznej urodzie, ubierający się we własnoręcznie szyte ekstrawaganckie stroje, nadawał się idealnie na ofiarę. Był piękny jak dziewczyna i zachowywał się jak piękna dziewczyna, co budziło wyjątkową agresję pośród kolegów z podwórka. Gdyby nie wyrośnięty przyjaciel o olbrzymich pięściach, Janusz zapewne nie zliczyłby siniaków, ran i kopniaków otrzymywanych od członków bandy rządzącej ulicą. Mikołaj bronił go zawzięcie. Narzął się nawet na podejrzenia, że i z nim też coś jest „nie halo”, bo odmienna orientacja kolegi była aż nadto oczywista. Poznali się na zajęciach w domu kultury, gdzie zgłębiali tajniki fotografii. Oni jedyni zasypywali instruktora zdjęciami szczerów, żab i owadów, nikt inny nie podzielał ich entuzjazmu dla piękna przyrody. Przyjaźń olbrzymia z chuchrem przetrwała lata, choć każdy poszedł w swoją stronę. Mikołaj został fotoreporterem i znanym fotografem świata natury, swego czasu był też symbolem radykalnego ruchu ekologicznego. Brał udział w międzynarodowych wyprawach ratujących zagrożone ekosystemy i przez krótki czas miał nawet swój program w telewizji. Janusz natomiast odkrył w sobie pasję kulinarną i został właścicielem popularnej w kręgach śmietanki towarzyskiej restauracji Mapa. Dziś był celebrytą, a za sprawą gwiazdki Mapa mogła się właśnie stać najślynniejszą restauracją w Polsce. Pielęgnował też dawne hobby i był cenionym w świecie akwarystów hodowcą egzotycznych ryb.

– Cholerny celebryta! – Mikołaj prychnął z irytacją. – Szósta rano! Zero szacunku dla ludzi pracy.

Był zły i zmęczony. A do tego wściekły, że wylądował w Kaliningradzie.

Ale przecież nie miał wyjścia.

Na chwilę przeniósł się myślami do dusznego pokoju w komendzie i znowu analizował słowo po słowie rozmowę z Bartnickim...

Z popielniczki wysypywały się niedopałki, dym gryzł w oczy, nie pomagał nawet wiatraczek ustawiony na biurku. Zamiast chłodzić i oczyszczać powietrze, mieszał je tylko jak gęstą zawieszynę.

– Dzieją się dziwne rzeczy, a będą się działy jeszcze dziwniejsze. – Stary glina przejechał dłonią po tyłej głowie.

Po tym filozoficznym wprowadzeniu zrobił długą przerwę i zaciągnął się papierosem. Palił tak, że dym wylatywał mu ustami i nosem. Zęby miał żółte, cerę ziemistą, na dłoniach

brunatne plamy.

Wyciągnął z szafy wypchany skoroszyt.

– Trochę cię wprowadzę w sprawę. – Potrząsnął teczką przed nosem Mikołaja.  
– Masz kontakty z tą branżą i chcę, abyś miał oczy szeroko otwarte. Jestem pewien, że możesz dowiedzieć się więcej niż jakikolwiek policjant.

– Mam być wtyczką? Donosicielem? – Mikołaj prychnął. – Żartujesz chyba.

– Myślałem, że cię to obchodzi. – Bartnicki powoli przekładał dokumenty.

Wśród zdjęć, wycinków prasowych i protokołów z przesłuchań w skoroszytcie znajdowały się także fotografie autorstwa Mikołaja.

– Obchodzi, ale w ten sposób nie będę się angażował. Nie nadaję się na detektywa.  
Koniec kropka.

Bartnicki jakby od niechcenia wybrał ze stosiku zdjęć fotografię bajecznie kolorowych ptaków.

– Ary hiacyntowe. – Wypuścił dym nosem. – W Azji kupuje się je za kilka euro, a kolekcjonerzy w Europie płacą za nie nawet piętnaście tysięcy euro.

Mikołaj doskonale je pamiętał. Robił im zdjęcia, gdy prosto z granicy w oplakany stanie trafiły do warszawskiego zoo.

Dłonie z brązowymi plamami sprawnie podsunęły mu kolejne zdjęcia: ptaki wciśnięte w tekturowe rolki od papieru toaletowego i kolejne, leżące bez ruchu w plastikowych butelkach po wodzie mineralnej, żółwie oklejone taśmą samoprzylepną, martwe źrebę kucyka wciśnięte w skrzynkę po owocach...

– Wiesz, że Polska stała się kluczowym miejscem na szlaku przemytu zwierząt na wschód, zwłaszcza od kiedy jesteśmy w strefie Schengen. Kurs przez Ukrainę i Białoruś jest teraz oplacalny.

– Jak zawsze tam, gdzie są trudności, cena rośnie.

Przemyt zwierząt był biznesem tak intratnym, że brały się do niego nawet gangi handlujące do tej pory tylko bronią lub narkotykami. Przynosił niebagatelny dochód dziesiątków milionów euro rocznie. Mikołaj doskonale znał ten problem, bo z ramienia światowej fundacji WWF szkolił policjantów i celników, przekazując im własną wiedzę o chronionych i wymierających gatunkach zwierząt będących przedmiotem nielegalnego handlu. Podczas jednego z wykładów poznał Bartnickiego, krajowego koordynatora do spraw CITES w Komendzie Głównej Policji. CITES, czyli konwencji waszyngtońskiej o międzynarodowym handlu dzikimi zwierzętami i roślinami zagrożonymi wyginięciem.

– Mogę was szkolić, ale szpiegować...? – Fotograf nie krył odrazy. – Zresztą, nie mam czasu, przygotowuję wystawę.

Bartnicki przestał się uśmiechać, zamknął skoroszyt i odsunął akta na bok. Znowu zaciągnął się dymem, mocno, jakby miał to być ostatni raz. Na blat biurka opadł popiół z rozżarzonego papierosa.

– Ostatnio niepokojąco wzrósł popyt na niebezpieczne i egzotyczne zwierzęta.

– Jednym ruchem dłoni strzepnął popiół na podłogę.

– Jak bardzo niebezpieczne?

– Skorpiony, pająki, lwy, aligatory...

Mikołaj roześmiał się w głos, odrzucając głowę do tyłu. Był szczerze rozbawiony.

– Żartujesz.

Policjant tylko pokręcił głową.

– Lwy? Nie wierzę. – Mikołaj uniósł brwi. – Paromiesięczny lew może być maskotką, ale dwuletni samiec to śmiertelnie groźna zabawka. No, chyba że są ludzie, którzy wiedzą, jak

postępować z tymi zwierzętami.

Jego rozmówca rozłożył ręce.

– Moda! – Westchnął. – A za wschodnią granicą zawsze wszystko było ekstremalne. Skoro ktoś chce mieć lwa na salonach...

– Moda? A nie ma w tym jakiegoś drugiego dna?

Bartnicki wyciągnął ze skoroszytu plik kartek.

– Dzieje się coś dziwnego – zaczął mówić szybko. – Na przykład, w lesie nad Bugiem upolowano guźca.

– Guźca?!

Policjant przytaknął.

– Właśnie... Myśliwy był pewien, że strzela do dzika. Skąd się wziął guziec w Dolinie Bugu? No, ale uznajmy go za nieszkodliwe stworzenie, co powiesz jednak na krokodyla, którego zauważył patrol Straży Granicznej?

– Też w Bugu?!

– Tak. Inna sprawa, że nic z tym nie zrobiono, bo gad przepłynął na teren Białorusi.

Mikołaj poprawił się na krześle.

– No, to rzeczywiście dzieje się coś dziwnego – przyznał zaskoczony.

– To nie wszystko. Miałem ciekawy sygnał z siemiatyckiej komendy. Jeden z informatorów twierdził, że okolice Bugu są sercem gigantycznej międzynarodowej afery.

– Międzynarodowa afera? W Siemiatyczach? – Mikołaj zaczął się śmiać. – Przecież sam słyszysz, jak to brzmi.

– Nie w Siemiatyczach, tylko w okolicach Bugu. Znasz Dolinę Bugu?

– Pytanie! Jest piękna, właściwie dziewicza, Bug to jedna z nielicznych rzek w Europie, której koryta się nie reguluje. A przy tym to odludzie... Podobno na rynek wchodzi ktoś nowy. Jedyne trop, jaki mam, to Polacy, rodzeństwo mieszkające teraz w Nowej Zelandii.

Śmiech Mikołaja przeszedł w nagły kaszel.

– Po...lacy z Nowej... Zelandii?! – wykrztusił z załzawionymi oczami.

– Dziennikarze. Właśnie z racji zawodu są poza podejrzeniami, bo ciągle podróżują, nawet robią jakieś reportaże o zwierzętach... Co ci jest? Chcesz wody?

Mikołaj był czerwony na twarzy.

– Poproszę – wychrypiał, wskazując wzrokiem butelkę mineralnej.

Patrzył na chude plecy policjanta nalewającego wody do szklanki i miał pustkę w głowie. Poczuł, jak zimny pot spływa mu wzdłuż kręgosłupa.

Polacy z Nowej Zelandii?! Rodzeństwo?!

Bartnicki podał mu szklanę.

– Dochodzenie, niestety, utknęło w martwym punkcie, dlatego pomyślałem o tobie... Bo widzisz, zajmujący się tą sprawą policjant nagle zmarł na serce, a jego zwierchnicy nie podeszli do tematu poważnie... Pewnie dlatego, że informator zniknął...

– Jak to: zniknął?

– Rozpłynął się w powietrzu. – Bartnicki wykonał ustami ruch, jakby chciał zdmuchnąć z dłoni pyłek. – Może się przestraszył i ukrył, ale równie dobrze mógł mieć już dosyć życia w ekologicznej wiosce i wrócił gdzieś na łono cywilizacji.

Mikołaj zastrygł uszami, jak zawsze, gdy ktoś wspominał przy nim o ekologach.

– Co to za ekowioska?

– Nie byłem tam, znam ją tylko z opowiadań. Jacyś nieszkodliwi wariaci nawołują do uprawy grządek, porzucenia samochodów i leczenia wszelakich chorób przystawianiem pijawek. Niestety, oprócz informatora nikt tam nie chciał rozmawiać z policją...



- Domyślam się – burknął Mikołaj. – A kim był ten informator?
- Nazywają go Paragraf, bo na wszelkich akcjach ekologicznych...
- Sypie paragrafami jak z rękawa – ponuro dokończył Mikołaj.

Z kamienną twarzą wypił wodę. Paragraf! To przez niego przeżył największą wpadkę, najgorsze upokorzenie swojego życia!

Drzwi kanciapy uchyliły się nagle.

– Komendant pana wzywa! – krzyknął służbiście do Bartnickiego młody policjant i zniknął równie szybko, jak się pokazał.

Stary glina bez pośpiechu rozgniół papierosa w popielniczce. Obciągnął sweter na chudym ciele i spojrzał znacząco na swojego gościa. Koniec spotkania.

– Ale... eee...

– Tak? – spytał niecierpliwie policjant.

– Eee... nic. Na razie!

Mikołaj zamilkł, wydawało mu się, że stary marszczy długi nos, jakby łapał trop, więc nie mógł pokazać, jak bardzo pragnie się dowiedzieć czegoś więcej o podejrzanym rodzeństwie z Nowej Zelandii. Zapytać o nich? Tylko zwróci uwagę na dzieciaki, zwłaszcza po tym, jak odmówił policjantowi współpracy. Nie! Nie może pokazać, jak bardzo zależy mu na tej informacji!

Bartnicki przepuścił go przodem, skrupulatnie zamknął za sobą drzwi i sprężystym krokiem ruszył po schodach na piętro. Fotograf odprowadził go wzrokiem, a gdy policjant zniknął na półpiętrze, wyszedł przed budynek komendy i wbił ręce w kieszenie spodni.

Czy ten cholerny Paragraf mówił o dzieciach Ireny?!

Rodzeństwo Polaków z Nowej Zelandii. Czy chodzi o bliźniaki?! O Karola i Marzenę?!

Łudził się, że to głupi zbieg okoliczności, ale, cholera, przecież sam dał Karolowi kontakt do Paragrafa!

Szlag!

Musiał wrócić do tej rozmowy i zrobić to tak, aby Bartnicki niczego się nie domyślił. Potrzebował dobrego pretekstu!

Po chwili namysłu wyciągnął komórkę i zadzwonił do Eleny.

– Biorę tę robotę – powiedział krótko.

Zrządzeniem losu dzień wcześniej przyjaciółka z Kaliningradu przekazała mu propozycję intratnej pracy. Pewien rosyjski biznesmen zażyczył sobie ekskluzywnej sesji u polskiego fotografa. W pierwszej chwili Mikołaj odmówił, mimo że wielokrotnie fotografował kaliningradzkich hodowców i ich pupili do znanego w Rosji pisma kynologicznego. Mikołajowi nie podobały się jednak plotki, które słyszał o zleceniodawcy, wynikało z nich, że to lokalny mafioso.

– Dopóki nie siedzi, to zwykły obywatel i nawet będzie startował w najbliższych wyborach – uspokajała go Elena. – Będzie kimś ważnym. Pewnie dlatego chce mieć ekskluzywną sesję z najdroższym psem świata. Zależy mu na czasie, pies będzie u niego tylko kilka dni.

Teraz Mikołaj uznał tę propozycję za dar losu. Rosyjski przedsiębiorca o szemranej przeszłości mógł być całkiem dobrym pretekstem do rozmowy o międzynarodowej przestępczości, a więc i o Polakach z Nowej Zelandii.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem był w Kaliningradzie. A następnego poranka zerwał go o świcie telefon rozżalonego Janusza...

Mikołaj wstał z łóżka i sięgnął po spodnie. Wiedział, że już nie zaśnie, a co można robić o tak barbarzyńskiej porze w cudzym domu, gdzie na dodatek każdy ruch mógł wywołać wściekły jazgot kilkunastu rozhisteryzowanych małych piesków? Ostrożnie wsunął stopy w nogawki. Miniaturowe pomeraniany miały płuca jak miechy, ostre szczekanie wdzierало się w czaszkę. Niby wydawały się przyjazne, ale olbrzymia z Polski najwyraźniej nie lubiły, na nikogo tak nie jazgotały jak na niego.

– Idiota ze mnie! Stary dureń – zamruczał pod nosem, bo znowu pomyślał o dzieciach Ireny.

Miał złe przeczucia. Pamiętał, że z całą pewnością dał Karolowi kontakt do Paragrafa z okazji jakiegoś reportażu. No, i proszę, wpakował dzieciaka w kłopoty!

– Nogi z dupy mu powyrywam – mruknął, zapinając pasek od spodni, nie precyzując, czy groźba dotyczy Paragrafa, czy Karola.

Starał się po cichu wyjść do łazienki, ale gdy tylko szczęknęła klamka, pomeraniany podniosły dziki jazgot.

Zapowiadał się kolejny niełatwy dzień.

Mikołaj miał się spotkać z mafiosem na wystawie psów. Zniecierpliwiony od godziny chodził między ringami i z nudów robił zdjęcia.

– Już jedzie! Chodź! – Elena pociągnęła go za łokieć. – Będzie przed stadionem.

Od razu podniósł mu się poziom adrenaliny.

Przed wejściem nie było jednak nikogo. Rozglądał się niecierpliwie.

– Tylko musisz być ostrożny – przestrzegła Elena. – I masz nie komentować jego zębów!

– Co jest nie tak z jego zębami?

Elena, wieczna śmieszka, radośnie klasnęła w dłoń.

– Jest bogaty i chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli. – W jej niebieskich oczach zapaliły się wesołe ogniki.

Mikołaj wyobraził sobie przystojniaka równego mu wzrostem, czyli w granicach dwóch metrów, z potężną szczęką i olśniewającym uzębieniem, skorygowanym kosztownym aparatem ortodontycznym. Wzruszył ramionami, by uspokoić przyjaciółkę. Na pewno będzie miał co innego do roboty, niż zaglądać tamtemu w zęby. Elena chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążyła. Zza zakrętu wyskoczył z piskiem opon dżip. Oboje odskoczyli, bo terenówka niemal wjechała na chodnik i zatrzymała się tuż przy nich. Rosjanka zbladła. Kiwnęła głową Mikołajowi i odeszła, nie oglądając się za siebie. Przyciemniona szyba w aucie opuściła się do połowy.

– *Dołgo ja dołžen źdać?* – Usłyszał zirytowany głos.

Zarzucił na ramię torbę ze sprzętem fotograficznym i otworzył drzwi od strony pasażera. Kremowe skórzane obicia lśniły nowością, za kierownicą siedział korpulentny mężczyzna o śniadej twarzy, z czarnymi wąsami.

– *Oduchańczik?* – zapytał Mikołaj, wiedząc, że jego rozmówca ma w swoim otoczeniu ksywkę Dmuchawiec.

– *Dla was Dima.* – Gangster uśmiechnął się szeroko, a garnitur złotych zębów błysnął niczym gwiazdy na niebie.

Mikołaj nawet się nie zająknął na widok stomatologicznej sztuki jubilerskiej. Wsiadł do auta złotego Dmuchawca i samochód ruszył z piskiem opon.

Rosjanin zawiózł go pod obskurny postsowiecki blok. W ciemnej klatce schodowej cuchnęło moczem, miało się też wrażenie, że na każdego wchodzącego zaraz wskoczą pchły i inne robactwo. Jednak gdy otworzyły się drzwi mieszkania, Mikołaja zaskoczył przepych, z jakim urządzono przestronny apartament. Zapewne prawdziwy dom mafiosa, strzeżony jak twierdza, znajdował się gdzieś w ustronnym miejscu, a to mieszkanie w bloku służyło tylko do załatwiania interesów. Każdy element wyposażenia podkreślał jednak status finansowy właściciela i świadczył o jego pozycji. Na ścianach wisiały zdjęcia przedstawiające Dmuchańca jako twardego macho: za sterami helikoptera, na luksusowym jachcie podczas połowu marlinów, ze strzelbą nad trofeami myśliwskimi. Mikołaj podszedł do fotografii, na której jego klient z triumfem opierał nogę na martwym słoniem, i próbował rozpoznać, gdzie zostało wykonane zdjęcie.

– E tam, popatrz lepiej na to. – Gospodarz z dumą wskazał inną fotografię. – Biały lew! Wiesz, ile kosztuje polowanie na białego lwa? Pięćdziesiąt tysięcy euro!

Mikołaj tylko zacisnął szczękę. Polowanie! Dobrze wiedział, jak wyglądają takie polowania. To były normalne egzekucje na zwierzętach wystawionych do strzału.

Złote koronki Dmuchańca z zadowoleniem błyskały w śniawej twarzy.

Rozpoczęła się sesja. Dima położył się na puszystym białym dywanie obok kilkumiesięcznego mastifa tybetańskiego. Zaczął tarosić długie rude kudły szczeniaka. Ten jednak nie reagował ani na brutalne pieszczoty, ani na trzask migawki. Z wywieszonym jak po męczącym biegu jęzorem patrzył apatycznie przed siebie.

– Mój skarb. – Rosjanin w euforii zacisnął dłoń na karku zwierzaka, a pies pisnął żałośnie. – Nowa moda! Półtora miliona dolarów!

Mikołaj powstrzymał się od złośliwego komentarza, że ów „skarby” musi jeszcze przeżyć, aby można było mówić o zarobku.

Kucnął i z bliska sfotografował smutne przekrwione oczy.

– Lekarz go już widział? – zapytał, choć właściwie znał odpowiedź.

Rosjanin wykrzywił usta w cwaniackim grymasie.

– A to już będzie zmartwienie jego nowego pana. Zamówienie było na psa, a nie na usługi medyczne.

– Z przemytu? Właściciel powinien takiego przemytnika za jajka powiesić. – Mikołaj nie mógł się powstrzymać od prowokacyjnego spojrzenia w oczy swego klienta.

Ten spiął się, jakby szykując się do bójki, ale po ocenie postury przeciwnika, zamiast przystąpić do ataku, rozciągnął złote usta w nieszczerym uśmiechu. Mikołaj pomyślał, że będzie musiał szybko się ewakuować z Kaliningradu.

– Proszę o uśmiech – zażądał, a Rosjanin niemal wypluł szczękę w jeszcze szerszym grymasie zadowolenia.

Mikołaj robił zdjęcia tak, aby złote zęby Dimy były po oczach każdego widza, przyćmiewając małego mastifa, owe półtora miliona dolarów zachwyty.

Moda na czerwone mastify tybetańskie przerodziła się w istne szaleństwo, gdy świat obiegła informacja o transakcji między chińskim hodowcą a węgierskim baronem węglowym mieszkającym na południu Chin. Za jedenastomiesięcznego samca klient zapłacił... półtora miliona dolarów! Rzadka rasa niemal z dnia na dzień stała się najdroższa na świecie, zapoczątkowując popyt na szczenięta wśród nowobogackich snobów. Szczególnie pożądana była w Chinach, gdzie posiadanie czerwonego mastifa było jednoznaczne z osiągnięciem wysokiego statusu. Tam te psy wręcz zaczęły zastępować inne luksusowe dobra: biżuterię, samochody i modne technologiczne gadzety. Być może rosyjski oligarcha, który zamówił psa, robił w Chinach jakieś interesy?

Mafioso pozował, robiąc groźne miny. Kładł się obok psa, przyciskał sobie jego łeb do piersi, całował zwierzątko w nos. Będzie miał się czym chwalić. Mikołaj obchodził go dookoła i trząsał dziesiątki zdjęć, by uwiecznić na nich także jak najwięcej detali z mieszkania, łącznie z fotografiami z polowań. Kto wie, może te zdjęcia do czegoś jeszcze się przydadzą... W końcu jego klient bywa także w Polsce.

Mikołajowi szkoda tylko było psa. Gdy po skończonej sesji wsiedli do dzipa, poczuł, że serdecznie nienawidzi tego gównianego przemytniczego biznesu. Chciał jak najszybciej wrócić do domu.

Pożegnał się z Eleną i ruszył do Warszawy. Nawet nie zjadł obiadu.

Do domu dojechał w nocy. Mieszkanie powitało go błogą ciszą, terraria z węzami przyjemnie rozświetlały mrok. Wciągnął w nozdrza swojski zapach i padł na kanapę. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zadzwonić do Ireny, by delikatnie wypytać ją o dzieci. Była jak otwarta książka i jeśli coś ją gryzło, wyczułby to od razu. Przypomniał sobie, jak kiedyś się w niej kochał. Na zabój! Na dobrą sprawę bliźnięta mogłyby być jego dziećmi. Ale nie są. Może to i dobrze? Kompletnie nie nadawał się na ojca.

Spojrzał na zegarek i odłożył telefon.

Po kiepsko przespanej nocy wstał wcześniej, chciał być u Bartnickiego z samego rana. Zgrał zdjęcia mafiosa na płytę i zalał kubek z kawą, na śniadanie nie miał ochoty. Siódma. Jak ten czas wolno leci. Stoi w miejscu! Sięgnął po gazety sprzed trzech dni, których nie zdążył przeczytać. Jego uwagę przykuła notatka opatrzona zdjęciem pająka z charakterystyczną czerwoną plamką w kształcie klepsydry.

Czarne wdowy w Polsce!

Takiej niespodzianki z pewnością nie spodziewali się pracownicy Pomorskiej Służby Celnej w Gdańsku. W kontenerze przewożącym zabytkowe auto z USA dostrzegli... kilka zwawo biegających pajaków. Ich zdumienie wzrosło, gdy okazało się, że są to najprawdziwsze czarne wdowy, pająki, których jad, zawierający neurotoksynę, jest kilkanaście razy silniejszy od jadu grzechotnika!

– Są inwazyjne, szybko zakładają gniazda, w których mogą złożyć jajeczka – wyjaśnił koordynator ds. ochrony ginących gatunków zwierząt i roślin z Izby Celnej w Gdyni.

– Dlatego po uspieniu pajaków auto zostało poddane fumigacji, czyli dezynsekcji za pomocą gazu.

Jadowitych pajaków było w sumie trzy. Wszystkie to samice, o których mówi się, że... niejednokrotnie konsumują partnera po kopulacji. Stąd ich złowieszczą nazwa.

Cholera, że też nie przeczytał tej notatki wcześniej! Może nie musiałby się tłuc do Kaliningradu. Czarne wdowy w przesyłce zza oceanu! Przecież ta informacja była idealnym pretekstem, którego tak potrzebował do rozmowy. Szlag by to!

Również o ósmej pojawił się na komendzie. Dyżurny, zamiast wypisać przepustkę, spojrzał na niego niepewnie.

– To pan nic nie wie?

– O czym?

Dyżurny pokręcił głową.

– Wszyscy tu jesteśmy w szoku. To stało się tak nagle... Nadkomisarz Bartnicki nie żyje.

Szef zacisnął zęby. Wpatrywał się w zdjęcie czarnego pająka z charakterystyczną czerwoną plamką w kształcie klepsydry, po czym ze złością zwinął gazetę w cienki rulonik. Jego podwładny wcisnął głowę między ramiona, jakby się spodziewał, że zaraz dostanie między oczy.

– Widziałeś?! – pieklił się Szef. – Zagazowali je! „Poddane fumigacji”! – zacytował fragment artykułu. – I co teraz?

– Trzeba spróbować jeszcze raz – mruknął niepewnie podwładny.

– Tytus! Nie udawaj inteligenta! Pewnie, że trzeba doprowadzić sprawę do końca, ale teraz będzie trudniej.

– Nie jestem Tytus! – warknął tamten. – Mam swoje imię.

Szef spojrział na niego zimno i złośliwie wykrzywił wąskie usta.

– Ale wyglądasz jak Tytus. Masz urodę dorodnej małpy, pasujesz do menażerii!

– Zaśmiał się chrapliwie.

– Szef wychował się na złej lekturze – syknął podwładny. – Trzeba było oglądać filmy z Gregorym Peckiem, zamiast czytać komiksy o gadającej małpie.

W pokoju rozległo się głośne plaśnięcie, rulonik z gazety wylądował na czole podwładnego.

– Zejdź mi z oczu! – wrzasnął Szef. – Muszę pomyśleć!

Patrzyli na siebie w napięciu. Podwładny zmarszczył szerokie czoło, potężne szczęki z niedogolonym czarnym zarostem zacisnęły się niebezpiecznie. Lekko przekrwione oczy Tytusa spotkały się z zimnymi, jasnoszarymi, okrutnymi oczami Szefa. Podwładny skapitulował. Odwrócił się i bez słowa podszedł do akwarium zajmującego całą ścianę. Sięgnął po miękką ściereczkę, którą zawsze wycierał ślady, pozostawiane na szkle przez ulubionego kota pryncypała. Szef patrzył na jego zbyt długie ręce.

– Gregory Peck! – prychnął pod nosem. – Idiota.

Musiał pomyśleć. Plan był misterny, ale diabli go wzięli. Nie mógł tego odżalować.

Tytus pucował szybę; żeby lepiej widzieć ślady kocich łap, przycisnął policzek do szklanej tafli i zezował, gdzie jeszcze pozostała jakaś plamka.

– O! – Uśmiechnął się nagle i pokazał palcem dwie bajecznie kolorowe ryby, które stykały się pyszczkami. – Dzieci będą, hy... hy... Rybia miłość.

Szef wzniosł oczy do góry. Podszedł do akwarium i opierając dłonie o szklaną ścianę, popatrzył na ulubione egzotyczne paletki.

– Co ty wiesz o rybiej miłości! – westchnął. – U niektórych ryb głębinowych samiec po pierwszej kopulacji wrasta w ciało samicy i tak już zostaje... Permanentna kopulacja przez całe życie, wyobrażasz sobie?

– Nie... – mruknął z szacunkiem Tytus.

– Rybia miłość, mówisz... A takie karasie... To dopiero szaleństwo. Każdy z każdym, aż woda się gotuje i jest gęsta od pływających w niej jaj i nasienia.

Jego podwładnemu błysnęły oczy. Patrzył teraz na kolorowe rybki z szacunkiem. Permanentna kopulacja! Każdy z każdym!

– Idź już, Tytus, muszę pomyśleć.

Tamten zerknął na ślady dłoni pozostawione przez pryncypała i aż go palce zaswędziały, by wytrzeć te tłuste odciski. Zimny wzrok Szefa zdusił w nim jednak zapędy

czyściocha. Zabrał płyn do czyszczenia szyb i wyszedł z pokoju, kołysząc się na krzywych nogach. Szef się skrzywił; jakież on powolny! No, ale miał tę zaletę, że znał się na zwierzętach i je lubił. I był dyskretny, można mu powierzyć każde zadanie. Taka szara eminencja okazuje się niezbędną przy trybie pracy Szefa przebywającego ciągle wśród ludzi... Namolnych, którzy wiecznie coś chcieli, domagali się uwagi...

Jeszcze raz przeczytał notatkę o czarnych wdowach. Znaleźli trzy, czyli nie wszystkie wyszły z ukrycia. Ale teraz to bez znaczenia, fumigacja zrobiła swoje. Taki misterny plan! Trudno. Trzeba wymyślić następny. Był ciekawy, czy pośrednik już wie. Pewnie tak, bo musiał śledzić losy przesyłki.

W sumie to i tak lepsze niż ta okropna wpadka z ucieczką całego transportu zwierząt. Guziec, krokodyl... Rany boskie!

Wyjął z szuflady biurka telefon służący do kontaktu z pośrednikiem i wysłał SMS z informacją, o której zadzwoni. Teraz musi już tylko poczekać. Bardzo nie lubił, gdy coś nie układało się po jego myśli. Bardzo! No, ale przecież na osłodę ma tę dobrą informację. Ten stary glina...

– Miał węż jak prawdziwy pies! Ale za dużo węszył.

Tak jak przewidywał, nie doszukano się niczego niezwykłego w jego śmierci. Nałogowy palacz, nie wylewał za kołnierz... Gdy go znaleziono martwego we własnym domu, uznano, że serce mu wysiadło...

– Bo wysiadło. – Szef z zadowoleniem zatarł dłonie.

Na szczęście nikt się nie zastanawiał dlaczego. Podobnie jak w przypadku tego powiatowego gliniarza. Niech żyje nasza służba zdrowia!

W totalnym burdelu, przy finansowej mizerii i oszczędnościach w szpitalach, komu by się chciało wykonywać badania toksykologiczne? A że policjanci padają jak muchy? Nikogo to nie zdziwiło, taka praca. Niezdrowa.

No ale skoro już mowa o zdrowiu, trzeba się spakować i zrobić szybki wypadł do Doliny Bugu. Relaks jest lepszy od najdroższych kosmetyków i medykamentów.

– Dobry na serce – roześmiał się złośliwie.

To była ostatnia myśl, jaką poświęcił staremu glinie. Ten rozdział został zamknięty. Jak wieko trumny.

## Rozdział 2

Irena wyginała szyję, by zobaczyć coś więcej niż rząd aut stojących przed nią w korku.

- W moim wieku taki postój jest karygodną stratą czasu! – mamrotała nad kierownicą.
- Ludzie! Życie pędzi w zawrotnym tempie i trzeba mu dotrzymywać kroku!

Tymczasem pół ludzkości stało w miejscu na Starowiejskiej w Siedlcach, marnując swoje życiowe szanse.

Każdy, kto tylko spojrział na Irenę, wiedział, że ma do czynienia z kobietą energiczną i pełną życia. Brunetka, z krótko obciętymi włosami, przypominała latem Mulatkę, tak szybko jej skóra brązowieła od słońca. Nie umiała spacerować, zawsze chodziła szybko.

Zniecierpliwieni kierowcy naciskali na klaksony, ale żaden samochód nie przesunął się ani o centymetr. W starym oplu Ireny nie było klimatyzacji i miała wrażenie, że za chwilę się ugotuje. Z nudów zaczęła przeglądać listę zakupów, które miały zrobić z Olgą na ognisko powitalne dla Karola.

- Ach! Jeszcze kuskus i jakieś kasze! – Sięgnęła do schowka po długopis i uzupełniła spis.

Przecież ten kolega syna jest wegetarianinem. Karol mówił, że to Grek, który nie jada mięsa, czyli już na ognisko będzie musiała ugotować coś jarskiego.

Co oni tam jadają na tych antypodach? Że też nigdy nie spytała dzieci o nowozelandzką kuchnię. Ale, jakakolwiek by była, na pewno Karol i Marzenka, która dojedzie później, ze smakiem skosztują u mamy potraw, na których się wychowali.

Dotarło do niej, że syn zjawi się już za dwa dni. Była z niego taka dumna! Postanowiła zaprosić na ognisko wszystkich, którzy w pewnym sensie wpłynęli na to, że Karol dzisiaj jest tym, kim jest. Kto by przypuszczał, że zwykłe hobby przyniesie mu sławę, ciekawą pracę i duże zarobki. W Polsce, ze swoją wiedzą i umiejętnościami, zrobiłby karierę co najwyżej w sklepie zoologicznym, a tymczasem, proszę: kręci filmy dla National Geographic!

- pomyślała z satysfakcją.

Znowu zerknęła na listę i po namyśle dopisała: owoce morza.

- Cholera wie, może gust im się zmienił – mruknęła.

Zakupy zaraz będzie miała z głowy, do pełni szczęścia brakowało jej tylko telefonu od Andrzeja, jej supertajnego kochanka. To jedyny element, który mącił radość Ireny z przyjazdu dzieci. Oni się nie mogą spotkać! O Andrzeju nikt nie miał prawa wiedzieć! A właściwie odwrotnie... nikt nie mógł się dowiedzieć o niej, by nie legła w gruzach kariera kochanka.

Andrzej, zadzwoń, musimy przełożyć spotkanie! – modliła się w duchu.

Wytarła dłonią spocone czoło i osuszyła ręce o spodnie, a potem z irytacją nacisnęła na klakson. Siedlce zdecydowanie zrobiły się za ciasne! Specjalnie umówiła się z Olgą poza godzinami szczytu, żeby móc wszystko spokojnie pozalać w mieście. I co? Utknęła już na wjazdowej ulicy.

Gdy zadzwijała komórka, myślała, że dzwoni zniecierpliwiona przyjaciółka, ale nie, to był Janusz.

- Czy możesz mnie pocieszyć? – zażądał bez zbędnych wstępów. – Wczoraj tak pięknie ci się udało!

Irena z zakłopotaniem podrapała się po opalonym czole. Jakich cudownych argumentów

użyła?

– Mam mówić, jaki ty jesteś wspaniały, czy raczej jak okropny jest on?

– Och, kochana, o tym, że on jest obrzydliwy, wiedzą już wszyscy!

No, tak, Janusz bardzo się starał, aby świat poznał prawdę o jego byłym kochanku. To egoista, zimny drań bez skrupułów, emocjonalny wampir. Lista zarzutów była długa, z każdym dniem dłuższa.

– Hmm... Januszku, wiem, że cierpisz, ale jesteś przecież artystą, kulinarnym artystą...

Człowiekiem wrażliwym, szukającym wokół wyjątkowości...

– Tak! Tak! Jestem w awangardzie!

– Nie zmieniaj się, bądź nadal artystą, choćby miało cię to boleć i kosztować kolejne rozczarowania! A twoja kuchnia niech... Eeee... Eeee... Niech... niepokoi! – zakończyła patetycznie.

– Tak! Tak! – wykrzyknął Janusz z pasją. – Jesteś taka kochana. Jak ty umiesz człowieka podnieść na duchu. Moja kuchnia ma niepokoić! Muszę to sobie powtarzać codziennie, każdego poranka!

Zadowolona z siebie Irena dumnie wypięła pierś. Rzeczywiście, ładnie jej to wyszło.

Januszowi zdecydowanie poprawił się humor.

– Dostanę tę gwiazdkę Michelina! – zakończył z mocą. – A ci cholerni szpiedzy niech sobie przychodzą, kiedy chcą! Niech oceniają, piszą raporty, donoszą! Moja kuchnia ma niepokoić! Ma być taka jak ty: z energią, z... z... z impetem!

Irena pokiwała głową, może być z impetem. Chciała jeszcze powiedzieć coś budującego, ale zauważyła, że kierowcy wychodzą z aut. Zakończyła rozmowę i zaintrygowana dotarła do gromady gapiów stojących przy skrzyżowaniu Starowiejskiej z podporządkowaną Ogińskich. Wypadek! Serce zabiło jej szybciej. Skrzyżowanie znajdowało się niemal na wprost komendy policji, ale w pobliżu nie było widać żadnych mundurów ani radiowozu.

Stała na palcach, by spojrzeć nad głowami ludzi, lecz zanim jeszcze zobaczyła, co się dzieje, usłyszała doskonale znany głos. Niski, z charakterystyczną chrypką, mógł należeć tylko do Olgi,

– Zawsze jest pan taki niezdecydowany?! Zawsze?! No przecież pan ruszył! Ruszył! To po co pan stawał, jak już ruszył?!

– Bo to samochód, droga pani, a nie helikopter – rozległ się męski baryton. – Widzi pani ten korek? Samochód przede mną też się zatrzymał, więc stanąłem.

– To po co pan ruszał? Ha?!

Irena precyzyjnie się przez tłum gapiów i zobaczyła Olę, klócącą się z postawnym mężczyzną. Drobniotka przyjaciółka musiała mocno zadzierać głowę, by móc spojrzeć przeciwnikowi w oczy. Zielone oczy w ciemnej oprawie ciskały gromy, a czoło marszczyło się gniewnie pod równą linią francuskiej grzywki. Niebotycznie wysokie szpilki dodawały Oldze trochę wzrostu, ale w rzeczywistości kobieta przypominała śliczną malutką laleczkę.

Wydawałoby się, że w starciu z wysokim mężczyzną nie ma najmniejszych szans, ale to on się pocił i z coraz mniejszą pewnością siebie patrzył na lekko wgnieciony bok audi. Samochód Olgi nie miał nawet zadrapania.

– To nie było mądre! – Pogroziła palcem swojemu rozmówcy. – Gdyby pan nie ruszył, ja też bym grzecznie stała. A tak... Proszę! Bęc! I jak ja mam teraz z tym żyć?!

Mężczyzna niepewnie poluzował krawat.

– W sumie nic się nie stało – mruknął.

Nie dostrzegł zdziwionych spojrzeń gapiów, rzucanych na wgniecenie w aucie, bo rozpraszały go trzepoczące rzęsy kobiety, która to wgniecenie uczyniła.



– Nic? – Olga zrobiła słodką minkę. – Ach, gdyby pan nie ruszył... Stałabym sobie dalej... i czekała na jakąś lukę...

Chwilę później ona i właściciel staranowanego audi wsiedli do swoich samochodów, a korek się rozładował. Irenie było serdecznie żal przyjaciółki, ta stłuczka wpisywała się w pasmo niepowodzeń przesładujących ostatnio Olę. Jej firma stała na skraju bankructwa, gdyż kontrahenci zalegali z płatnościami, a w szalejącym kryzysie zleceń na imprezy okolicznościowe było coraz mniej. W dodatku ta czterdziestolatka miała słabość do młodszych mężczyzn i zamiast ustabilizować się przy dojrzałym, solidnym partnerze, wikłała się w jałowe i toksyczne związki z nieodpowiedzialnymi młokosami.

Irena ruszyła za samochodem przyjaciółki. Po kilku minutach dostrzegła ze zdziwieniem, że toyota i audi przebijają się przez centrum miasta. Jadą od razu do jakiegoś serwisu oszacować straty?auta zatrzymały się na Pustej. Nie było tu żadnego warsztatu, znajdował się za to hotel Janusz słynący z pierwszorzędnej restauracji. Irenie brwi podjechały do góry, gdy mężczyzna z audi z kurtuazją otworzył Oldze drzwi i podawszy jej rękę, poprowadził swoją towarzyszkę do ekskluzywnego lokalu.

Ona jest niereformowalna! – pomyślała Irena, bo kierowca audi był młody, bardzo w typie przyjaciółki. I nawet nie zadzwoniła, że z zakupów nici!

Cała Olga! Czy to była kwestia świetnej figury i ciągle świeżej cery, czy też może modnych ciuchów – mężczyźni tracili przy niej głowę. Przypominała kruchą porcelanową figurkę, choć miała w sobie siłę czołgu. Jej francuska fryzurka i platynowe włosy upodobały ją trochę do dekadentkich artystek. Olga była piękną kobietą. Irena przez wiele lat bała się, że jej własny dorastający syn, podobnie jak jego koledzy, będzie wdychał do lubiącej młodzieńców femme fatale. Do dziś nie wie, jak by się zachowała, gdyby Olga wzięła sobie za kochanka Karola. Na szczęście obyło się bez dramatu, chłopak wyjechał na studia, a potem na antypody.

Irena ruszyła spod restauracji; było jasne, że sama musi się uporać z zakupami.

Właśnie podjechała z pełnym koszykiem do kasy, gdy w torebce rozległ się dźwięk komórki. Przytrzymała aparat ramieniem przy uchu, jednocześnie wykładając produkty na taśmę.

– Schuuuudłaś? – Męski głos zamruczał seksownie.

Od razu zrobiło jej się gorąco.

– Nie mogę teraz rozmawiać, jestem przy kasie w Biedronce, zaczekaj moment – szepnęła.

– Ale ja mam tylko chwilę, sreberko...

Irena ze złością położyła ostatnią paczkę rukoli przed kasjerką i podjechała z koszykiem do końca lady. Ma tylko chwilę! Jak zawsze.

Kasjerka sprawnie przesuwiała produkty nad czytnikiem, a Irena pakowała je do koszyka spoconymi dłońmi.

– Schuuuudłaś? – Mruczenie znowu zawibrowało jej w uchu.

Poczuła, jak zaczyna jej drzeć kącik górnej wargi, i szybko przycisnęła do niego palce. Cholerny tik! Jak u Wołodyjowskiego. Och, gdyby miała szabelkę jak Mały Rycerz! Och, jakby siekła nią na odlew! Czy schudła? Nie jest gruba, do cholery! Tylko oponka jej się zrobiła. No, może dwie.

Kasjerka beznamiętnie poinformowała ją o należności:

– Sto trzydzieści złotych.

Sto trzydzieści?! Ach, no tak, wina.  
– Jesteś tam? – Mruczando zrobiło się trochę niezadowolone.  
Podawał kasjerce pieniądze.  
– Halo...  
Wzięła resztę i z furią pchnęła wózek.  
– Jestem! – warknęła, wychodząc z marketu. – Nie mogłam rozmawiać! Słuchaj, sprawy się lekko skomplikowały...  
Po drugiej stronie nagle zrobiło się cicho.  
– Muszę kończyć! – Mruczenie zamieniło się nagle w konspiracyjny szept.  
– Zadzwoń później!  
– O nie!... Andrzej!... Andrzej!  
Ciągły sygnał świadczył, że połączenie zostało przerwane.  
No to sobie pogadali... Jak zwykle!  
Sprawdziła, z jakiego telefonu tym razem dzwonił. Numer zastrzeżony. Czyli nie może oddzwonić.  
Romansów jej się zachciało na stare lata! Jak się w to wpakowała?  
Najbardziej denerwowało ją, że nie może oddzwonić do Andrzeja i wykrzyknąć mu, co czuje: że jest wściekła, że muszą przełożyć spotkanie i że nie sylwetka zdobi człowieka!  
No, ale nie oddzwoni... Umowa to umowa.  
– Nie schudłam! – warknęła do głuchego telefonu. Tylko tyle mogła zrobić, by wyładować złość.

## Rozdział 3

Olga smakowała delikatne mule i z każdą chwilą traciła zainteresowanie przystojniakiem, któremu tak pechowo rozbiła samochód. Co, u diabła? Jeśli facet ma problem, niech idzie do terapeuty. Może mu nawet adres podać – do Ireny.

Mężczyzna opowiadał jej właśnie o ciężkim życiu w korporacji, jak to nie ma czasu dla dwójki małych dzieci, że jest wiecznie zmęczony, a żona tego nie rozumie.

Człowieku! Pokazałabym ci, jak się zrelaksować, ale tobie potrzebna kozetka u psychologa, pomyślała z irytacją.

Zaczęła błądzić myślami wokół swoich spraw, udając, że słucha. Dobrze, że odciągnęła faceta z miejsca kolizji. Pod samym nosem glin! Gdyby kazali jej dmuchnąć w alkomat, co jest standardem w takich przypadkach, jak nie straciłaby prawo jazdy! Że też wypila tego drinka w firmie...

Wszystko ostatnio układa się nie tak... Z opłatą za OC też zalega drugi miesiąc, cholera! Jeszcze z własnej kieszeni przyjdzie jej zapłacić za klepanie audi. Jakiś pech ją prześladuje, czy co? Niechby ten nudziarz się zlitował i machnął ręką na całą sprawę, przecież to firmowe auto.

Uśmiechnęła się i znowu spojrzała na niego tak, jakby był ósmym cudem świata.

W firmie pojawiła się przed osiemnastą, pracownica akurat zbierała się do wyjścia.

– Przelew nie przyszedł. – Dziewczyna uprzedziła jej pytanie.

– Wysyłałaś mejla z upomnieniem?

– Oczywiście. Tak jak wczoraj i przedwczoraj...

Pożegnała się bez uśmiechu i wyszła. Obrażona czy co? Pewnie się martwi o pensję.

Co za popieprzony świat. Kryzys! I pomyśleć, że jeszcze rok temu, jak w każde wakacje, bawiła się na ukochanej Riwierze, a teraz... Ludzie jej nie płacą, bo im też nie płacą, rozumiała to. Szał na eventy minął, wszyscy oszczędzali. Błędne koło! Od dawna słyszała opowieści znajomych prowadzących firmy, jak to zaczynają dzień od sprawdzenia stanu konta, potem piszą mejle do zalegających z zapłatą, wysyłają SMS-y, w następnej kolejności dzwonią, proszą, czasem grożą, w końcu próbują brać na litość... Słuchała, współczuła, a teraz sama tego doświadcza. Kryzys.

Otworzyła drzwi szafki i nie wyciągając butelki, nalała whisky do szklaneczki.

Zostawi samochód pod firmą, nie będzie już ryzykowała. Dobrze, że ten facet z audi do końca grał dżentelmena i uznał, że naprawi auto w ramach korporacyjnego autocasco. Nienawidził tej wylęgarni ścigających się szczurów i chociaż tak mógł im odplacić. I dobrze!

Obróciła w palcach wizytówkę, którą jej wręczył na pożegnanie. Obiecała, że się z nim spotka, ale jeszcze to przemyśli. Był taki nudny.

Wypiła drinka i poszła do łazienki przepłukać usta. Wyciągnęła z szafki szczoteczkę i pastę, wymyła zęby. Poprawiła makijaż i od razu poczuła się lepiej.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze – powiedziała do swojego odbicia.

Uśmiechnęła się szeroko.

Kryzys w końcu minie, klienci znowu zaczną płacić. A jak nie, to... W końcu jej obecny kochanek jest windkatorem długów, prawda? Najwyżej nie zerwie z nim już teraz, poczeka chwilę. Seba odzyska pieniądze, które są jej dłużni ludzie, a potem niech znika.

Bo zniknąć z jej życia musi. Olga strasznie nie lubiła zazdrosnych i zaborczych mężczyzn, a Sebastian taki był.

Wyszła z firmy podniesiona na duchu; nie wzywała taksówki, bo postanowiła przejść piechotą ten kawałek do domu. Uśmiechała się pod nosem, łowiąc pożądlive spojrzenia mężczyzn. A co tam kryzys! Świat jest taki piękny!

Jutro na pewno przyjdzie jakiś przelew.

Szef chodził po pokoju niczym zdenerwowane zwierzę po klatce. I tak też się czuł: jak żądny krwi drapieżnik.

Przecież wszystko może wziąć w łeb! Nie teraz!... Nie pozwolę! Muszę coś zrobić! Muszę go uciszyć...

Panika powoli ustępowała miejsca logicznemu myśleniu. Oto otrzymał kolejny dowód, że Bóg jest po jego stronie.

Błogosławił dzień, w którym postanowił, że korespondencja jego pracowników nie może być dla niego tajemnicą. Specjalny program zainstalowany w komputerach na farmie pozwalał na dostęp do każdego konta. Gdyby nie to... Gdyby nie przeglądał prywatnych mejli...

Zdrajca! Zapłaci mi za to!

Trzeba działać szybko. Na szczęście wiadomo, gdzie i kiedy będzie.

Wykasował nieodebraną jeszcze wiadomość ze zmianą daty spotkania. Jak dobrze, że zajrzał do poczty tamtego właśnie teraz!

Zdrajcę trzeba uciszyć natychmiast.

A teraz spokój. Bóg chce, żebym wygrał! Bóg mnie kocha. To tylko problem wymagający rozwiązania. Radykalnego.

A co z nadawcą mejli? Z korespondencji wynika, że niewiele wie. I całe szczęście! Krąży koło tematu, węszy, słyszy, że gdzieś dzwony biją...

Poczekamy i zobaczymy.

Cóż... Z uciszeniem nadawcy mejla byłby większy problem.

## Rozdział 4

Gdy czerwcowy wieczór przekroczy magiczną granicę, ciemność zapada szybko. Zwłaszcza kiedy jest nów. Mikołaj wjechał na podwórze wiejskiego domu Ireny w chwili, gdy mrok zaczął otulać najdalsze zakamarki.

Zaproszenie na ognisko przyszło w idealnym momencie, choć wiadomość, że Karol przyjeżdża, bardziej go zaniepokoiła, niż ucieszyła. To mogło potwierdzać teorię Bartnickiego, niestety. A może jednak to tylko przypadek i żadnej afery nie ma?

Bartnicki... Jego śmierć nadeszła tak nagle, że wydawała się nierealna. Mikołaj do tej pory miał wrażenie, że stoi jeszcze oniemiały przy dyżurce w komendzie. Jak to: umarł?! Ciągłe miał przed oczyma pozółkłe od papierosów palce, brązowe plamy na wierzchu dłoni, słyszał świszczący oddech przerywany pokaszaniem palacza. Znali się dobrych kilka lat. Szkoda chłopca...

Mikołaj próbował się dodzwonić do bliźniaków, ale bez skutku: telefon Marzeny nie odpowiadał, a Karol wymówił się, że nie może rozmawiać, i obiecał, że oddzwoni. Nie oddzwonił. To nie pasowało do niego.

Dam sobie dzisiaj w palnik, postanowił; za dużo kosztowała go ta niepewność i strach o dzieci Ireny.

Zaparkował blisko domu, bo wzdłuż drogi stało kilka samochodów i nie było miejsca. Zdziwiony zobaczył, że przy ognisku kłębił się istny tłum.

– „Będą tylko starzy znajomi” – mruknął, naśladowując głos Ireny. – Kobiety!

W kuchni paliło się światło, reszta domu tonęła w mroku. Wszedł przez werandę i uśmiechnął się błogo: na stołach nęciły ogromne ilości sałatek, kielbasek i mięsa w marynacie. Poczuł, jak bardzo jest głodny.

Ireny w kuchni nie było, przy stole uwijała się chuda jak kij od szczotki Regina. Bibliotekarka z fantazją, tak kazała o sobie mówić, choć fantazja w jej wykonaniu oznaczała po prostu koszmarny brak gustu. Płomieniście rude włosy związała dziś w kucyk i ozdobiła spinką z wielkim fioletowym motylem. Gryzło się to wściekle i sprawiało wrażenie, jakby kij od szczotki zaplątał się w fioletowy welon.

– Cześć, królowo! – Mikołaj potarł dłonie i do baterii win ustawionych na parapecie dołożył kupione po drodze dwie czyste wódki.

Regina nawet na niego nie spojrzała. Otworzyła drzwi, napierając na nie chudym biodrem, bo w obu rękach trzymała salaterki. Gdy podskoczył, chcąc jej pomóc, warknęła:

– Dam sobie radę!

Wyszła z furią, a jej rudy kucyk z koszmarnym motylem tylko majtnął z tyłu głowy.

Z kąta przy lodówce rozległ się złośliwy syk:

– Słodyczka, co? Jak zwykle ujmująca! Stare panny powinno się dusić w kołysce!

Drzwi od lodówki skrzypnęły i wyłonił się zza nich rozczochrany Ignacy, artysta malarz. Trzymał w rękach plastikowy pojemnik.

– Motylka zauważyłeś?... Trudno przegapić, co? – Zaśmiał się wrednie.

Pojemnik wypadł mu z ręki, a ogórki małosolne rozsypały się po podłodze. Malarz bez zbędnych słów zaczął je zbierać i z powrotem upychać w pudełku, w myśl zasady „niedeptane, nikt nie widział, da się zjeść”. Na dowód wpakował sobie ogórek w usta.

– Irka domek dla turystów wybudowała, widziałeś? – prychnął. – Agroturystyka!

Porąbany pomysł!

Czarne loki malarza sterczały każdy w inną stronę, jego rozbiegane spojrzenie zatrzymywało się krótko na kolejnych potrawach. Ogrom jedzenia wprawiał go w ekstazę. Od czego zacząć? Już miał sięgnąć po wybrane przysmaki, gdy nagle drzwi otworzyły się z impetem, uderzając go w plecy. Ogórek znowu wypadł mu z ręki, wykonując imponujące salto.

– Szlag by to!

Ignacy przyklęknął, podniósł go z podłogi i wytarł o koszulę, a potem ugryzł łapczywie, jakby się bał, że znowu coś mu przeszkodzi.

– Ignac! Może jeszcze połów się pod drzwiami, co? – Tuż nad jego głową rozległ się głos z charakterystyczną chrypką.

Drobniuśka Olga o mało się nie potknęła o klęczącego artystę. Stała nad nim poirytowana, ze złością tupiąc sandałkiem na wysokim obcasie. Ignacy przesunął wzrokiem po jej opalonej nodze, aż do rąbka nogawki kusych dżinsowych spodenek.

– Czego się gapisz? I czemu wszystko wyżerasz?

– Olga! Tylko ty możesz przyjść w takich szpilkach na ognisko.

– Co ty tam wiesz o ognisku! Szpilki są dobre na wszystko.

Z właściwą sobie energią chwyciła tackę z karkówką.

– Chodźcie do nas, Janusz opowiada o Mapie i gwiazdkach. Toast trzeba wznieść!

Zakręciła się, postukała obcasami i już jej nie było, tacki z karkówką też. Przez moment wydawało się, że razem z nią ubyło powietrza, jakby wir, który wytworzyła, zassał gdzieś tlen.

– Ja za Janusza nie będę pił! – Malarz się zacietrzewił. – Wkurza mnie. Wielki restaurator! Też mi coś! Kucharzyna jedna.

Mikołaj wyjrzał przez okno. Właściciel Mapy stał w blasku ognia niczym udzielny książe i gestykulował zawzięcie.

– Widzisz, jaki ważny? – Malarz wskazał go ruchem brody. – Nawet jakieś swoje towarzystwo przywiózł, żeby go podziwiali. Narcyz jeden. A mieli być tylko starzy znajomi! Żebyś widział minę Ireny, gdy tamci wysypali się z limuzyn.

W mroku rozświetlonym ogniskiem i blaskiem ogrodowych pochodni biel koszuli Janusza niemal kłuła w oczy. Mikołaj zmrużył powieki; dobrze widzi? Żabocik pod szyją i falbanki na zakończeniu rękawów! Restaurator wyglądał jak muszkieter.

– Co za czasy... – warczał z irytacją Ignacy. – Kucharzyny są celebrytami!

A sztuka? Kogo dziś obchodzi sztuka?!

Mikołaj machnął ręką i złapał butelkę czystej. Otworzył stylowy kredensik i wyjął kieliszki, bo liczył, że znajdzie się jeszcze ktoś, kto dotrzyma mu towarzystwa i napije się z nim normalnego męskiego trunku. Wyszedł z kuchni wprost na werandę, a z niej do ogrodu.

Irena uwijała się przy wielkim garze bigosu, z którego unosił się upojny zapach młodej kapusty.

– Że też nie masz kompleksów i gotujesz przy naszej gwiazdce. – Mikołaj przytulił ją na powitanie.

– Mikołaj! Świetnie, że dojechałeś!

Z zadowoleniem przyjął talerz z bigosem.

– Janusz już chyba w lepszej formie, co? – Wolał się przygotować na spotkanie z kolegą.

– Przywiózł z sobą gości, którzy go podziwiają. Jest w swoim żywiole.  
– A mieli być sami „starzy znajomi”, że zacytuję wiadomość – wypomniał jej złośliwie.

Wcisnęła głowę w ramiona.

– Bo tak miało być. Chciałam, żeby przyjechali wszyscy z naszej paczki. Myślałam, że Karol poopowiada nam trochę o swojej pracy, ale w tej sytuacji to sama nie wiem... Przecież tych snobów to nie zainteresuje...

Żał w głosie Ireny rozczulił Mikołaja; objął ją ramieniem.

– Udał ci się dzieciak, wiesz?

Rozpromieniła się natychmiast.

– I pomyślałbyś, że tak zaprocentują te wszystkie nasze przyrodnicze plenery i wycieczki?

– A ty przewidziałabyś, że z takich domorośliwych zapaleńców ekologów jak my wyrosną: słynny restaurator, znany malarz, wiecznie wściekła bibliotekarka, rzutka bizneswoman i taka cudowna matka jak ty? – Pocałował ją po ojcowsku w czoło.

– No i słynny na cały świat fotograf ekobojoznik! – Zrewanżowała mu się szturchańcem w bok.

– Oj tam, oj tam...

– A gdzie ten Ignac? Mówił, że jest głodny. – Roześmiana Irena uwolniła się z objęć Mikołaja.

– Wyżera ci wszystko z lodówki – zaraportowała Olga, stając obok z sałatkami w rękach.

– Jasna cholera! Tam są dania dla tego kolegi Karola, cudzoziemca! To wegetarianin, czym ja go nakarmię?! Przecież Ignac zeżre wszystko.

Odłożyła chochlę, żeby iść do domu, ale Olga szybko położyła jej dłoń na ramieniu.

– Zostań, ja to załatwię – oświadczyła złowieszczco. – Może w końcu sama coś zjesz, toż to dorośli ludzie i sami się sobą zajmą! Jeśli Januszek ich nie obsługuje... W końcu to jego goście.

– Siadaj! – Mikołaj podsunął Irenie stołeczek.

– A, może i racja. – Irena przysiadła z wahaniem. – Nogi mi w tyłek włożą.

Odetchnęła swobodniej. Spokój i siła Mikołaja jak zwykle podziały na nią niczym relanium. Przy nim w jakiś przedziwny sposób przestawała się przejmować, tak było zawsze. Przyjrzała mu się uważniej, bo wyglądał na zmęczonego. Na jego skroniach pojawiały się już gdzieś tam szpakowate pasma, co tylko dodawało mu szlachetności. Męski i przystojny, mógł być marzeniem każdej kobiety, tylko że mało która wytrzymała tempo jego życia. Mikołaj nawet dla niej był prawdziwą zagadką. Niewiele mówił o sobie, czasem z prasy lub telewizji dowiadywała się, co robił, gdzie przebywał. Ostatnio chyba spotkało go coś nieprzyjemnego, ale nie mieli czasu o tym pogadać. A może po prostu on nie chciał o tym rozmawiać i dlatego od dawna się u niej nie pokazywał. Wydawało jej się też, że schudł.

Rozejrzała się, czy gościom niczego nie brakuje. Regina nie jadła, brwi miała zmarszczone i z niechęcią patrzyła na poruszającego szczękami Mikołaja.

– Regina jest na ciebie zła? – spytała półgłosem Irena.

– Na mnie? Zła? A za co?

Nigdy nie był dobry w rozszyfrowywaniu kobiecych emocji, a z mowy ciała dostrzegał tylko wyraźne sygnały, najczęściej wysyłane o późnej porze w barach.

– Nic nie mówiła, ale przecież widzę – mruknęła.

Mikołaj zerknął niepewnie na rudzielca. Rzeczywiście, te rzucane ukradkiem spojrzenia

były pełne wściekłości, tak jak wcześniejsze powitanie. Widząc, że na nią patrzy, Regina podniosła się z dębowego pieńka służącego za stołeczek i odwróciwszy się tyłem, zarzuciła na ramiona cienki sweterek. Przez moment walczyła z motylem na kucyku, bo sweterek zaplątał się w skrzydła. Sweterek był czerwony, a zwiewna suknia pomarańczowa. Od tej oryginalnej kolorystyki bolały zęby, ale paleta barw wydawała się typowa dla Reginy, która uważała się za osobę wielce oryginalną i niezależną. W tej chwili cała jej sylwetka aż krzyczała: Nie podchodź do mnie! Mikołaj poczuł się niepewnie. Przed wyjazdem odzywała się do niego normalnie.

Odetchnął z ulgą, gdy do ogniska podeszli Ignac z Olgą. Malarz jeszcze coś przeżuwał, ale jego wzrok od razu powędrował w stronę stolika z grillowanym mięsem. Uśmiechnął się błogo.

– Pyszności! – Pochylił się nad pełnymi talerzami, zastanawiając się, na co ma ochotę. Ostatecznie jego wybór padł na pajdę chleba ze smalcem.

– Co ci przyszło do głowy z tą agroturystyką? – zwrócił się z pełnymi ustami do Ireny. – Agroturyzm pod Mordami! Kto tu przyjedzie? Mordy! Ale atrakcja! I jeszcze ta nazwa.

– Co chcesz od nazwy? – Irena wzruszyła ramionami.

– Mordy! Nie słyszysz, jak to brzmi? Mordy! Mieszkam w Mordzie. Jadę do Mordy... Do dupy to brzmi. Jaki turysta ci przyjedzie wypoczywać w Mordzie lub pod Mordą?

– Wykrzywił się i sięgnął po puszkę z piwem.

Na pewno jej nie przyniósł, tylko sępi, pomyślał z irytacją Mikołaj. Zdenerwował go napastliwy i pogardliwy ton malarza, więc stanął w obronie koleżanki.

– Nie w Mordzie, tylko w Mordach, to liczba mnoga. I nie „jadę do tych Mórd”, tylko „jadę do Mordów”, bo nazwa pochodzi od mordowania, a nie od obraźliwego określenia mało urodziwej facjaty – wyjaśnił protekcyjnie.

Irena spojrzała na niego z wdzięcznością. Jakakolwiek dyskusja ze zrzędlwym i podpitym Ignacem zazwyczaj kończyła się kłótnią, a ona nie chciała dziś psuć sobie humoru.

– Mordowanie! Też coś! A niby kto tu kogo mordował? – kpił dalej Ignac.

– Jadźwingowie! – z satysfakcją wycedziła Irena. Właśnie nadziewała kolejne kiełbaski na rożen, więc tylko się odwróciła, żeby ją było lepiej słychać.

– Jadźwingowie! – Podpity malarz przedrzeźniał ją piskliwym głosem. – Akurat! Co tutaj robili Jadźwingowie?!

– Wymordowali mieszkańców osady, którą założono zapewne wcześniej niż Siedlce. Przypominam, że Mordy pierwsze dostały prawa miejskie, przed tymi twoimi Siedlcami.

– „Twoimi Siedlcami”? – oburzył się Ignac. – To twoimi już nie? Już się taka mordzka zrobiłaś? Kiedy się tu przeprowadziłaś: pół roku temu?

– A co twoje Siedlce robiły, kiedy tutaj, w pobliżu Mordów, Leszek Czarny pokonał Jadźwingów w tysiąc dwieście osiemdziesiątym drugim roku? No, co? – Irena z premedytacją drażniła Ignacego, choć kącik warg zaczął jej niebezpiecznie drgać. – To była wielka bitwa!

– Kochana... najpewniej to była bitwa pod Siedlcami, a nie pod Mordami. – Ignac upił spory łyk piwa. – I najpewniej siedlczanie dziwili się, że tutejsi wojowie mają takie dziwne... mordy. Stąd nazwa.

– Trzymajcie mnie! – wykrzyknęła z desperacją Irena. – Trzymajcie mnie, bo go dźgnę różnem! Zamorduję!

Wycelowała szpikulec w malarza, który cofnął się o krok. Gdyby wzrok mógł zabijać, artysta już leżałby martwy. Zza wędzarki, za którą leżały porąbane szczapki drewna, wystrzeliła głowa Reginy. Bibliotekarka spojrzała na trzymane przez Irenę ostrze i nerwowo zacisnęła



wąskie wargi. Otuliła się sweterkiem. A Ignac jątrzył dalej.

– „Znany malarz został zamordowany pod Mordami przez byłą więzienną psycholog”  
– zaczął, jakby czytał relację w kronice kryminalnej. – Nieźle brzmi. Hmmm... to byłby nawet niezły patent na marketing. „Morderstwo pod Mordami” – świetna reklama dla twojego agroturystyki! Może nawet namaluję ci odpowiedni obraz.

– Swoich zwłok? – Irka ze złością zrobiła kolejny krok w kierunku cofającego się artysty. – Użyj dużo czerwonej farby.

Mikołaj stanął między nimi i jęknął, gdy szpikulec ukłuł go boleśnie w pierś.

– Auć!

– Przepraszam! – krzyknęła z przerażeniem Irena.

Regina spojrzała mściwie na skrzywionego Mikołaja i syknęła:

– Dobrze ci tak!

Olga podniosła ręce w geście rozjemcy.

– Dosyć! Dosyć! No jak dzieci, jak Boga Kocham!

Mikołaj rozcierał bolące miejsce, zza jego pleców wyrzał malarz.

– Uratowałeś mi życie, przyjacielu – wyszeptał teatralnie. – Idę stąd, bo atmosfera nie współgra z moją wrażliwą duszą.

Z godnością sięgnął po kolejną puszkę piwa i ostentacyjnie odwrócił się plecami do gospodyni. Nagle zatrzymał się w pół kroku i zaczął nasłuchiwać.

– Ciii... Słyszycie?

Wszyscy zamarli. W nocnej ciszy słychać było wesołe pokrzykiwania znajomych Janusza, bawiących się nieco dalej od ogniska. Ignac podniósł palec do góry.

– O! Słyszycie to „cri-cri-cri”? Prostoskrzydłe dają już koncerty! Świerszcz polny!

– Idiota! – Olga głośno wypuściła z płuc powietrze. Ależ ją przestraszył!

– A, co? Może nie prostoskrzydłe?

Wściekła Olga szukała w pamięci nazwy owadnich grajków, ale jak zwykle nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Tak to jest, jak się jeździło na akcje protestacyjne tylko po to, aby flirtować z młodymi ekologami – wycedziła ze złośliwym uśmiechem Regina. – Ja poznaję skoczka zielonego... Jego odgłosy przypominają tykanie budzika. A gdybyśmy słyszeli dźwięk podobny do skrobienia, to byłby konik wąsacz.

Popisawszy się wiedzą, widząc, jakie zrobiła wrażenie, z godnością podryfowała w stronę ogrodu i zniknęła w ciemności. Uwielbiała takie efekciarstwo.

– Nooo... rzeczywiście... Jeśli skrobie, to konik wąsacz – potwierdził z niechęcią Ignacy. Nie lubił przyznawać komuś racji. – Chciałem go kiedyś namalować, ale, niestety, owady nie schodzą. Rynek sztuki nie jest jeszcze gotowy na muchy, pasikoniki i pająki. Wielka szkoda! I przyjdzie mi malować jakieś... mordy. – Prowokacyjnie prychnął i szybko prysnął między drzewa.

Irena przycisnęła palcami górną wargę, która zaczęła drgać.

– Kiedyś naprawdę ktoś go ukatrupił!

Wzięła głęboki oddech i dokończyła nadziewanie kielbasek. Mikołaj nalał sobie wódki. Olga też podstawiła kieliszek.

– Poproszę.

Od razu wypila swoją porcję alkoholu do dna. Regina dopiekle jej do żywego. I cóż z tego, że na każdej akcji, na którą jeździli z Mikołajem, znalazła sobie jakiegoś słodkiego młodego ekologę? Inaczej byłoby nudno i pewnie w ogóle by z nimi nie jeździła. Zresztą wtedy też była młoda, do cholery! A inni po co jeździli? Każdy miał swój ukryty cel: Regina

nie cierpiała zwierząt, lecz zawsze kryła się z tym przed Mikołajem, podążała za nim wszędzie, byle tylko zwrócić na siebie uwagę; Janusz od zawsze miał parcie na szkło i jako samozwańczy rzecznik wypowiadał się przed kamerami; Ignacy wyrabiał sobie znajomości, a jeśli gdziekolwiek w mediach padło nazwisko tak zaangażowanego malarza, zaraz udawało mu się sprzedać kilka obrazów. Tylko Mikołaj jeździł na protesty bez żadnych ukrytych celów. Wierzył w to, co robił, i chciał zmieniać świat. A Irena? Rozwodziła się i wszędzie jej było lepiej niż we własnym domu. I oni próbują jej wypominać młodych ekologów?!

Po raz kolejny zerknęła na oświetloną pustą werandę, w nadziei, że pojawi się tam kolega Karola.

– A Karol i ten cudzoziemiec kiedy przyjdą na ognisko? – spytała, podstawiając kieliszek po dolewkę.

Mikołaj bez słowa nalał jej do pełna. Irena zachichotała.

– Oj, Olga... Ten Grek jest w wieku Karola, tylko z tą brodą wygląda tak męsko.

– Południowcy wcześniej dojrzewają. – Machnęła ręką. – Może trzeba go zawołać, co? Mówi po angielsku?

– On nawet po polsku trochę mówi. Kilka języków zna, zdolniacha. – Irena popatrzyła na nią pobłaźliwie.

Olga wychyliła kolejny kieliszek wódki.

– Nie mogę się przyzwyczaić, że pijesz jak facet – mruknął Mikołaj. – Ja przynajmniej mam masę, tych sto parę kilo, ale ty, drobino? Że też cię z nóg nie zwali.

– Mam mocną głowę.

Oczy już jej błyszczały. Tylko przez chwilę widziała tego Greka, ale z przyjemnością zarejestrowała, że jest piękny, śniady, ma zniewalający uśmiech i sprawia wrażenie wysportowanego. Czowała miłe podniecenie. Dzisiejszego wieczoru postanowiła się dobrze bawić.

Parę godzin wcześniej pokłóciła się z Sebastianem, który koniecznie chciał jechać z nią na ognisko. O, niedoczekanie! Chodziłby za nią krok w krok, pilnował, gromił wzrokiem każdego, kto by się ośmielił podejść. Seba powoli zaczynał być problemem, widziała to. Do tej pory umiała sobie radzić z takimi mężczyznami, z Sebą jednak było inaczej. Gdy po gwałtownych kłótniach już myślała, że to koniec, że się obraził śmiertelnie i zrozumiał, iż nic z ich związku nie będzie, nagle wracał skruszony, zrozpaczony, błagając o jeszcze jedną szansę. Z Sebą po prostu trudno było zerwać. Czasem miała wyrzuty sumienia, że tak rozkochała w sobie młodszego o jedenaście lat chłopaka. Męczył ją ten romans i zaczynała się czuć osaczona. Czasem odnosiła wrażenie, że Seba ją śledzi, bo miewał pretensje o sytuację, o których nie mógł wiedzieć.

Olga objęła się ramionami, jakby nagle powiało chłodem. Odruchowo spojrzała za siebie. Za plecami miała gęsty krzak piwonii, a za nim krzewy tonące w mroku. Wydało jej się, czy też poruszyły się nagle? Czy to Regina tam jest? A może Ignac? E, chyba jej się zdawało. Nikogo nie widać. Brrr! Pewnie to wiatr.

Dobrze, że jest tu, z przyjaciółmi, a Seba siedzi gdzieś w pubie z kolegami windykatorami. Młode wilki strasznie się ekscytowały swoją pracą, bez przerwy słyszała opowieści o biednych ludziach, ukrywających się przed wierzycielami. Miała tego dość.

Nie będzie myśleć o Sebastianie. Będzie myśleć o tym przystojnym Greku. A może nie tylko myśleć...Tylko, kiedy, u diabła, przyjdzie tu do nich?!

Mikołaj dorzucił trochę drewna do ognia. Janusz jeszcze z nim się nie przywitał, ciągle brylował wśród swoich znajomych. Kiedy iskry z jałowca wzbily się efektownym trzaskającym

słupem, przy ognisku zrobiło się jasno i restaurator nie mógł dalej udawać, że nie widzi przyjaciela. Dał znać swoim towarzyszom i wszyscy podeszli do garnka z bigosem.

– Raczyłeś wrócić! – Chłodno skinął głową.

Nadal był obrażony. I wcale nie wyglądał jak muszkieter. Z bliska dokładnie było widać gotycką stylizację, wyglądał jak filmowy książkę wampirów. Długie do ramion jasne włosy rozdzielał idealnie prosty przedziałek, brwi i rzęsy miał przyciemnione. Szare oczy wydawały się przez to jeszcze jaśniejsze. Rozpięta biała koszula z żabotem odsłaniała wydepilowany opalony tors, na którym błyszczał wielki medalion z krwistoczerwonym kamieniem zatopionym w starym srebrze. Janusz kreował własną modę, nie bacząc na obowiązujące trendy. Dziś postawił na wampirzyzm i magnetyzm.

– Wyglądasz... hmm. – Mikołaj szukał właściwego słowa.

– Świetnie, nie? – Janusz od razu się ożywił. – Ta fryzura wydobywa wszystko, co najlepsze z mojego profilu, patrz!

Złość gdzieś się ulotniła, odwrócił się, by kolega mógł podziwiać jego idealnie prosty nos.

– Zrobisz mi portrecik? Wiesz, muszę uwiecznić ten historyczny moment, by pokazać potomności, jak wyglądałem jako Rising Star... Wschodząca gwiazda Michelina! Ładnie brzmi!

– No, ładnie – przyznał Mikołaj.

– A właśnie, jeśli o gwiazdach mowa... Powiem ci coś, ale obiecaj, że się nie wkurzysz.. Hmm... Weź pod uwagę, że właściwie jest to sukces i powinieneś się cieszyć, a nie wkurzać. – Janusz plątał się podejrzenie. – Pamiętaj, że chciałem dobrze.

– Taaa... Już się cieszę, ale czuję też pewien niepokój. O co chodzi?

– Wysłałem portret Senatora na konkurs. – Przyznał się z desperacją Janusz. – I on wygrał. Ja tylko chciałem się pochwalić kotem, nie wiedziałem, że zdjęcie zrobi taką furorę! Przysięgam!

Słuchająca ich rozmowy Irena zakrzuszyła się piwem. Mikołaj odruchowo poklepał ją po karku.

– Wysłałeś... zdjęcie... kota bandyty? – Z trudem łapała powietrze. – O rany, nie w tę dziurkę mi poszło.

Janusz się oburzył.

– Jakiego bandyty?! Senator wygląda dostojnie, a nie jak zbir.

– Jak bandyta – upierała się Irena, dochodząc do siebie.

Mikołaj wiedział, o jakim portrecie mowa. Janusz pojawił się kiedyś na jednym z wernisaży razem ze swym kotem Senatorem, którego włożył sobie pod skórzaną kurtkę. Nosił kocura troskliwie niczym kangurzyca swoje małe, a bezwłosy pupil rasy naked moon wystawiał tylko trójkątną łysą głowę i patrzył wkoło zmrużonymi żółtymi oczyma. Zdaniem Ireny wyglądał, jakby chciał komuś przegryźć tętnicę. Mikołaj natychmiast wycelował w niego obiektyw. Portret Senatora wisiał potem na honorowym miejscu w domu Janusza.

Irena w końcu odzyskała oddech.

– Co to za konkurs?

– Bardzo prestiżowy – szybko rzucił Janusz i zacisnął usta w wąską kreskę.

– A coś bliższego?

– Zagraniczny.

– To świetnie! Mikołaj, pojedziesz za granicę po nagrodę! A gdzie? I jaka to nagroda?

– Bardzo dobry bigosik, czuję po zapachu. – Janusz nagle zmienił temat i szybko podszedł do garnka.

Złapał chochlę i zamieszał bigos. Nagle łyżka wypadła mu z ręki.

– Co... Co on tu robi?! – wyjąkał wpatrzony w ciemną przestrzeń za plecami zgromadzonych.

Irena odwróciła się i zamarła z wrażenia.

Do ogniska zbliżał się były kochanek Janusza.

– Dziękuję za zaproszenie – rzucił chłodno i kurtuazyjnie ucałował dłoń Ireny.

Były partner Janusza, ubrany w czerń, jak zwykle, roztaczał wokół siebie woń drogich perfum. Opięte spodnie z cieniutkiej skóry nie mogły zamaskować lekko widocznego brzuszka. Nie był wysoki, miał pogłębiające się zakola i krótko przystrzyżone blond włosy. Szpiczasty zadarty nos nad wąskimi ustami nadawał jego twarzy wyraz wyższości. Jedyne, co miał ładnego, to oczy, którymi teraz patrzył niepewnie na towarzystwo skupione przy ogniu. Jak na wziętego stylistę ubierał się skromnie, wręcz normalnie.

Gospodyni spojrzała bezradnie na oniemiałego restauratora. Zaproszenie?! Czyżby przez pomyłkę wysłała SMS także do ekspartnera Janusza?! A może napisała mejla? Rany boskie! No to nieźle narozrabiała.

Gdyby wzrok mógł zabijać, leżałaby już martwa, na własnym podwórku, ukatrupiona spojrzeniem właściciela Mapy.

– Pro... proszę... – Machnęła ręką w stronę pieńków do siedzenia i stołu z jedzeniem.

Janusz był blady jak upiór.

– Co on tu robi?! – powtórzył pytanie grobowym głosem.

Były kochanek podszedł bliżej.

– Nie rób scen. Po waszej reakcji widzę, że to jakieś nieporozumienie. Myślałem...

– „Nie rób scen”? „Myślałem”? Co myślałeś?!

Stylista stał dumnie wyprostowany. Łagodnym ruchem złączył palce obu dłoni w piramidkę. Emanował wyniosłym spokojem.

– A ty jak zwykle... – zaczął, ale Janusz nie pozwolił mu dokończyć.

– Jak zwykle nie trzymam pionu w ekskluzywie i zachowuję się egzaltowanie. To chciałeś powiedzieć? – zapytał groźnie.

Byli partnerzy patrzyli na siebie w napięciu. Po chwili stylista rozłożył ręce.

– Gdy publiczność klaszcze, trzeba się uklonić – powiedział ze spokojem, schylając nisko głowę. – Widzę, że zaszło nieporozumienie. Przepraszam.

Odwrócił się i niezatrzymywany przez nikogo zniknął w ciemnościach.

Olga przerwała milczenie.

– Przepraszal tak ogólnie czy konkretnie Janusza?

Nikt jej nie odpowiedział.

Janusz przez chwilę wyglądał, jakby chciał pobiec za odchodzącym mężczyzną. Z rozpaczą przyłożył palce do skroni.

– Wybaczcie, muszę pobyć sam!

Zanim ktokolwiek zareagował, pobiegł w stronę starego sadu.

– Ja piernicze! – Olga jednym haustem wypija kolejny kieliszek. – Irena, odbiło ci?!

– Boże, co za głupia sytuacja! Nie wiem, jakim cudem... Musiałam przez pomyłkę posłać mu SMS albo mejla. Biedny Janusz! Okropnie się czuję!

Mikołaj z westchnieniem złapał butelkę i podsunął Irenie kieliszek wódki. Przyjęła go z wdzięcznością. Odwrócił się do Olgi, ta jednak patrzyła w stronę oświetlonej werandy... Po schodach szedł właśnie wysoki mężczyzna z burzą czarnych włosów. Młody grecki bóg...

Spiros Papadimas z szerokim uśmiechem ruszył w stronę ogniska, bezbłędnie obierając kierunek prowadzący wprost do platynowej piękności. Olga, nie odrywając wzroku

od młodego Adonisa, wyciągnęła do Mikołaja dłoń z kieliszkiem. Gdy poczuła, że go napelnił, wypila wódkę jednych haustem. Jak Sarmata, pomyślał Mikołaj. Po takim haście mocnego alkoholu spodziewał się siarczystego „huuuu!”, tymczasem oblizła tylko wargi. Na widok jej zmysłowo wysuniętego języka przyjaciel Karola uśmiechnął się jeszcze szerzej i zakończył ostatecznie wędrowną przy krzeselku Olgi.

– A dze Karlos? – zapytał niskim głosem.

– Adze co? – wychrypiła Olga w równie niskiej tonacji.

Irena od razu zaczęła mu nakładać porcję bigosu, wybierając z niej kawałki mięsa.

– Co, Karol się gdzieś zapodział? – podała talerz Spirosowi.

– *I'm lost* – roześmiał się rozbrajająco. – *Here is too dark...* Karlos... *what?*...

Dżapodział? Czo to: dżapodział?

– A czo to adze? – wtrąciła zaczepnie Olga, naśladowując mowę gościa, gdyż wyraźnie czuła się spychana na drugi plan.

– Spiros pytał, gdzie jest Karol – wyjaśniła Irena.

– Słodki jest ten jego polski – zachichotała Olga. – Niech mówi po polsku!

Spiros znowu błysnął uśmiechem, dając do zrozumienia, że wszystko rozumie, tylko gorzej z mówieniem.

– „Zapodział” to *from being lost* – wytłumaczyła łaskawie długonoga piękność.

– Dżapodział... – Spiros upajał się brzmieniem nowo poznanego słowa i usiadł obok Olgi, jednocześnie nabierając na łyżkę bigos. – *Yes*, Karlos dżapodział! A mosze to ja dżapodział? – Uniósł bezradnie szerokie brwi, powodując tym gęsią skórkę u Olgi. – Karlos mówił, mówił, a ja... przysnyc... i nie słyszał, czo on mówił. I ja after paczeć, a Karlos dżapodział! To ja wyszeł i tesz dżapodział.

– Bossssko! – Olga przeciągnęła się rozkosznie. Wieczór zapowiadał się wspaniale!

– Gdzie ten Karol? – Irena rozglądała się niecierpliwie po ciemnym podwórzu. Emocje po niespodziewanym pojawieniu się byłego partnera Janusza już opadły.

Mikołaj podsunął jej puszkę z piwem.

– Poczekaj, Karol nie gubi się w dżungli, więc w małej wsi pod Mordami tym bardziej da sobie radę – tłumaczył jej z filozoficznym spokojem.

– Niby tak...

– Kiedy Karol przyjechał?

– Dzisiaj. Od razu zorganizowałam to ognisko, bo przecież długo nie usiedzi w miejscu, no i chciałam, żeby mógł się pochwalić swoją pracą przed wami. Kto, jak nie wy, doceni to, co on robi?

Mikołaj się uśmiechnął, bo przypominał sobie stare czasy, wspólne plenery fotograficzne, protesty przeciwko wycinaniu drzew, blokowanie inwestycji zagrażających rzadkim ekosystemom.

– A czemu właściwie Karol przyjechał do Polski? – Starął się, aby to pytanie zabrzmiało niewinnie, jednak Irena spojrzała na niego czujnie.

– Jakiś program robi, a co?

– Eee, nic... Wszystko u niego w porządku?

– Chyba tak. Na nic się nie skarżył.

– Wcześniej nie planował tak szybkiego przyjazdu... A u Marzenki jak?

– Dzwoniła wczoraj, nie wykluczała, że też przyjedzie.

– Oboje będą w Polsce? W tym samym czasie?

- W końcu jestem ich matką, a to także ich dom. Mikołaj, o co ci chodzi?
- Eee... o nic. Fajnie, że będą tutaj razem.

Podniósł się, by dorzucić drewno. Wielką zaletą ogniska była ciągła konieczność podtrzymywania ognia. Przydawało się to, gdy nagle brakowało słów albo gdy chciało się uciec od niewygodnego tematu.

Znajomi Janusza bawili się doskonale, mimo że ich kulinarny guru na dobre zniknął gdzieś w ciemnościach. Impreza nabierała rumieńców i tempa, iskry z ogniska poszybowwały w górę i zapachniało jałowcem. Mikołaj przymknął oczy.

Jak mu tu dobrze! Odsunął nieprzyjemne myśli o bliźniętach. Zerknął na Irenę, która przekładała gorące kielbaski na wielką misę... Nagle poczuł wdzięczność za tę chwilę, za ten spokój w duszy. Warto było przyjechać.

Przyjaciele Janusza chyba też docenili niepowtarzalny wieczór, bo ktoś zaczął wspominać smaki dzieciństwa.

- Pieczone ziemniaki! Jezu, jak one smakowały!
- Pieczone ziemniaki! Pieczone ziemniaki! – podchwyciły kolejne głosy.

Kolektywnie podjęto decyzję o wrzuceniu bezcennych bulw do gorącego popiołu.

– Co jak co, ale gospodyni musi mieć ziemniaki! – krzyczał zdesperowany głos w ciemności.

- Jeśli się odchudza, to nie je badziewia – odparł ktoś inny z rezygnacją.
- Trzeba wezwać taksówkę! Taksówkarze robią zakupy, zamówimy z pięć kilo, co?
- Ludzie, przecież jesteśmy na wsi! Tu wszędzie są pola, kartofliska nie znajdziemy?!
- Znajdziemy!

Irena w ciemności popukała się w czoło.

– Kartofle kopie się w październiku! Zaraz wam przyniosę trochę ziemniaków!

– A o młodych ziemniaczkach nie słyszałaś?! – ryknął jakiś głos z krzaków. – Młode kopie się wcześniej. Nakopie!

Irena popatrzyła z rozpaczą na ciemny ogród.

– Janusz! – krzyknęła w noc.

Przecież, jeśli ta zgraja pójdzie ludziom w szkodę, to miejscowi ją wyklną. Nie miała jeszcze ogrodzonej posesji, za krzakami rozciągały się pola, więc o zniszczenia nie było trudno.

Janusz wyłonił się z ciemności. Szedł szybko, oglądając się z niepokojem za siebie.

– Chyba odwyłem od wiejskich klimatów. – Wzdrygnął się. – Coś ci się w krzakach rusza! Miałem nieprzyjemne uczucie, jakby ktoś mnie obserwował.

– Pewnie któryś z twoich szukał motyki – odparł złośliwie Mikołaj i wskazał kręcących się po całej posesji gości.

Irena zmarszczyła brwi.

– Mógłbyś zwołać towarzystwo do kupy? Opanowała ich gorączka ziemniaczana i chcą tu kopać. Ostudź ich zapał, a ja przyniosę siatkę kartofli.

Restaurator zaklaskał w dłonie niczym maestro i krzyknął donośnie:

– Chłopcy! Dziewczęta! Gospodyni idzie po kartofelki! Siadamy grzecznie!

Wszyscy zaczęli wracać na swoje miejsca, a Irena odetchnęła. Lokalne kartofliska zostały uratowane.

– Idę po ziemniaki. Tylko gdzie ten Karol? Przecież tu nie można się „dzapodziać”!

– Pomóc ci? – Mikołaj odstawił kieliszek.

– Nie trzeba. Przy okazji zobaczę, czy Ignac nie wyżarł wegetariańskich dań Spirosa.

A właśnie, gdzie jest Ignac?

– Lepiej sprawdź, czy nie buszuje w lodówce – poradził jej Mikołaj.

Poderwała się i pobiegła truchtem do domu.

– Wszyscy nagle poginęli! – Zirytowana zniknęła w ciemnościach.

Ognisko lekko przygasło. Mikołaj z westchnieniem podniósł się z ławeczki i dołożył drewna. Gospodarskim okiem przyjrzał się jeszcze płonącym pochodniom i wymienił dwie dopalające się na nowe. Znowu zrobiło się jaśniej.

Każda impreza w końcu wchodzi w fazę, gdy goście po kolei gdzieś znikają, pomyślał i poczuł się osamotniony. Humor trochę mu opadł, mięśnie się rozluźniły. Nalał sobie kolejny kieliszek wódki i szybko wypił.

I wtedy usłyszał ten krzyk.

Wszyscy usłyszeli.

Regina wypadła z ciemności blada jak śmierć i zatrzymała się w kręgu światła.

– AAAA! AAAA! AAAA!

Zacisnęła chude dłonie w pięści i krzyczała straszliwie. W blasku ogniska jej twarz była raz jaśniejsza, raz ginęła w cieniu, w oczach widziało się przerażenie.

– AAAAA! AAAA! AAAA!

Doskoczył do niej Mikołaj i złapał ją za ramiona.

– Co się stało?!

Kurczowo zacisnęła dłonie na rogach sweterka. Przez chwilę oddychała spazmatycznie i znowu zaczęła krzyczeć.

– Zabiła go! AAAA! AAAAA! AAAA!

Mikołaj potrząsnął lekko.

– Powiedz, co się stało! O czym ty mówisz?!

– Ignac! Ignac! Leży! Zabiła go! – Machnęła ręką za siebie.

– Co?! Kto go zabił?

– Irena! AAAAA! AAAA! AAAA!

Zrobiło się niezmiernie zamieszanie. Mikołaj, nie wiedząc, jak uciszyć rozhisteryzowaną Reginę, przytulił ją mocno do potężnej piersi. Po chwili rozpaczliwe „Aaaa” stało się coraz cichsze, aż zmieniło się w żalose kwilenie.

– Co się stało? Co się stało? – Znajomi Janusza zbili się w gromadkę.

Olga czknęła lekko.

– Hyk! Podobno Irena zabiła Ignaca. Pewnie wyżarł jej wszystko z lodówki.

W zapadłej ciszy ktoś bąknął przeproszająco:

– Ja nie muszę jeść tych ziemniaków.

Janusz się zdenerwował.

– Zgłupieśliście? Jakże zabiła?! Gdzie on jest?!

Regina, wtulona w Mikołaja, machnęła za siebie ręką.

– Tam!

Janusz dramatycznym gestem położył sobie rękę na piersi. Wziął głęboki oddech i niczym w teatrze jednego aktora zaczął powoli iść przed siebie.

– Poderżnęła mu gardło! – wysapała zduszonym głosem Regina w koszulę Mikołaja.

– Mnóstwo krwi!

Janusz stanął w miejscu. Po chwili, nie odwracając się, zaczął iść do tyłu. Wracał. Krew? To nie dla mnie – stwierdził stanowczo.

Olga podniosła się z krzeselka i wyjęła pochodnię z najbliższego pieńka.

– Idziemy wszyscy – zdecydowała i pierwsza ruszyła przed siebie.

Ignaca znaleźli niedaleko. Spoczywał na plecach, z rozrzuconymi bezładnie rękami i podkuloną nogą. Obok leżała papierowa tacka z niedojedzonymi kiełbaskami. Od ust po rozcięcie koszuli pokryty był ciemną krwawą mazią. Ktoś jęknął.

– O w mordę!

– Jaką mordę?! – rozległ się z tyłu niezadowolony głos Ireny. – Ten temat już przerabialiśmy! Jesteście nudni! Mordy im się nie podobają!

Nie musiała się przeciskać do przodu przez zbitą grupę, bo wszyscy się przed nią z respektem rozstąpili. Beznamiętnie popatrzyła na leżące bezwładnie ciało.

– Może tak byście go przenieśli w jakieś ustronne miejsce, co? Sama mam to zrobić? Janusz znowu sobie położył rękę na sercu.

– Irena... Ty to masz nerwy!

– A on słabą głowę. Tylko może trzeba go wytrzeć, żebyście się nie pobrudzili. – Rozejrzała się i schyliła po liść łopianu. Wszyscy patrzyli bez słowa, jak podeszła do zwłok i klękawszy przy nich, zaczęła wycierać krwawą maź. Malarz nagle jęknął.

– Żyje! – Ktoś z tłumu westchnął i zachichotał nerwowo.

Irena wyrzuciła pobrudzony liść.

– No! Gotowe.

Mikołaj wysunął się z uścisku Reginy i pochylił nad rzekomym nieboszczykiem.

– Keczup – zawyrokował i na dowód podniósł pobrudzoną tackę leżącą obok malarza.

– Musiał zaryć w nią twarzą, a potem przekreślił się na plecach i zasnął. Dla mnie bomba. Sam bym mu nie zrobił lepszej charakteryzacji.

Dźwignął z ziemi pijanego artystę i bez trudu przerzucił go sobie przez ramię. Ignacy wyglądał jak myśliwskie trofeum. Na chwilę nawet odzyskał świadomość, a widząc Janusza i Reginę idących tuż za postawnym fotografem, prychnął im prosto w nos.

– Sztuka! Słyszysz, kucharzu? A, i ty, stara panno? Sztuka!

I odpłynął w niebyt.

Goście, chichocząc, wrócili do ogniska, niespodziewana kryminalna atrakcja zaostriła im apetyt. Będą pieczone ziemniaki!

Mikołaj z przerzuconym przez ramię drobniutkim Ignacem szedł w stronę domu.

Za nim maszerował Janusz i dreptała skrzywiona Regina.

– Co ci przyszło do głowy z tym mordowaniem? – jęknął restaurator. – Wiesz, jak się zdenerwowałem?

– Bo ona... ona go chciała dźgnąć różnem... I jak zobaczyłam tyle tej krwi...

– Keczupu – mruknął Mikołaj, nie odwracając się.

– Wyglądało jak krew!

– No, ale Irena?! Ona by muchy nie skrzywdziła! A ty zaraz z takimi oskarżeniami!

– Janusz z dezaprobatą kręcił głową.

– Nie widziałeś jej z tym różnem, jak chciała go dźgnąć!

– Renia, to się nazywa projekcja – warknął Mikołaj. – Mordować i dźgać chciałaś ty.



Konkretnie mnie, tylko nie wiem za co.

Zatrzymał się. Janusz spojrzął z ciekawością na Reginę, ale ta tylko zacisnęła usta w wąską kreskę. Poczekali chwilę, żeby podeszła do nich Irena, bo nie bardzo wiedzieli, gdzie mają położyć malarza.

– Dziwnie na mnie patrzą ci twoi znajomi – oświadczyła gospodyni. – O! Synek!  
– Radośnie wyciągnęła rękę do Karola, który akurat się przy nich pojawił. – Spiros cię szukał. Karol zerknął ciekawie na Ignaca.

– Udana impreza, mamuś – ocenił ze śmiechem sytuację. – Wydaje mi się, że przy drewni leży jeszcze jeden delikwent. Pomóc? Zbieramy wszystkich?

Jego matka odwróciła się do Janusza.

– To musi być ktoś z twoich znajomych kartoflarzy. Regina, idź z nimi i otwórz domek dla gości, zabierzemy tam kolejnych poległych, a ja położę Ignaca w gabinecie – zdecydowała. – Chyba sobie poradzicie we dwóch?

Karol z Januszem ruszyli w stronę drewni, Regina za nimi. Mikołaj wszedł ze swym balastem na werandę.

– A może połów go na razie tu, na sofie. – Irena podrapała się w czoło. – Jak trochę wytrzeźwieje, sam pójdzie na górę, po co masz go nosić...

Z westchnieniem ulgi położył Ignaca na ogrodowej leżance, a Irena podłożyła mu pod głowę dwie niewielkie poduszki.

I wtedy znowu usłyszeli przenikliwy wrzask.

– AAAA! AAAA! AAAA!

Mikołaj wzniósł oczy do nieba, prosząc Najwyższego o cierpliwość, którą w zastraszającym tempie tracił. Odwrócił się, słysząc, że ktoś biegnie. W słabym świetle lampy pojawił się Janusz.

– Tttteraz ttto nie keczup – wyjąkał przerażony. – Musicie to zobaczyć!

Ciemnoczerwona plama na koszulce i wystający z klatki piersiowej rozeń nie pozostawiały wątpliwości: leżący pod drewnią mężczyzna nie żył! Jeśli ktoś nie był do końca o tym przekonany, mógł jeszcze spojrzeć w otwarte, absolutnie martwe oczy.

– Czy ktoś może ją w końcu uciszyć?! – ryknął zirytowany Mikołaj.

Za jego plecami Regina międlila zaciśniętymi dłońmi swój sweterek i darła się wniebogłosem:

– AAAAA! AAAAA! AAAA!

– Cicho! – zażądała stanowczo Irena.

Regina posłusznie zredukowała zawodzenie do cichutkiego, żalosego:

– Aaaaaaa...

Stali z niezbyt mądrymi minami nad nieboszczykiem. Dobrze, że nikt nie zapytał, co się nieszczęśnikowi stało, bo gołym okiem było widać, czemu odszedł z tego świata. Ostry szpikulec tkwił w okolicy serca.

– Mój rozeń! – Zdenerwowana Irena odruchowo chciała wyciągnąć swoją własność.

– Zostaw! – powstrzymał ją Mikołaj. – Niczego nie ruszajmy.

– Ta, nie ruszajmy – Karol prychnął. – Przecież my go kawałek przenieśliśmy. Dopiero tu, pod domkiem, w świetle, zobaczyliśmy, że coś jest nie tak.

Irena pochyliła się nad trupem i popatrzyła na szpikulec wystający z jego klatki piersiowej. Nagle zaczęła się śmiać.

– Eeee... jaja sobie robicie, no nie? Jak z Ignacem – dodała domyślnie i złapała

za końcówkę różna.

– Nie ruszaj! – Zdenerwował się Mikołaj. – Tym razem to nie są żarty, Irka! Czy ktoś go zna?

Kucnął, żeby się przyjrzeć nieboszczykowi.

Regina pokręciła przecząco głową, nadal wydając z siebie cichutkie, żałosne „aaa”. Irena zerknęła na restauratora. Sprawiała wrażenie obrażonej.

– Januszek? To twój kumpel?!

– Nie znam go!

– Ani ja – dodał Karol.

– Chcecie powiedzieć, że leżą u mnie zupełnie obce zwłoki?! Tfu! Obcy mężczyzna?!

Światło padające z werandy gościnnego domku pozwalało zobaczyć więcej szczegółów.

Mężczyzna z różnem w sercu był młody, drobnej budowy, ubrany w dżinsy i rozpinaną koszulę w kratę.

– Może ma jakieś dokumenty – mruknął Karol.

– Nie będziemy sprawdzać – zdecydował Mikołaj. – Musimy wezwać policję.

– No i po imprezie, mamuś.

W nagłej ciszy słychać było tylko żałosne cichutkie „aaa...”.

## Rozdział 5

Aspirant Zuzanna Brodzik czuła na sobie spojrzenia kolegów z komisariatu w Mordach. Wzięła głęboki oddech. Co za pech! Jej pierwsza sprawa o zabójstwo i co ona tu ma? Zwłoki... I kupę pijanych ludzi!

Doceniała życzliwość komendanta. Dał jej szansę, aby pokazała, co potrafi. Siedlecki komendant był znany z tego, że po pierwsze, nie dyskryminował kobiet pracujących w policji, cenił je na równi z mężczyznami, nie stosując jednak przy tym żadnej taryfy ulgowej, a po drugie, miał intuicję i dar wyłapywania talentów. Dlatego tak bardzo się cieszyła, że dostała się właśnie tutaj, pod jego skrzydła.

Przesłuchiwane towarzystwo było bardzo dziwne. Z zeznań wynika, że ciągle się kłócili, a to o Mordy, a to o kłaskanie... Nie, nie... zaraz... nie o kłaskanie, tylko o skrobanie! Że niby jakieś świerszczyki albo skrobiją, albo robią. Kurza twarz, co one robią?! Zajrzała do notatek. „Cri-cri-cri” robią, psia ich mać! No czy oni są normalni?! Bo podejrzani na pewno! Wszyscy!

Cisza panująca w pokoju była wymowna. Zuzanna Brodzik miała wrażenie, że ciekawskie oczy kumpli wypalą dziury w przeglądanych protokołach z przesłuchań.

Na pozór sprawa wydawała się prosta: na suto zakrapianej imprezie ginie jeden z uczestników, dźgnięty różnym służącym do opiekania mięsa w ognisku. Ot, ktoś zdenerwowany pchnął ofiarę narzędziem, które akurat trzymał w ręku. Niestety, w miarę kolejnych przesłuchań wyłaniał się zaskakujący obraz – denata nikt nie znał, nie uczestniczył on w imprezie, widok jego ciała zaskoczył wszystkich, jakby pojawiło się znikąd. Czy imprezowicze mówili prawdę? Zuzanna uważała, że przynajmniej jedna z osób kłamie. Ta, która zrobiła użytek z różna, oczywiście. Kto to był?

Na dobrą sprawę zabić mógł każdy z obecnych, jak również ktoś zupełnie obcy. Posesja nie była ogrodzona, a pijane towarzystwo tak skutecznie zdeptało ślady, że oględziny miejsca zbrodni niczego nie wyjaśniły. Niech to szlag! Na nikim nie znaleziono też śladów krwi denata, który został wcześniej ogłuszony. Pchnięto go długim szpikulcem, gdy już leżał nieprzytomny. Czysta robota.

Z piętnastu przesłuchanych część od razu wskazywała gospodynię jako sprawcę zabójstwa. Jeden świadek zasugerował wprost, że próbowała popełnić zbrodnię już wcześniej tego wieczoru, ale jej się nie udało. Pytana o to reszta przesłuchiwanym różnęła głupa, udając, że nie wie, o czym mowa.

Nic tu się nie trzymało kupy. Nic! Wyglądało to tak, jakby wszyscy coś ukrywali.

Mikołaj Gorazda, dwumetrowy dryblas, fotograf z zawodu, cały czas był w pobliżu ogniska, ale przybył najpóźniej. Czyli tuż przed pojawieniem się mógł zrobić wszystko, z morderstwem włącznie. Podejrzany.

Olga Kucharska, mocno wydekoltowana piękność, była drobna, ale wysportowana. Swoją sylwetkę niewątpliwie wypracowała w ciągu wielogodzinnych treningów na siłowni. Jeśli zna anatomię człowieka, to cios ostrym szpikulcem w serce nie byłby dla niej trudny. Często znikwała, bo ponoć stale donosiła potrawy, ale nikt z nią po te kielbaski nie chodził. Podejrzana.

– Mordy... morderstwo... Mordy... morderstwo... sam jej to podpowiedziałem. Sam! Komu? Irenie! Taki marketing może sobie zrobić, dobre, nie? – Ignacy Sokołowski, artysta malarz, był z siebie niezwykle dumny. W kółko opowiadał też o pasikonikach.

Według świadków na dłuższy czas zniknął z pola widzenia obecnych. Mógł wówczas zrobić wszystko, z morderstwem włącznie, a potem upić się do nieprzytomności. Drobny, ale neurotyczny, targany emocjami – idealny profil dla sprawcy zbrodni w afekcie. Twierdzi, że samotnie spacerował po ogrodzie i słuchał... Zaraz, czego on słuchał? Konika węsacza?! No nie, jaja sobie facet robi! Podejrzany!

– Przyjechaliśmy tu na wykopki. Janusz nas przywiózł – utrzymywał stołeczny biznesmen, przekonując, że nikogo oprócz restauratora nie znał na tej imprezie, a denata tym bardziej.

Podejrzany! Jego przesłuchanie przełożono do czasu, aż wytrzeźwieje, jak kilku innych gości z Warszawy. Wszyscy mogli popełnić zbrodnię, bo rozpiechli się każdy w inną stronę, ponoć w poszukiwaniu kartofliska. Wykopki w czerwcu! Też coś! Podejrzani... Wszyscy!

Gospodyni, Irena Wilk, jeśli chciałaby kogoś sprzątnąć z tego świata, to aranżując tak zakrapianą imprezę, mogłaby zrobić bezkarnie wszystko i rzucić podejrzenia na resztę towarzystwa. Ona także zniknęła co chwila i podobno wygrażała gościom różnym. Być może narzędziem zbrodni, bo na szpikulcu istotnie były jej odciski palców, ale świadkowie twierdzą, że chciała ratować denata i próbowała ostrze wyciągnąć z rany... Sprytne! Podejrzana!

– Ja pszepraszam... pszikre takie... ja by pomógł, ale ja nie znał goszcza tego... ja pszepraszam. Ja pszijechał z Karlosem. – Wydawało się, że młody Grek bardzo chce pomóc w dochodzeniu. Był silny, sprawiał wrażenie wysportowanego, ale znajdował się w Polsce od paru godzin, czyżby więc zaczynał pobyt od morderstwa? Ale wykluczyć go nie można. Hmm... Podejrzany.

– Mama często urządza imprezy. Niewiele wiem, długo mnie nie było w kraju. Nic nie widziałem. – Karol Wilk, syn gospodyni, wyraźnie nie chciał współpracować.

Zuzanna Brodzik poczuła się trochę nieswojo, gdy tak patrzył jej prosto w oczy. Sprawiał wrażenie, jakby świetnie się bawił na przesłuchaniu, tymczasem według świadków zniknął gdzieś na długo i nie reagował na nawoływania matki. Bardzo podejrzany. Bardzo. Mimo tych zawadiackich czarnych oczu. Bezczelnych – uznała aspirant Brodzik i poprawiła się na krześle. Karol Wilk przyleciał z Nowej Zelandii, gdzie pracuje dla jakiejś telewizji. Niewątpliwie inteligentny. I przystojny. Ale to nie ma nic do rzeczy! Podejrzany!

– Mogę już iść? – popatrzył jej hardo w oczy.

Przypominał jakiegoś aktora, tylko którego? Zirytowana Zuzanna burknęła:

– Nie może pan na razie opuszczać kraju.

Oczyrna wyobraźni widziała, jak zatrząskuje mu kajdanki na nadgarstkach. Ten błogi obrazek tak podniósł jej temperaturę, że miała ochotę się powachlować. Co za typ!

Miejsce Karola Wilka zajęła chuda bibliotekarka z rudym kucykiem. Regina Malik nerwowo obgryzała paznokcie.

– Mężczyźni czasem aż się proszą o zemstę. Może skrzywdził jakąś kobietę? Tak myślę, bo faceci to świnię – powtarzała, patrząc na lekko zakrwawione skórki, ale poproszona o rozwinięcie tej teorii, zamilkła. Wyglądała na osobę, która coś wie, wszak wywołała wcześniej zamieszanie, podejrzewając gospodynię o morderstwo, co mogło być próbą celowego odwrócenia uwagi od rzeczywistej zbrodni. Bardzo podejrzana.

– Nic nie widziałem, nie znam biedaka. Restauratorem jestem. Janusz Bosak. – Patrzył, czy jego nazwisko zrobiło na niej wystarczające wrażenie. Nie zrobiło.

Bosak osobiście, razem z synem gospodyni, prznosił denata w inne miejsce, zacierając ślady. Uczestniczył w jakimś wstydlwym incydencie z... Matko Boska, gdzież ona ma ten protokół... O, jest! Incydent z Dominikiem, wielce szanowanym stylistą gwiazd.

Ów „Dominik”, jak się okazało, to artystyczny pseudonim, w rzeczywistości stylistą nosił

swojskie nazwisko Śledź, a na imię miał Wojciech. Na imprezie przebywał krótko i został tam ponoć publicznie upokorzony. Zbrodni się wyparł. Poza tym sprawiał wrażenie, że zaraz zemdleje. Nieznacznie sugerował, że morderstwa mógł dokonać Janusz Bosak. Bosak z kolei dawał do zrozumienia, żeby przyjrzeć się baczniej stylisście Dominikowi. Obaj podejrzani!

Aspirant Zuzanna Brodzik odłożyła notatki na bok.

Dziwni ludzie. Niektórych z nich wyłapała w policyjnej bazie danych, gdyż byli zatrzymywani podczas ekologicznych akcji protestacyjnych. I nic więcej. Żadnych innych zatargów z prawem.

Zamyśliła się. Na narzędziu zbrodni, którym rzeczywiście okazał się rożen lub, jak kto woli, szpikulec do pieczenia mięs, znaleziono tylko odciski palców gospodyni, ale fotograf i restaurator zgodnie potwierdzili, że podejrzana chciała wyciągnąć szpikulec ze zwłok, bo myślała, że to głupi żart. Wcześniej rożen został starannie wytarty. Szpikulce były łatwo dostępne dla każdego, stały oparte o ścianę drewniany, podobnie jak zapasowe pochodnie. Zostały wykonane specjalnie na ogniskowe imprezy przez znajomego gospodyni. Z jednej strony miały drewniany uchwyt, który można było trzymać w ręce lub umocować w przygotowanej do tego celu konstrukcji. Bardzo sprytne i funkcjonalne urządzenie, musiała przyznać Zuzanna.

Niestety, narzędzie zbrodni nie da żadnej odpowiedzi, westchnęła w duchu. Podobnie niewiele przydatne okazały się ślady. Denata przeniesiono, ponoć w dobrej wierze, ale równie dobrze mogła to być świadoma próba zatarcia istotnych tropów. Sucha jak pieprz ziemia i równie wysuszona trawa były zdeptane i nie dało się wyodrębnić ani jednego wyraźnego odcisku buta.

Skupiła się na ofierze. Musi się jak najwięcej dowiedzieć o nieboszczyku. Może w przeszłości tego mężczyzny, czy też w ostatnich chwilach jego życia, znajdzie się odpowiedź na kluczowe pytanie: dlaczego zginął?

– Jeśli dowiem się dlaczego, będę wiedziała, kto to zrobił – uznała aspirant Brodzik.

Ustalenie tożsamości nieboszczyka nie było trudne, gdyż denat miał przy sobie portfel z dokumentami. Paweł Patejuk, lat dwadzieścia siedem, zameldowany w miejscowości Nurzec w województwie podlaskim.

– Absolwent zootechniki, studiował w Siedlcach, niekarany, bezrobotny, nie przebywał pod adresem zameldowania. – Od kolegów z białostockiej komendy docierały kolejne informacje. – Rodzina nie potrafiła powiedzieć, gdzie ostatnio mieszkał, ale nic w tym dziwnego, bo rodzina to skrajna patologia, znana dobrze policji jeszcze z czasów, gdy polowało się na bimbrowników. Tych pijusów niewiele obchodzi, co się dzieje z dziećmi, a te poszły w świat i może nawet wyszły na ludzi, skoro nie siedzą.

Policjantka spojrzała na zegarek, a widząc, że dzień pracy dobiegł końca, zaczęła porządkować biurko. Cały czas miała wrażenie, że coś przeoczyła. Okropnie niewygodne i doskwierające uczucie! Przystudiowała w myślach przesłuchania, zatrzymała się na dłużej przy brązowych oczach syna gospodyni, westchnęła i poczuła irytację. Co ona z tymi oczami?!

Siedzący naprzeciwko starszy sierżant Łukasz Smuga przerwał pisanie. Najwyraźniej dotarło do niego, że jeśli dłużej zostanie w komisariacie, znowu straci parę godzin ze swego prywatnego życia. Wolałby już tego nie robić, zwłaszcza po ostatnich wyrzutach niezadowolonej małżonki. Podniósł się i wsunął notes oraz długopis do szuflady.

– Pierwsza duża sprawa, co? – zagadnął. – Naczelnik już dzwonił?

– Dzwonił – potwierdziła.

Przypomniała sobie rozmowę z przełożonym, którego już z samego rana wypytywał o sprawę komendant powiatowy. Ty jesteś odpowiedzialna, ja będę nadzorował twoją pracę – krótko podzielił role naczelnik.

Łukasz Smuga ze współczuciem zmarszczył brwi.

– Naczelnik fajny chłop, zobaczysz, tylko fatalnie, że sprawę prowadzi prokurator Szatan.

– Dlaczego fatalnie? – zaniepokoiła się Zuzanna.

– Sama się przekonasz. Wyjątkowy leń i dyletant. Narobisz się jak głupia, a on i tak wszystko spieprzy. Popytaj chłopaków.

Istotnie prokurator Grzegorz Szatan na miejscu zbrodni wyglądał na znudzonego, ale Zuzanna myślała, że to poza. Przyzwyczaiła się do różnych reakcji na widok kobiety policjantki. Facetom już nieraz na jej widok zdarzało się bezwiednie prężyć mięśnie i udowodniać swoją męską wyższość. Albo od razu chcieli być superkumplami, gotowymi wprowadzać ją w zawiloci zawodu, albo zachowywali nieufny dystans. I co miała zrobić? Napisać sobie na czole: spoko, dam radę? Nie potrzebowała superkumpli i miała gdzieś zdystansowanych waśniaków. W pracy starała się być jak najmniej kobieca: nie robiła makijażu, gęste włosy zaczesywała gładko do tyłu i spinała wsuwkami, nosiła spodnie. Tylko imię miała stanowczo niezbyt fortunne dla tego zawodu. Kompletnie nie pasowało do twardzielki, za jaką się uważała... Zuzia. Masakra!

– Pracowałeś już z nim?

– Owszem.

– I co?

– Hmm... Cóż...

– No mów!

– Mów, mów!... Nie zdziwiło cię, że w sprawie o morderstwo to ty przesłuchiwałaś najważniejszych świadków? Widziałaś już takiego prokuratora? Wszczął śledztwo, więc powinien ci tylko powierzyć pewne czynności: jakieś rozpytanie, przesłuchanie mniej znaczących osób. I pewnie zaraz pójdzie na urlop. To jego stały numer.

Zuzannie nie chciało się tłumaczyć, że nie może porównać tego przypadku z innymi ze swojego niewielkiego doświadczenia.

– Wiesz, jak to się zakończy? Umorzeniem z powodu niewykrycia sprawcy

– prorokował Łukasz. – Jak większość jego śledztw.

– Dobra, dobra, zobaczymy... A jeśli wytypuję sprawcę?

– Aaa... Ambitna młoda policjantka... I świetnie, tak trzymaj!

– Na początku myślałam, że „Szatan” to przezwisko.

– Ksywkę też ma. Łoś.

Parsknęła śmiechem, ale nie było jej wesoło. Chciała się wybić na tej sprawie, pokazać, co potrafi, lecz wygląda na to, że nie będzie łatwo. Wiedziała, że wszyscy będą jej się przyglądali, bo: po pierwsze – jest babą, po drugie – jest tu nowa, po trzecie – w przekonaniu kolegów z komisariatu, dziwna. A po czwarte: to jej naprawdę pierwsza sprawa o morderstwo.

Tylko łosia brakuje mi do kompletu, pomyślała z goryczą.

Opuściła komisariat w podłym humorze. Na przejechanie miasteczka potrzebowała niecałych trzech minut. Nie dlatego, że tak szybko puła swoim oplem, ale po prostu tak krótką drogę miała do pokonania. Mordy to niewielka miejscowość, licząca około dwóch tysięcy ludzi. Kolejnych pięć minut Zuzanna potrzebowała na dojechanie do Pucharki, gdzie kupiła niewielkie siedlisko. Cieszyła się, że ma wspaniałego sąsiada, pana Krzysia. Był leśniczym, a jego żona, Mariola, prowadziła szkółkę krzewów ozdobnych. Bez nich byłoby jej trudniej odnaleźć się w nowym miejscu, o którym mogła na razie powiedzieć tylko jedno: jest tu strasznie, przeraźliwie... płasko. Wszystko okazało się inne niż w jej rodzinnym Sanoku: krajobraz, klimat i ludzie. I bardzo dobrze! Niech nic jej nie przypomina tego, co zostawiła

za sobą!

– Dam radę! – Zaciśnęła zęby.

Tak. Da radę. Byle jej ten Szatan nie przeszkadzał. Ten łoś.

Szlag by to...

Szef zamknął okno i odgłosy ruchliwej ulicy ucichły. Co za ulga dla uszu i umysłu! Musiał się skupić, by przeanalizować kolejny ruch. O mały włos, a diabli by wszystko wzięli! Brak jednego pracownika okazał się dotkliwy, koniecznie trzeba znaleźć kogoś na jego miejsce. Kogoś, kto poradzi sobie z całą menażerią. Na razie Tytus przejmie jego obowiązki.

Nie będzie zachwycony.

Szef wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu, przewidując reakcję podwładnego. Cóż, Tytus nienawidził prowincji, ale będzie musiał się poświęcić. Gra toczy się o bardzo wysoką stawkę, najmniejszy błąd może ich kosztować miliony.

Miliony!

Żałował jednego: że śmierć tego zdrajcy była tak banalna, wręcz ordynarna. Zero finezji! Niestety, trzeba było działać szybko, nie było czasu na upozorowanie choroby albo wypadku. Czy śledztwo może nieść z sobą jakieś zagrożenie? Wątpliwe. Przecież to człowiek-nikt. Mogą sobie grzebać w jego przeszłości i niczego nie znajdą.

Nie ma takiej opcji, aby ktoś go powiązał ze mną. Zresztą... to nie ja go zabiłem, tłumaczył sobie.

Roześmiał się w głos. Od takiej roboty miał ludzi albo... naturę, doskonale dzieło Boga.

Usiadł wygodnie w fotelu, oparł nogi o blat szklanego stolika i sięgnął do stosu dzisiejszych gazet. Wziął pierwszą z góry i od razu poszukał strony z nekrologami.

– A teraz zbrodnia z finezją – mruknął, przeglądając zawiadomienia.

Takie śmierci lubił: przemyślane, opracowywane godzinami, nadchodzące nieuchronnie i we właściwym momencie. Szukał właściwego nekrologu... Jest!

Jęknął, bo kot wskoczył mu na brzuch i zaczął się domagać pieśczoć. Koty już takie są, skrajnie egoistyczne, władcze, nigdy nie mają wycucia chwili. Ale Szef je lubił. Przebiegł wzrokiem nekrolog, a gdy obok znalazł liryczne wspomnienie o zmarłym, przyłożył wypięęgnowaną dłoń do serca, odchylił głowę do tyłu i zaczął się teatralnie śmiać.

Wrażliwy na niedolę innych, wspomagał organizacje charytatywne, wspierał sztukę i młode talenty. Uczciwy, o wielkim sercu, na zawsze pozostanie w pamięci bliskich Mu osób...

– No proszę, jak to się nie oplaca być takim świętym. – Chichotał i tarmosił za ucho kota, co zwierzak zbył prychnięciem, zeskoczył z kolan pana i siadł na drugim fotelu.

Szef przejrzał jeszcze pozostałe gazety, ale tylko w jednej znalazł notatkę o zaskakującej śmierci znanego biznesmena, bohatera kronik towarzyskich. Zaskakującej, bo mężczyzna był okazem zdrowia, uprawiał sport, miał wiele pasji, a w szpitalu znalazł się nagle, przywieziony wprost z maratonu, w którym biegł z dobrym czasem. Dotarł do mety, a godzinę później nie żył.

Serce mu wysiadło? Czemu nie? Po takim maratonie...

– Majstersztyk! Majstersztyk! Służba zdrowia znowu nie zawiodła. – Szef zacierał ręce.

Czuł wielką satysfakcję. „Uczciwy, o wielkim sercu...”. Akurat! Niewielu znało drugą naturę zmarłego. Szef na szczęście znał, przecież spotkali się na farmie śmierci.

Znowu spojrzał w nekrolog.

– Miałeś pecha, stary, znalazłeś się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Szef zastanawiał się długo, ile wtedy usłyszał ten turysta z Polski. Czy rzeczywiście był tak pijany, że leżał nieprzytomny za namiotem, czy tylko tak twierdził? A jeśli słyszał rozmowę? Może i wszystko rozeszłoby się po kościach, gdyby nie owo przypadkowe spotkanie w restauracji i to głupie pytanie:

– Skąd ja pana znam?

– Pewnie z gazety. – Przytomnie obrócił sprawę w żart, ale już wiedział: ten problem trzeba rozwiązać.

Podniósł się z fotela i podszedł do niewielkiego terrarium stojącego przy oknie. Uchylił roletę, by więcej słońca wpadło do przeszklonego pojemnika podzielonego na kilka niewielkich boksów. Rozpierała go energia pomieszana z dumą. Śmierć maratończyka opracował w najdrobniejszym szczególe. Zasłużył na wielkie brawa i ubolewał, że nie może się pochwalić publicznie swoim geniuszem.

– Świat nie jest na to gotowy. Szkoda.

Jakie to było proste! Do tej pory nie mógł wyjść ze zdziwienia, że jeszcze nikt nie wpadł na coś takiego. Kula, nóż, bomba... To dla prymitywów, prawdziwy wielki umysł brzydzi się tak oczywistą zbrodnią. Najdoskonalszą maszyną do zabijania jest sama natura.

Pochylił się nad terrarium i obejrzał boksy. Tylko w jednym pająk zajmował się zdobyczą. Patrzył na owalny czarny odwłok z czerwoną plamką w kształcie klepsydry.

*Lactrodectus mactans*. Czarna wdowa.

– Jesteś piękna. Wszystkie jesteście piękne – poprawił się.

W jednym z boksów zauważył kokon i uśmiechnął się. Było tam pewnie ponad trzysta jaj, ale świat powita niewiele ponad dziesięć osobników. Małe są kanibalami, zjadają się nawzajem. Natura. Po prostu, natura.

Piękna, dzika, groźna.

Doskonała!



## Rozdział 6

Mikołaj żałował, że nie udało mu się porozmawiać z Karolem. Najpierw ognisko z mnóstwem ludzi, potem ta koszmarna zbrodnia i przesłuchania. Kim był ów nieszczęsny chłopak, zamordowany z zimną krwią, i co robił u Ireny na podwórku?! No i... kto go zabił? Mikołaj przeanalizował sytuację na wszystkie możliwe sposoby, ale nie potrafił wskazać mordercy. Od razu wykluczył swoich przyjaciół z grona podejrzanych, nie mógł natomiast ręczyć za znajomych Janusza, który często otaczał się dziwnymi ludźmi.

Po przesłuchaniach wszyscy mieli się nawzajem dość. Dziś z samego rana Karol i Spiros pojechali do Terespoła rozmawiać z celnikami. Zbierali informacje do raportażu o przemyśle zwierząt.

Dziwny zbieg okoliczności, uznał Mikołaj i jego obawy o Karola powróciły ze zdwojoną siłą. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że chłopak go unika.

W kuchni Ireny pachniało jeszcze poranną kawą, ale postanowił wypić kolejną filizankę przed podróżą. Popłukał kubek, sypnął zmielonego ziarna „na oko”, a potem włączył czajnik i czekał, aż woda zabulgoce.

Za dużo tych śmierci koło mnie, pomyślał, mieszając kawę. Stary Bartnicki, chłopak z różnym w sercu...

Usłyszał, że na podwórze wjechał samochód, więc wyjrzał przez okno. Z toyoty wysiadły Olga i Regina. Pierwsza ubrana na sportowo, w dżinsach, ale w butach na wysokim obcasie, druga jak zwykle w dziwnym powiewnym stroju. Na włosach Reginy tym razem nie siedział żaden motyl, rude pasma miała spięte seledynową zapinką. Skąd ona je bierze? Seledyn gryzł się okropnie z czerwoną suknią w indiańskie wzory.

– Irka, goście jadą! – krzyknął w głąb domu, bo gospodyni zaraz po śniadaniu poszła wziąć prysznic. Chyba go nie słyszała.

Mikołaj dostawił jeszcze dwa kubki do swojego i dolał wody do czajnika. Nie będzie pił kawy sam.

Lustro nie jest przyjacielem kobiety. Kobiety w pewnym wieku. W wieku Ireny. Czterdziestka z hakiem, takim większym hakiem. Ale, na szczęście, ciągle jeszcze czterdziestka! Nie, nie ma szans na przyjaźń z lustrem. Cholernie przykra sprawa.

Irena stała na wprost swojego odbicia, odwracała się raz przodem, raz bokiem, wciągając brzuch, a potem z rezygnacją wypuszczała powietrze. Westchnęła.

– Co on we mnie widzi?

Jeszcze raz zerknęła na fałdki na brzuchu, które pojawiły się nie wiadomo kiedy. Na fałdki przecież nie poleciał. Wręcz przeciwnie, niby mówi, że kocha te jej okrągłości, ale za każdym razem pyta, czy zrzuciła parę kilo. Znowu zabrzmiało jej w uszach to: „Schuuudłaaaś?” z ich ostatniej rozmowy.

– Nie schudłam!

Wokół jest tyle młodszych kobiet, bez FAŁDEK, zadbanych, samotnych, czekających na odrobinę uczucia, a on wybrał ją, kobietę po czterdziestce. Pomyślała o atrakcyjnych trzydziestoletnich singielkach, które z determinacją szukały partnerów. To, że one pakowały się w romanse, mogła zrozumieć, ale to, że ona sama zafundowała sobie taką huśtawkę...

Energicznie odsunęła drzwi kabiny prysznicowej i podsunęła dłoń pod lejącą się wodę. Temperatura w sam raz.

Romans, tajemnice, kochanek... Chyba na głowę upadła! I jeszcze wszystko tak się komplikuje. Zbliży się dzień ich tajnej randki, a tu masz ci los: dom pełen ludzi!

Prysznic jak zawsze działał terapeutycznie, już pierwsze krople uspokajały ją niczym masaż. Irena pozwalała, by woda spływała po jej ciele od czubka głowy do stóp. Wyobraziła sobie, że stoi pod wodospadem, a ciepły strumień wymywa z jej ciała nagromadzony stres, zmęczenie i niepokój. Mocniej zacisnęła powieki, by wizualizacja stała się wyraźniejsza. Wodospad... Szum oczyszczającego strumienia...

– Woda ma jeszcze kolor granatowy, ale za chwilę będzie coraz bardziej niebieska, aż stanie się turkusowa – powtarzała.

Tak walczyła ze stresem. W wyobraźni miał kolor granatowy i wypływał z niej razem z wodą. Teraz otaczał ją jeszcze ciemny granat i wyraźnie czuła, jakie ma napięte mięśnie i jak szybko bije jej serce. Ale wiedziała, że w miarę medytacji granat zmieni się w lekko niebieski strumień, potem przyjmie pastelową barwę, a na końcu obmyje ją zupełnie czysta, przezroczysta woda. Poczuje się wtedy rozluźniona, lekka i radosna... Jeszcze mocniej zacisnęła powieki.

Gwałtowne stukanie do drzwi łazienki przerwało jej wizualizację. Otworzyła oczy, nie dochodząc nawet do koloru niebieskiego, i na chwilę przykręciła kurek, by usłyszeć, o co chodzi.

– Ile można stać pod prysznicem?! Wyrosną ci błony między palcami stóp i będziesz miała pletewki – wychrypiała Olga. – Wyłaź!

Irena z westchnieniem oparła czoło o ścianę kabiny. Granatowo. Ciągle granatowo! I tak będzie, dopóki nie porozumie się z Andrzejem. Jak ma go powiadomić, że nie jest sama w domu?! Katastrofa! Przez te wszystkie lata udawało jej się utrzymać romans w tajemnicy, a tu, proszę, jeden nieboszczyk może im nieodwracalnie skomplikować życie!

Skąd się wziął tutaj ten nieboszczyk?!

Brrr! Wzdrygnęła się. Prawdziwy nieboszczyk. Z różnem w sercu! Jej różnem!

Dopóki Andrzejowi chce się bawić w tę cholerną politykę, muszą uważać. Nawet nie chciała myśleć, co by się stało, gdyby media odkryły, że znany konserwatywny poseł prowadzi podwójne życie. Że ma romans z kobietą zamieszaną w morderstwo!

– Morderstwo! – Ze złością walnęła czołem w drzwi kabiny prysznicowej.

Jej wyprowadzka z miasta miała im zapewnić pewnego rodzaju bezpieczeństwo i większą dyskrecję. No to ma dyskrecję. Z trupem i policją na karku. Karol i Spiros muszą pozostać w Polsce do czasu wykluczenia ich z grona podejrzanych. Ciekawe, jak długo. Na razie są w rozjazdach, ale jak skończą pracę nad reportażem, będą siedzieli w domu.

Znowu spojrzała na swe odbicie w lustrze. Krótkie mokre włosy sterczały jak u niesfornego chłopca, oczy bez makijażu otaczała delikatna siateczka zmarszczek.

Pozwoliła, by wilgotny ręcznik opadł na podłogę, odsłaniając piersi i brzuch z tą fatalną oponką. Hmm... Dobrze, że chociaż utrzymała wagę i nie przybył jej żaden dodatkowy kilogram. Cholerny wiek! Nic już nie przychodzi łatwo, ciało się zmienia, hormony też płatają figle. Zacisnęła usta.

– Nie pytaj, co on w tobie widzi, tylko zadaj sobie pytanie, co ty w nim widzisz!

– powiedziała do odbicia w lustrze i od razu poczuła się lepiej. Hmm... Co ona w nim widzi? – Mam taki kaprys i już! – oświadczyła zdecydowanym tonem.

Olga znowu zastukała w drzwi.

– Wyłaź! – zachrypiała kategorycznie. – Albo wszyscy się wpakujemy do twojej

kabiny.

Wszyscy? To ilu ich tam jest?

Irena ze złością wysunęła głowę.

– A o czymś takim jak intymność nie słyszeliście? I o potrzebie prywatności?

– Owszem. Od ciebie. Ale w dupie mam te głodne psychologiczne kawałki. Musimy urządzić naradę wojenną! Wyłaż.

Irena z westchnieniem sięgnęła po ubranie. Narada wojenna. Są jak dzieci! I jak tu uporządkować swoje uczucia?

Przy fotelu Mikołaja stała torba podróżna. Regina przysiadła na sofie, podwijając nogi pod powłóczytą sukienkę, a Olga nerwowo chodziła po salonie.

– Patrzcie, co dziś dostałam. – Wyjęła z kieszeni obcisłych dzinsów złożoną kartkę.

Miała większa chrypę niż zazwyczaj. – Możecie nade mną ubolewać.

Mikołaj wyciągnął rękę.

– Pozew? – Zdziwił się, rozłożywszy papier. – Trochę go sponiewierałaś.

– O, więc nie będziemy mówić o nieboszczyku – odetchnęła z ulgą Irena.

– Cóż, możemy mieć następnego, jeśli tylko dorwę tego skur... tego drania! – Olga chodziła po salonie jak wściekła lwica.

Widząc pytające spojrzenie przyjaciółki, wyrwała Mikołajowi z ręki kartkę.

– Sama zobacz! – Podała papier Irenie.

– Pójdę po okulary. – Irena flegmatycznie podniosła się z fotela. – Jakieś małe te literki.

– Siadaj! Mikołaj, powiedz jej, o co chodzi!

– Tatus Oli pozwał ją o alimenty – wycedził Mikołaj.

– Coooo?!

Regina i Irka zrobiły wielkie oczy.

– Nie nazywaj tego degenerata moim tatusiem! – Olga zgrzytnęła zębami.

Irena poszła jednak po okulary. Chciała sama obejrzeć ów dowód podłości i bezczelności.

Regina wyglądała na wstrząśniętą. Złożyła chude dłonie jak do modlitwy i spytała piskliwym głosikiem:

– A ty chociaż wiesz, jak on wygląda?

– Nie można wykluczyć, że jest podobny do mnie. Rozumiesz, geny. Oczywiście, że nie wiem, jak teraz wygląda! Nie widziałam go od trzydziestu pięciu lat! No... nie licząc wygłupu młodości, gdy postanowiłam z nim porozmawiać, ale spuścił mnie po brzytwie. Wypiął się, powiedział, żebym mu nie zwracała dupy, pieniędzy mi nie da, bo nie ma, poza tym nie wie, czy tak naprawdę jestem jego dzieckiem. A ja wtedy nie chciałam od niego pieniędzy!

– To skąd teraz... dlaczego... – W chwilach zdenerwowania Regina miała głos jak piszcząca myszka.

– Obowiązek alimentacyjny. Powołuje się na obowiązek alimentacyjny – weszła jej w słowo Irena, która stała w progu z pozwem w jednej ręce i okularami w drugiej. – Nie był pozbawiony praw rodzicielskich i ma, niestety, dobrego doradcę. – Popatrzyła ze współczuciem na Olę.

– Miałam dwa lata, gdy odszedł – mruknęła tamta. – Był niebieskim ptakiem, królem życia, miał czas dla wszystkich, tylko nie dla rodziny. Rozwód przyjął z ulgą... Z zasądzonych alimentów nie zapłacił nam ani grosza! Matka uniosła się dumą i nie poszła do sądu, bo

naiwnie myślała, że to jeszcze bardziej popsuje nasze relacje. Wyobrażacie sobie? Ona ciągle wierzyła, że on będzie kiedyś dla mnie ojcem!

W salonie zapanowała cisza. Olga nadal chodziła tam i z powrotem, jak zwierzę w klatce.

– Mówiła, że wyrywanie mu pieniędzy na dziecko przez sąd byłoby dla niej zbyt upokarzające! Boże! Jak my biednie żyłyśmy!

Irena przypomniała sobie, co Olga mówiła o swoich dziadkach. Całe życie karali córkę za fatalny życiowy wybór. Nie akceptowali jej małżeństwa, potem nie akceptowali rozwodu, a w końcu nie akceptowali owocu owego nieudanego związku, czyli wnuczki. Mogły więc liczyć tylko na siebie. „Masz to, co chciałaś” – powtarzali z chorą satysfakcją. Jeśli kochali wnuczkę, to bardzo się starali, aby nie okazać swoich uczuć.

Regina wzięła od Ireny pogniecioną kartkę i zaczęła uważnie studiować pozew.

– Tu jest napisane, że on ciężko choruje i potrzebuje na leczenie – szepnęła niepewnie.

– A jak ma nie chorować, jeśli całe życie pił? Czytaj dalej. Nie ma wypracowanych lat na jakąkolwiek rentę czy emeryturę, nie ma ubezpieczenia...

– Ale przypomniał sobie, że ma córkę. Innych dzieci nie ma? – Regina się skrzywiła.

– Nie wiem. – Olga wzruszyła ramionami. – Być może ma, jednak pozwól mnie.

– Bo się dowiedział, że dobrze ci się powodzi. – Milczący dotąd Mikołaj pokręcił z dezaprobatą głową. – Kto wie, może nawet zrobił dokładny wywiad.

Zapadła cisza. Olga skończyła kolejne okrążenie i z ciężkim westchnieniem usiadła w fotelu. Spojrzała bezradnie na Irenę.

– Co o tym myślisz? Znasz się trochę na tych sprawach.

– Zna się? – Regina wykrzywiła usta i z dezaprobatą uniosła brwi. – Przecież żaden z niej prawnik. Jest psychologiem!

– Więziennym – dodała znacząco Olga.

– W dodatku na emeryturze. – Regina wzruszyła ramionami dla podkreślenia, że nie uważa Ireny za fachowca.

– Coś się tak czepiła?! – wrzasnęła Olga. – Znowu jej będziesz wypominać emeryturę?

– Bo to w głowie się nie mieści, żeby mundurowi mieli takie przywileje! Czterdzieści parę lat i emerytura! Wiesz, ile ja jeszcze będę musiała pracować?! – Oczy jej się zwięziły w dwie złośliwe szparki.

– Renia... – jęknął Mikołaj. – Daj spokój. Nie masz czego zazdrościć. Przecież Irka dostaje grosze na tej wcześniejszej emeryturze i musi za nie przeżyć. A właśnie, Ira, jak ty sobie radzisz?

– Oj tam! – Wzruszyła ramionami. – Bliźniaki są samodzielne, a mnie na tej wsi niewiele potrzeba. Agroturystyką sobie dorobię, przecież po to domek budowaliśmy.

Olga popatrzyła na nich z rosnącym oburzeniem.

– Halo! Tu jestem! Egoiści! Nie możecie kiedy indziej sobie pogadać o turystach i emeryturze Irki? Hę?! Ja mam problem, jakby wam to umknęło.

Irena ze skrucną podniosła do oczu pognieciony dokument.

– Hmm... Jest coś takiego jak rażące naruszenie zasad współżycia społecznego... można się na to powołać. Ojciec, który nie łożył na dziecko, chce teraz od córki alimentów. Szkoda, że twoja mama nie wystąpiła wtedy do sądu lub do komornika, dziś miałabyś jakiś dowód, że nie troszczył się o ciebie, gdy tego najbardziej potrzebowałaś. Olu, każda sprawa o alimenty jest rozpatrywana indywidualnie, ale, niestety, zbyt często widziałam ofiary jawnej niesprawiedliwości w sądzie... Kochanie, weź dobrego prawnika.

Mikołaj ponuro kiwnął głową, potwierdzając słowa Ireny. Olga popatrzyła na swoje dłonie.

– Wiecie, co jest najzabawniejsze? – Zaśmiała się gorzko. – Że wcale tak dobrze mi się teraz nie powodzi. Kryzys, cholera jasna... Firmy rezygnują z eventów, szkoleń... Na razie ciągniemy tylko cateringi... Wiecie, co mnie ostatnio spotkało? Wielki koncert zapłacił mi za odwołaną imprezę. Tak! Wszystko było dograne, ale władze firmy uznały, że nie można się bawić, kiedy wokoło taka bieda, bo to by nadszarpaneło ich wizerunek. Po cichu mi zapłacili, jakby event się odbył, ale...

– No, nie! – krzyknęła Regina. – Za darmo ci dali pieniądze?! A ty jeszcze narzekasz!

Była oburzona, jej cienkie usta zamieniły się w płaską, nieprzyjemną kreskę. Pieniądze innych zawsze wywoływały u niej niezdrowe emocje, bo pensja bibliotekarki była... jaka była, czyli niesprawiedliwie niska, wręcz uwłaczająca osobie z wyższym wykształceniem.

– To pokazuje, jakie mamy czasy i czego można się spodziewać – westchnęła Olga.  
– Bryndza...

Mikołaj także westchnął, jakby potwierdzając, że rozumie, o czym mówi Olga.

– Oj, tak. Niby dobrze być własnym szefem, inni zazdroszczą, że nikt ci nie stoi nad karkiem, ale praca na własny rachunek to brak urlopów, chorobowego, bo jak nie pracujesz, nie zarabiasz. Wiem coś na ten temat.

– Tylko że ja mam jeszcze pracownicę. Nawet nie wiesz, jak ona na mnie patrzy! Widzi, co się dzieje, i chce mi z oczu wyczytać, czy jeszcze pracuje, czy już nie... Ira, nalej czegoś mocniejszego, łeb mi pęka.

Wyciągnęła z kieszeni kluczyki i rzuciła Reginie. Ta oczywiście ich nie złapała i musiała się po nie schylić.

– Ty będziesz prowadzić. Jak dobrze mieć zmiennika.

– Mogłyśmy przyjechać moim – burknęła Regina. Nie lubiła nagłej zmiany planów, dobrze się czuła, gdy wszystko szło utartym rytmem. Olga jest niemożliwa! Po prostu nieodpowiedzialna, może nawet ma to po ojcu! Nie wyjawiała jednak swych podejrzeń na głos. Cienkie usta Reginy znowu przypominały ostrą kreskę.

Irena nałała przyjaciółce lampkę koniaku. Teraz Mikołaj pomachał trzymanymi w ręce kluczykami.

– Ja będę się zbierał. – Podniósł się ciężko i chwycił torbę.

Podszedł do Olgi i przytulił ją niezdarnie. Była taka drobna! Postura dziecka, serce lwa, natura wojownika.

– Dasz radę. – Dmuchnął jej w czubek głowy i uciekł wzrokiem, gdy spojrzała na niego bez tego zawadiackiego błysku w oczach, jaki miała na co dzień.

Irenę ucałował w policzek.

– Nie udało mi się porozmawiać z Karolem w tym zamieszaniu. Nie wiesz, czy wybiera się do Warszawy?

– Powiem mu, żeby do ciebie zadzwonił. Dziękuję, że zostałeś.

Mikołaj odwrócił się niepewnie do Reginy, ale ta stała już przy drzwiach.

– Odprowadzę cię – bąknęła, nie patrząc mu w oczy i unosząc brodę do góry.

W milczeniu doszli do auta. Otworzył bagażnik i wrzucił torbę, a potem stanął przed koleżanką, która nadal wyglądała na nadąsaną.

– Dlaczego nie zostawiłeś mi kluczy do mieszkania? – zapytała ze złością. – Zawsze jak wyjeżdżałeś, to ja opiekowałam się kwiatami i zwierzyńcem!

Brwi podjechały mu do góry.

– O to ci chodziło? Dlatego byłaś zła?  
– Mówiłam ci, że to dla mnie żaden problem podjechać do Warszawy.  
– Wyjeżdżałam na krótko, a Szekspir przed samym wyjazdem zeżarł szczura, będzie go jeszcze trawił ze dwa tygodnie. Tołstoj pewnie też, bo zostawiłem go z myszami. Węże naprawdę nie są kłopotliwe.

- Przynajmniej kwiaty bym podlała.
- Renia, nie chciałem ci robić kłopotu! To był tylko krótki wypad.
- Do tej pory nie miałaś takich obiekcji.
- Daj spokój.
- Aha, czyli ktoś inny ci podlewa kwiaty.

Odwróciła się na pięcie, aż seledynowa zapinka błysnęła nad rudym kucykiem, a potem ze złością wmaszerowała do domu, nie żegnając się z Mikołajem. Ten jeszcze przez chwilę stał jak wmurowany.

Kobiety! Rany boskie!

Wieczory na wsi mają magiczny urok. Ciszę przerywa od czasu do czasu szczekanie psów, które coś sobie mówią, nozdrza wypełniają intensywne zapachy: słodki wiciokrzewów i upojny piwonii. Sielanka.

Irena z Reginą siedziały na werandzie w blasku promieni zachodzącego słońca. Irena rozkoszowała się wieczornymi aromatami kwiatów, jej koleżanka natomiast oganiała się od owadów.

– Jak ty możesz wytrzymać z tymi muchami i komarami? Że też zachciało ci się żyć w zgodzie z naturą! – Z odrazą wykrzywiła wąskie usta.

Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do swoich przytulnych czterech kątów. Olga, niestety, tak wytrwale topiła smutek w koniaku, że popłakała się, pozłościła i usnęła, a Reginie czas się dłużył.

– Oj, Renia, Renia... Posłuchaj lepiej, jak żaby pięknie rechoczą. Przecież tu jest jak w bajce. – Irena wciągnęła nosem rześkie powietrze i przymknęła oczy.

– Żaby! Brrr!

– Żaby są „brrr”, ale węże Mikołaja cacy? I ty się uważasz za miłośniczkę zwierząt i natury? – zaśmiała się Irena.

Tamta wzruszyła chudymi ramionami.

– Czy Olga nie zamierza wracać do domu?

Irena posmarowała odkryte ramiona żelem przeciwko komarom, po czym podała tubkę koleżance.

– Spróbujemy ją obudzić – zaproponowała. – Nie chciałabym, aby Karol i Spiros widzieli ją w takim stanie, a pewnie lada moment wrócą.

Jakby na potwierdzenie jej słów usłyszały w wieczornej ciszy warkot samochodu. Dobiegał z oddali, ale na tej wiejskiej drodze nie było zbyt wielkiego ruchu, więc najpewniej auto zmierzało do gospodarstwa Ireny.

– Wstawię wodę na kawę, a ty zacznij ją budzić.

Regina posłusznie ruszyła do pokoju dla gości, w którym położyła się zmożona koniakiem przyjaciółka, Irena natomiast zaczęła się krzątać po kuchni. Karol z kolegą na pewno będą głodni. Uśmiechnęła się na myśl, ile jedzenia mogą pochłonąć młodzi mężczyźni, i zaczęła wyciągać z lodówki produkty na szybką kolację. Przez szum wody, pod którą myła sałatę i ogórki, usłyszała, że auto wjeżdża na podwórze.

Kawa! – pomyślała w panice. Olga musi stanąć na nogi!

Weisnęła guzik w elektrycznym czajniku. Uwijała się szybko, gdy nagle ktoś od tyłu położył jej ręce na oczach.

– Lolek! Nie teraz! – fuknęła na syna. – Panie redaktorze, nie za duży pan jest na te zabawy w „zgadnij kto”?

Poczuła, jak do jej ucha zbliżają się czyjeś usta, i usłyszała zmieniony gardłowy głos:

– No jasne! Ty jak zwykle, tylko synuś i synuś!

Dłonie ześlizgnęły się z twarzy Ireny, która odwróciła się z okrzykiem radości i wpadła w ramiona wysokiej, chudej jak patyk dziewczyny.

– Marzenka! Córeczko! Zawsze zjawiasz się jak duch! Och, moja kochana!

Tuliły się stęsknione i szczęśliwe. Irenie z radości łzy zakręciły się w oczach.

– Chudzinko, nic nie przytyłaś na tych antypodach! Ani tyłka, ani cyczków! – Klepnęła córkę po chudych pośladkach.

– Ale za to się nie garbię, patrz, jaka jestem prosta. Trzeba dostrzegać dobre strony w każdej sytuacji. – Marzenka stanęła przed matką wyprostowana jak struna. – Twoja córka jest po prostu piękna w nieoczywisty sposób.

Znowu objęły się i przytuliły. Były do siebie podobne, tak samo śniade, o czarnych włosach i wesołych oczach, pełne energii. Córka przerastała jednak matkę niemal o głowę i przy dojrzałej, nieco okrągłej urodzie czterdziestoparolatki istotnie wyglądała jak patyczak. Sprane do białości dzinsy podkreślały jej chłopięcą sylwetkę. Marzena przypominała indiańskiego nastolatka z filmów przygodowych dla młodzieży. Czarne proste włosy, uczesane z przedziałkiem pośrodku, bez grzywki, nie sięgały ramion. Okalały twarz niesfornymi pasmami. Gęste rzęsy nie potrzebowały wcale tuszu, były tak czarne. Irena przyglądała się córce.

– Jesteś piękna w bardzo oczywisty sposób – stwierdziła z dumą. – Nawet bez cyczków. Ale jeszcze ci urosną, na starość, jak mnie.

– Taaa... Tośmy sobie wyjaśniły. – Córka zaśmiała się głośno. – Co na kolację?

– Polska sałata, polskie ogórki, jajka od kurek zielononózek, też polskich, a właściwie bardzo polskich – wyliczała Irena.

– Bardzo polskich? A są nie bardzo?

– To stara polska rasa, a w czasach zaborów właśnie tak podkreślano swój patriotyzm: hodowano w zagrodach zielononózki. Wiesz, one są bardzo wolnościowe i niezależne.

– Niezależne kury? Oj, mamuś! – Marzena sięgnęła do chlebaka i zaczęła kroić bagietkę, jakby nigdy nie wyjeżdżała z domu.

– Irek mi mówił, ten nasz szalony ornitolog. Kiedy pojawiły się kurniki molochy, zielononózki niemal wyginęły, bo nie potrafiły żyć w zamknięciu i ciasnocie. Takie są! A poza tym w ich jajkach jest o wiele mniej cholesterolu. Będę je miała i już!

Marzena uśmiechnęła się pod nosem. Nie zamierzała polemizować z matką. Była pewna, że gdy przyjedzie następnym razem, po podwórzu będą maszerować patriotyczne kury.

Nagle Irena odwróciła się do córki.

– A gdzie twoje bagaże? Marzenka, jak ty tu w ogóle dojechałaś? Myślałam, że Karol pojedzie po ciebie na lotnisko.

– Mamo, jestem dużą dziewczynką i nie potrzebuję niańki. Wiesz, ile w Warszawie jest wypożyczalni samochodów? Dziwię się, że Karol nie skorzystał i znowu zabiera ci auto.

– Po co wydawać tyle pieniędzy! Ty też możesz nim jeździć.

– Nie, nie chcę być uzależniona od twojego auta, mam parę rzeczy do załatwienia.

A poza tym stać mnie. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Jestem kobietą niezależną. Jak twoje kury.

Do kuchni weszła Regina, o dziwo, uśmiechnięta od ucha do ucha. Przytuliła ciepło Marzenkę.

– Tylko nie zaczynaj opowiadać bez Olgi, bo będziesz musiała wszystko powtarzać – uprzedziła, wypuszczając gościa z ramion.

– Ciocia Ola też tu jest? Super! To może ja wypakuję bagaże. Mamo, gdzie mnie ulokujesz?

Irena spojrzała na Reginę, która uspokajająco kiwnęła głową. Zrozumiały się bez słów.

– Olga zaraz zwolni pokój na piętrze, ten duży, możesz tam zanieść rzeczy. Pokój obok zajął Spiros, a Karol zaanektował poddasze. Jak dobrze, że przerobiliśmy stryszek na dodatkowe pomieszczenie. Niby jest jeszcze wolny salon i od biedy mój gabinet, ale na dole jest okropny ruch, nic byście nie odpoczęli!

– O! Będę koło Spirosa.

– Po prostu znam twój gust, zawsze podobali ci się bruneci. – Irena puściła do niej oko i znowu zaczęły się śmiać jak nastolatki.

Marzena wyszła do ogrodu przez werandę, a Irena ponownie wcisnęła guzik w czajniku, bo nie zalała kawy dla Olgi. Spojrzała z niepokojem na Reginę.

– I co? Doszła do siebie?

– Strasznie jest zmarnowana, ale dosyć przytomnie odpowiada. Może jak coś zje, poczuje się lepiej. Ira, jak ja mam z nią rozmawiać? A jeśli znowu zaczniesz gadać o tym pozwie i ojcu?

– Jeśli będzie czuła taką potrzebę, niech gada.

– Skoro tak. Myślałam, że mam szukać jakichś tematów zastępczych, żeby znowu się nie rozkleiła.

– Bez przesady, Olga to silna kobieta.

Regina spojrzała z powątpiewaniem na przyjaciółkę. Właśnie miały dowód, jak ta silna kobieta radzi sobie ze stresem. A raczej jak sobie nie radzi. No, ale w końcu to Irena jest psychologiem...

Kwadrans później siedziały wszystkie na werandzie przy lekkiej kolacji. Olga miała trochę opuchniętą twarz, ale już nie płakała i ani słowem nie nawiązała do swojej sytuacji. Z przyjemnością słuchała opowieści Marzenki.

– Mówisz, że przyleciałaś teraz z Anglii? Nie z Nowej Zelandii? – Nie mogła się nadziwić.

– Sprawdzalam, czy Poison Garden w Alnwick nada się do mojej pracy.

– Poison Garden? Trujący ogród? Dobrze zrozumiałam? – Regina uniosła wyskubane brwi.

Marzena twierdząco kiwnęła głową.

– To słynna śmiercionośna atrakcja Europy, przyciąga turystów z całego świata. Można tam zobaczyć najbardziej mordercze rośliny, jakie rosną na ziemi.

Irena się wzdrygnęła.

– Mordercze! Nie mogę tego słuchać. Po tym, co tu się stało...

Córka spojrzała na nią pytająco.

– O rany! Ona nic nie wie! – Regina nerwowo położyła dłoń na ustach.

– A niby skąd ma wiedzieć? – Olga prychnęła i usłużnie wyjaśniła Marzenie:

– Na podwórku twojej matki znaleziono trupa.

Po jej tonie Irena domyśliła się, że przyjaciółka nie wytrzymała do końca. Spojrzała



na pobladła nagle twarz córki i postanowiła przejąć inicjatywę. Trzeba delikatniej, do cholery! Olga jednak nie dała jej dojść do słowa.

– Trup! – wykrzyknęła. – Zupełnie nieznanymi! Nie będę dodawać, że ta oto kwaśna Regina rzuciła podejrzenie na twoją matkę, że niby Irena morduje gości różnym. Cha, cha, cha!

– Kwaśna... Regina?! – Bibliotekarka wolno cedziła słowa.

– Kwaśna! – przytaknęła Olga. – Wiecznie skrzywiona i niezadowolona.

Irena zerwała się z miejsca.

– Dziewczyny! Ola! Dajcie spokój!

– Co?! O czym wy mówicie? – Marzena nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy denerwować.

Oburzona Regina podniosła się z miejsca.

– Nie jestem kwaśna! I nie rzucałam podejrzeń! Po prostu słyszałam, że Irka chciała zabić Ignaca!

– Wujek Ignacy nie żyje?! – Marzena była wstrząśnięta.

Irena zaczęła machać rękami.

– Nie, to nie tak! Ignacy żyje! Ale to prawda, że zginął tu jakiś młody człowiek pchnięty moim różnym. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. – Westchnęła z rozpaczą. – Policja prowadzi dochodzenie. Taka młoda pani aspirant... Dobrze, że cię nie było, bo Karola poproszono, aby na razie nie wyjeżdżał z Polski.

Marzena mrugała oczami, nic nie rozumiejąc.

– Mamo, co tu się stało?!

– Oj, co się stało, co się stało! Nie wiem, co się stało, przecież ci mówię! Ja go nie zabiłam!

– Ha! Nie wiadomo! – Olga zachichotała. – Nikt z nas nie ma alibi. Nawet ja!

I jestem z tego dumna! Cha, cha, cha! Masz jeszcze koniak?

– Nie! – Irena spojrzała ze złością na przyjaciółkę.

Zapadła cisza. Marzena była blada, zniknęła gdzieś jej radość i zadowolenie.

– Zginął jakiś człowiek? Wiadomo, kto to był?

– Nikt go nie znał... Ale policja ustaliła jego tożsamość, bo miał dokumenty.

Marzena nerwowo podniosła się z fotela, podeszła do okna i stanęła do nich tyłem. Wzięła kilka głębokich oddechów.

Regina wyprostowała chude plecy i morderczym wzrokiem spojrzała na Olgę. Bez słowa popukała się palcem w czoło. Olga wydeła usta i wzruszyła ramionami. Co za sztywniaczki!

Regina poczuła się w obowiązku zmienić temat.

– To jakie tam są rośliny? W tym morderczym ogrodzie? – zagadnęła słodkim głosem Marzenę.

Irena spojrzała na nią tak, jakby miała ją za chwilę udusić. Co je napadło? Nic, tylko trupy i śmierć!

Dziewczyna zaczęła mówić, nie patrząc na nie. Wciąż stała bez ruchu przed oknem.

– Jest choćby *Oenanthe crocata*. Ma białe kwiatki na łodygach przypominających seler...

– Seler? Ale atrakcja – prychnęła rozczerowana Olga.

– Roślina ma przyjemny słodki zapach, ale to śmiertelne ziele – ciągnęła cichym głosem Marzenka. – Używano go na Sycylii do sporządzania trującego napoju dla starców lub przestępców.

– Dlaczego dla starców? – oburzyła się Regina, stając w obronie słabszych.

Marzenka jakby nie usłyszała pytania.

- Śmiercionośny wywar wywoływał na twarzy grymas przypominający diaboliczny uśmiech... szeroki, z wyszczerzonymi zębami... przerażający...
- Jeeezu! – westchnęła z uznaniem Olga.
- Przepraszam, muszę odpocząć. – Marzena odwróciła się nagle i nie patrząc na nie, weszła szybko do kuchni, zamykając za sobą przeszklone drzwi.

Zobaczyły, jak biegnie w głąb domu.

- No proszę, ogląda mordercze rośliny, a jak mowa o prawdziwym trupie, to ucieka

– mruknęła Olga.

- Podawali trujący napój starcom? Dlaczego? – Regina bezradnie rozłożyła ręce.
- Starość nie radość. – Olga cmoknęła filozoficznie. – Nie umieli się o siebie zatroszczyć, to ginęli... W kontekście moich doświadczeń całkiem niegłupie rozwiązanie. Jak się nazywa ta roślina? Oe... co?
- Ola! – Regina spojrzała na nią z naganą. – Jedziemy do domu!
- Zaraz, zaraz, usiądź. Kawy jeszcze nie dopiłam. Jakie to ciekawe, co mówiła

Marzenka. Ogród w Alnwick! No, no... Muszę o nim poczytać.

Irena zastanawiała się, czy ma iść za córką. Po chwili uznała, że o tych dramatycznych wydarzeniach najlepiej będzie porozmawiać, gdy już wrócą Karol ze Spirosem. Młodzi mają wspólny język, poza tym bliźnięta zawsze łączyła silna więź, więc będą wzajemnie się wspierać.

- Ira, a co właściwie Marzenka robi teraz w tej Nowej Zelandii? Mówiłaś kiedyś, że już nie pracuje z Karolem – dociekała Olga.

Irena westchnęła i wzniosła oczy do góry, co miało oznaczać dezaprobatę.

- Ech, szkoda gadać!
- No właśnie, Ira, po co jej trujący ogród? – Regina też zrobiła zdziwioną minę. Gospodyni przez chwilę szukała właściwych słów.
- Marzenka... eee... pracuje... Właściwie to teraz w branży turystycznej!
- I...?
- Ech, Marzenka organizuje jakieś idiotyczne wycieczki dla koszmarnie bogatych i zepsutych ludzi. To, co oni robią, jest po prostu... niemoralne!
- Jezus Maria! Seksturystyka?! I Marzenka?! – Regina załamała ręce.
- Durna jesteś?! Jaka seksturystyka?!
- Przecież mówiłaś, że niemoralne.
- A jak nazwać inaczej wycieczki do najbiedniejszych dzielnic Indii, do slumsów w Brazylii, do ogarniętego wojną Afganistanu?! I to dla zabawy! Wiesz, jaką ostatnio miała „wycieczkę”? Grupa rzutkich biznesmenów poprzebierana w łachmany zebrała gdzieś w Moskwie. Za ciężkie pieniądze to robili, przez cały weekend.
- Dlaczego? – Regina wyglądała na wstrząśniętą.
- Mieli dosyć nudy w luksusach, chcieli posmakować życia, jak twierdzili. Druga grupa kazała się zawieźć do niebezpiecznej dzielnicy nędzy w słynnych fawelach w Rio de Janeiro. Tam bieda i przemoc są na porządku dziennym. Zwłoki na ulicy nie robią na nikim wrażenia! O, ale bogacze aż tak nie ryzykowali, jeździli wynajętym autobusem z szybami kuloodpornymi.
- To jacyś pokręceni chorzy ludzie!
- Ponoć w fawelach już powstają hotele dla takich turystów! To się nazywa poorism.

Od *poor*, czyli „biedny”. I co, to jest moralne?! – Irena nie kryła oburzenia.

Tym razem Oldze zaświeciły się oczy.

- Ludzie naprawdę za to płacą?!
- I to jakie pieniądze! Im bardziej gdzieś niebezpiecznie, tym lepiej. Ja nie wiem, po co

Marzena to robi. Przecież ona też się naraża!

– Czemu to robi? – Olga spojrzała porozumiewawczo na Reginę, jakby motywowy postępowania Marzeny były dla nich obu oczywiste.

– Jak zwykle rywalizuje z Karolem – wyrwało się Reginie.

– I musi być lepsza – dodała Olga.

Irena spojrzała na nie ze złością.

– Co wy insynuujecie? Że moje dzieci prowadzą jakieś niezdrowe współzawodnictwo?!

Koleżanki znowu spojrzały na siebie.

– Wszystko widzę! Dajecie sobie znaki!

– Ira, daj spokój. – Olga odchrząknęła. Mimo pijackiej chrypki udało jej się przybrać łagodny ton. – Masz dwójkę dzieci i dziwnym zbiegiem okoliczności oboje są w Nowej Zelandii. Żeby jeszcze mieszkali razem, trzymali się jak rodzeństwo... Ale każde z nich prowadzi własne życie, tylko że jedno ciągle kontroluje, co robi drugie. Nie mam racji?

Irena zmarszczyła brwi, ale nie odpowiedziała. To zachęciło Olgę do dalszych rozważań.

– Mają różne rodzaje pracy, ale w Polsce zjawiają się również w tym samym czasie.

– Bo jesteśmy rodziną! Dobrze pobyć razem.

– Niby tak.

Irena gwałtownie wstała i zaczęła zbierać ze stołu naczynia.

– Wiecie, co? Jedźcie już. Nie chcę być nieuprzejma, ale jest późno, muszę się zająć córką i poczekać na syna.

Regina poderwała się szybko.

– Jasne! Już nas nie ma. Oła, zbieraj się! Jedziemy.

Chwilę później Irena patrzyła za odjeżdżającymi przyjaciółkami. Miała mętlik w głowie. Chora rywalizacja? Też coś! Po prostu jej dzieci są zdolne, świetnie znają języki, kochają przygodę. A jak przychodzi co do czego, jedno za drugim wskoczyłoby w ogień. Przecież to Karol ściągnął siostrę do Nowej Zelandii i załatwił jej pracę u swojego producenta. O tym, dlaczego Marzenka przyjęła potem pracę w tej niszowej branży turystycznej, nie miały okazji porozmawiać. Córka należała do osób, które nie pytają o radę. Po prostu informowała, co postanowiła.

– Gdzież ten Karol? Do Terespoła nie jest znowu tak daleko. – Irena niespokojnie wyjrzała przez okno. Miała nadzieję, że jej corsa, której używał syn, gdy przyjeżdżał do domu, nie rozkraczyła się gdzieś po drodze. Ale przecież wtedy by zadzwonili z trasy, że coś jest nie tak.

Karol, od kiedy przyjechał, albo przesiadywał ze Spirosem, albo gdzieś zniknął. Irena nie miała jeszcze okazji, by zostać z nim sam na sam i porozmawiać, wymienili tylko zdawkowe uwagi o tym, co u niej słychać. Nic dziwnego, że czuła niedosyt.

Znowu usłyszała warkot samochodu w oddali. Na zakręcie pojawiły się światła... Tak! Auto jedzie w stronę domu! Nareszcie!

Z nową energią zaczęła nakrywać do stołu.

– Chora rywalizacja, akurat! Same jesteście chore – mamrotała poirytowana.

Gdy samochód zajechał na podwórze, wcisnęła guzik w czajniku i niemal w podskokach wybiegła z kuchni do holu. Synek nareszcie przyjechał! Loleczek kochany! Pełna radości otworzyła drzwi i zbiegła po schodach.

Na podjeździe stał cytrynowy garbus, auto niemożliwe do pomylenia z żadnym innym. Przy samochodzie z wypożyczalni, którym przyjechała Marzenka, stała pochylona jakaś postać, wypinając pośladki, bo z ciekawością zaglądała do środka. Tej postaci też nie można było pomylić z żadną inną.

- Mama?! – jęknęła Irena i poczuła, że robi jej się słabo.
- Zmieniłaś samochód? Masz teraz srebrny? Nikt mi nic nie mówi!

Starsza pani, ubrana w ogrodniczki z dżinsu, przyjrzała się krytycznie córce. Siwe włosy z fioletowymi pasmami miała przewiązane barwną szarfą.

– Nie powinnaś tak się opalać. Jak ty wyglądasz! W twoim wieku... – zaskrzeczała przepalonym głosem i pokręciła głową. – Wezmiesz walizki, czy sama mam je dźwigać?

– Walizki?!

– I sztalugi.

Nad ich głowami otworzyło się okno i wyjrzała Marzenka.

– Babcia! O rany! Babcia!

Tupot jej nóg na schodach słyhać było aż na podwórzu. Starsza pani spojrzała spod oka na swoją oniemiałą córkę. Uniesiona brew była wielce wymowna. No tak. O pobyć wnusi też nikt jej nie powiedział.

Cytrynowe auto było zapakowane po dach. Teraz, dla odmiany, Irena poczuła, że robi jej się gorąco...

## Rozdział 7

Aspirant Zuzanna Brodzik wjeżdżała na swoją posesję. Impet siedział za bramą i czekał, aż auto zatrzyma się na podwórzu. Drżał cały, jednak bardzo się starał postępować tak, jak nauczyła go pani: nie wybiegać za bramę i czekać na komendę „chodź”. Przednie łapy niecierpliwie przebierały w miejscu, język poruszał się w rytm nerwowego ziajania, oczy błyszczały czujnie. Patrzył, jak jego pani wysiada z auta i zamyka bramę. Czy już? Czy już?

– No, chodź. – Klepnęła się w udo, dając psu znak, że może ją przywitać.

Eksplozja szczęścia strzeliła kosmatą kulą wprost do jej twarzy i poczuła psie „buzi-buzi”. Podniosła dłoń i Impet natychmiast usiadł, patrząc jej pokornie w oczy. Teraz Zuzanna pochyliła się nad nim i pogłaskała go za uchem.

– Dobra robota, Impet, mądry pies – pochwaliła go.

Jak na tak młodego owczarka niemieckiego, fantastycznie panował nad temperamentem.

– Będą z ciebie ludzie! – Była bardzo zadowolona z postępów w szkoleniu.

Wyprostowała plecy i rozejrzała się po podwórku, które od czterech miesięcy było jej własnym kawałkiem świata... Nic dziwnego, że nie kosztowało wiele. Zaniedbane, zarośnięte chaszczami, stojący na nim mały drewniany domek pamiętał jeszcze przedwojenne czasy. Ale i tak wszystko to było lepsze niż wynajmowane dotąd pokoje. Szukała czegoś taniego i swojego, aż trafiła jej się prawdziwa okazja, mimo że dach przeciekał, okna były do wymiany, a cały dom praktycznie nadawał się do rozbiórki. Zrobiła w nim jednak prowizoryczną łazienkę z sedesem i kabiną prysznicową i musi tak dotrwać do przyszłego roku, całą mroźną zimę. Oj, może być ciężko, czuła to przez skórę. Nie opłacało się jednak inwestować w tę ruinę, skoro tuż obok miał stanąć jej nowy dom... Dom, który już stał się tematem plotek w okolicy i kpiących spojrzeń kolegów w pracy. Zbudowany z gliny i słomy. Ekologiczny, zdrowy, niedrogi. Przede wszystkim... niedrogi. Ten argument był dla Zuzanny decydujący, ale wobec świata prezentowała poglądy na wskroś ekologiczne. Jakoś głupio jej było mówić, że do budowania glinianej siedziby zmusiła ją bieda, czyli nad wyraz skromne fundusze, bo wyjechała z Sanoka tak, jak stała: starym autem, z niewielkim bagażem, psem na smyczy i oszczędnościami babci, która szepnęła jej do ucha: „Jak się dorobisz, to oddasz”.

O budynkach z gliny dowiedziała się od bieszczadzkich osadników i była szczerze zdumiona, gdy zobaczyła, że to normalne domy, a nie jakieś tam lepianki – domy z otynkowanymi ścianami, centralnym ogrzewaniem, kominami i elektrycznością. W internecie aż się roilo od kursów uczących wyrabiania cegieł z gliny i słomy, lecz zamiast pojechać na któryś z nich, Zuzanna kupiła instruktażowy podręcznik. Potem znalazła fachowca... Nic już nie stało na przeszkodzie, by ruszyć z budową.

Porządkowanie zaniedbanego podwórza (okazało się, że od trzydziestu lat nikt tu nie mieszkał) zajęło jej ponad miesiąc. Dzień w dzień wyciągała z zarośniętych kątów ogrodu śmieci i segregowała stare folie, puszki, butelki, resztki narzędzi rolniczych, dziurawe garnki, kolczaste druty... Leśniczy przysyłał jej do pomocy osiłków, którzy teraz nie mieli co robić, bo w lesie nie prowadzono wycinek. Za niewielkie pieniądze pracowali i chętnie, i dobrze, licząc, że „pani władza” odwdzięczy się kiedyś i przymknie oko na ich rowerowe eskapady po kilku piwach. Chaszczce zniknęły, a przycięte stare jabłonie i śliwy wpuściły na posesję więcej słońca. Ubytki w drewnianym płocie zostały zastąpione nowymi sztachetami. Dzień, w którym zostały wywiezione na wysypisko sterty posegregowanych śmieci, Zuzanna uznała za dzień

zwycięstwa. Jej dom i podwórze miały teraz czystą kartę, zniknęły pozostałości po jakimś niechlujnym życiu. Zarośnięte brzydkie podwórze zaczęło się zmieniać w całkiem przytulny i schludny zakątek.

Podeszła do stosu drewnianych żerdzi, z których powstanie szkielet domu, i dotknęła ich chropowatej powierzchni. Zapachniało tartakiem, świeżym sosnowym aromatem. Lubiła ten zapach – obiecywał nowe życie.

Na lekkim wzniesieniu w centralnej części posesji geodeci wbili paliki wytyczające plan fundamentów. Połączyli je sznurkami tworzącymi wyraźne linie, które pokazywały, gdzie trzeba kopać. Jutro Zuzanna osobiście wbije pierwszy słupek. Poczula dreszczyk podniecenia i się uśmiechnęła. Dom będzie stał w idealnym miejscu! Ile czasu jej zajmie wykopanie fundamentów? Jeśli zrezygnuje z wyjazdów do siłowni w Siedlcach, wyrobi się w jakieś trzy popołudnia. Jutro przyjedzie pierwszy transport gliny.

W zapadającym zmroku ekran turystycznego telewizorka jarzył się kolorami, ale przyciszony dźwięk nie pozwalał zrozumieć, co mówią ludzie widoczni za szklaną szybą. Zuza, jeszcze z mokrymi włosami po kąpiel, włączyła laptop. Sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizorek. Zanim komputer zaczął działać, poszła do kuchni odcedzić bób, bo już nęcąco pachniał. Wysypała go na talerz, dodała na wierzch łyżkę masła, które momentalnie zaczęło się roztopiać... Jeszcze tylko świeży koperek... Ale pycha! Zmęczenie i ból w mięśniach od razu zaczęły mijać.

Postawiła talerz przy komputerze i włączyła lampkę stojącą na stole. Biały krąg światła sprawiał, że w tym kącie starego domu zrobiło się przytulnie. Reszta pokoju tonęła w mroku. Znad talerza unosiła się mgiełka pary, jedzenie pachniało niezmiernie, a pierwszy kęs smakował wręcz obłędnie, mogła się nim upajać w nieskończoność. Jak ona kochała gorący bób!

Podjadała go ze smakiem i przeglądała internet w poszukiwaniu informacji o uczestnikach imprezy u Ireny Wilk. Miała nadzieję, że znajdzie jakieś ślady powiązań między kimś z gości a ofiarą morderstwa. Może okaże się, że byli znajomymi z portali społecznościowych? Nie wszyscy mieli swoje konta, ale Google dostarczył jej pewnych danych o niektórych świadkach, a najwięcej o restauratorze i styliście (co za burzliwy romans!), którzy gościli głównie w plotkarskich portalach i mieli status gwiazd. Fotograf Mikołaj Gorazda sporo czasu spędził za granicą, był wszędzie tam, gdzie Greenpeace robił spektakularne akcje. Malarz Sokołowski też nie był postacią anonimową, jego kariera przeżywała wznosy i upadki. Wzlotem na pewno nie okazała się kolekcja obrazów przedstawiających owady. Olbrzymie oczy muchy, fragmenty włochatych odnóży, pękate odwłoki... Krytycy nie zostawili na biedaku suchej nitki, ale Zuzannie malowidła nawet się podobały. Były kolorowe i szalone, inne niż stonowane pejzaże i portrety jego autorstwa, które przewijały się na aukcjach internetowych. Malarz także sporo podróżował po świecie. Równie ruchliwa była Olga Kucharska, śliczna jak lalka z porcelany. Jej profil na Facebooku pękał od zdjęć z wycieczek do egzotycznych krajów. Zazwyczaj fotografowała się w otoczeniu adoratorów, wpatrzonych w nią jak w cudowny obraz. Zuza nie lubiła takich kobiet.

– Modliszka – mruknęła niechętnie.

Pod tym uroczym wizerunkiem barwnego ptaka mogła się kryć bezwzględna natura. Ale czy aż tak bezwzględna, by zabić?

Najwięcej uwagi poświęciła reportażom Karola Wilka. Oglądała je już parę razy, potrafiła docenić dobry film przyrodniczy. W internecie miały już setki tysięcy odsłon, cieszyły się wielką popularnością. Karol Wilk, najwyraźniej odznaczający się awanturniczą naturą, chyba

niczego się nie bał. No i pięknie się śmiał. Z obecnych na ognisku tylko on i ten Grek byli w wieku zbliżonym do wieku ofiary. Czy mogli się znać?

Na ekranie komputera nagle wyskoczyło okienko Skype'a i rozległ się dzwonek. Paula!

Zuza z sykiem wciągnęła powietrze.

Jak pech, to pech! Nie zmieniła swego statusu na niewidoczny. Z rezygnacją nacisnęła zieloną słuchawkę, odbierając połączenie, i zaraz po tym z monitora uśmiechnęła się do niej śliczna blondynka.

– Nareszcie! Nareszcie! Zuza! Jesteś! Jak ja tęsknię! Kiedy zreperujesz sobie kamerkę, do cholery?! Chcę cię zobaczyć!

Paula jak zwykle trajkotała z szybkością karabinu maszynowego. Stara dobra sanocka szkoła. Zagadać na amen.

– Jak ci tam? Czemu nie odbierasz telefonu? Wysłałam ci dziś SMS, ale nie otrzymałam wiadomości o doręczeniu, to pewnie jeszcze nie odebrałaś. Nie wiesz, po co są telefony?

– Cześć. – Zuza zaczęła rozmowę, tak jak należy, od przywitania.

– No przecież mówię! Cześć! – Paula błysnęła reflekssem. – Co z twoim aparatem? Myślałam, że policjanci zawsze muszą być pod telefonem.

Cholera! Zuza widziała SMS-y od przyjaciółki, ale celowo ich nie otwierała, bojąc się raportów. Musiałaby wtedy odpisać, bo milczenie mogło zostać niewłaściwie odebrane przez przyjaciółkę.

– Zepsułaś go? – dopytywała się Paula. – Może zgubiłaś? Jak można żyć bez telefonu? Człowiek bez komórki?!

Słyszac typowy dla tamtej zrzedliwy ton, Zuza wywróciła oczami. Dobrze, że w mówiła przyjaciółce tę zepsuta kamerkę, bo przecież byłoby wszystko widać, każdy jej grymas i niechętnie skrzywienie. Przyjaciółka za dużo by wyczytała z jej twarzy.

Paula, jakby na dowód swojej teorii, że bez telefonu nie da się dziś żyć, wzięła do ręki małe białe cacko w różowym pokrowcu i pomachała nim do kamery. Pokaż mi swoją komórkę, a powiem ci, kim jesteś, westchnęła w duchu Zuza. Hmmm... Paula jest... cukiereczkiem. Słodko-kwaśnym.

Nagle zmarszczyła brwi.

– Cholera! No jasne!

Zerwała się na równe nogi i szybko sięgnęła na półkę, gdzie leżał służbowy notes. „Telefon!” – zapisała. Jak to możliwe, że wcześniej nie zwróciła na to uwagi?... W rzeczach denata nie było telefonu. Nie miał komórki? Wątpliwe. Ktoś ją zabrał, ukrył? Może nieboszczyk zgubił aparat podczas szarpaniny? Dziwne uczucie niepokoju, towarzyszące jej przez cały dzień, minęło, jak ręką odjął. Tak! Telefon może dużo wyjaśnić! Trzeba sprawdzić, czy jakiś aparat został zarejestrowany na jego nazwisko, wystąpić o billingi, ustalenie miejsc logowania!

– Co robisz? – Z ekranu komputera dał się słyszeć niezadowolony głos przyjaciółki.

Zuzanna odsunęła notes i spojrzała na miskę z resztką ukochanego, wystygłego już bobu.

– Jem bób.

– Oooo! Masz wieczór z gorącym bobem?!

Paula zaczęła się śmiać. To było ich tajne hasło, zazwyczaj oznaczało lekarstwo na depresję, bo bób wydawał się dobry na wszystko. Jak prozac.

– Ty się lepiej przerzuć z „boba” na jakiegoś prawdziwego faceta. Albo przyznaj się w końcu, że kogoś masz, i to dla niego mnie porzuciłaś i wyjechałaś w te dzikie rejony...

– Paula znowu chichotała.

I kto to mówi?, pomyślała ze złością Zuza. Przyjaciółka, która rzuciła ją, Zuzę, dla faceta poznanego trzy miesiące wcześniej! Faceta, za którego wyszła za męża, a który... który... Eeech, nieważne, to już zamknięty rozdział.

– A jak w pracy? – Paula drażyła niestrudzenie.  
– W porzo... O! Mam pierwsze śledztwo z zabójstwem!  
– Gadasz! Zabójstwo?! Znaczy, trup? Prawdziwy?!  
– Prawdziwy. Trafiony, zatopiony: najpierw w główkę, potem w serce. Rożnem.  
– Aaa! Nie mów mi takich rzeczy! – Paula w panice zamachała rękami, po czym zasłoniła oczy dłońmi. – Jak ty to znosisz?  
– Jakoś znoszę.

Tamta zauważyła w końcu, że przyjaciółka nie ma ochoty na rozmowę. Przestała robić głupie miny i spojrzała bez uśmiechu w kamerę.

– Kiedy przyjedziesz?  
– Nieprędko. Zwłaszcza teraz, sama rozumiesz... Ten trup... No i budowa domu na dobre się rozpoczyna...  
– Nie tęsknisz? Bo ja bardzo. Bardzo! Brakuje mi naszych rozmów.  
– Kochana, przecież masz męża.  
– E tam. Mąż to mąż, a przyjaciółka to przyjaciółka. Ty jesteś moją przyjaciółką...

Buduj szybciej ten dom, przyjadę na parapetówę.

– Parapetowa... – Zuza się rozmarzyła. – Kiedy to będzie?  
– Mówiłaś, że do przyszłych wakacji zdążysz. Tomek powiedział, że też jest ciekawy tego twojego domu z gliny. Aleś wymyśliła! Przyjedziemy pierwsi.

Zuzanna odchyliła się w krzesło, jakby dostała między oczy. „Przyjedziemy”?! Cholera! Nie po to uciekła z Sanoka, żeby...

– Paula, ktoś puka do drzwi, muszę kończyć – skłamała. – Pozdrów... Tomka...  
– Z trudem przeszły jej przez gardło te słowa. – Pa!

Nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się. Położyła głowę na stole i przycisnęła czoło do chłodnego blatu. Odsunęła miskę. I tak oto skończył się miły wieczór z gorącym bobem. Spokój diabli wzięli. Względną równowagę, wypracowaną przez ostatnie cztery miesiące, też.

Podniosła wzrok na monitor. Po chwili namysłu wstukała hasło: „Jak się wyleczyć z miłości do męża najbliższej przyjaciółki?”.

Enter!

Spojrzała na wyświetlone wyniki. „Jak wyleczyć męża z chorobliwej zazdrości”. „Jak wyleczyć się z miłości”. „Co zrobić, gdy nie akceptuję męża przyjaciółki”. „Przyjaciółka męża, koleżanka czy rywalka”... Przebiegała oczyma kolejne wyniki, ale nigdzie nie było odpowiedzi na tak proste pytanie. Doktor Google okazał się bezradny.

No to jak?

Można tylko uciekać od takiego uczucia. Jak najdalej.

Co właśnie zrobiła.



## Rozdział 8

Dawny pokój Bartnickiego wyglądał jak pobojuwisko. Na samym środku stały puste butelki po alkoholu, a następczyni starego gliny z furią dokładała do nich kolejne. Była czerwona na twarzy i wściekła jak osa. Mikołaj odnosił słuszne wrażenie, że przeszkadza, ale postanowił, że nie wyjdzie, dopóki nie wkupi się w łaski nowej koordynatorki do spraw CITES. Od śmierci Bartnickiego czuł się boleśnie odcięty od bieżących informacji.

Nie znalazł jeszcze klucza do młodej policjantki; przekonał się z zaskoczeniem, że jego urok osobisty w ogóle na nią nie podziałał. Próbował pozować na światowca, popisowywał się wiedzą o zwierzętach i dał do zrozumienia, że sporo wie o walce z przemytem, o pracy policji, z niemiłym zdumieniem odkrył jednak, że „młoda” patrzy na niego jak na dinozaura. Na twarzy miała wypisane zdumienie: „że też takie okazy żyją i przeszkadzają innym w pracy”.

Co jest? – pomyślał zaskoczony. Różnica pokoleń?

Przecież nie jest jeszcze taki stary, żeby się przejmować różnicą pokoleń, do cholery.

Policjantka właśnie opróżniała szafki po swoim poprzedniku. Puste butelki powyciągane z różnych zakamarków były jak pośmiertny wyrzut sumienia. Coś dużo tego szkła. Mikołaj kolejny raz spróbował nawiązać do ważnego dla niego tematu.

– Bartnicki mówił o jakiejś aferze w Polsce wschodniej... Chciał, żebym się rozejrzył, więc pomyślałem...

– Afera! – Z pogardą wykrzywiła usta. – Bartnicki był fantastą! Tworzył spiskowe teorie dziejów i zapisywał je tu... – Popukała palcem w sterty notesów. – To gotowe scenariusze filmów grozy klasy C, bardziej jednak przydadzą się scenarzystom niż policji.

Machnęła wściekle ręką, potracając najbliższą butelkę. Szkło posypało się niczym domino, robiąc potworny hałas.

– Afera! – Znowu wydęła usta i przewróciła oczami. – Wie pan, co to za wielka afera? Bajania sekty, która korzysta z papieru toaletowego wielokrotnego użytku! Wyobraża pan to sobie? Do podcierania tyłków używają szmatek, które piorą! Eeech! – stęknęła z odrazą. – Zęby czyszczą, używając do tego pasty robionej z sody, włosy myją w naparze z pokrzywy i nagietka. Ot, tacy to byli informatorzy Bartnickiego! Dla nich afera zaczyna się w momencie, gdy nie zgasi pan światła na klatce schodowej.

Z furią wyrzuciła butelki i notesy do kosza.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o próbę nawiązania kontaktu. Mikołaj został dyskretnie wyproszony z jakże znanej mu kanciapy pod pretekstem robienia dalszych porządków.

Pewnym pocieszeniem było to, że funkcjonariuszka nie zamierzała drążyć sprawy Siemiatycz, tylko czy to śledztwo umarło wraz z prowadzącym je policjantem i Bartnickim? Sprawa Polaków z Nowej Zelandii przycichła. Na jak długo? Jeśli to rzeczywiście jest afera, wcześniej czy później wypłynie na światło dzienne.

Mikołaj uznał, że nie ma wyjścia, musi sam pochodzić koło tej dziwnej sprawy.

Tylko kiedy? Złapał się za głowę.

Tego ranka odebrał naglącego mejla z pytaniem o wernisaż. Na jakim jest etapie przygotowań? Na żadnym! Był w proszku, w totalnej rozsypce! Odpisał jednak, że zgodnie z umową będzie gotowy na początku sierpnia.

W kilku miastach Europy tego samego dnia miały się odbyć wernisaże fotografii dokumentujących los przemycających zwierząt. Zdjęcia były drastyczne, miały uświadomić ludziom skalę procederu, do którego przykładają ręki, kupując zwierzęta z niepewnego źródła. Mikołaj odpowiadał za wystawę w Polsce. Na szczęście miał dużo materiału i wiedział, że szybko obrobi fotografie, ale czekała go mrowcza praca przy opracowaniu dokumentacji. Każda fotka musiała być opisana i opatrzona komentarzem, gdzie i kiedy przemycano zwierzę oraz jakie były jego dalsze losy. Należało skatalogować te dane, przypisać do zdjęcia i wysłać grafikom, którym powierzono wykonanie plansz. I do tej czynności musiał się teraz zmobilizować.

Jak na złość, każdy miał jeszcze do niego sto pięćdziesiąt spraw. Za chwilę powinien być w Polsce, gdzie go zaproszono jako eksperta, potem musi pojechać z aparatem fotograficznym do ogrodu zoologicznego. Bardzo był ciekaw, co tym razem do nich trafiło, telefonowała opiekunka stawonogów.

I jak tu jeszcze prowadzić prywatne śledztwo?

W studiu uprzedzono go, że ma dwie minuty na wypowiedź „na żywo”. Gdy zaczęła się emisja reklam, szybko posadzono go przy stoliku redaktora prowadzącego program.

– Naukowcy twierdzą, że ludzie powinni włączyć do swego menu robaki. – Zaczął z marszu dziennikarz, gdy weszli na wizję. – Jest z nami ekolog, podróżnik i znany fotograf przyrody. – Przedstawił Mikołaja. – Czy czeka nas taka kulinarna przyszłość?

– To może być nawet konieczność. – Mikołaj się rozluźnił, gdy tylko usłyszał to pytanie. – Hodowla owadów jest o wiele łatwiejsza i tańsza niż choćby kopytnych. Insektom nie potrzeba hektarów pastwisk, nie produkują też ton gnoju, nie emitują do atmosfery metanu. Widzę same korzyści. W dodatku robaczki są bardzo odżywcze, wiele z nich ma w jednym gramie tyle białka co wołowina i tyle kwasów omega-3 co ryby.

– Czy podczas licznych podróży kosztował pan takich specjałów ze skrzydełkami?

– Owszem. Co prawda nadal mam poczucie absolutnego szczęścia i euforii nad talerzem z golonką, ale w sytuacji kryzysowej mogę się zadowolić prażonym pasikonikiem.

– Jaka rada dla nas, konsumentów?

– Przemóc obrzydzenie.

Rozmowa była skończona, zadowolona mina dziennikarza mówiła wszystko. Redaktorzy wydań kochali Mikołaja za jego barwny język i błyskotliwość.

Pożegnał się szybko i pojechał do zoo. Tam, jak zwykle, trudno było zaparkować. Znalazł miejsce dopiero na pobliskim osiedlu. Mrużył oczy, idąc w słońcu po rozgrzanym jak patelnia chodniku, i przeklinał globalne ocieplenie. Kiedyś, gdy brakowało mu słońca, uciekał do Afryki, dziś tropikalny żar na dobre zagościł między stołecznymi blokami.

Strażnik przy głównym wejściu uśmiechnął się na jego widok.

– Witam, pani Jadzia kazała podstawić melex. – Wskazał elektryczny wózek tuż za bramą.

Zadowolony Mikołaj pobłogosławił w duchu domyślną koleżankę. Zoo rozciągało się na powierzchni kilkunastu hektarów i siłą rzeczy człowiek się nachodził, zanim dotarł do celu. Mijając samicę nosorożca, leżącą ciężko na boku, przypomniał sobie, że niedługo będzie ona rodzić. Może sesja zdjęciowa z maluchem okaże się równie udana jak zdjęcia z zalotów rodziców? Ileż było emocji przy tych godach! Gonitwy, walki... i tak cały dzień. Nosorożce muszą się potężnie zmęczyć, aby mogły okazać sobie czułość. Inaczej by się pozabijały.

– Jesteś! – Jadwiga, opiekunka stawonogów, poprawiła fryzurę, czyli założyła za ucho

niesforny jasny kosmyk. Reszta włosów była spięta klamrą z tyłu głowy.

Oczy kobiety wesoło błysnęły zza okularów.

– Nie uwierzysz! Po prostu nie uwierzysz! Chodź!

Odwróciła się podekscytowana, a Mikołaj ruszył za nią do pomieszczenia z terrariami. Poprawił na ramieniu torbę ze sprzętem fotograficznym.

– Patrz! – Miała minę niczym magik wyciągający królika z kapelusza.

Jeden rzut oka wystarczył, by Mikołajowi wyrwało się z ust przeciągłe:

– Fiuuu, fiuuu...

Znaleziona w Warszawie?! Ludzie nie przestaną mnie zadziwiać.

Postawił torbę na stoliku i wyciągnął aparat.

W terrarium maszerował z kąta w kąt stwór niczym z filmu science fiction.

Za czerwoną głową z parą długich czułek ciągnęły się wiśniowe segmenty z jasnożółtymi odnóżami. Już choćby po tym charakterystycznym ubarwieniu Mikołaj rozpoznał, że to coś wyglądające jak gigantyczna stonoga to skolopendra olbrzymia, gatunek południowoamerykańskiego wija. Szybko wymierzył w nią obiektyw, bo te zwierzęta zazwyczaj zakopują się w podłożu lub znikają w kryjówkach i trzeba na nie długo czekać, by zrobić dobre zdjęcie.

– Mierzyłam ją, ma dwadzieścia sześć centymetrów długości!

– Ponoć czasami dochodzą nawet do trzydziestu pięciu – mruknął, precyzyjnie ustawiając ostrość w obiektywie.

– Jak widzisz, już dochodzi do siebie. Lampy ją rozgrzały.

– Niesamowita! To jak trafiła do ciebie? Naprawdę od małego chłopczyka? Że też go nie udziabiała.

– Nie, nie, wszystko zaczęło się od kota. Kocisko przyniosło skolopendrę w pysku z piwnicy.

– Aaa... z piwnicy. Musiała być ledwo żywa w takiej temperaturze, wszystko jasne, bo przecież kota też by potraktowała jadem.

– Mieli szczęście. Chłopczyk zauważył nową kocią zabawkę, a że to miłośnik zwierząt, zapakował „robaka” do pudełka po butach i zaniósł do szkoły, do pani od biologii. Ta mała nie zemdląca i natychmiast powiadomiła zoo.

Mikołaj zrobił już kilka ciekawych ujęć egzotycznego wija. Skolopendra była wyjątkowo piękna.

– Przyda ci się do albumu?

– O, tak! – Mikołaj z zachwytem wpatrywał się w egzotyczne stworzenie. – Nadaje się też na wystawę.

Skolopendra zatrzymała się w bezruchu, pozwalając, by ludzie ją podziwiali.

– Ciekawe, z przemytu czy z nielegalnej hodowli? – Był zafascynowany zwierzęciem.

Skolopendra olbrzymia jest trudno dostępna w handlu, a ze względu na wielkość, szybkość, jad i agresywną naturę poleca się ją tylko zaawansowanym hodowcom, i to prawdziwym pasjonatom, bo przecież nie jest wdzięcznym obiektem do obserwacji, jako że stale przesiaduje w ukryciu. Ten gatunek osiąga zawrotne ceny. Jeśli znalazła się w piwnicy, to znaczy, że komuś uciekła, a to stawiało pod dużym znakiem zapytania profesjonalizm „hodowcy”. Najwyraźniej musiała trafić do amatora, nie do końca świadomego, jak zwinne i szybkie są te stworzenia, i jak przez to niebezpieczne. Ale przywieźć ją musiał ktoś znający się na rzeczy.

Jadwiga z namysłem poprawiła okulary.

– Obstawiam przemyt zorganizowany. Ostatnio dzieje się coś dziwnego. Zamarznięty

aligator na Mazurach, skolopendra w piwnicy, a ten krokodyl podrzucony w pudełku do naszego zoo?

Mikołaj uśmiechnął się na wspomnienie kartki dołączonej do gada w kartonowym pudle: „Nazywam się Pikuś, jestem chłopczykiem i potrzebuję opiekuna. Dziękuję”.

Pikuś miał niecały metr, ale lada moment stanie się takim samym monstrem jak jego koledzy, z którymi zamieszkał. Czy ktoś chciał go trzymać w wannie?

– A czytałaś o czarnych wdowach w kontenerze z zabytkowym samochodem?

– O! Właśnie, właśnie! Trzy czarne wdowy w jednym aucie! Mikołaj, te okazy skądś się biorą. Martwią mnie owe nienaturalne migracje. Przecież czarna wdowa, jeśli trafi do mieszkania, to przeżyje!

Zaczął pakować swoje rzeczy, a Jadwiga przysunęła się do niego.

– Podobno w Komendzie Głównej wyznaczyli już nowego koordynatora do spraw CITES. – Niewinnie zmrużyła oczy. – Jakaś policjantkę.

– Owszem.

– Ładna jest?

– Poznaś ją, jak przyjdzie na szkolenie razem z celnikami. Na pewno zajrzy do ciebie, bo będzie chciała czegoś się dowiedzieć o przemycanych pająkach i skorpionach.

– Młoda?

– Świeżo po szkole.

– Ha! Nic dziwnego, że przemysł kwitnie, skoro walczą z tym procederem żółtodzioby...

Mikołaj...

– Tak? O co chodzi?

– A kto ci ostatnio doglądał zwierzyńca, jak wyjechałeś do Kaliningradu? Tak tylko pytam, bo nie zostawiłeś mi kluczy.

Mikołaj westchnął ciężko.

– Wyjechałem na krótko, a węże akurat się najadły. Nie trzeba było ich karmić.

Znaczy, Szekspir zjadł szczura, a Tołstoja zostawiłem z dwiema myszami.

– Aha... Ale chociaż kwiaty mogłam podlać!

– To ja zmykam. – Wstał i ucałował Jadwigę w czubek głowy. – Dzięki za skolopendrę.

Zarzucił torbę na ramię i wyszedł. Wskoczył do melexa i ruszył szybko, by Jadwiga nie zdążyła wybiec, gdyż zajęła się zabezpieczeniem terrarium. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że stanęła już w drzwiach. Nawet poczuł mrowienie na karku od jej rozczarowanego wzroku.

Kobiety...

Do domu przyjechał zmęczony i głodny. Ruskie pierogi z Biedronki, które zawsze były smaczne, tym razem rosły mu w gardle, ale zjadł je wszystkie. Niechętnie spojrzął na komputer. Powinien teraz usiąść do opisywania zdjęć, lecz zamiast tego otworzył balkon na całą szerokość, wyszedł na rozgrzany słońcem taras i skinął głową sąsiadom. Biedacy, pomyślał. Zamiast wyjechać gdzieś za miasto, mościli się w turystycznych fotelikach na betonowych loggiach, niczym sadzone jajka na patelni. I byli szczęśliwi, że pali ich słońce, dopisała pogoda, pachną kwiaty w porozwieszanych skrzyńkach... Namiastka relaksu na łonie natury.

No, tak, w lesie nie mogliby tak podglądać życia innych. Widział, jak czujnie obserwują, co się dzieje na sąsiednich balkonach i w oknach. Mieli w oczach pilota z czerwonym

guziczkiem „record” do nagrywania. Był pewien, że jego życie też jest rejestrowane i na pewno zostało utrwalone w sąsiedzkich plotkach na zawsze. Dokumentaliści!

Zachciało mu się piwa, ale zapasy z lodówki już się skończyły, a barek z alkoholami, jak na złość, też był pusty. Wrócił na balkon, rozejrzał się po studni, jaką tworzyły ściany bloków, i zatęsknił za lasem, morzem, oceanem. Przymknął oczy. Już dawno nie brał udziału w żadnej wyprawie. Po zmianach w telewizji, gdy misję publiczną zaczęły wypierać budżetne seriale, znikły szanse na sprzedanie filmów przyrodniczych i trudno było pozyskać fundusze na ich realizację.

Może przyłączyć się do Karola? Przecież mógłby wyjechać w każdej chwili, nic i nikt go nie trzyma, a chłopak robi to, czym on, Mikołaj, jakiś czas temu się zajmował. No, może niezupełnie to samo. Uśmiechnął się na myśl o pracy syna Ireny.

Trudno uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno oglądali wspólnie programy o zwierzętach. Kiedyś Mikołaj spędzał z dziećmi Ireny niemal całe dni. To był ciężki dla nich wszystkich okres – jej rozwód, utrata pracy i wszelkie inne nieszczęścia hurtowo pukające do drzwi. Bardzo się wtedy zbliżyli, właściwie to Mikołaj zastępował bliźniętom ojca. Tylko wtedy, w całym swoim życiu miał namiastkę domu i rodziny... Nagle zatęsknił za tym uczuciem.

Czemu nie jest z Ireną? Była okropnie rozbita i łatwo mógł wtedy ją zdobyć, ale nie chciał wykorzystywać sytuacji. A potem... cóż, stanęła na nogi i przestał im już być potrzebny. Wyjechał na kolejną wyprawę.

Bliźnięta... Oboje kochali filmy ze Steve'em Irwingiem, zwanym łowcą krokodyli, nie przegapili chyba żadnego odcinka. Nie bez znaczenia był fakt, że Mikołaj znał Steve'a osobiście i obiecał, że ich mu przedstawi. Niestety, nie zdążył. Wiadomość o śmierci Irwina zastała go na plenerze przyrodniczym w Mongolii. Steve zginął podczas kręcenia kolejnego odcinka, podpłynął zbyt blisko do płaszczki, która wbiła mu kolec jadowy prosto w serce. Umarł, zanim nadeszła pomoc. Zdążył jeszcze wyciągnąć kolec, by pozwolić płaszczce odpłynąć. Cały Steve.

Mikołajowi nie przyszło do głowy, że dzieci Ireny pójda w ślady Australijczyka. Zwłaszcza Karol. Jego telewizyjna kariera zaczęła się przypadkiem, gdy pojechał do Nowej Zelandii na wakacje, załatwiwszy sobie przez internet sezonową pracę w jednym z hoteli. Zatrzymał się u Kuby, kolegi z dzieciństwa. Ten to dopiero był niespokojnym duchem! Pierwszy w historii pokonał samotnie na rowerze pustynny szlak Canning Stock Route, najdłuższy i uważany za jeden z najtrudniejszych terenowych szlaków świata. Za ten wyczyn dostał w dwa tysiące szóstym roku nagrodę podróżniczą Kolosa, a całą tę wyprawę opisano w „National Geographic”.

To Kuba skontaktował Karola ze swoimi nowozelandzkimi kolegami, którzy stworzyli niezależną grupę producencką specjalizującą się w zwariowanych filmach krótkometrażowych. Wpadli właśnie na pomysł nakręcenia dokumentu o skutkach kataklizmów dla lokalnych ekosystemów i szukali researcherów. Karol, ze swoją wiedzą i znajomością języków, nadawał się idealnie, szybko dołączył do szalonego teamu. To on podsunął pomysł, by pierwszy odcinek zrealizować w Meksyku, gdzie podczas huraganu Karl w stanie Veracruz z krokodylej farmy wydostały się na wolność setki gadów. Do ich łapania zatrudniono rybaków i łowców krokodyli. Ekipa nowozelandzkich filmowców towarzyszyła im, pokazując zmagania w stylu wyczynów Indiany Jonesa, tylko że to się działo naprawdę, a nie powstało w głowie hollywoodzkiego scenarzysty.

Film zrobił furorę w internecie, zaraz potem zgłosiły się do nich stacje telewizyjne, zamawiając cykl odcinków, koniecznie w awanturycznym stylu, w jakim nakręcono meksykańską relację. Od tej pory młodzi filmowcy mieli pełne ręce roboty. Jeździli tam, gdzie trzęsła się ziemia, powódź zalewała miasta, wybuchały wulkany, szalały tornada. Karol, mówiący

płynnie po angielsku, niemiecku, hiszpańsku i rosyjsku, był gospodarzem programów. Swobodny i dowcipny przed kamerą, szybko reagował na ewentualne niespodzianki na planie, co podczas pracy ze zwierzętami zdarzało się często. Jego kariera nabrała zawrotnego tempa. Program był tak nowatorski, że miał szansę stać się światowym przebojem, zwłaszcza że kupiła go poważna stacja telewizyjna.

Wtedy Karol sprowadził do Nowej Zelandii siostrę i długo pracowali razem, ale ostatnio Marzenka wybrała własną drogę. Dlaczego nie chciała zostać dłużej w tej ekipie? Dlatego, że to brat się pokazywał na ekranie, a ona była zwykłym członkiem zespołu? A może wydarzyło się coś, w czym nie chciała brać udziału?

Mikołaj wiedział, że trudno będzie od niej cokolwiek wyciągnąć, bo znał lojalność Marzeny wobec brata. Tylko dlaczego przyjechała do Polski w tym samym czasie co on, mimo że pracuje teraz w innej branży?

Ależ bym się teraz napił! – Mikołaj rozejrzał się bezradnie po balkonie, jakby gdzieś w kącie mogła leżeć zapomniana puszka lub butelka.

– Ma pan piwo? – zagadnął sąsiada.

Mężczyzna był tylko w slipkach i wystawiał do słońca biały jak u wieloryba brzuch. Jego życzliwy dotąd uśmiech momentalnie zgasł. Pstryk! Na czole mężczyzny pojawiła się gradowa chmura.

– Nie piję – odpowiedział i lekko odwrócił krzeselko, pokazując Mikołajowi plecy upstrzone znamionami i piegami.

Dzisiejszy odcinek sagi o stosunkach sąsiedzkich będzie z gatunku bardziej wstrząsających, uznał Mikołaj.

Eeech... Powinien pojechać do Ireny i pogadać z dziećmi. Powinien przekonać następczynię Bartnickiego, że może z nim rozmawiać o prowadzonych śledztwach. Powinien zabrać się do roboty. Powinien... Zrobić coś ze swoim życiem? Wyjechać? Zakochać się?

– Jak żyć, panie premierze? – Westchnął na głos.

Sąsiad przesunął się z fotelem w drugi koniec swojego balkonu.

Mikołaj wyciągnął telefon i zadzwonił do Ireny.

– To kiedy moja chrzestna córka zawita do Warszawy? Nie ukrywam, że się stęskniłem. – Zaczął wesoło, lekkim tonem. – Byłem w zoo i przypomniałem sobie, jak ciągałem berbecie od wybiegu do wybiegu. Sentymentalny się robię na starość czy co?

Słuchał przez chwilę, jak Irena naradza się z córką, i nagle usłyszał radosny głos Marzenki.

– Będę w Warszawie pojutrze. Naprawdę pójdziemy do zoo?

– Ba! Żeby tylko... Zabiorę cię też do wujka Janusza na wysoko cenione, choć mało jadalne potrawy z mchu i paproci. Ostatnio uraczył mnie mikroskopijną porcją czegoś z buraka i jakiegoś soczku z sosnowego igliwia. Wierz mi, można być po tym głodnym i rozczarowanym, ale, o dziwo, te dania coś w sobie mają.

– Po kuchni angielskiej będzie to dla mnie miła odmiana. – Marzenka śmiała się w głos. – Jeszcze nie mogę dojechać do siebie, a byłam tam tylko kilka dni.

– To jesteśmy umówieni. A Karol? Nie wybierze się z tobą?

– Karol? – Wydawało mu się, że Marzenka chce zyskać na czasie i nie bardzo wie, co odpowiedzieć. – Ciągle jest w rozjazdach. Powiem mu, że zapraszasz nas do zoo.

Jeszcze chwilę porozmawiali i Mikołaj się rozłączył.

Fajne te dzieciaki. Miał nadzieję, że naprawdę w nic się nie wplątały. Ech, stary draniu, pomyślał o Bartnickim. Brakuje mi ciebie, cholerny wygo!

Spojrzał w niebo, jakby gdzieś tam w górze miał dostrzec Bartnickiego.

Jeszcze nie schował komórki, gdy telefon zaterkotał. Na wyświetlaczu zobaczył nazwisko celnika, który często do niego dzwonił z ciekawymi wiadomościami, gdy udało się udaremnić kolejny przemyt.

– Cześć, Mikołaj. Jestem w Warszawie i szkołę żółtodzioby. Wpadłem na komendę, do tej nowej i się okazało, że chłopaki robią stypę po Bartnickim. Pomyślałem, że byłoby miło, gdybyś przyszedł.

– Jasne!

– O dwudziestej w tej knajpie, w której stary zawsze przesiadywał, PeeReL, wiesz gdzie.

– Jego następczyni też będzie?

– Nie, spotykamy się w męskim gronie, poza tym dziewczyna chyba nie jest zachwycona spuścizną po starym. – Celnik się roześmiał. – Nie zrozumie naszego nieutulonego żalu.

– Fakt. Będę.

Rozłączył się i zerknął na pierzastą chmurkę nad blokiem. Puścił do niej oko. Skąd ten drań, bujający gdzieś w niebie, wiedział, czego jemu, Mikołajowi, dziś potrzeba? Bo że duch starego gliny maczał w tym palce, nie było wątpliwości.

– Idę się napić – poinformował z powagą sąsiada. – Wie pan, czasem człowiek musi. Wieloryb zastrzygł uszami, ale nie odpowiedział, udawał, że nie słyszy.

Mikołaj przeciągnął się jak po wstaniu z łóżka. Nie popracuje dziś nad wystawą. Musi pożegnać Bartnickiego tak, jak na to zasłużył.

Tuż przed północą wysiadł, a raczej wytoczył się z taksówki pod swoim blokiem. Wylewnie pożegnał się z kierowcą.

– Reszpty nie szszeba, nie szszeba – zapewniał. – Ja jak ten koń doroszkarski zawsze traffiam, ale pan rossumie... Te odległości... odległości...

Taksówkarz zastanawiał się chwilę, czy pasażer dojdzie o własnych siłach do klatki, ale nagle do chwiejącego się Mikołaja podbiegła drobna postać i podparła go, obejmując w pasie.

– Rrenia? – Patrzył z wysokości swoich prawie dwóch metrów na rudy kucyk.

– Aleszszs ja traffie, traffie...

– Spóźniłam się na pociąg do Siedlec, mogę przenocować u ciebie? – Regina poprowadziła go do klatki.

– Ooo... Noffy motyl... – Położył wielką łapę na jej głowie, aż Regina syknęła, bo zabolęła ją, gdy zaczepił palcami o koszmarną zapinkę. – A twój ssssamochód?

Jednym ruchem ręki zerwała motyla z kuczka i pozwoliła, by rude włosy opadły jej na plecy.

– Przyjechałam pociągiem – wysapała, podpierając olbrzymiego Mikołaja. – I dobrze się stało, przecież ktoś ci musi pomóc.

– Rrenia... Ale o sso chozi? I gdzie tfój motyl?

Taksówkarz odjechał uspokojony spod bloku.

– Nie będziesz ty z niego miała dziś pożytku. – Uśmiechnął się pod nosem, myśląc o rudej dziewczynie.

To, jak obejmowała postawnego mężczyznę i jak na niego patrzyła, mówiło wiele.

Niektórzy to mają szczęście, pomyślał z zazdrością. Napije się taki jak świnia, a baby i tak patrzą w niego jak w obrazek. Ech, głupie te baby, głupie... Ta ruda też...

Szef zbliżał się do Łosic. Po obu stronach drogi nie było już tej soczystej zieleni, brakowało klimatu przygody i, co tu dużo mówić, przestało być pięknie. Dopiero co wyjechał z Mielnika, a już za nim zatęsknił. Królewskie miejsce, którego historia sięgała początków chrześcijaństwa w Polsce, miało w sobie magiczną energię. Gdy sobie uprzytomnił, że stąpa po ziemi, po której chodził Bolesław Chrobry, Władysław Jagiełło, Kazimierz Jagiellończyk czy Zygmunt Stary... Wiedział, że nie znalazł się tu przypadkiem. O tak, to była ziemia dla wybranych, dla ludzi niezwykłych. Jak on. Mielnik miał też dramatyczną historię, wystarczy wspomnieć potop szwedzki, kiedy to wycięto w pień niemal siedemdziesiąt procent tutejszej ludności. Ta ziemia nasiąkła krwią i wołała go, jak Salem czarownice, nadal domagała się krwi! Więc nie znalazł się tu przypadkiem.

Wybrał numer Tytusa.

– Potrzebuję nowego testera – zakomunikował.

W telefonie przez chwilę trwała denerwująca cisza.

– Jak zwykle „ochotnika”?

– Cha, cha, cha! – Szefowi bardzo się spodobało to określenie. – O, tak! Ochotnika.

Niech się poświęci w imię wyższych celów.

– Przecież mam inną robotę... – Tamten nie był zadowolony z nowego zadania.

– To jest ważniejsze! Tylko, wiesz, jak zwykle... żeby go nikt nie szukał.

– Jasne.

Tytus nie dyskutował, ale pewnie mięśnie napięły mu się pod skórą. Był typowym wielkomięskim zwierzęciem i nienawidził tego „zadupia”, jak określał farmę. A siedział tam od śmierci zdrajcy Patejuka.

Ten prostak nigdy nie poczuje więzi z miejscem królów, pomyślał Szef o naburmuszonym podwładnym.

Zakończył połączenie, nie wdając się w zbędną dyskusję.

Był bardzo podekscytowany. Wkrótce zobaczy na własne oczy efekty działania jadu skorpiona. *Hemiscorpius lepturus!* Pośrednik spisał się znakomicie, osobiście dostarczył przesyłkę. Po wpadce z czarnymi wdowami zagazowanymi w kontenerze nie można było ryzykować z tak rzadkim gatunkiem. Pośrednik bez kłopotu przewiózł cenny okaz ukryty w sprzęcie służącym do pracy, a celnicy nawet tam nie zajrzeli. Skorpion dotarł w doskonałym stanie i stał się perłą w kolekcji. Bo to egzemplarz wyjątkowy pod każdym względem.

Niemal wszystkie skorpiony mają jad o charakterze neurotoksycznym, który po dostaniu się do organizmu ofiary atakuje układ nerwowy, poraża mięśnie i może prowadzić do paraliżu, a potem jej śmierci. *Hemiscorpius lepturus* jest wyjątkiem, wytwarza bardzo silny jad cytotoksyczny, a ten... Ooooo... Ten jad powoduje potworne niegojące się rany, przypominające poparzenia trzeciego stopnia, z martwicą i pęcherzami. Są trudne do wyleczenia, wymagają interwencji chirurgów, a nawet przeszczepów skóry!

A co najważniejsze, nie istniała żadna odtrutka, surowica bądź inny środek hamujący działanie trucizny. Można było tylko tkanki wycinać, wycinać, wycinać...

Idealne narzędzie zemsty!

Zemsta... To uczucie ostatnio całkowicie nim zawładnęło, było motorem napędzającym jego codzienne życie.

To będzie niczym boska interwencja! Kara za grzechy! Kara doskonała!

Co może być gorszego we współczesnym świecie od oszpececia na całe życie?

W świecie, w którym liczy się uroda, blichtr, bogactwo? To nie jest świat dla brzydkich ludzi.



Nie bez powodu szaleńcy oblewali królowe piękności lub inne gwiazdy substancjami żrącymi. Ofiary żyły, ale było to życie w niewypowiedzianym cierpieniu.

Oblać kogoś kwasem? Za duże ryzyko. Skuteczniejszy i nie do wykrycia będzie jad *Hemiscorpius lepturus*!

Szef poczuł, jak jego serce wypełnia radość. Zbrodnia doskonała istnieje, trzeba tylko dobrze znać naturę i czerpać z jej rozwiązań. Wszak natura to dzieło Boga.

Ochotnik! Potrzebuje ochotnika!

Trzeba dokładnie wiedzieć, kiedy pojawią się rany i jakie dodatkowe objawy towarzyszą ukąszeniu.

Ukąszeniu! Szef uśmiechnął się na wspomnienie dyskusji z Tytusem.

– Jak się powinno mówić? Przecież skorpion nie kąsa, tylko dziabię kolcem, nawet nie żądem. Więc ani nie ukąsił, ani nie użądlił. To co, Szefie, „udziabał”? – dopytywał się podwładny, marszcząc niskie czoło.

– Aleś ty, Tytus, dociekliwy. Jak chcesz, może być: „udziabał”.

Zobaczymy, jak to jest po udziabaniu, he, he... Byle Tytus znalazł odpowiednią osobę, do tej pory nie zawiódł... Nikt nie szukał jego „ochotników”.

I pomyśleć, że wszystko zaczęło się od marzeń o jednym malutkim skorpionie...

To było tak niedawno. Miał już dwa piękne okazy, ale oszalał na punkcie najmniejszego na świecie, niespełna półtoracentymetrowego skorpionia z rodzaju *Microtyus*. Nikt ze znanych mu hodowców takiego nie miał i długo trwało, zanim dotarł do handlarza, który obiecał mu sprowadzić ten rarytas. Zapłacił wtedy bardzo dużo, ale przy okazji dostał się do kręgu ludzi wtajemniczonych, o których było wiadomo, że zapłacą każde pieniądze za swe marzenia. Powoli poznawał innych pasjonatów. A potem zniesienie granic otworzyło nowe możliwości. Sam zaczął robić „zakupy”, przy okazji licznych podróży po Europie, i szybko się zorientował, jak intratnym zajęciem jest nielegalny obrót rzadkimi i zakazanymi w hodowli gatunkami zwierząt. Od tej pory inni zaczęli płacić jemu.

Oczywiście dostrzegł potencjał, jaki się przed nim otwierał. Był zwolennikiem konsumowania sukcesu małymi łyżkami, więc powoli, nie budząc niczyich podejrzeń, budował siatkę powiązań, stale badał rynek i wiedział, co się opłaca. Nikt nie podejrzewał, że oprócz swojej normalnej pracy miał tak dochodowe „hobby”. Podwójne życie zaczęło mu się podobać, a poczucie władzy upajało.

Jeden tyci skorpionik...

Kochał skorpiony. Zawsze fascynowały go wyglądające niepozornie stworzenia, które brak efektownej urody lub postury rekompensowały innymi walorami, często śmiertcionośnymi. Skorpion, im mniejszy, tym bardziej bywa jadowity. Te niezwykle pajęczaki potrafią znieść promieniowanie radioaktywne w dawce śmiertelnej dla człowieka, świetnie się orientują w ciemności i należą do najstarszych zwierząt na planecie, przetrwały niezmiennie od czasów środkowego syluru! Prowadzą tak skryty tryb życia, że rząd *Scorpionidea* liczący obecnie około tysiąca pięciuset gatunków ciągle musi być rozszerzany, bo niemal każdego roku odkrywa się jakiś nieznanый jeszcze nauce gatunek.

Szef dojeżdżał do Siedlec. Od razu skręcił na obwodnicę, nie chciał się przebijać przez miasto, bo życiem rządzą przypadki. Po co ma go ktoś zobaczyć, a potem wypytywać, co robił w Siedlcach?

Zasłonił oczy ciemnymi okularami. Dziś czuł się panem świata.

## Rozdział 9

Na zewnątrz temperatura przekraczała trzydzieści stopni. Olga siedziała w przeciągu między otwartym oknem i drzwiami, bo wiatraczek na biurku nie chłodził wystarczająco. Podmuch powietrza rozwiewał jej prościutko przyciętą grzywkę. Spieszyła się, uderzała w klawiaturę laptopa z szybkością błyskawicy. Godzina spotkania zbliżała się nieubłaganie, a ona siedziała w firmie i w dodatku była kompletnie niezrobiona! Zerknęła w dolny róg ekranu na zegar. Prawie południe, rany boskie!

– Agnieszka! – krzyknęła do pracownicy. Odchrząknęła, bo miała dziś większą chrypę niż zwykle. Chyba ze zdenerwowania. – Sprawdź jeszcze w czarnym skoroszycie, może tam jest ta faktura.

– Nie ma! – zaraportowała chwilę później dziewczyna.

Jej szefowa prychnęła ze złością.

– Gdzie ja mogłam ją wsadzić?

Ostatnio wszystko się komplikowało. Olga, zawsze panująca nad wydarzeniami, teraz miała wrażenie, że wszystko wymyka jej się spod kontroli. Zapominała o umówionych spotkaniach, spóźniała się, gubiła ważne dokumenty, no i pierwszy raz wyłączono jej służbowy telefon, bo nie opłaciła rachunków. Miała rumieńce na twarzy, gdy musiała wyjaśniać, że po prostu przeoczyła niezapłaconą należność.

Zaterkotała jej komórka.

– Cześć, Mikołaj! Nie bardzo mam czas gadać – rzuciła mało uprzejmie na powitanie.

– Nie ty jedna. – Nie wydawał się urażony. – Byłaś u Ireny? Karol siedzi u niej czy pracuje?

– Eee... chyba pracuje. A co?

– Nie wydał ci się... jakiś inny?

– Inny?

– Tajemniczy. Bardzo mało opowiada o swojej pracy i trudno się z nim skontaktować.

– Eeee... Nie. Nie wydaje mi się. Ale nie mam czasu gadać. Pa!

Tajemniczy! Cholera jasna, ten Mikołaj ma chyba jakiś szósty zmysł!

Olga zerknęła na zegar.

– Aga, muszę już lecieć, zadzwoń do Tajfunu i przypomnij, że nie zapłacili jeszcze za rocznicowy event.

Rachunek dla tego przedsiębiorstwa był spory, bo prezes zażyczył sobie specjalnej oprawy jubileuszu. Był teatr ognia, pokazy walk rycerskich, wesołe miasteczko dla dzieci i wyszukany catering. Niestety, termin płatności już minął, a na koncie nadal nie było pieniędzy.

Podnosiła się, gdy nagle poczuła czyjś oddech na karku, a zaraz potem namiętny pocałunek.

– Co robisz! – krzyknęła i pobiegła do lustra zobaczyć, czy nie ma na szyi malinki.

Zadowolony z siebie Sebastian poszedł za Olgą i przytulił się do jej pleców.

– Mam się zająć Tajfunem? – wymruczał w jej włosy.

Zręcznym ruchem wymknęła się z jego objęć.

– Seba! Nie mam teraz czasu.

Stał przed nią w jasnych dżinsach i granatowej koszulce. Szczupły, wysoki, przystojny

i denerwujący. Przyjechał bez uprzedzenia, a Olga domyśliła się, że wpadł w drodze do pracy, bo jeśli Seba nie miał na sobie garnituru, wiadomo było, że jedzie na windykację. Wytłumaczył jej kiedyś, że dłużnicy czują awersję do facetów w garniturach, gdyż to gładcy agenci w dopasowanych marynarkach wpędzili ich w kłopoty finansowe. Na „grillowanie” dłużnika, jak nazywał swoje działania, ubierał się więc tak, jakby szedł do pubu na zimne piwo. Swojski wygląd faceta z sąsiedztwa mógł zmylić każdego, podobnie jak nierzucający się w oczy zakurzony stary opel, którym jeździł tylko na windykację. Na co dzień, prywatnie, poruszał się wypasioną beemką cabrio. Seba otwierano drzwi, bo nie przypominał urzędnika, a potem już było za późno na żal, gdy ludzie zrozumieli, że wpuścili kogoś, kto przychodzi zabrać ostatnie wartościowe rzeczy z domu. Za długi. Młody windyktor do końca był współczujący, niemal płakał razem z dłużnikami, lecz gdy wracał z „grillowania”, wprost pękał z dumy. Liczyły się wyniki! A te miał imponujące.

- Powiedz, królowo, tylko słówko, a Tajfun zmięknie i zawyje cienko jak zefirek.
- Sebastian zaśmiał się i znowu spróbował ją pocałować.
  - Seba! – Olga nie kryła wściekłości. – Przestań!
- Odsunął się od niej.
  - Stęskniłem się – powiedział z wyrzutem.
  - Teraz się spieszę.
  - Dokąd idziesz?
  - Co cię to, Seba, obchodzi? Czy ja cię pytam, dokąd jedziesz?
- Znowu spróbował ją objąć.
  - Ostatnio mało masz dla mnie czasu.
  - Pracuję.
  - Akurat. Zamiast pobyć ze mną, jeździsz na jakieś ogniska wystrojona jak dziwka.
- W szpilkach i spodenkach ledwo zasłaniających tę śliczną dupcię! – Klepnął ją w pośladki.
- Zareagowała odruchowo, ręka właściwie sama wymierzyła mu policzek. Seba złapał ją za nadgarstek i zacisnął zęby. Zmrużyła oczy, myśląc, że zaraz ją uderzy, gdy natarł na nią całym ciałem i przycisnął ją do ściany.
  - Mówiłem ci już, że moja żona nie będzie musiała pracować, tylko leżeć i pachnieć.
- Rzuć tę firmę, skoro nie zarabiasz nawet na rachunki – wycodził przez zęby.
  - Skąd wiesz, że nie zarabiam? – Zmarszczyła czoło.
- Sebastian puścił jej rękę. Wykrzywił kpiąco usta.
  - Po prostu, wiem.
  - I skąd wiesz, że na ognisku byłam w szpilkach? – Rozcierała bolący nadgarstek.
  - Królowo, ja wszystko wiem... – Znowu pochylił się do jej szyi i szepnął we włosy za uchem. – Wszystko wiem i wszystko widzę... Nawet kiedy myślisz, że nie patrzę, że jestem daleko... Nigdy nie jestem daleko...
- Przeszedł ją dreszcz. Odepchnęła Sebastiana.
  - Nie będę twoją żoną – wycodziła. – Kiedy to do ciebie dotrze?
- Popatrzył na nią pobłaźliwie, a potem przeniósł wzrok na swoje odbicie w lustrze.
- Przesunął ręką po idealnie przylegających czarnych włosach.
  - Zajmę się Tajfunem. Zacznę od pytań o zdrowie, a potem powysyłam do jego znajomych wezwania do komornika. Będą musieli złożyć wyjaśnienia pod rygorem grzywny i tak się na gościa wkurwią, że facet przyniesie ci w zębach te pieniądze – powiedział beznamiętnym tonem. – Dostanę za to całusa?
    - Nie.
    - Droczyś się ze mną, królowo, droczyś... Zasłużyłem na jednego małego całuska!

– Idź już, Seba, bo nie ręczę za siebie! – wychrypiała.

Sebastian zacisnął szczęki.

– Ty naprawdę dziś nie masz humoru.

Wyszedł. W ciszy, jaka zapadła, usłyszała warkot samochodu, gdy odjeżdżał. Dopiero teraz zauważyła, że palce ma tak mocno zaciśnięte, aż jej zbieleły.

Z Sebą było coraz gorzej. Im bardziej go odsuwała od siebie, tym bardziej natarczywe stawały się jego zaloty. „Żona”! Nie będzie niczyją żoną! Jak ma mu wytłumaczyć, że to koniec?! Koniec!

Znowu roztarła nadgarstek. Mało jej nie zmiażdżył kości, gówniarz jeden. I co miały znaczyć te groźby, że wszystko widzi? Śledzi ją? Serce zabiło jej szybciej. Czy Seba ukrył się gdzieś w krzakach na ognisku u Ireny?! Skąd wiedział, jak była ubrana?

Zerknęła na zegar na ścianie. A niech to diabli!

Wybiegła z firmy, zostawiając milczącą pracownicę, która cały czas udawała, że niczego nie widzi i nie słyszy.

Przy aucie zawahała się chwilę. Tak się dziś zdenerwowała zaginioną fakturą, że nalala sobie trochę whiskey dla rozluźnienia. Ot, jeden mały drink.

To było ze dwie godziny temu, stwierdziła.

Do tej pory na pewno już spaliła alkohol, zwłaszcza po tych przepychankach z Sebą, może jechać. Wyciągnęła z torebki mentosa i wsunęła do ust intensywnie pachnącą pastylkę. Od razu poczuła się świeżo i rześko. Rozejrzała się uważnie, czy gdzieś w pobliżu nie stoi samochód Seby. Chyba nie przyszło mu do głowy, żeby ją śledzić w ciągu dnia. Nie zauważyła ani auta, ani zazdrosnego kochanka, ruszyła więc spod firmy z piskiem opon. Bardzo się spieszyła. Musiała przecież zrobić się na bóstwo. Na myśl o tym, co ją czeka, poczuła przyjemny dreszcz. Już niedługo znowu poczuje silne ramiona, odurzający zapach męskiego ciała. I nie będzie to Seba!

Rozluźniła się i głośno roześmiała. Włączyła muzykę.

Podobało jej się to szaleństwo i tajemnica. Ach, ten Mikołaj! On może zepsuć każdą przyjemność! Dodała gazu. Szybciej! Chciała już być z nowym kochankiem.

Żaluzje szczelnie zasłaniały okna, więc mimo wczesnego popołudnia w pokoju było ciemno. Świece uwalniały powoli zapach z ciężką nutą ambry, bardzo zmysłową. Olga wyciągnęła z nocnej szafki buteleczkę z aromatycznym olejkiem i postawiła ją przy świeczniku. Spojrzała na gładko wygolone nogi lśniące od balsamu i dotknęła skóry, napiętej i jędrnej. Była gotowa. Niecierpliwie zwilżyła językiem wargi.

Pukanie do drzwi poderwało ją na nogi. Podbiegła i otworzyła, drżąc z niecierpliwości, a potem od razu utonęła w muskularnych ramionach. Zwiewny szlafroczek nie wiadomo kiedy znalazł się na podłodze obok przepoconego T-shirta. Poczuła, jak mężczyzna podnosi ją niczym małą dziewczynkę i niesie do łóżka. Jęk pożądania zlał się z westchnieniem satysfakcji.

– Spiiiros!... Och, Spiiirosss...

## Rozdział 10

Kiedy aspirant Zuzanna Brodzik odbierała telefon od swojego zwierzchnika, mimo woli prostowała plecy i miała ochotę stanąć na baczność. Może dlatego, że naczelnik zawsze mówił oficjalnym, służbowym tonem.

– Pani aspirant, jakie postępy w dochodzeniu?

Odpowiedziała mu jednym tchem:

– Przygotowałam pismo do operatorów sieci komórkowych. Niech ustalą, czy Paweł Patejuk miał przypisany numer telefonu, a jeśli miał, to niech nam udostępnią billingi połączeń.

Z trudem powstrzymała się, by nie trzasnąć obcasami. Szef chwilę się zastanawiał.

– Telefon? Hmm...

– Zdziwiło mnie, że nie znaleziono przy nim żadnej komórki.

– Słusznie. Co na to prokurator Szatan?

– Przybił pieczętkę, ale długo się wahał.

– To u niego normalne. Hmm... Postaram się przyspieszyć odpowiedź, w końcu chodzi o morderstwo. Czasami czeka się miesiące, choć jak się ich przyciśnie, dają materiał z dnia na dzień. Coś jeszcze?

– Umówiłam się z wykładowcami na siedleckim uniwersytecie. Może ktoś będzie wiedział... cokolwiek – dodała i aż zmrużyła oczy ze złości na siebie.

„Cokolwiek” – ale to zabrzmiało!

– To jak będzie pani wiedziała... COKOLWIEK, to proszę mnie poinformować, pani aspirant.

Cholera! Cholera! Cholera!

„Cokolwiek”!

Cholera!

Przecież mogła powiedzieć „coś istotnego dla sprawy”. O! Właśnie. Coś istotnego.

Cholera!

Komisariat, jak na złość, był dzisiaj pełny i wszyscy słyszeli, co palnęła szefowi. Musi uważać na to, co mówi, do diabła! Tym bardziej że przecież... nie miała nic! Sprawdziła uczestników morderczej imprezy: niekarani, mniej lub bardziej znani w swoich środowiskach, zero motywu! Trzeba to powiedzieć jasno: stała w miejscu! Nie wszyscy jednak muszą o tym wiedzieć.

Naczelnik już parę razy podkreślił, że przyznanie jej sprawy o zabójstwo to duże wyróżnienie. Wierzył w jej umiejętności, to była jego decyzja, a Zuzanna tak bardzo nie chciała go zawieść. Tym bardziej że szedł jej na rękę i na razie nie musiała się zajmować kradzieżami kur, pijanymi rowerzystami czy też burdami pod sklepem monopolowym.

Weź się w garść! Cholera!

Zadzwoiła do naczelnika i poprosiła o zgodę na wyjazd do Nurca, miejsca urodzenia i zameldowania Patejuka. Miała nadzieję, że tam dowie się czegoś więcej o denacie. Każda informacja mogła okazać się istotna, rzucić nowe światło na sprawę. Sprawdziła na mapie, jak tam dojechać. Nurzec był oddalony o niecałą godzinę jazdy autem. Droga tak prosta, że nie musi brać GPS-a.

Pojechała do domu, żeby się przebrać. W jasnych dżinsach, białym T-shircie i z włosami związanymi w koński ogon wyglądała jak turystka. Nie chciała wyglądać jak

policjantka.

Zuzanna była zauroczona wschodnią Polską. Mijała gęste lasy i zachwycała się urokiem nadbużańskich wiosek, a im dalej na wschód, tym wydawały jej się piękniejsze.

Mieszkała tu od paru miesięcy, ale dziś pierwszy raz zapuściła się tak daleko. Że też turyści jeszcze nie odkryli tego zakątka! Może to i dobrze? Jest tu tak dziewiczo, tak... inaczej. Tak pięknie! Uśmiechnęła się i wtedy zdała sobie sprawę, że to pierwszy szczerzy uśmiech, od kiedy wyjechała z Sanoka.

Sanok... Kochany Sanok...

Teraz tu jest moje miejsce!, przywołała się do porządku.

Podkręciła radio i zaczęła nucić razem z wykonawcą piosenki, ale myśli o dawnym życiu nie chciały jej opuścić. Wyjazd z Sanoka był ucieczką od cierpienia... Jak to dobrze, że nigdy nie zdradziła się ze swoimi uczuciami! Przyjaciółka i jej mąż nigdy się nie dowiedzą, co naprawdę czuła na ich ślubie, w dodatku jako drużna.

– Po prostu przegrałam w tej walce, no! – mruknęła.

Ale prawda była taka, że nigdy do walki nie stanęła. Walczyć o faceta?! Sam dokonał wyboru i tyle! Wybrał Paulę, ożenił się z nią, a Zuza została drużną. Koniec, kropka.

Znowu podkręciła głośniej radio, bo Eska zaczęła tracić zasięg, a w serwisie informacyjnym nadawali właśnie zabawny felieton Tamary Pawlik. Lubiła relacje tej dziennikarki, zawsze chciała przyłapać ją na braniu oddechu między szybko rzucanymi zdaniami, ale ani razu jej się to nie udało. Ta dziewczyna po prostu nie oddychała! Zuzanna uśmiechnęła się znowu. Drugi raz tego dnia.

Minęła Sarnaki i zaraz na przejeździe kolejowym zobaczyła wielki szyld z apetycznym czerwonym owocem: „Gospodarstwo Sadownicze SAMO JABŁKO Alina Paluch i Córka”. Wytwórnia soku jabłkowego. Strzałka pokazywała, gdzie trzeba jechać.

– To stąd są te soki!

Uradowana, jakby dokonała epokowego odkrycia, w jednej chwili skręciła. Miała tak dobry humor, że postanowiła przywieźć kolegom z komisariatu po kartonie soku, o którym już krążyły legendy. Był smaczny i oryginalnie pakowany: nalewało się go z kraniku wystającego z opakowania. I, niestety, nie był powszechnie dostępny.

Pięć minut później znalazła się w Kolonii Klimczyce i wjechała na podwórze tłoczni przez szeroko otwartą bramę. Na schludnym podwórzu dwie eleganckie kobiety w średnim wieku stały przy aucie, w bagażniku było pełno toreb z zakupami. Jedna z nich miała krótko obcięte włosy i cerę, jakiej mogłaby pozazdrościć każda dwudziestolatka, druga, z długimi, rozpuszczonymi włosami, przypominała Zuzie Sopię Loren.

– Joanna, możesz ruszyć swoje cztery litery i mi pomóc? – irytowała się kobieta z krótkimi włosami. – Sama mam przenosić zakupy?

Wypakowywała torby i stawiała je przy aucie.

– Jestem gościem – fuknęła ta podobna do Loren i ostentacyjnie podeszła do efektownej rośliny z ogromnymi brunatnymi liśćmi. Udawała, że ogląda ją z zainteresowaniem. – Chcę posadzić swoje cztery litery na fotelu w twoim ogrodzie i nic nie robić!

– Mówiłam ci, że mnie wkurzasz?

– Tak, pięć razy, Alinko. Ubolewam, że tak traktujesz gości. Przyjaciółkę w depresji!

Piękna Loren pochyliła się nad różami i z lubością wciągała ich woń. Alina (zapewne Paluch, pomyślała Zuzanna) oparła ręce na biodrach.

– Depresja! Syn ci wydorósł i się wyprowadził! I wielka z tego powodu depresja!  
– pokrzykiwała z irytacją. – To może z Maćkiem pogadaj, niech cię położy w tym swoim psychiatryku.

– Maciek nie jest już naszym kolegą z klasy, jest gwiazdą, która biega między jedną telewizją a drugą, udziela wywiadów i nie ma dla nikogo czasu. Kto to słyszał, żeby psychiatra stał się celebrytą! – Loren wzruszyła ramionami. – Nigdzie mi nie będzie lepiej niż u ciebie, tylko nie każ mi niczego robić. Nie lubię być zmuszana.

Mimo kłótni widać było, że te kobiety łączy silna więź. Gdy Zuzanna do nich podeszła, stanęły solidarnie ramię w ramię.

– W czym mogę pomóc? – Alina Paluch spojrzała na nią z uprzejmym zainteresowaniem.

– Można u pani kupić sok jabłkowy?

– Zapraszam.

Loren wyglądała na bardzo zadowoloną z pojawienia się niespodziewanego gościa.

– A pani to turystka? – spytała z uśmiechem.

– Mniej więcej – wymijająco odpowiedziała Zuza.

Pięknej Joannie błysnęły oczy.

– Czyli nie turystka.

Ruszyły za właścicielką, a Loren z zainteresowaniem przyglądała się Zuzannie. Szły w głąb podwórza, gdzie przy wielkich chłodniach uwijali się robotnicy. Alina Paluch mogła swoją energią obdarzyć przynajmniej tuzin rówieśniczek.

– I tak sama pani podróżuje? – drażyła temat Loren.

– Nigdy wcześniej nie byłam w tych stronach. – Zuza rozglądała się ciekawie dookoła.

– Jeśli nie turystycznie, to zawodowo... – uznała piękna Joanna. – Wiem!

Dziennikarka! Ale o Alince był już niedawno artykuł w gazecie, o jej tłoczni soku.

– O, to miło. – Zuzanna uśmiechnęła się uprzejmie.

Ależ ta kobieta jest ciekawska!

Loren, zadowolona z wyniku dedukcji, kontynuowała:

– O Alince może już pani nie pisać, lepiej o szeptuchach. To takie znachorki i szamanki w jednym. Pełno ich tutaj. Jednego roku to przez szeptuchę pop zginął.

– Rzuciła urok na popa? – Zuzanna szeroko otworzyła oczy.

– Nie opowiadaj bzdur, to był wypadek – wtrąciła się Alina.

– Wypadek! – Joanna się zaperzyła. – Nagle w środku nocy sedes się znalazł na środku drogi. Też mi wypadek!

Zuzanna zmarszczyła brwi.

– Sedes? Nie rozumiem.

– Sedes znalazł się na rozstaju dróg, czyli na rozjeździe. W takich miejscach rzuca się uroki. Podobno miał to być urok na właściciela sedesu, a ustawiła go tam rodzina. – Joanna wyglądała na dobrze poinformowaną. – Nadaje się na artykuł?

– Urok? Mnie to wygląda na chuligański wybryk.

Doszły do pomieszczenia gospodarczego, w którym pełno było kartonów z sokiem jabłkowym.

– To tu się robi te cuda? Te soki są taaakie pyyyyszne!

Wyciągnęła portfel i zapłaciła za kilka opakowań. Alina Paluch wyglądała na zadowoloną.

– Naprawdę pani smakuje? Zaczynamy teraz linię z nowymi smakami. Będą jabłka z burakami, z pietruszką, z marchewką, a nawet z selerem. Do wyboru! O porzeczkach

i malinach nie wspominam, bo są już w sklepach.

- Z burakami! Fantastycznie! – Zuza naprawdę się ucieszyła.
- Pokażę, z jakich jabłek tłoczemy sok.
- O, chętnie!

Zuzanna nie spodziewała się takiej atrakcji, oglądała sad z dojrzewającymi jabłkami i była zachwycona całym tym miejscem. Piękna Joanna nie kryła z kolei zadowolenia z obecności gościa.

- Ala, co jeszcze by się nadawało na artykuł?
- Paprocki?
- O, tak! – Loren klasnęła w dłonie. – Paprocki! Musi to pani usłyszeć!
- Nie będę przeszkadzać. – Zuza postanowiła wyprowadzić z błędu sympatyczne rozmówczynie. – Trochę się spieszę... I nie jestem dziennikarką.
- Nie? – Loren wyglądała na rozczarowaną.
- Jestem policjantką.
- Bez munduru...? Aaaa...! Taka detektywka! Alu, słyszysz? Jakie to ekscytujące!
- To tym bardziej powinna pani wysłuchać opowieści Paprockiego. Zrobię kawę
- powiedziała Alina Paluch nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Chwilę później we trzy wniosły do domu zakupy, Zuzanna chętnie pomogła. Piękna Joanna zapomniała, że nie lubi być zmuszana do czegokolwiek i że ma depresję, co Alina skrupulatnie wykorzystała do wydawania poleceń.

– To do lodówki. Nie na tę półkę! A warzywa połóż na razie do zlewu. Pieczywo tutaj. Kawy nie chowaj, przecież cała wyszła!

Chwilę później siedzieli w ogrodzie przy aromatycznej kawie.

– Może pani wyciągnie od Paprockiego, kto mi ukradł rodzinne pamiątki. – Alinie aż poczerwieniały policzki. – Na zamówienie musieli działać, bo skąd u wiejskich głabów wiedza, które starocie były cenne?

- Ale... nie mogę wchodzić w kompetencje tutejszej policji. – Zuzanna się spłoszyła.
- Nikogo nie podejrzewali?
- A, i owszem, trzech braci, utrapienie tutejszych mieszkańców, ale dranie przepadli nagle jak kamień w wodę.

– No przecież Paprocki mówi... – Loren postanowiła wtrącić swoje trzy grosze.

- A, właśnie, Paprocki. – Alina poszła w głąb podwórza i po chwili wróciła z niedużym, niechlujnie ubranym mężczyzną.
- Ani kropelki, pani kierowniczo, ani kropelki nie piłem – zarzekał się, bełkocząc.
- W pracy bym pił? Nigdy, pani kierowniczo!
- Niech pan opowie o lwie – nakazała mu szefowa.
- Jakim lwie?
- Tym, co braci Wasilczuków zjadł.
- Jakie zjadł?! Nikt Wasilczuków nie zjadł!
- Ludziom opowiadał pan co innego.
- Bo pijany byłem, szefowo, a dziś ja ani kropelki do gęby żem nie wziął! Trzeźwemu bredzić nie wypada. – Paprocki z taką dumą wyprostował plecy, że zachwiał się i omal nie przewrócił na puste krzesło.

Do Zuzanny doszła woń alkoholu tak wstrętna, że aż się skrzywiła. Paprockiemu najwyraźniej bardzo zależało na pracy. W życiu się nie przyzna, że pił, pomyślała z rozbawieniem.

Do rozmowy wtrąciła się Joanna.



- To lew był taki jak krokodyl, panie Paprocki?
- Aaa, nie, krokodyl był prawdziwy.
- Sztuczny był – poprawiła go Joanna.
- Toż mówię: prawdziwy. Z krasnalami siedział.

Zuzanna zachłysnęła się kawą i zaczęła kasłać.

- Może tak po kolei? – poprosiła błagalnie.

Alina Paluch wskazała Paprockiemu krzeselko, a sama na chwilę zniknęła w domu.

Wróciła z puszką piwa, którą wręczyła robotnikowi.

– Panie Paprocki, opowie nam pan o lwie i krokodylu, a potem pójdzie do domu. Bo pan wie, że u mnie w robocie pić nie wolno, a jak ja teraz pana poczęstuję, to od razu i wolne na dziś muszę panu dać, prawda?

– Szeeefowoooo... – Paprocki z zachwytem wpatrywał się w zroszoną chłodną puszkę. – Ja dla szefowej to wszystko!

Zuzanna nieco przesunęła swoje krzeselko, aby woń solidnie zmęczonego mężczyzny jej nie zemdlila, bo była bardzo wrażliwa na zapachy. Paprocki zaczął opowiadać.

– Ja lwa nie widziałem, ale byłem u Wasilczuków, jak ich najmłodszy, Tadzik, przybiegł błądy jak duch... We trzech poszli, wie szefowa, tak trochę... eee... pobuszować po domkach letników...

- Pobuszować! – fuknęła Alina. – Kraść poszli, panie Paprocki, kraść.

– Nie mnie to osądzać. – Mężczyzna filozoficznie rozłożył ręce i pociągnął solidny łyk piwa. – Piliśmy ze starym Wasilczukiem od popołudnia, bo wie szefowa, życie ciężkie w tym kapitalizmie, pociechy człowiek potrzebuje, a jak się tak jeden z drugim zgada, że innym jeszcze gorzej, to od razu lżej się na duchu robi...

- Więc przyszedł ten najmłodszy z braci i co? – przerwała mu niecierpliwie Alina.

– No mówię, taki biały był i roztrzęsiony. I od razu na strych po samopał... Bo wie szefowa, Wasilczuki samopał mieli, kłusowali trochę, a to sarna, a to dzik...

Zuzanna zacisnęła zęby, ale nie odezwała się ani słowem.

– Złapał ten samopał i gada: „Ojciec, Staśka i Marcina lew zeżarł, idę zabić skurwysyna”.

Zapadła cisza. Paprocki patrzył przed siebie, jakby jeszcze raz widział przed sobą młodego Wasilczuka.

- I co dalej? – Zuzanna nie wytrzymała.
- I tyleśmy go widzieli. – Przechylił puszkę i pił zachłannie.

Zuzanna popatrzyła ze zdumieniem na właścicielkę firmy.

- To ci trzej bracia, co przepadli?

Alina pokiwała głową.

- Mówi się, że do Belgii do roboty pojechali, tu co drugi tam robi. Ale to lenie były!

Pewnie przepijają gdzieś mój samowar!

Zuzanna poczekała, aż Paprocki oderwie usta od puski.

- A gdzie ten... lew był?

Robotnik się skrzywił.

- Ba!

– Panie Paprocki! Pani grzecznie pyta! – Alina przywołała do porządku swojego pracownika.

- A czy ja z Wasilczukami chodził? – oburzył się mężczyzna.

Loren siedziała do tej pory bez słowa, z wielce zadowoloną miną. Bawiła się świetnie.

- O krokodylu niech opowie, o krokodylu – podpowiedziała przyjaciółce.

Paprocki skrzywił się niechętnie.

- To przez Tadzika mi ten krokodyl zaszкодził – mruknął. – Pośmiewisko ze mnie zrobił.

Przytknął ponownie puszkę do ust i odchylił głowę. Piwo już się skończyło, a mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby chciał wyssać z niej powietrze. Zmartwiony przyłożył ją jeszcze do ucha i nią potrząsnął, a potem westchnął zrezygnowany.

- Tadzik zawsze był dziwny – zaczął. – Umiał naśladować zwierzęta, dlatego taki dobry z niego był myśliwy, podszedł każdą zwierzynę.
- Myśliwy! – prychnęła Zuza. Nie cierpiała kłusowników.

Tamten mówił dalej.

- Raz mi powiedział, że w Bugu chyba są krokodyle. Co się pani uśmiecha, tak mówił! I że wychodzą z Bugu, bo niby skąd by się wzięły? I żeby uważać, bo on widział, jak krokodyl człowieka zjadł. Że o tak, o... łeb zadziera i o tak... o tak łyka. Szarpie i łyka... Szarpie i łyka... Z przerwami... – Zademontrował, podnosząc głowę i kłapiąc szczerbatą szczęką.

Zuzannie dreszcz przebiegł po plecach.

- Gdzie to się stało?
- Nie mówił. Ale zaraz potem, jak młode Wasilczuki zniknęły, zobaczyłem krokodyla.

No i żem wezwał policję... – zakończył markotnie.

Zuzanna zerknęła pytająco na właścicielkę tłoczni.

- Pan Paprocki nieszczęśliwie ocknął się lub, jak kto woli, obudził na posesji jednego z letników. Paszczą w paszczę z krokodylem. Uciekł i wrócił na miejsce z dzielnicowym. Dopiero gdy policjant, żeby go uspokoić, popukał w krokodyla, a ten nic, uwierzył, że gad jest ozdobą ogrodu, podobnie jak urocze krasnale. – Alina, śmiejąc się, ocierała łzy z oczu.

Mężczyzna smętnie pokiwał głową, potwierdzając każde słowo szefowej.

- Tłumaczyłem, że lew zeżarł Wasilczuków, a wcześniej krokodyl jakiegoś biednego człowieka, ale jakoś głupio wyszło... Stary Wasilczuk, zapytany o synów, zrobił wielkie oczy, zapytany o lwa, zrobił jeszcze większe... Szefowo, on już mózgu nie ma, to co nie miał robić oczu... ech...

Zuzannie szybciej zabiło serce.

- A co się stało z braćmi?
- No właśnie? – odpowiedział pytaniem Paprocki. – I z innymi?
- Z jakimi innymi?
- Chojecki przepadł, Ignaciuk przepadł, Tarasiuka nie ma już dwa miesiące.

– Z trudem trafiał w odginane podczas liczenia palce.

Zuzanna spojrzała na Alinę Paluch.

- To pijaczki – wyjaśniła właścicielka firmy. – Pewnie się włóczą po Polsce póki ciepło. Wrócą na zimę, jak nie będą mieli za co pić. Teraz można zarobić przy zbieraniu jagód, potem na grzybach, a w międzyczasie turyści się zlitują i dadzą na piwo.
- Taaa, dadzą... Oni zniknęli, szefowo. Ich też mogło coś zeżreć. – Paprocki tak kręcił głową, że stracił równowagę i mało nie upadł.

Kobiety spojrzały na siebie wymownie.

- Oj, panie Paprocki... Lew, krokodyl?! Nad Bugiem?

Mężczyzna uderzył się w pierś.

- Tadzik tak mówił! A Tadzik znał się na zwierzętach. I wszystko o nich wiedział. Jaszczurkę też pomógł studencikowi złapać, taki zwinny był!
- Jakemu studencikowi?
- A pojawił się tu, chucherko, ale grzeczny taki. Tadzik na niego mówił „studencik”.

Może to letnik jakiś, nie wiem. Jaszczurki szukał, że niby z samochodu uciekła... Tadzik od razu nad rzekę poszedł i złapali zwierza!

– A widział pan jeszcze kiedyś tego studencika? Ktoś go zna?

– Eee... – Pokręcił przecząco głową i znowu się zachwiał.

Widać było, że czuł się zmęczony. Alina Paluch odprawiła go do domu.

Zuzanna zaczęła się żegnać.

– Dziękuję za kawę, ale muszę już jechać. Niewykluczone, że będę rozmawiała z kolegami z tutejszej policji, zapytam o postępy w sprawie złodziei – obiecała.

Kobiety odprowadziły ją do samochodu.

– Niech nas pani jeszcze koniecznie odwiedzi! – zażądała Loren.

– Miło było poznać! – Alina poparła przyjaciółkę.

Zuzanna sięgnęła po wizytówkę.

– Zapraszam do siebie. – Podążyła ją swoim nowym znajomym przez okno i krzyknęła, odjeżdżając: – Buduję dom z gliny!

We wstecznym lusterku widziała, że kobiety znowu się kłóć. Wyglądało to, jakby Loren już chciała jechać z wizytą...

Pół godziny później była w Nurcu. Od rodziców Pawła Patejuka niewiele się dowiedziała. Mieszkali w drewnianym rozwalającym się domu. Ojciec zwlókł się z barłogu i na pytania o syna tylko machał ręką.

– Iiii... To był lepszy pan. – Stary nie miał zębów, siwe włosy sterczały mu każdy w inną stronę. – Iiii... Z takimi jak my się nie zadawał... Pieniądzy na pogrzeb my nie mieli... Gmina zapłaciła.

Ojciec nie wiedział, gdzie syn mieszkał i co robił, chłopak nie przyjeżdżał od lat. Z matką Zuza nie miała okazji porozmawiać.

– Na jagodach jest. W skupie dają siedem złotych za liter. – Stary wykrzywił bezzębne usta w uśmiechu, a Zuza mogła się tylko domyślić, na co pójda pieniądze za owoce. Mężczyznę ewidentnie suszyło.

Nurzec był malutką miejscowością. Zuzanna poszła jeszcze do szkoły, gdyż czasem nauczycielki wiedziały o dzieciach więcej niż ich rodzice. Dyrektor, przystojny wysoki brunet, w jej ocenie był zbyt młody, by uczyć Patejuka. Okazało się, że większość personelu to młodzi ludzie. Rodzinę Patejuków wszyscy w Nurcu znali, ale o losach dorosłych synów nikt nic nie wiedział.

– Paweł miał jakieś zatargi z prawem? – dopytywała.

Dyrektor zawołał jedną z nauczycielek. Do pokoju weszła śliczna kobieta około czterdziestki. Miała wesołe oczy i ciągle się uśmiechała.

– Pani Beato, pani jest tutejsza, jak to było z Patejukami? – zapytał dyrektor.

– Jeśli kradli, to jedzenie. To nie były złe dzieciaki, tylko rodzice alkoholicy... Wszystko się zmieniło, jak dzieci rozjechały się do szkół z internatami, żadne tu nie wróciło. Zresztą, widziała pani ich dom? Jedna izba, jeden wielki barłóg... Do czego tu wracać?

– Dziękuję, pani Beato. – Dyrektor był zadowolony z informacji.

– Ależ proszę, panie Robercie. – Przy pożegnalnym uśmiechu w jej policzkach pokazały się dołeczki.

Wizyta w Nurcu niewiele dała. Zuzanna zastanawiała się, czy nie wstąpić jeszcze do siemiatyckiej komendy, ostatecznie jednak tam nie pojechała. Nie miała żadnego punktu zaczepienia, by pytać o coś więcej niż to, czego się wcześniej dowiedziała.

Jedynie miejsce, w którym mogłaby się dowiedzieć czegoś więcej, to siedlecka uczelnia, a z panią rektor miała się spotkać następnego dnia.

Wracała do domu zmęczona. Tuż przed Sarnakami, przed przejazdem kolejowym i drogą na Klimczyce do gospodarstwa Aliny Paluch, pomyślała o pijaczku Paprockim i braciach Wasilczukach.

– Z samopałem na lwa – roześmiała się.

Jedni widzą białe myszki, inni lwy i krokodyle.

– Samo życie!

Przyhamowała, bo przed torami zapaliły się czerwone światła, a szlaban zaczął się opuszczać. Nagle wyprzedził ją jakiś wariat i niemal otarł się o bok jej auta, w ostatniej chwili przemykając pod szlabanem. Dosłownie sekundę później z hałasem przejechał pociąg.

– Co za debil! Warszawiak! – Zdążyła tylko zobaczyć litery WE na tablicach rejestracyjnych.

Poczuła, że plecy ma mokre od potu, dobry humor prysnął jak bańka mydlana.

– Jedź, jedź, durniu, złapią cię przed Siedlcami.

W Stoku Lackim drogowka tylko czekała na takich jeleni.

Szef szybko zostawiał za sobą Mielnik. Specjalnie wybierał trasę z promem, byle choć przez moment poczuć bliskość z ziemią królów. Spieszył się, miał tyle spraw w Warszawie! Cholerny Tytus! Lojalny, pracowity, chętny do pomocy, ale także niezdarny i denerwujący. Koniecznie trzeba znaleźć kogoś do pomocy przy zwierzętach, pilnie! A wtedy Tytus zajmie się swoimi zadaniami, w których jest dobry.

Przecież on nie może tak często tu przyjeżdżać!

„Ochotnik” się nie nadawał. Dobrze, że odczekali dzień, bo podniosło się wielkie larum. Pijaczek, którego Tytus zgarnął po drodze, miał konkubinę. Cholerna baba poruszyła niebo i ziemię, żeby znaleźć łajzę, i pewnie zaraz by zgłosiła jego zaginięcie. Dobrze, że się wstrzymali z zaaplikowaniem jadu. Tytus musi się bardziej przyłożyć, coś jest ostatnio rozkojarzony.

Jak zwykle na drodze było pusto, więc Szef mocniej docisnął pedał gazu. Za to właśnie kochał to miejsce, nie było drugiego takiego zakątka Polski! Turyści go jeszcze nie odkryli, nie zdołali zdeptać, zapełnić, zajeść fast foodami i zalać falą wakacyjnej muzyki. Dolina Bugu miała w sobie jakąś pierwotność, raz przypominała stepy, raz mazurskie lasy. Zjeździł pół świata, a najpiękniejsze miejsce miał tuż pod nosem.

Zbliżał się do Sarnak, droga wciąż była pusta, słońce świeciło. Auto aż prosiło o kopa, więc ostro wszedł w zakręt. Wyjeżdżając na prostą, dostrzegł jakiegoś gruchota przed przejazdem kolejowym i opuszczający się szlaban. Nie było czasu na hamowanie. Zdążył w ostatniej chwili, szlaban zamknął się tuż za nim, a w lusterku wstecznym dostrzegł przejeżdżający pociąg.

– WOOOOOW!!!! – krzyknął pełną pierśią. – WOOOOOW!!!

Auto z mocą rwało do przodu.

Na dobrą sprawę musi zwolnić dopiero przed Siedlcami, w Stoku Lackim, tam często stali policjanci z radarem, a nie chciał głupiej wpadki. Zwłaszcza teraz, gdy farma się rozkręca. Im mniej śladów po jego wizytach w tej okolicy, tym lepiej.

Na myśl, że będzie tu przyjeżdżał razem z innymi turystami, udając jednego z nich, zaśmiał się dziko.

– Ale zabawa! A będzie jeszcze lepsza!

Niech no tylko farma ruszy!

## Rozdział 11

W powietrzu czuło się jeszcze miły chłód poranka, gdy Irena ustawiła na parapecie miedniczkę z wodą oraz spray do szyb i zaczęła myć okna. Dobrze, że szkła nie ubywa przy szorowaniu, bo...

– Dziurę wyskrobiesz – mruknęła postać w krwistoczerwonym kimonie, przemykająca niczym zjawa za jej plecami.

Matka Ireny była już po porannych ćwiczeniach rozciągających, dwóch kawach, a także kilku papierosach, i właśnie skończyła wczesne śniadanie. Razem z nią przepłynął mocny zapach Kenzo Jungle.

Żyje niezdrowo i w dodatku te perfumy! Irena tarła szybę z jeszcze większym zapamiętaniem.

Nie lubiła zapachu goździków, a z nimi właśnie kojarzyła się nuta Kenzo Jungle.

Nawet perfumy wybiera tak, żeby mi zrobić na złość! Szkło wydało wściekły pisk pod papierowym ręcznikiem.

– A rób sobie, co chcesz. Nigdy nie mogłaś usiedzieć w jednym miejscu przez pięć minut, ciągle musiałaś coś robić! – westchnęła starsza pani, u której skrzywienie wycieranego papierem szkła wywołało gęsią skórkę. – Jak przyjedzie Ignacy, niech od razu do mnie zajrzy.

Irena przerwała pucowanie okna.

– Ignac? Nie zapowiadał się.

– Do mnie przyjedzie. Chcę, żeby popatrzył na obraz... Chyba nie masz mi tego za złe?

Szyba znowu zaczęła skrzypieć, wycierana gwałtownymi kolistymi ruchami. Starsza pani przyłożyła końce palców do skroni, jakby nie mogła zebrać myśli.

– Ach, ta twoja potrzeba wiecznego kontrolowania wszystkiego i wszystkich – prychnęła i znikła w swoim pokoju.

Irena z furią cisnęła zmięty papier. Jednym susem doskoczyła do drzwi.

– Ja mam potrzebę kontrolowania?! Ja?!

Starsza pani odwróciła się zaskoczona. Stała już przy sztaludze, z pędzlem w ręce.

– A kto rano wypytywał Karola o jego życie? I tego Greka też?

– Bo ciągle ich nie ma! Wyjeżdżają o świcie, wracają przed północą. Moje dzieci od przyjazdu nie miały jeszcze dla mnie czasu, Marzena też jeździ po Polsce, zamiast odpoczywać u matki.

– Do ciebie chyba nie dociera, że twoje dzieci pracują.

– Pracują? Pracują! Kłóć się! Zawsze byli jak monolit, stali ramię w ramię, a teraz się kłóć! Słyszałam!

– Kłóć? Niemożliwe. Karol i Marzenka? O co się kłóć?

– Nie wiem, jak mnie zobaczyli, od razu przestali. Odnoszę idiotyczne wrażenie, że mnie unikają!

– To ich nie kontroluj. Czy ja cię kontrolowałam?

– Ha!

– Ha?

– Ha! – powtórzyła Irena z tym samym ładunkiem gniewu. – Jak miałaś mnie kontrolować, skoro nigdy cię przy mnie nie było?

Krystyna Komorowska odwróciła się plecami do córki i umoczyła pędzel w farbie wyciśniętej na paletę.

– Nie przesadzaj – powiedziała z godnością. – Doceń to, że dałam ci wspaniałą możliwość samorealizacji.

– Zostawiłaś mnie z dziadkiem.

– Mój ojciec, poza tym, że był strasznym dewotem, świata za tobą nie widział.

– Ale nie mógł sobie poradzić z piętnem posiadania nieślubnej wnusi. Nigdy nie poszedł na żadną wywiadówkę!

– Do takiej prymuski? Nie musiał. – Nerwowy ruch pędzla zdradzał, że spokojny ton pani Krystyny był tylko na pokaz. – Kochał cię... To mnie nienawidził.

Teraz widziała tylko plecy matki. Drobne ramiona w jednej chwili stały się wątłe i bezbronne. Ale było tak tylko przez moment. Głowa uniosła się, plecy wyprostowały, a pędzel zaczął się precyzyjnie poruszać po płótnie.

Irena pomyślała nagle o dziadku, wiecznie skrzywionym, małomównym i surowym człowieku. Nienawidził swojej córki? Raczej nie rozumiał jej stylu życia, artystki w każdym calu. Pewnie dlatego zrobił wszystko, aby wnuczka w niczym jej nie przypominała.

Starsza pani odwróciła głowę.

– Przecież przyjechałam po ciebie. – Rzuciła przez ramię.

– Wtedy byłam już w liceum!

– I dlatego zaraz uciekłaś z domu?! I po kryjomu wyszłaś za mąż?! – Matka odłożyła pędzel i sięgnęła po papierosa. Dym z cienkiej cygaretki zapachniał przyjemnie. – Myślałam, że już to sobie przepracowałaś, w końcu jesteś psychologiem! – zawołała z pretensją.

– Oczywiście, że przepracowałam! – Irena wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Starsza pani poprawiła kimono pod szyją i zaciągnęła się, jakby to miał być jej ostatni w życiu papieros.

– Ona chce, żebym ciągle się czuła winna – powiedziała do obrazu.

Znowu chwyciła pędzel. Dym z papierosa tkwiącego w kąciку ust gryzł ją w oczy, więc je zmrużyła i zawzięcie nakładała kolejną warstwę farby. Efekt wydał się na tyle zadowalający, że zaciągnęła się głęboko. W nagrodę.

Ignacy oczywiście został na obiedzie. Zmierzwił włosy sięgały mu już ramion, najwyraźniej malarz znowu je zapuszczał. W miesiącach niemocy twórczej ścinał je na krótko, a wtedy wyglądał jak urzędnik w depresji, zatruwający życie wszystkim dookoła. Teraz widocznie miał wenę, bo w dodatku był zadowolony. Wręcz słodki.

– Jest irytujący! – Irena zaciskała zęby. – Wszyscy są irytujący!

Podawała kawę w salonie, a matka rozsiadła się w fotelu i włączyła telewizor. Ustawiała, jak zwykle, kanał informacyjny.

Ignacy siorbał aromatyczny napój. Miał rozanieloną twarz.

– Ech, Irena – westchnął. – Jak ty gotujesz! Teraz bym się tak położył, muzyczka by grała, najlepiej stary dobry Armstrong... A pod wieczór bym malował, och, jak ja bym malował!

Nic nie odpowiedziała. Krótki uśmiech przez zaciśnięte zęby świadczył, że ta wizja nie na wszystkich działa równie terapeutycznie.

Starsza pani, która do obiadu przebrała się w dzinsowe spodnie i kolorową zwiewną tunikę, wpatrywała się w telewizor. Politycy komentowali właśnie jeden z „wolnościowych” marszów opozycji. Irena drgnęła, gdy na ekranie pokazało się nagle zdjęcie Andrzeja, pod które

podłożono głos z telefonicznego połączenia. Podpis wyjaśniał, że poseł przebywa za granicą.

– Co za palant. – Starsza pani skrzywiła się na jego widok. – Utłukłabym go pantoflem. Jakiż to ograniczony umysłowo hipokryta! Gdzie on widzi niewolę, że tak pieprzy o wolności dla Polski?! I jeszcze dzieciaki w to wciąga!

Irena odwróciła się szybko, czuła, że policzki jej płoną. Rzeczywiście, te poglądy Andrzeja były jeszcze bardziej irytujące niż jego cynizm. Gdybyż matka wiedziała, że ów „palant” jest kochankiem jej córki! Z podpisu pod zdjęciem wynikało, że Andrzej znajduje się w Chinach. Kompletnie nie rozumiał, jak niestosowne jest to, że komentuje marsze wolnościowe w Polsce z kraju nierespektującego praw człowieka i na zawsze okrytego hańbą po wydarzeniach na placu Tian’anmen. Dziennikarze sprytnie go wmanewrowali, a on, jak zwykle, nie wyczuł ich intencji. Chiny! Dlatego tak długo do niej nie dzwoni.

Tymczasem Ignacy gorliwie przytakiwał:

– Palant! Palant! Nawet w oczach taki jakiś palant!

Matka Ireny, zirytowana, ciągnęła swoją wypowiedź.

– Widzieliście te młode dziewczyny, które dziennikarz zapytał, dlaczego idą w marszu? „Bo chcemy wolności dla Polski!”. Przecież te dzieciaki nie wiedzą, o czym mówią! A za nimi cały szpaler kiboli, cieszących się na rozróbę. Do więzienia bym tych polityków powsadzała. A tego palanta pierwszego!

Irena usłyszała, że ktoś zajechał na podwórze.

– O! Regina! – krzyknęła z ulgą, widząc wysiadającą z auta koleżankę.

Ku zadowoleniu Ireny, przybycie Reni zmieniło temat rozmowy. Ignacy przyglądał się podejrzliwie przybyłej.

– A co ci tak oczy błyszczą? – zapytał zdziwiony.

Rudy kucyk ozdobiony koszmarnym błękitnym motylem podskakiwał wyjątkowo radośnie przy każdym ruchu głowy. Irena też musiała przyznać, że przyjaciółka wygląda na zadowoloną i... jakby ładniejszą? Regina trajkotała jak najęta i co chwila się śmiała. Śmiała! Zupełnie nie było to do niej podobne.

Irena pod byle pretekstem zawołała ją do kuchni. Gdy znalazły się same, szturchnęła przyjaciółkę w żebro.

– Gadaj! Co się dzieje?

Renia jakby tylko czekała na to pytanie. Emocje ją rozpieęły.

– Och! Ira! – Przyłożyła dłonie do policzków. – Mikołaj!

– Co, Mikołaj?

– Jaki on jest piękny, kiedy jest nagi! Hi, hi!

Filizanka rozprysła się dookoła. Irena kucnęła, aby zebrać odłamki z podłogi. Regina padła obok niej na kolana i kontynuowała szeptem:

– Ja... My...

– Spałaś z nim?!

Rudy kucyk kiwał się potakująco z absolutnym zachwytem, a błękitny motyl jaśniał niczym aureola. Zgroza malująca się na twarzy gospodyni jakoś umknęła jej koleżance. Regina zrobiła uroczystą minę.

– Irenko! – spytała z powagą. – Czy będziesz moją druhną?

– Druhną?!

Szeroko otwarte oczy zamrugały.

– No, na naszym ślubie... Co ci tak skacze warga?

Irena gwałtownie przycisnęła palce do drgającego kącika ust. Nagle nad ich głowami rozległ się zdziwiony głos starszej pani.



– A co tu się dzieje?  
– Irenka upuściła filiżankę. – Renia podniosła się szybko, rzucając koleżance wymowne spojrzenie.

Ta od razu zrozumiała: plany „narzeczonych” to jeszcze tajemnica. Oszołomiona patrzyła na kawałki porcelany trzymane w dłoniach i odetchnęła, gdy tamte dwie wyszły z kuchni.

Nagi Mikołaj?!

Widywała go w kąpielówkach na Mazurach lub nad morzem... Dwumetrowe chłopisko było pięknie zbudowane... Ale on i Regina?! Poczula ukłucie zazdrości. Przecież to do niej Mikołaj wzdychał przez lata. Był przy niej, gdy przeżywała katusze rozvodu. Przez długi czas zastępował jej dzieciom ojca! I był dla nich najwspanialszym zastępczym tatą na świecie. Był... był jak rycerz! Zawsze blisko niej, na wyciągnięcie ręki, gdy go potrzebowała, taktowny, nienarzucający się. Tylko że jakoś im się nie ułożyło. Mikołaj...

Och, nie bądź takim psem ogrodnika, strofowała się w duchu. Jak długo można być rycerzem? Zresztą... masz Andrzeja.

Jej monolog wewnętrzny przerwał nagle Ignacy, który stanął w progu kuchni.

– Irka, tak sobie pomyślałem, że skoro masz ten domek dla gości, to może zatrzymam się u ciebie na jakiś czas?

– Co?

– Stoi pusty, mógłbym w nim popracować. Ach, te twoje obiady. Ty wiesz, czego potrzebuje mężczyzna. A ciasto może też robisz?

– Jakie ciasto?

– No, ciasto... Dobrze się czujesz?

– Tak, tak.

– To świetnie, jadę po swoje rzeczy.

Zniknął zadowolony, a resztki stłuczonej filiżanki wylądowały w koszu na śmieci.

Z salonu dolatywały głosy z telewizora. Matka Ireny prychnęła jak kotka na kolejnych polityków i tylko przez moment przyszło jej na myśl, że córka jakoś bez hysterii i lamentów pożegnała się ze swoją ukochaną filiżanką, ostatnią ze starego kompletu. Może w końcu dorosła, pomyślała. Z pasją wycelowała pilotem w telewizor i przełączyła się na inny kanał, bo na ekranie znowu pojawił się ten palant. Andrzej jakiś tam. Ograniczony umysłowo hipokryta.

## Rozdział 12

Komisariat w Mordach przeżywał dziś oblężenie. Mnóstwo interwencji, mnóstwo skarg i telefonów, miało się wrażenie, że ludzi ogarnęło jakieś szaleństwo. Aspirant Zuzanna Brodzik spojrzała na kalendarz.

– Ha! Tak myślałam! Pełnia!

Łukasz spojrział na nią ze zboląłą miną.

– Żartujesz. To wina pełni? Myślałem, że życie generalnie jest do dupy.

– Łukasz! Więcej optymizmu!

Kolega załomotał w pierś pięściami niczym Tarzan.

– Hura! Życie jest do dupy! Yes! Yes! Yes! Tak lepiej?

Zuzanna wymownie popukała się palcem w czoło.

– Myślałam raczej o tym, że pełnia minie.

Po minie Łukasza poznała, że to niewielka pociecha.

Zuzanna była dziś umówiona w rektoracie siedleckiego uniwersytetu, gdzie miała się spotkać z wykładowcami Pawła Patejuka. Miała jeszcze trochę czasu do spotkania, więc pomagała kolegom, w czym tylko mogła. Rozumiała wściekłość Łukasza, ona też przyjechała do pracy w podłym nastroju po porannej kłótni z majstrem. Nerwy miała napięte jak postronki, a pan Jurek chyba się uwziął, żeby sprawdzać dziś granice jej wytrzymałości. Wydzwaniał na komórkę, a Zuzanna złośliwie nie odbierała. Pełnia!

Wyciszyła dźwięk w telefonie, ale aparat wibrował tak, że jeździł po biurku niczym łyżwiarz figurowy na lodzie. W pewnym momencie doskonale zrozumiała szaleńców, którym rzeczywistość wymykała się spod kontroli do tego stopnia, że sięgali po broń lub robili inne głupie rzeczy.

– To jakiś dzień świra! – warknęła.

Zacisnęła zęby i kolejny raz nie odebrała połączenia. Kłótniwy majster był jednak uparty i po chwili przerwy telefon na nowo zaczął swój taniec.

Pokłócili się rano o miejsce do wyrabiania cegieł. On chciał jak najbliżej bramy, ona wręcz przeciwnie.

– Przecież tu cały czas będzie stała kałuża! Jak mam wjeżdżać do garażu? Proszę zrobić stanowisko o tam, w najdalszym kącie! – tłumaczyła mu podniesionym tonem.

– W cieniu?! A jak mają schnąć te cegły?

– Przewiezie je pan na wzgórze w pełni słońca. W książce napisali...

– Aaaa, w książce napisali! – Pan Jurek lekceważąco wzruszył ramionami. – Jasne.

– Tam ma być stanowisko – zadecydowała zimno Zuzanna.

Pan Jurek musiał ulec. Teraz ostentacyjnie dzwonił z każdą najgłupszą duperelą! Bo może znowu będzie chciał zrobić coś inaczej niż napisane w książce, jak złośliwie wyjaśnił.

Telefon wariował, a świdrujące spojrzenia znad komputerów znów wbiły się w jego właścicielkę. Pierwszy nie wytrzymał Łukasz.

– Zuza, proszę, odbierz, pracować się nie da!

Ze złością sięgnęła po aparat. Zanim włączyła funkcję „odbierz”, głośno wciągnęła powietrze. Uspokój się, uspokój się, uspokój się!

– Halo?

Jej głos zabrzmiał niemal naturalnie. W oczach kolegów błysnęło uznanie.

Po chwili ciszy usłyszała wyjątkowo słodki głos pana Jurka.

– Czy przeszły już pani poranne szaty?

On też musiał chyba wziąć kilka wdechów, by wykrzesać z siebie taką słodycz.

Zaciśnięte na aparacie palce Zuzanny zbieleły.

– Nie wiem, o czym pan mówi. O co chodzi? – zapytała lodowato.

Spojrzenia kolegów zabarwiły się triumfalnym: „Ha! Jednak nie wytrzymała!”.

W pokoju czuło się napięte oczekiwanie na ciąg dalszy.

Wdech!

I jeszcze jeden!

– O co chodzi, panie Jurku?

Rozczarowani koledzy wcisnęli nosy w protokoły.

– Porobiłem już te placki na próbę, jak sobie pani życzyła... Schną...

– Nie placki, tylko próbki, panie Jurku, próbki. Świetnie! Zapisał pan, które powstały z jakich proporcji?

– Wszystko jest w notesie, co to mi pani zostawiła. Co teraz książka mówi?

Wdech.

I jeszcze raz.

– Obejrzymy próbki, jak wyschną, i wybierzemy do produkcji te, które będą najtrwalsze i niepopękane – powtórzyła zadziwiająco spokojnie to, co już tłumaczyła majstrowi.

Pokłócili się też o to, że chciał robić cegły od razu, zdając się na własne doświadczenie, bez próbnego mieszania gliny z piachem. Tymczasem Zuza wyczytała, że każda glina ma w sobie pewną zawartość piachu, więc trzeba dokładnie określić proporcje składników, by cegły nie rozpadały się lub nie pękały.

– Czy coś jeszcze? – zapytała uprzejmie, bo pan Jurek nie kwapił się z zakończeniem rozmowy.

– Tak... Zapłaciła już pani za słomę?

– Zapłaciłam. A co, ktoś twierdzi, że jestem coś winna?

– Nie, ale szkoda, że pani zapłaciła. Przejrzałem baloty. Kilka jest zbutwiałych w środku, nie nadają się. To ja wracam do roboty.

– Kurwa mać!

Nie wiedziała, czy majster usłyszał przekleństwo, zanim się rozłączył, ale potrafiła sobie wyobrazić jego satysfakcję. Miał jej za złe, że wiele rzeczy załatwia sama, bez porozumienia z nim. Jak choćby zakup słomy.

Wściekła podniosła się zza biurka. Już ona dorwie tego cwaniaka, który ją zapewniał, że słoma jest sucha i nie przeleżała kilku lat w zapomnieniu. Drań jeden! Jakby miała pieniądze do wyrzucania w błoto! Wyraźnie zaznaczała, że słoma musi być pierwszorzędna, bo posłuży do budowy domu, ale, oczywiście, uznał ją za idiotkę, jak większość tych, którzy dowiadawali się, że buduje dom z gliny i słomy. Niech to szlag!

Łukasz spojrzął na nią ze współczuciem.

– Pełnia!

Czy jej się wydawało, czy jego uśmiech jest złośliwy?

Sięgnęła po czapkę. Nie będzie cały dzień rozpamiętywała kłótni z majstrem. O nie! Zajmie się robotą. Dostała pierwszą poważną sprawę i jeszcze im wszystkim pokaże! Znajdzie mordercę Patejuka.

I zbuduje dom z gliny.

Pomimo wszystko.

Jechała powoli na miejsce zbrodni i rozglądała się po okolicy, próbując zapamiętać topografię terenu. W jaki sposób Patejuk tutaj się znalazł? Nikt go nie znał, nie przyjechał z żadnym z przesłuchiwanym gości. Dotarł autobusem? Szedł na piechotę? W portfelu miał dowód osobisty, ale nie było prawa jazdy ani dowodu rejestracyjnego auta...

Co za odludzie.

Dojechała do drogi gruntowej prowadzącej na posesję i spojrzała na licznik odmierzający odległość od przystanku autobusowego. Około dwóch kilometrów.

Zawróciła na przystanek. Oczywiście rozkład przyjazdów i odjazdów został zerwany.

Weszła na najbliższe podwórze. Na progu domu szybko pojawiła się kobieta w kuchennym fartuchu.

– Co znowu zmalował? – zapytała gniewnie. – Nogi z dupy mu powyrywam. Bił się?

– Obawiam się, że to pomyłka – mruknęła niepewnie Zuzanna.

Na twarzy kobiety odmalowała się ulga.

– To pani nie w sprawie syna?

– Nie, mam pytanie...

– A to proszę, proszę! Wejdzie pani władza? Obiadek robię, coś szybko nałożę. Ja to zawsze mówiłam, że bab w policji powinno być więcej – trajkotała.

– Nie, dziękuję. – Zuzanna uśmiechnęła się do gospodyni.

Wyciągnęła zdjęcie Patejuka i podsunęła kobiecie.

– Był w jasnych dżinsach i kraciastej koszuli z krótkimi rękawami. Mógł tędy przechodzić w niedzielę. – Wskazała drogę. – Widziała go pani?

– Coś niewyraźnie na tym zdjęciu wyszedł... To może ten zabity?

Zuzanna westchnęła.

– Ten zabity – potwierdziła. – Po południu przyjeżdżają tu autobusy?

– Ostatni o szóstej wieczorem. Z Siedlec. Pozabierali nam autobusy! Co za czasy! Dzieciaki idą aż od głównej szosy, gdy wracają później ze szkoły.

– Tylko z Siedlec przyjeżdżają autobusy?

– Tutaj tak, a na szosie, wiadomo, zatrzymują się i te z Łosic. A tego zabitego chyba widziałam. – Oddała zdjęcie.

– Gdzie? Kiedy?

– Nie wiedziałam, że to zabity, ale jak pani o tych dżinsach powiedziała, to sobie przypomniałam. Szedł taki... odprasowany. Spodnie bez załamka żadnego, a rękawek w koszuli niby krótki, ale w kancik. Zapamiętałam, bo teraz chłopaczyska noszą albo dresy, albo takie wiszące wszystko. A on elegancik... Chudzińek był z niego... Nie miał szans przy jakimś bandycie. – Skrzywiła się ze znużeniem.

– Niósł jakąś torbę? Plecak?

– Nie... Trochę się garbił. Szedł jak do kościoła, tak sobie nawet pomyślałam, bo przecież była niedziela.

– I tym ostatnim autobusem z Siedlec przyjechał?

– A, nie, w niedzielę nawet tego o szóstej nie ma! Kanalie! On już tak pod wieczór szedł, ja wyglądałam, czy syn przyjedzie, ale tylko ten zabity szedł od szosy. A ta moja cholera dopiero przed północą do domu złądowała! Oj, mówię, pani władzo, chłopaczyska w tym wieku to nieszczęście, a jeszcze jak starego nie ma, bo wie pani, mój na tirach jeździ, to dzieciak pasa na dupie nie czuje! No, teraz on za duży, żeby go w dupę lać, to i robi, co chce!

Oszołomiona Zuza słuchała żalów kobiety.

– Czy był sam? – Przerwała potok słów tamtej.  
– No szkoda, żeby mi o tej porze gówniarz towarzystwo do domu sprowadzał! Na tyle to mam jeszcze do powiedzenia!

– Ten mężczyzna był sam? – Wskazała na zdjęcie Patejuka.

– Aaa, zabity. Sam szedł, sam...

Zuza pożegnała się z gadatliwą gospodynią, wymawiając się grzecznie od obiadu.

No, proszę. Patejuk przyjechał autobusem. Od szosy do przystanku miał jakieś trzy kilometry, a potem jeszcze dwa. Pięć kilometrów pokonał na piechotę. Musiał się liczyć z tym, że ktoś go zobaczy, więc skoro szedł drogą, raczej nie zależało mu na dyskrecji. Przyjechał, aby się z kimś spotkać? Z kim?

Przebyła trasę, jaką miał do pokonania Patejuk, i zatrzymała samochód na podwórzu, na którym znaleziono zwłoki chłopaka. Stał tu cytrynowy garbus z gdańską rejestracją, a obok srebrna toyota z dyskretnym logo warszawskiej wypożyczalni aut. Z otwartego okna na piętrze dolatywała dosyć głośna muzyka jazzowa. Przez chwilę pojawiła się w nim głowa starszej kobiety. Starsza pani miała włosy przewiązane barwną szarfą, a w kącikach lekko wykrzywionych ust tkwił cieniutki papieros. Po beznamytnym zlustrowaniu, kto przyjechał, głowa szybko zniknęła.

Zuza rozejrzała się uważnie po podwórzu. Czy Patejuk stał w tym miejscu? Przed domem? Raczej nie, bo wówczas na pewno ktoś by go zobaczył. Więc jak to, szedł drogą, nie kryjąc się, a tu starał się być niewidzialny?

Obecność tylu osób go zaskoczyła, notowała w myślach wnioski. Dlaczego się schował, nie dołączył do gości? Przestraszył się kogoś z obecnych?

– Czym mogę służyć?

Odwróciła się i stanęła oko w oko z właścicielką posesji. Emerytowana psycholog więzienna – Zuzanna szybko przypomniała sobie akta.

– Mam do państwa parę pytań, dzień dobry.

– Dzień dobry. Niestety, syna w tej chwili nie ma, cały czas pracuje przy reportażu

– odrzekła stropiona gospodyni. – Ale ja jestem do dyspozycji.

– Kto przyjechał? – Zza drzwi wychyliła się młoda dziewczyna.

– To moja córka, Marzenka – wyjaśniła kobieta. – A to pani...

– Aspirant Zuzanna Brodzik.

– No właśnie, córciu, pani aspirant przesłuchiwała nas po tym, no wiesz...

Dziewczyna stała bez słowa. Miała tak samo czarne oczy jak jej brat i była do niego niesamowicie podobna. Zuza przypomniała sobie jego rozbawione, bezczelne spojrzenia podczas przesłuchania i poczuła irytację. Jej rozmówczyni jakby to wyczuła szóstym zmysłem, bo wzięła córkę za rękę.

– Marzenka przyjechała wczoraj. Pracuje za granicą, nie zostanie zbyt długo w Polsce. A jutro jedzie do Warszawy...

– Mamo, pani aspirant nie interesuje, co robię i co będę robić. – Dziewczyna przerwała nerwowe wyjaśnienia.

Na chwilę zapadła cisza. Zuzanna odczekała moment i spytała:

– Kiedy pani przyjechała do Polski?

– Mówiłam: wczoraj – powtórzyła matka dziewczyny.

A sama Marzena milczała. Czarne oczy nie wydawały się bezczelne. Patrzyły czujnie.

– Co panią do nas sprowadza, pani aspirant? – Właścicielka domu przybrała oficjalny ton.

– Chciałabym jeszcze się rozejrzeć.

– Skoro pani musi...

Idąc w stronę drewnutni, czuła ich wzrok na plecach. Działka nie była ogrodzona i nie miała bezpośrednich sąsiadów. Po obydwu jej stronach rozciągały się ugory, za nimi pola, a pierwsze zabudowania znajdowały się jakieś dwieście metrów dalej. Wzdłuż granicy posesji rosły drzewa i krzewy. Sceneria idealna dla zagadki kryminalnej, w sytuacji, gdy nikt nie widział i nie słyszał ofiary. Oprócz mordercy.

Cierpliwie obeszła dookoła całą posesję, przedzierając się przez krzaki i patrząc uważnie pod nogi. Potem zniechęcona wróciła do auta.

– Oczywiście nikt nie znalazł telefonu komórkowego?

– Telefonu?

Zuza westchnęła.

– Gdyby przez przypadek znalazła się tu jakaś porzucona komórka, proszę natychmiast mnie powiadomić.

Wsiadła do samochodu i ruszyła do Siedlec z poczuciem, że tylko straciła czas. Miała nadzieję, że dowie się więcej o Patejuku na uczelni.

Spotkanie z wykładowcami miało się odbyć w gabinecie pani rektor, w Pałacu Ogińskich. Odnowiony klasycystyczny budynek robił imponujące wrażenie. Gdy Zuzanna szła po marmurowych schodach, jej skórzane policyjne buty wydawały charakterystyczne skrzypiące dźwięki. Wchodziła na piętro, czując na plecach nieufny wzrok portiera. Zrobiło jej się nieswojo, aż spojrzała pod nogi, czy nie zostawiła brudnych śladów na lśniącej posadzce.

W gabinecie czekały na nią same kobiety. Pani dziekan podeszła z wyciągniętą ręką.

– Rozmawialiśmy przez telefon. Witam. – Mocno uściśnęła dłoń policjantki. – To jest pani rektor, to pani kierownik wydziału, to pani magister, opiekunka roku – szybko dokonywała prezentacji, wymieniając błyskawicznie nazwiska i tytuły naukowe.

– Siedlce to miasto kobiet. – Uśmiechnęła się Zuzanna. – Podoba mi się tu.

– A pani?... Skąd pani jest, pani aspirant? – Pani dziekan uniosła brwi.

– Pochodzę z Sanoka.

– Oooo! – Kobiety radośnie spojrzały na siebie. – Piękne miasto! Tylko ratusz macie taki... różowy. Za to Muzeum Beksińskiego fantastyczne! No i wioska galicyjska! Och, Sanok!

Wprost rozplywały się w zachwytach. Zuza była przyzwyczajona do takich reakcji.

– Siedlce też są piękne.

– Policjantce nie wypada mówić inaczej, w końcu mamy więzienie w centrum miasta. Dla stróża prawa to z pewnością dodatkowy bonus, co? – Pani rektor się roześmiała, a Zuza poczuła do niej sympatię.

– W Sanoku jest podobnie. Areszt też jest na wprost banku, jak tutaj, więc czuję się jak u siebie.

Atmosfera zrobiła się luźniejsza i Zuzanna poczuła, jak schodzi z niej całe napięcie. Otworzyła notes w czarnych okładkach i zapisywała wszystko, co o studencie Pawle Patejuku pamiętały jej rozmówczynie.

Spokojny, niczym się nie wyróżniał, oceny przeciętne. Na pierwszym roku jeździł jako wolontariusz do warszawskiego schroniska dla psów. Był studentem zootechniki, więc lubił zwierzęta, imponował wiedzą o nich. Dlatego dał się zapamiętać. Jacyś wrogowie? Tego nie wiedziały. Jeździł konno w uniwersyteckim klubie i był bardzo dobrym jeźdźcem. Gdzie pracował po studiach? Nie wiedziały. Ale był pracowity i dosyć zaradny, bo na studiach sam się utrzymywał, miał bardzo skromne stypendium socjalne. Jakaś dziewczyna? Nie wiedziały. Kto

jeszcze mógłby coś o nim wiedzieć? No tak, koledzy z roku, ale nie miały z nimi kontaktu, mogą podać listę z nazwiskami całego rocznika.

– Czekajcie! A może Marek? – zastanowiła się opiekunka roku. – Zawsze mieli o czym rozmawiać.

– Rzeczywiście, Marek! Zupełnie o nim nie pomyślałam! – tłumaczyła się pani dziekan. – Już dzwonię po niego.

Zuzanna się ożywiła.

– Kolega Patejuka?

– Nie, nie... profesor Marek Froglet. Mamy tu prawdziwą światową sławę! Specjalista od pajaków, brrr...

Zuza poczuła rozczarowanie, ale nic nie powiedziała. Czekwała cierpliwie na profesora. Kolejny dziwak od robali! Jeśli i on zacznie jej opowiadać o tykaniu, skrobaniu i innym kłaskaniu, nie ręczy za siebie.

Po paru minutach Marek Froglet zastukał do gabinetu, a wtedy wszystko zaczęło się dziać jak w zwolnionym tempie. Drzwi otwierały się niesłychanie powoli, wysoki mężczyzna szedł ku niej powoli, a jego włosy do ramion wolniutko rozwiewał delikatny podmuch wiatru. Serce Zuzanny Brodzik również biło w zwolnionym tempie, a upuszczony długopis z wolna poturlał się wprost pod nogi zjawiska...

Marek Froglet... Specjalista od pajaków...

O Jeeezu... Że też musi być taki przystojny...

– Pani aspirant... Dobrze się pani czuje?... Pani aspirant!...

Ten dzień nie był jednak taki zły...

Zuzanna Brodzik miała nadzieję, że jej chwilowa zapaść intelektualna została przypisana panującemu upałowi. Bąknęła coś o przepracowaniu i łąpczywie wypła szklanek zimnej wody podsunęta usłudze przez panią rektor. Potem pomaszerowała za Markiem Frogletem do jego pracowni.

Naukowiec opowiedział jej o studencie, który chętnie odwiedzał uczelnię po zakończeniu nauki.

– Paweł Patejuk miał zaskakująco dużą wiedzę o pajakach. Praktyczną – podkreślił Froglet. – To nie były informacje przeczytane w książkach czy internecie. Rozmowa z nim była dużą przyjemnością, jak z kolegą z tej samej branży.

Niestety, naukowiec nie znał adresu byłego studenta, nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby o to zapytać. Chłopak bombardował go pytaniami o zwyczaje rzadkich pajęczaków i dzielił się ciekawostkami na temat innych egzotycznych zwierząt.

– Czasem odnosiłem wrażenie, że ma obsesję na punkcie najbardziej groźnych gatunków. Pytał mnie o meduzę *Chironex fleckeri*, nazywaną osą morską. Najczęściej można ją spotkać w morzach przy północnych brzegach Australii, gdzie kiedyś prowadziłem badania. Meduza ma tyle trucizny, że mogłaby uśmiercić nawet dwadzieścia osób, i to w ciągu kilku minut. Paweł świetnie się znał na jadowitych gadach i płazach. Ropuchę *Bufo* opisał mi tak, jakby ją widział na własne oczy, a o skorpionach mógłby napisać podręcznik. – Wykładowca nie krył uznania.

– Czyli zdobył dosyć specjalistyczną wiedzę, tak?

– W sumie tak... Jego wiedza daleko wykraczała poza standardowe informacje o gatunkach.

– Myśli pan, że dalej gdzieś studiował?

– Och, nie! Powiedziała by o tym. On miał wiedzę... praktyka. Imponującą! Podam pani przykład...

– Tak?

– Raz zapytał, czy pobierałem kiedykolwiek jad od pająka. Odrzekłem, że nie, bo nie miałem takiej potrzeby, a wtedy on zaczął opowiadać, jak to się robi. – Naukowiec popatrzył przenikliwie na Zuzannę. – Dwutlenkiem węgla usypia się czujność pająka, a następnie małą dawką prądu prowokuje go do uwolnienia jadu, który spływa do szklanej fiolki połączonej ze szczękoczułkami...

Zuzanna słuchała Frogleta jak zahipnotyzowana.

– Robił to?!

– Zapytałem o to samo. Zaczął się śmiać i stwierdził, że wiele razy. Najlepsze zostawił na koniec. Przyznał się, od jakiego pająka pobierał jad.

– No, niech pan mówi!

– Od *Phoneutria nigriventer*. To wałęsaka brazylijski!

Po minie naukowca Zuzanna zorientowała się, że przekazał jej jakąś sensacyjną wiadomość.

– To dobrze czy źle?

Froglet popatrzył na nią jak na dziecko.

– To jeden z najbardziej jadowitych pająków na świecie! W Brazylii umierało rocznie około tysiąca ukąszonych przez niego osób, dopóki nie wynaleziono surowicy. Skutki jego ukąszenia są dosyć charakterystyczne, gdyż jeden ze składników jadu powoduje u mężczyzn wzwód. Bolesną wielogodzinną erekcję!

Zuzanna się zaczerwieniła.

– Dziwne objawy.

– Trwają prace nad wykorzystaniem jadu wałęsaka w leczeniu impotencji. Badania na pewno potrwać jeszcze długo, bo oprócz erekcji ukąszony ma jeszcze inne objawy. Traci kontrolę nad mięśniami, ma problemy z oddychaniem i jeśli nie przyjmie szybko surowicy, może umrzeć.

– Straszne! – Wzdrygnęła się. – I Patejuk pobierał od wałęsaka jad? Po co?

– Dobre pytanie!

– Przecież to niebezpieczne. Gdzie on to robił, gdzie go trzymał?

– Wydaje mi się, że pracował u kogoś, kto miał imponującą hodowlę. Ja sam też, oczywiście, zapytałem go o to, ale wymigał się od odpowiedzi. Odrzekł tajemniczo, że to takie małe prywatne zoo.

Zuzanna dostała wypieków.

– Gdzie?! Gdzie jest to zoo?

– Nie wiem, nie drążyłem tematu. Paweł nie tylko dzwonił, często wpadał na uczelnię, czyli musiał przebywać gdzieś w miarę blisko, w okolicy. Tym bardziej że sam nie jeździł samochodem, pochodził z biednej rodziny i nie miał prawa jazdy, o aucie nie mówiąc. Wie pani, ten chłopak był sam jak palec. Na święta nie jeździł do domu, tylko dorabiał sobie jako stróż. Kiedyś myślałem, że jest sierotą, przez przypadek dowiedziałem się, że rodzice to jakaś patologia.

– Jeśli nie miał samochodu, to rzeczywiście musiał mieszkać albo pracować gdzieś blisko...

– Wydaje mi się, że dojeżdżał autobusem lub z kimś, kto bywał w mieście, a wtedy Patejuk korzystał z okazji i wpadał na uczelnię.

Zuzanna pomyślała o spacerze, jaki tamten zafundował sobie od przystanku



autobusowego do miejsca zbrodni. Przyjechał autobusem.

Prywatne zoo... Czy są w nim wszystkie te niebezpieczne zwierzęta, o które wypytywał chłopak?

– A mówił, jakie jeszcze zwierzęta tam były? Mógł tam być lew? Albo krokodyl? Froglet się roześmiał.

– O takich podopiecznych nie wspominał, przecież jesteśmy w Polsce! Pajaka, skorpiona, żabę, węża można jeszcze przemycić, to nieduże stworzenia. Sam podczas swoich podróży miałbym okazję. Ale lew? Albo krokodyl?

Był szczerze rozbawiony.

– Wiem, jak to brzmi, ale słyszałam nieprawdopodobną historię...

– Domyślam się, że nieprawdopodobna, skoro pani pyta o lwa.

Zuzanna popatrzyła na notatki, które skrupulatnie sporządzała podczas rozmowy z Frogletem. Naukowiec rzucił nowe światło na postać Pawła Patejuka. Dlaczego chłopak zjawiał się na posesji Ireny Wilk? Po co tam poszedł? Z kim chciał się spotkać? Patejuk lubił zwierzęta, zajmował się nimi, a całe to towarzystwo na ognisku...

– Zna pan Mikołaja Gorazdę? Taki olbrzym, fotograf...

Froglet uśmiechnął się szeroko.

– Mikołaja? Jasne, że znam. To chodząca legenda! Ma wielką wiedzę i wielkie zasługi dla ochrony ginących gatunków.

– A Karola Wilka?

– To wychowanek Mikołaja, nie znam go osobiście, ale widziałem, co robi. Wróżę mu wielką przyszłość... Wie pani, w tym środowisku ma się wrażenie, że wszyscy się znają.

– A ten Patejuk mógł ich znać?

– Nie wykluczam. Na studiach Paweł jeździł z ekologami na blokady inwestycji w Dolinie Rospudy. Tylko że Mikołaja znają wszyscy, a on innych niekoniecznie.

– Jasne.

Aspirant Brodzik wracała do domu zamyślona. Prywatne zoo i „ludzie od robali”, jak nazywała to porąbane towarzystwo, mogli się jednak zetknąć wcześniej z Pawłem Patejukiem. Podobne zainteresowania, podobne kręgi... Ta śmierć nie była znowu tak przypadkowa, to pewne... Tylko kto zabił?

Szef był zadowolony: Tytus spisał się doskonale! Fotografie były dużej rozdzielczości, mógł je dowolnie powiększać na ekranie komputera i analizować wybrane fragmenty. Pierwsze zdjęcie raziło czerwienią otwartej rany.

Brrr!

Cieszył się, że nie musiał tego oglądać na żywo, fotograficzna dokumentacja w zupełności mu wystarczała. Nie lubił się kontaktować z „ochotnikami”. Oglądając zdjęcia i nagrania, czuł się jak w kinie. Tak było lepiej, bo na żywo... hmmm... Te ich krzyki... I ten ich zapach! Smród brudu i strachu... Okropność.

Powiększył zdjęcie i przyjrzał się miejscom na granicy rany i jeszcze zdrowej tkanki. No, tak! Skóra była brudna, zapewne niemyta tygodniami.

Ufff...

Ach, ci „ochotnicy”! Pijaki i brudasy!

Szef sięgnął wypielęgnowaną dłońią do szuflady biurka po notes i długopis. Notes otworzył się w miejscu zaznaczonym zakładką, gdzie były lakoniczne wpisy opatrzone datą i godziną. Reakcje organizmów ludzkich na kontakt z *Hemiscorpius lepturus* były bardzo

podobne do skutków ukąszenia pająka *Brown Recluse*.

*Ochotnik nr 1*

*Tuż po ukąszeniu:*

*Skarżył się tylko na ukłucie, nie było bólu.*

*Sześć godzin po ukąszeniu:*

*Rozpoczynają się uszkodzenia tkanek. Jest już pierwsza reakcja układu odpornościowego w celu oddzielenia jadu: pojawia się silny ból oraz swędzenie.*

*Dziesięć godzin po ukąszeniu:*

*Obrzęk i pęcherze na skórze.*

*Czternaście godzin po ukąszeniu:*

*Jad niszczy krwinki czerwone, powodując zatrzymanie dopływu tlenu do skóry wokół miejsca, w którym doszło do ukąszenia.*

*Pozbawiona tlenu skóra staje się szara, a w miejscu ukąszenia widać małą plamkę w kolorze czerwonym, dookoła pojawia się też czerwony pierścień.*

Szef się zamyślił. Na tym etapie jad, docierający do krwi przez naczynia włosowate, zaczyna wpływać na cały organizm. Dochodzi do martwicy tkanek i uszkodzenia narządów wewnętrznych. Pojawiają się dreszcze, gorączka, nudności, zawroty głowy, może wystąpić także wysypka... Jeśli surowica nie zostanie podana na czas, dochodzi do zatrzymania pracy nerek i do śpiączki.

Wrócił do notatek:

*Osiemnaście godzin po ukąszeniu:*

*Śpiączka. Pomoc medyczna udzielona zbyt późno.*

– Hmm... Niewydolność organów wewnętrznych nastąpiła zdecydowanie zbyt szybko! Ze złością zamknął folder ze zdjęciami „Ochotnika nr 1”.

Potrzebuje teraz „Ochotnika nr 2”. Jemu szybciej poda anatoksynę przeciwtężcową, bo przecież tylko tym środkiem dysponują polskie szpitale.

– Zobaczmy, na ile anatoksyna opóźni pojawienie się objawów.

Otworzył folder ze zdjęciami otrzymanymi od irańskiego lekarza leczącego skutki ukąszeń w swoim kraju. Przeczytał adnotację tamtego: „Dziewięćdziesiąt pięć procent przypadków ukąszenia *Hemiscorpius lepturus* zakończyło się śmiercią”.

Niedobrze! Za duża śmiertelność! Trzeba szybciej podać anatoksynę, a „Ochotnik nr 2” nie może być pijaczkiem, którego wyniszczony alkoholem organizm nie ma siły się bronić. Tym razem musi to być zdrowy mężczyzna, tak zdrowy jak obiekt zemsty, który – tego Szef był pewien – trafi do dobrej kliniki. Nie dostanie surowicy, ale będzie leczony objawowo znacznie lepiej niż zwyczajny pacjent.

Zajrzał jeszcze raz do dokumentacji irańskiego lekarza i znalazł odpowiedni fragment: „Wystąpiły głębokie i martwicze rany, wrzody na skórze. Najbliższy staw uległ zeszywnieniu”. Tak. „Ochotnikowi nr 2” trzeba szybciej udzielić medycznej pomocy.

Wtedy będzie wiadomo, kiedy i jakich objawów można się spodziewać... *Hemiscorpius lepturus*... Blizny po ranach powinny być tak rozległe, że przeszczepy skóry zajmą wiele lat, a sztywne stawy będą wymagały rehabilitacji...

Zaśmiał się głośno.

Dziki chichot najwyraźniej spodobał się kocurowi, który wskoczył na biurko i usiadł

niczym Sfinks na wprost swego pana. Zafascynowany patrzył w zimne szare oczy.  
SzeF wysłał Irańczykowi zdjęcia ran „Ochotnika nr 1” i opis postępującej choroby.

Jakie proponuje pan leczenie? Nadmieniam, że w Polsce lekarze nie mają wiedzy o jądzie skorpionów i pajaków, toteż zazwyczaj leczą takie przypadki objawowo. Proszę o wnioski.

Wysłał mejla.

Irański lekarz nie zapytał, jakim cudem w Polsce nagle rozpanoszył się *Hemiscorpius lepturus*.

## Rozdział 13

Żółwie oklejono taśmą izolacyjną i zapakowano w papier śniadaniowy. Udawały kanapki w turystycznej lodówce”.

Mikołaj odłożył zdjęcie, na którym żółwie rzeczywiście wyglądały jak apetyczne bułeczki owinięte w kanapkowy papier. Do pliku dopisał jeszcze datę przemytu i podał miejsce, w którym zwierzęta znalazły schronienie: zamojskie zoo. Sięgnął po kolejną fotografię. Z dziurawego nosa ogrodowego krasnala wypełzał wąż. W transporcie glinianych figurek było w sumie osiem węży i dwadzieścia jaszczurek. Mozolnie wpisywał dane: data, miejsce aktualnego przebywania zwierząt, ile przeżyło męczącą podróż, ile padło w czasie transportu lub w azylu w wyniku stresu. Brakowało tylko danych, czy przemytnik poniósł karę.

Część materiału wysłał już do grafików, plansze muszą jeszcze wrócić do niego, do akceptacji.

Wyprostował plecy i przetarł zmęczone oczy. Powinien już dawno pojechać nad Bug, by tam prowadzić swoje śledztwo, ale organizatorzy wystawy dosłownie przygnietli go natarczywymi mejlami. Musiał rzucić wszystko inne, posegregować materiał i wysłać sukcesywnie opracowane zdjęcia.

Sprawdził, która godzina. Był dziś umówiony z Marzenką w Mapie. Powoli zaczął zamykać foldery i strony internetowe, które pootwieriał podczas pracy. Czas zbierać się do wyjścia. Nagle na stronie portalu informacyjnego mignęło mu zdjęcie Janusza. Zaciekawiony rozwinął post. Była to relacja z pogrzebu biznesmena zmarłego na atak serca po morderczym maratonie. Głośna historia. Mężczyzna musiał być znany całej śmietance towarzyskiej, bo w ceremonii pogrzebowej wzięły udział gwiazdy z pierwszych stron gazet, jak też mnóstwo celebrytów. Mikołaj dostrzegł wśród gości także byłego partnera Janusza. Stylista i właściciel restauracji patrzyli na siebie wilkiem, co skrętnie odnotowały media. Janusz był błądy, miał nieprzyjemnie zacisnięte usta, a jego były kochanek wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować. Paparazzi, fotografując obu, liczyli chyba na jakiś skandal, mieli przecież pod nosem dziesiątki bardziej znanych osobistości. Obyło się jednak bez ekscesów.

Mikołaj uśmiechnął się pod nosem i postanowił pogratulować przyjacielowi zimnej krwi. Jest nadzieja, że uporał się w końcu z poczuciem odrzucenia, dzięki czemu wszyscy odetchną z ulgą.

Gdy przybyli do Mapy, właściciela nie było.

– Pan Janusz dzwonił, że jest już w drodze. – Grzeczny kelner uprzedził pytanie i podał im menu.

– Pewnie stoi w korkach – mruknął Mikołaj, widząc rozczarowaną minę Marzenki. Kelner uśmiechnął się tajemniczo.

– Szef na pewno znowu szukał inspiracji.

– Tak? A jak on to robi? – Marzena wyobraziła sobie Janusza medytującego, z zamkniętymi oczami i wielkim skupieniem na twarzy.

– Niewątpliwie sam państwu opowie. – Kelner wymigał się od odpowiedzi. – Efekty już mamy w menu.

Marzena ochoczo zabrała się do wertowania karty dań. Zerknęła spod oka na Mikołaja i wysoko uniosła brwi.

– Ty wcale nie żartowałeś, mówiąc o obiedzie z mchu i paproci!

Mikołaj przyglądał się chrześnicy i rozpierała go duma. Jaka ona ładna! Nie widział jej tak długo. To już nie była tamta zwariowana dziewczynka, siedziała przed nim pewna siebie, piękna kobieta. Czuło się w niej siłę i niezależność.

– I pomyśleć, że mam taką córkę! Chrzestną, ale zawsze córkę. A mógłbym...

– Tak, wiem, mógłbyś być moim ojcem. To czemu nie jesteś?

– Ech! Stare czasy. Powiedzmy, że nie byłem jeszcze gotów do małżeństwa.

– I chyba dalej nie jesteś, co?

– O, ty, smarkata! Patrzcie, jakie to złośliwe! – Zasłonił się kartą dań. – Co będziesz jadła?

– Na początek poproszę zupę z rydzów wzmocnioną ekstraktem z jałowca i tatar z łososia z tatarakiem i korą dębu, bo świetnie brzmi. A ty, wujek?

– A ja zupę z mchu z karmelizowanym igliwem sosnowym. I bitą śmietaną z liśćmi mięty i kielkami rzodkiewki, przygotowaną w ciekłym azocie. – Ułożył usta w ciup, jak dystyngowana dama, co wywołało atak śmiechu Marzenki.

Kelner uklonił się i cicho oddalił. Marzena z niedowierzaniem kręciła głową.

– Nie mogę! Ty i kielki?! Koniec świata! Zdradziłeś schabowego dla mchu i igliwia!

Mikołaj skrzyżował ręce na potężnej piersi.

– Kochanie, schabowego w Mapie nie uświadczysz. – Westchnął. – Ale zaraz po przystawce skuszę się na połędwicę z łosia z owocami aronii i wędzoną gruszką, polecam.

Marzena żałośnie wykrzywiła usta.

– Biedny łoś! Nie wiem, czy przejdzie mi przez gardło. Lubię łosie!

– Dziecko, ten łoś już nie żyje, nie miej skrupułów. Potraktuj to doświadczenie w kategoriach naukowych, jakbyś miała zjeść prażonego skorpiona.

– Skorpiona jadłam.

– No właśnie.

Dziewczyna z ciekawością rozejrzała się po modnej restauracji. Dawno tu nie była, ale lokal niewiele się zmienił. Nadal było tu pełno starych map pokazujących świat od czasów Krzysztofa Kolumba, jak też współczesne satelitarne zdjęcia piramid i chińskiego muru widzianego z kosmosu. Jedną ze ścian stanowiło wielkie akwarium z bajecznie kolorowymi rybami, w drugim kącie stało akwarium z zadumanymi krabami.

O tej porze w restauracji nie było wielu gości. Przy oknie siedzieli skośnoocy biznesmeni w szarych garniturach, obok nich jakaś zakochana para, dalej dwóch mężczyzn przy osobnych stolikach, a w najdalszym kącie łysy facet w sportowej marynarce. Pod szyją miał fantazyjnie wywiązaną kraciastą apaszkę.

– Patrz, jaki żarłok. – Dyskretnie wskazała go Mikołajowi. – Ileż on tego pozamawiał?

Przed łysym stał imponujący zestaw dań. W tym momencie im obojgu także podano przystawki.

– Ha! – To jedyne, co na ich widok zdołała wykrztusić Marzena.

Porcje były malutkie, podane w naczyniach z drewna, a tatar leżał na płaskim wypolerowanym kamieniu. Nic dziwnego, że łysy zamówił kilka dań, przemknęło jej przez głowę.

Do Mikołaja podjechał stolik spowity dymem. Mężczyzna ubrany w śnieżnobiały uniform wyjął spod obrusa metalową bańkę i nalał do miski mlecznobiałą dymiącą ciecz. Ciekły azot. Natychmiast wrzucił do niej liście mięty i kielki. Po chwili dał się słyszeć delikatny odgłos, jakby w miskę uderzały małe kamyki, a zaraz potem na talerz Mikołaja (prawdziwy, nie drewniany) posypały się kielki niczym malutkie druciki, a między nimi zamrożona mięta.

– Jest jak czips, popatrz. – Mikołaj rozkruszył jeden listek.  
– Kuchnia molekularna! Słyszałam o niej, ale jeszcze nie próbowałam. Super! Daj kielka!

– Szybko sięgnęła do talerza i porwała drucik.  
O talerz Mikołaja stuknęła kulka bitej śmietany, wyglądającej jak beza. Wziął ją do ust, ciesząc się w duchu na reakcję dziewczyny.

– O jaaaa... – Marzenka patrzyła zachwycona, jak z jego ust wydobywają się smugi dymu.

Zamknął je, a wtedy dym buchnął nosem. Marzenka pisnęła radośnie jak małe dziecko.

– Efekt smoka – wyjaśnił zadowolony.

Nagle za ich plecami rozległy się głośnie, oddzielone pauzami oklaski.

– Bra-wo, bra-wo, bra-wo! Stary efekciarzu!

– Wujek Janusz! – Marzenka rzuciła się w ramiona właściciela Mapy.

Mikołaj jeszcze puszczał dym nosem, gdy restaurator objął dziewczynę. W odróżnieniu od personelu parującego w białych fartuchach, ubrany był w czarny uniform z krwistoczerwonymi lamówkami. Włosy do ramion, rozdzielone idealnie prostym przedziałkiem, były lśniące i doskonale ułożone, jakby dopiero co wyszły spod ręki fryzjera. Jasnoszare oczy ocieniały długie, ciemne rzęsy.

– Wujku, dlaczego nie zostałeś modelem? – Marzenka z zachwytem wpatrywała się w Janusza. – Albo aktorem!

Uwielbiał komplementy.

– Niech cię ucałuję! – Z zadowoleniem wycisnął pocałunek na jej czole i usiadł przy stoliku.

Rozmawiali chwilę, przekomarzając się ze śmiechem. Mikołaj nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że przyjaciel jest spięty. Pewnie przez ten pogrzeb i spotkanie z byłym kochankiem. Zbyt świeże wspomnienia, ot co! Długie wypielęgnowane palce Janusza nerwowo stuknęły w blat stołu, jakby grały na pianinie.

Marzenka z podziwem wskazała akwaria zastępujące ściany.

– Są piękne! Czuję się jak na egzotycznej wyspie, a nie w Polsce, w zadymionej szarej Warszawie.

Janusz znowu uśmiechnął się błogo, jak zawsze, gdy ktoś go docenił.

– Jedyne, co mnie ostatnio uspokaja, to akwaria. A właśnie, Mikołaj, wiedziałeś, że koralowce się mordują?

– Owszem, taka *Catalaphyllia* zabije każdego koralowca w swoim pobliżu.

– No właśnie! Bestia!

– Bo ty zawsze sobie jakieś paskudztwo zainstalujesz, jakby pocziwe gupiki sprawiały mniej radości. Dobrze, że chociaż w Mapie masz same terapeutyczne egzemplarze.

Marzenka uśmiechnęła się pod nosem, bo знаła hobby Janusza. Jako dziecko nie mogła spać po wizytach w jego pełnym zwierząt domu. Janusz Bosak rzucił studia weterynaryjne na rzecz kulinarnej kariery i nigdy tego nie żałował, ale pozostała mu miłość do zwierząt.

– Gratuluję ci gwiazdki! Mama mi wszystko powiedziała! W Polsce nikt jeszcze nie ma gwiazdki w czerwonym przewodniku Michelina!

Restaurator skromnie opuścił wzrok, ale widać było, że pochwała sprawiła mu przyjemność.

– Dziecko, Rising Star to jeszcze nie gwiazdka, oznacza jedynie, że mogę dostać gwiazdkę w przewodniku w przyszłym roku, o ile restauracja utrzyma poziom. – Wykonał egzaltowany ruch wypielęgnowaną dłonią. – To tylko sygnał, że idę w dobrym kierunku.

– Fantastycznie! Przecież i tak jeszcze nikt w Polsce tego nie dokonał!

– Och, kochana, czuję oddech konkurencji na plecach, czuję... Dlatego tak to wszystko przeżywam. W każdej chwili może się tu pojawić inspektor! – Syknął przez zaciśnięte zęby.

– I żeby tylko raz!

Kelner podał Mikołajowi stek z łosia, co fotograf przyjął z wielkim zadowoleniem. Zerknął znad talerza na przyjaciela.

– Czego się boisz? Niech ten inspektor zjawi się jak najszybciej, żebyś miał to już z głowy. Jesteś nie do pobicia.

Marzenka przytaknęła z pełną aprobatą. Nie mieściło jej się w głowie, że Janusz może się bać jakiegokolwiek kontroli i oceny. W Mapie wszystko było niezwykle i perfekcyjne.

– Ech... A jak coś pójdzie nie tak? – Wypielęgnowane palce znowu zagrały tajemniczą frazę na stoliku.

– Wujek, kurczę, będziesz sławny. Szefowie kuchni, którzy zdobyli gwiazdki Michelina, sami stają się prawdziwymi gwiazdami. Od razu musisz napisać książkę kucharską! Bestseller jak nie!

Janusz uśmiechnął się z rozmarzeniem.

– Marzenko, musisz częściej mnie odwiedzać. Lepiej wróć już z tych antypodów.

Dziewczyna uśmiechnęła się zadowolona, jednak Mikołaj wtrącił swoje trzy grosze.

– No, z drugiej strony, gdy restauracje traciły gwiazdki, dochodziło do dramatów – zauważył filozoficznie. – Nawet do samobójstw.

Przyjaciół posłał mu mordercze spojrzenie.

– Świetnie. Po prostu świetnie – warknął. – Ty zawsze potrafisz podnieść człowieka na duchu.

Marzenka współczującym gestem położyła mu rękę na dłoni.

– Pewnie teraz nie masz czasu dla siebie i zwierzaków, bo ciągle musisz siedzieć w restauracji, co?

– A, właśnie że nie! – Janusz z triumfem uniósł palec wskazujący do góry.

– Od przygotowywania potraw mam ludzi. Ja więcej czasu spędzam teraz w laboratorium. Niezwykłym laboratorium smaków!

– Rany boskie – jęknął Mikołaj, patrząc na swój talerz.

– Liczy się to, co ma się tu. – Janusz popukał się wymownie w czoło. – Jestem kreatorem smaku, a nie kucharzem stojącym przy piekarniku. Szukam inspiracji, nieodkrytych połączeń i piszę nową kulinarną historię współczesnej cywilizacji. Za to właśnie przyznano mi status wschodzącej gwiazdy Michelina, ty ignorancie. – Zmierzył przyjaciela gniewnym wzrokiem.

– Ale zaraz laboratorium? Czy dziś nic już nie znaczą słowa „kuchnia”, „spizarnia”? Nie można zwyczajnie gotować?

Marzenka, czując awanturę wiszącą w powietrzu, zapytała szybko:

– To tam szukasz inspiracji? Kelner coś nam wspomniał...

Janusz zrobił minę, jakby nie był zadowolony z gadatliwości pracownika, i dziewczyna pożałowała, że wspomniała o tym.

– Inspirację można znaleźć wszędzie – stwierdził chłodno. – Gdyby nie moja kuchnia, wiedzielibyście, że młody tatarak ma strukturę i smak ogórka? Komu by przyszło do głowy wprowadzać go do potraw?

Marzena popatrzyła na swój talerz z tatarem i tatarakiem. Faktycznie!

– Wujku, zależy ci na tych gwiazdkach?

– Kochana, marzę choćby o jednej! O jednej malutkiej gwiazdce...

Głos Janusza załamał się niebezpiecznie; Mikołaj poczuł się w obowiązku wyjaśnić

chrześnicy tajemnicę przewodnika Michelina.

– Restauracja może dostać maksymalnie trzy gwiazdki, ale takie wyróżnienie spotyka zaledwie kilkanaście lokali w całej Europie – tłumaczył. – Trzy gwiazdki, przetłumaczone na język smakosza, oznaczają, że dla tego przybytku warto specjalnie wybrać się w podróż, byle posmakować kuchni.

Janusz, rozmarzony, wszedł mu w słowo.

– Ludzie kupują bilety, jadą, lecą, płyną, a wszystko tylko po to, żeby tam zjeść! Rozumiesz? – Wzniósł smukłe dłonie niczym ksiądz przy ołtarzu.

– O!

– Dwie gwiazdki to wyznacznik, że w restauracji jest tak znakomite jedzenie, że jeśli jesteś w okolicy, to koniecznie musisz zboczyć z trasy turystycznej i osobiście go spróbować.

– A jedna gwiazdka?

– Oznacza, że w lokalu jest bardzo dobra kuchnia w swojej kategorii, więc można do niego zajść w ciemno, a człowiek się nie rozczaruje.

– I Mapa może otrzymać taką gwiazdkę, wszystko jasne. Jak dla mnie powinna mieć trzy gwiazdki od razu. Mogą tak zdecydować?

– Teoretycznie tak, ale niezwykle rzadko się to zdarza. – Janusz westchnął.

Marzenka była coraz bardziej zaciekawiona. Do tej pory wiedziała jedynie, że zielony przewodnik Michelina jest dla zwykłych turystów, a wydanie w czerwonych okładkach opisuje wyłącznie luksusowe miejsca i przyjemności, zarówno hotele, jak i restauracje. Czerwony Michelin zupełnie pomijał zabytki w okolicy.

– A jacy są ci inspektorzy? Pewnie surowi, co?

– Ba! – Janusz zmarkotniał. – No właśnie... Inspektorzy... Chimeryczni, tajemniczy, nieprzekupni, bezwzględni. I cholernie spostrzegawczy.

Wyglądało na to, że Janusz Bosak wiedział wszystko o inspektorach Michelina. Oprócz tego, jak wyglądają.

– Już sama ich rekrutacja przypomina powieść szpiegowską. – Skrzywił się z niechęcią. – Wstępne rozmowy kwalifikacyjne prowadzone są w restauracjach. Nie w jakimś biurze czy ośrodku szkoleniowym. Od razu w restauracji...

– No, to chyba logiczne, w końcu o restauracjach będą pisać. – Marzenka chciała coś jeszcze powiedzieć, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu, dostrzegłszy wzrok Janusza.

– Tak? Dobrze, kochana, jesteśmy w restauracji, jemy, gadamy... I powiedz mi teraz, ale nie rozglądaj się już na boki, przecież obejrzałaś sobie lokal, gdy weszłaś... Jaka jest obsługa? Jakie są odstępy między stolikami? Co sądzisz o daniu? Z jakich składało się składników? Jak zostało przygotowane? Czy inni klienci skończyli już swoje posiłki?

– O rany...

– No właśnie! Test mogą przejść tylko najlepsi obserwatorzy. Taki gastroagent podróżuje przez sześć miesięcy ze starszym inspektorem po Europie, a jak jest już gotów, wyrusza w samotną podróż po hotelach i restauracjach w swoim kraju.

– Siejąc powszechny strach, jak się domyślam.

– Albo budząc wielkie nadzieje – wtrącił Mikołaj, wymownie patrząc na przyjaciela.

– Wizyt będzie cztery, może pięć... – Janusz odgarnął kosmyk włosów z policzka i dotknął ust opuszkami palców, jakby to, co mówi, zaczynało go przerażać. – Będą się starali zachować anonimowość, ale... Od innych klientów odróżni ich to, że będą skrupulatnie sprawdzać dania, kroić je i wachać... długo smakować...

Mówił coraz wolniej, patrząc przed siebie. Jego oczy robiły się coraz większe. Mikołaj powędrował za jego spojrzeniem.



W głębi sali łysy klient w kraciastej apaszcze z uwagą dzielił potrawę na porcje. Nadział kęs na widelec i oglądał z uwagą, a potem wziął jedzenie do ust i powolutku zaczął je przeżuwać. Zamknął oczy i przez chwilę wyglądał, jakby słuchał muzyki. Nagle przestał żuć, zmarszczył brwi, skrzywił się i włożył do ust palce. Wyciągnął coś spomiędzy warg i uważnie oglądał.

– Jezus Maria! – wyszeptał Janusz.

Zerwał się z miejsca i zniknął na zapleczu.

Marzenka z Mikołajem z fascynacją patrzyli na łysego. Ten wydał okrągłe usta i w zamyśleniu spoglądał na talerz.

– Myślisz, że to gastroszpieg? – spytała szeptem przejęta Marzenka.

– Miejmy nadzieję, że nie, bo nie wygląda na zachwyconego – mruknął Mikołaj.

– Może po prostu ma już taki wyraz twarzy, co? No bo jak to mogłoby mu nie smakować?

Do łysego klienta podjechał stół z kolejnymi daniami.

– Zróbmy coś! – szepnęła rozgorączkowana. – Trzeba ratować wujka Janusza!

Mikołaj głośno przywołał kelnera.

– Poproszę jeszcze tego pysznego łosia. Bardzo pysznego! Och, jakiego pysznego!

Marzenka dostrzegła, że łysy spojrział podejrzliwie na Mikołaja.

– Wujek, to nie brzmi naturalnie – zawyrokowała. – Rosły facet, jak ty, który w dodatku wygląda jak as kontrwywiadu, nigdy by się tak nie zachwycał porcją łosia z gruszką. Na głos. I to trzy razy.

Mikołaj zamarł z otwartymi ustami.

– A co ty, kochana, możesz wiedzieć o asach kontrwywiadu?!

– Wyglądają jak ty. Zaufaj mi. – Położyła mu rękę na dłoni.

Pełen złych przeczuc, popatrzył z rozpaczą na swą chrześną córkę.

– Chryste Panie, czyś ty, dziewczyno, w coś się wplątała?

– Ja?! O co ci chodzi?

– Czemu już nie pracujesz z Karolem, tylko jeździsz z tymi zepsutymi bogaczami?

Marzenka zmarszczyła brwi. Mikołajowi wydawało się, że zobaczył w jej oczach strach, ale trwało to zaledwie moment. Cofnęła dłoń i wyprostowała plecy.

– Możemy teraz o tym nie rozmawiać?

– Ależ, kochana, musimy o tym porozmawiać. Właśnie tu i teraz. O tobie i o Karolu.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie mogę. Wujku, nie nalegaj. Jeszcze nie mogę o tym mówić...

– Jeszcze?

Nagle za jego plecami rozległ się jakiś rumor. Ze stolika łysego klienta spadł talerz i rozbił się z hukiem. Mężczyzna gwałtownie wstał i zaczął szarpać apaszkę, jakby go dusiła. Zrobił parę kroków, oparł się ciężko o najbliższy stół, po czym opadł na kolana. Przez chwilę sterczał sztywno jak w modlitwie, a potem runął na posadzkę, ciągnąc za sobą obrus... Wazonik z kwiatami rozbił się w drobny mak... Kałuża wody dotarła do nieruchomej głowy klienta.

Mikołaj i Marzena rzucili się do nieprzytomnego mężczyzny, reszta gości była jak skamieniała. Z zaplecza przybiegł kelner. Marzenka sprawdziła puls na szyi leżącego, a potem przystąpiła do masażu serca.

– Dzwon na pogotowie! – krzyknęła. – Mój telefon padł.

Mikołaj wezwał karetkę i niecierpliwie się patrzył, jak kelner zbiera z podłogi szkło.

– Gdzie ten Janusz? Nie widzi, co się dzieje?  
– Tu lekarz jest potrzebny, a nie wujek Janusz – jęknęła Marzenka.  
Pięć minut później ratownicy medyczni wsunęli do karetki nosze z nieprzytomnym klientem. Restauracja opustoszała.  
– O rany! – Marzenka czuła, jak trzęsą jej się jeszcze kolana. – To chyba zawał, co? Żeby przeżył!  
– Dowiem się, zadzwonię do szpitala. – Janusz zacisnął usta. – Musiał być chory, bo przecież nic mu tu nie zaszkodziło.  
– Myślicie, że to był inspektor Michelina? – Marzenka się zasepiła.  
– Oby nie. – Mikołaj pokręcił głową. – Marketingowo nie wyszłoby to najlepiej.  
Inspektor padł po zjedzeniu dania w ocenianej restauracji? Ajajaj!  
– Jakie „ajajaj”?! Jakie „padł po zjedzeniu dania”?! – Janusz się oburzył. – Chory był i tyle!  
– Ja już się pożegnam. Dzięki za pyszności. – Marzenka zerknęła w stronę szatni, w której zostawiła plecak. – Mam umówione spotkanie i nie mogę się spóźnić.  
– Spotkanie? Z kim? – Mikołaj popatrzył na nią surowo.  
Janusz uniósł brwi.  
– No wiesz?! Chcesz ją kontrolować?  
– Wujku, to moje sprawy. – Marzenka grzecznie, ale stanowczo ucięła dalsze pytania. Mikołaj z trudem zapanował nad gniewem.  
– A co z twoim telefonem? Nie można się dodzwonić, to jak mam się z tobą kontaktować?  
– Upadł mi na lotnisku w Anglii i od tamtej pory się zawiesza. I tak miałam go wymienić, znajduję jakiś inny. – Wzruszyła ramionami.  
Pożegnała się i zarzuciła plecak na ramię.  
– Co cię ugryzło? – zdziwił się Janusz, gdy odprowadzali wzrokiem szczupłą postać dziewczyny.  
– Ech, nie chciałbym, żeby wpadła w kłopoty.  
– Marzenka?! Świetnie sobie radzi. A pamiętasz, jaki to był tandem z Karolem...  
Mówiliśmy o nich „piekielne bliźniaki”.  
Mikołaj tylko pokiwał głową.  
– Dokładnie. Piekielne bliźniaki... Nie dziwi cię, że teraz są tacy spokojni?  
– Cóż... Dzieci dorastają.  
– A co ty możesz wiedzieć o dzieciach?! – Mikołaj się zirytował.  
– A ty?!  
Patrzyli na siebie zjeżeni.  
– Jestem ojcem chrzestnym Marzenki – warknął Mikołaj.  
– A ja ojcem chrzestnym Karola. – Janusz dumnie wypiął pierś.  
Mikołaj machnął ręką.  
– Wiesz, na mnie też już czas – burknął. – Cześć.  
Wyszedł szybko, ale Marzenki przed Mapą już nie było.  
Teraz wiedział, miał granitową pewność, że bliźnięta coś przed nim ukrywają.

Janusz Bosak wolno podszedł do stolika, przy którym jeszcze niedawno siedział łysy klient, i bez słowa obserwował, jak kelner sprząta zastawę. Przy ścianie za krzesłem łysego zobaczył pozostawioną aktówkę. Była otwarta, wystawały z niej jakieś pliki dokumentów

w foliowych koszulkach, zamykała się na automatyczny zamek. Restaurator docisnął wieko i usłyszał ciche „klik”.

Gdy kelner podniósł głowę i zerknął na szefa, sztucze z metalicznym brzękiem wypadły mu z ręki. Takiego ładunku nienawiści w spojrzeniu pryncypała jeszcze nigdy nie widział. To nie była twarz dobrego wujka, którą jeszcze niedawno prezentował, siedząc przy stoliku ze znajomymi. Teraz stalowe oczy mogłyby ciąć najbardziej krwistą poledwicę.

Kelner pozbiierał drżącymi rękami sztucze i szybko wycofał się do kuchni.

Janusz Bosak delikatnie chwycił za rączkę aktówki i również udał się na zaplecze. Po krótkim namyśle zamknął teczkę w swoim malutkim gabinecie, a potem przebrał się i informując personel, że jedzie do laboratorium, opuścił restaurację.

Szef czekał na telefon od Tytusa. Podwładny zostawił farmę i specjalnie przyjechał nadzorować zadanie. Niestety, wszystko poszło nie tak!

Że też padł w restauracji! Pech!

To kompletnie miało być nie tak!

Komórka zadzwoniła, na wyświetlaczu pojawił się numer Tytusa.

– Nie żyje – zameldował krótko.

– Lekarze coś podejrzewali?

– Byli trochę zdziwieni, ale poza stwierdzeniem, że pacjent miał piękną śmierć, nic więcej nie mówili. Nie dociekali zbytnio, co się stało.

– No, tak... Piękna śmierć... – Szef zaczął się śmiać.

– Hy, hy, hy! – wtórował mu gardłowo Tytus.

– A co z towarem?

– Chyba szlag go trafił, Szefie. Szukałem, i nic.

– Niedobrze... Ale to był zły człowiek, Tytus. Zły i głupi. Zło zawsze wraca do ludzi!

Zakończyli rozmowę.

Szef chodził po pokoju i rozmyślał. Pazerny idiota! A dobrze mu tak! Piękna śmierć!

Zaśmiał się znowu, a kocur, który jak zahipnotyzowany patrzył na bajecznie kolorowe ryby za szybą akwarium, odwrócił łysą głowę i łypnął na swego pana. Gdyby miał sierść, pewnie by ją zjeżył, czując energię bijącą od właściciela. Była zła i niepokojąca. Taka, jaką lubił.

Do demonicznego śmiechu dołączyło się zadowolone mruczenie.

## Rozdział 14

Aspirant Zuzanna Brodzik po raz pierwszy spóźniła się do pracy. Była zła na siebie, ale jeszcze bardziej zła na majstra. Spóźniła się, bo zbyt długo na niego czekała, a i tak nie przyjechał. Cholera!

Niestety, wczoraj trochę się pokłócili... No, może nieco więcej niż trochę. Wszystko przez to, że zamówiła nową słomę. Poinformowała pana Jurka, że odebrała pieniądze od nieuczciwego gospodarza i nazajutrz przybędzie transport nowych balotów. Majster, zamiast się ucieszyć, wydał wargi.

– Znowu beze mnie pani wybierała.

Wtedy nie wytrzymała.

– Panie Jurku – wycedziła z pasją. – Pan powinien mieć pod ręką jakiegoś karzelka, żeby móc go maltretować. Ale ja się nie nadaję na karzelka!

W pierwszej chwili majster z oburzenia nie mógł wykrztusić słowa.

– Karzelka! – pisnął czerwony na twarzy.

– Ustalmy nasze relacje – kontynuowała Zuzanna. – Ja jestem szefem, a pan pracownikiem. Moim ulubionym i jedynym, ale pracownikiem. Czyli to ja tu rządzę!

Tamten przez chwilę patrzył na nią bez słowa, a potem wysunął do przodu pierś, rozpiął dwa guziki i dramatycznym gestem rozchylił koszulę.

– Proszę! Niech pani strzela!

Zuzanna zbaraniała, a wtedy pan Jurek odwrócił się z godnością, lecz, niestety, wpadł na Impeta i o mało nie wyrznął jak długi na ziemię.

– To też pani broń, co? – Oskarżycielskim gestem wskazał psa. – Biologiczna!

Potem ruszył przed siebie.

– Na dziś kończę robotę, bo współpraca nam się nie układa. Ale od jutra jestem gotowy budować na nowo nasze... relacje.

Wsiadł do samochodu, nie przebierając się, choć zawsze zmieniał robocze ubranie i wracał do domu elegancki, uczesany, jakby pracował w biurze, a nie na budowie. Dziś jednak pojechał, jak stał, co dobitnie świadczyło o jego wzburzeniu.

– Maltretować karzelka! – pokrzykiwał, zamykając drzwi auta. – A pani buduje dom z gliny!

Ruszył z wysoko podniesionym czołem, a dziś rano go nie było.

W końcu nie mogła już dłużej czekać i pojechała do pracy, nie wiedząc, czy majster w ogóle się jeszcze u niej pojawi. Obraził się? Może nie będzie chciał już u niej pracować? To byłaby prawdziwa tragedia. Gdzie ona znajdzie kogoś równie fachowego? Za co ona tak lubi tego narwanego faceta? Nieduży, z wystającym brzuszkiem i czerwonymi policzkami, wiecznie przekonany o swej nieomyślności... Irytujący. Ale już nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałyby budować swój dom z innym fachowcem.

No dobra, może z tym karzelkiem trochę przesadziła.

Była w drodze do komisariatu, gdy zadzwonił Łukasz.

– Łoś dał głos – poinformował.

– Co? – nie zrozumiała.

– Szatan cię szuka, jedź prosto do piekła.

– Świetnie – warknęła, bo na samą myśl o spotkaniu z prokuratorem kiepski humor

pogorszył jej się jeszcze bardziej.

Po spotkaniu oko w oko z Grzegorzem Szatanem było tylko gorzej.

– Biorę kilka dni urlopu – poinformował ją.

Nie wierzyła własnym uszom: po to ją wezwał? Aby to oznajmić?

– Proszę się lepiej przyjrzeć temu Wilkowi – zażądał na pożegnanie. – On coś kręci. Zacisnęła zęby.

Kręci? Wszyscy tam kręcą! I skąd ta pewność, skąd on wie, że to Karol Wilk zabił?

Intuicja mu podpowiada? A może jakaś wróżka? – kpiła w duchu.

Dojechała wściekła do komisariatu i już na parkingu usłyszała głośny śmiech kolegów, dobiegający z otwartych okien.

– Piękna śmierć! – Rozpoznała głos dyżurnego.

Jej przybycie nie przerwało ogólnej wesołości. Łukasz siedział nad brukowcem, którego Zuzanna nigdy nie czytała, i także śmiał się głośno.

– Ile on się tej viagry nałykał?

– Pewnie nie zadziałała, to łyknął jeszcze kilka. A potem mówią, że viagra zabija!

– Dyżurny ocierał oczy, bo ze śmiechu poleciały mu łzy.

Zuzanna podeszła do Łukasza i zerknęła mu przez ramię na szmatławiec. Dostrzegła krzykliwy tytuł: „Inspektor umierał ze wzwozem!”.

– Pogięło was? – Z niedowierzaniem spojrzała na kolegów.

Twarz Łukasza natychmiast przybrała poważny wyraz, ale nie wytrzymał długo. Walka z rozbawieniem zakończyła się niekontrolowanym wybuchem histerycznego śmiechu.

Komisariat znowu zatrzęsł się od głośnego rechotu.

– Tak bardzo was bawi czyjaś śmierć?!

Łukasz podsunął jej gazetę.

– Tu, przeczytaj sama. Piękna śmierć! – Zachichotał. Kiedy zobaczył, że Zuzannie nie drgnął nawet kącik ust, machnął ręką. – Nie zrozumiesz. Tak mógłby umierać każdy facet.

Zaczerwieniony od śmiechu wyszedł z pokoju. Wszyscy wyszli. Słyszała ich dowcipy w sąsiednim pomieszczeniu i poczuła, jak nigdy dotąd, dzielącą ich przepaść. Jest babą. Nie rozumie.

Zaczęła czytać.

O wielkim pechu lub wręcz przeciwnie – o wielkim szczęściu – może mówić właściciel znanej warszawskiej restauracji Mapa, ubiegającej się o gwiazdkę w słynnym kulinarnym przewodniku Michelina. Pechowe niewątpliwie jest to, że w restauracji zasłabł klient. Szczęśliwy dla właściciela może być jednak fakt, że owym klientem był inspektor Michelina, jak się okazało, najbardziej surowy i nieprzejednany w swych opiniach, nazywany nawet grabarzem szefów kuchni.

Gwiazdki w legendarnym przewodniku to obiekt westchnień i marzeń wszystkich restauratorów. To przedmiot pożądania, który albo prowadzi wprost do nieba, albo strąca nieszczęśników w odmęty piekieł. Pewien znany francuski restaurator zastrzelił się z broni myśliwskiej w dniu ukazania się najnowszej wersji przewodnika. Dlaczego? Stracił jedną gwiazdkę! Surowy inspektor napisał, że sos truflowy stracił głębię. Wdowa po restauratorze nawet nie zamknęła restauracji tego wieczoru! Ani następnego! W kolejnym roku odzyskała utraconą gwiazdkę, ale kulinarny świat do dziś komentuje tamto spektakularne samobójstwo.

Czy warszawski restaurator miał szczęście, że nie zdążył go ocenić grabarz szefów kuchni? Inspektor zmarł w szpitalu po kilku godzinach od zasłabnięcia. Jak się dowiedział nasz dziennikarz, z tą śmiercią wiąże się kolejna zagadka. Otóż grabarz szefów kuchni do końca swych chwil... miał wzwód! Umierał z pełną erekcją! Czy groźny inspektor przyszedł do lokalu

po wyczerpujących miłosnych igraszkach wspomaganych niebieską tabletką? A może szykował się do nich zaraz po wystawnym obiedzie? Tego już się nie dowiemy! Personel szpitala skomentował śmierć inspektora krótko: „Miał śmierć, o jakiej marzy niejeden mężczyzna. Piękna śmierć!”.

Zuzanna z odrazą odsunęła od siebie gazetę. „Piękna śmierć”. Jak w tym kraju ma być dobrze, skoro ludzi ogłupia się takimi sensacjami? Że też komuś chce się czytać te brukowce! Okropność.

Było jej wstyd za kolegów i za ich prymitywną reakcję. Napięła mięśnie i zatęskniła za siłownią, w której od czasu do czasu rozprawiała się z bokserskim workiem. Chętnie rozpoczęłaby teraz atak serią ciosów, by oczyścić krew ze złych emocji. Zacisnęła zęby, żeby nie zakląć, i wściekła usiadła przy swoim biurku. Uruchomiła komputer i wyciągnęła notes, żeby przepisać to, czego dowiedziała się wczoraj o Patejuku od wykładowczyń i Marka Frogleta.

Froglet!... Mój Boże! Trochę głupio wyszło u pani rektor, gdy tak straciła kontakt z rzeczywistością przy tylu osobach, ale to był przecież tylko moment. Na pewno nikt nie zauważył. No, może trochę, gdy podawali jej wodę... A jaki on ma głos, ten Froglet...

Znowu ciarki przeszły jej po plecach i poczuła przemożną chęć na intensywny trening. Ech, przebiec tak dziesięć kilometrów w maksymalnym tempie! Albo wycisnąć parę sztang! Najlepiej na jednej siłowni z Frogletem, bo profesor na pewno uprawia jakiś sport, nie wypracował takiej sylwetki, siedząc za biurkiem. Wiedziała już, że jeździ po całym świecie, odkrył nawet kilka nowych gatunków pajaków w Australii, czytała o tym. Przy takim trybie życia musiał być sprawny i wytrzymały. Och, mogliby poćwiczyć razem i nawet porozmawiać o pajakach. A co tam, nawet o tych strasznych, jadowitych!... Jak wałęsak brazylijski...

Nagle zerwała się na równe nogi.

– Piękna śmierć! Jasna cholera!

Przecież ona już słyszała o takiej śmierci!

Zrobiło jej się gorąco. Matko Boska!

Popatrzyła na zapis rozmowy z Markiem Frogletem i usiadła oszołomiona. Wrzuciła w przeglądarkę hasło „wałęsak brazylijski”. Przy jednej z informacji aż krzyknęła i z wrażenia zasłoniła dłońią usta.

Musi spotkać się jeszcze raz z Markiem Frogletem! Teraz! Natychmiast!

Była gotowa jechać na uczelnię, ale przypomniała sobie, że wykładowca wspominał coś o sesji egzaminacyjnej. Drżącymi rękami szukała w telefonie numeru, który jej wczoraj podał i który wpisała jak najcenniejszą zdobycz.

Nie odbierał. Wysłała mu SMS: „Muszę się z Panem spotkać. Pilne! Aspirant Z. Brodzik”.

Zamyśliła się, czekając na odpowiedź.

Teoria jest szalona, ale... możliwa! Ta śmierć... Czy nie o takiej mówił jej Froglet?

Zuzanna siedziała z wypiekami na twarzy i musiała sobie powtarzać, że nie zwariowała. Wypiła szklankę zimnej wody, ale ta otrzeźwiająca kuracja nie obaliła jej szalonej teorii.

Nie mogę o tym nikomu powiedzieć! – kołatało jej się w głowie. Przecież wszyscy zabijają mnie śmiechem!

Otarła czoło wierzchem dłoni, włosy u nasady miała mokre.

Wezmą ją za wariatkę!

Przycisnęła palce do skroni i zaczęła na nowo analizować swoje odkrycie. Tylko Froglet może jej pomóc! Zerknęła na telefon, ale jeszcze nie było odpowiedzi.

Weszła na stronę internetową brukowca, by przeczytać komentarze pod artykułem o śmierci inspektora. Oczywiście hejterzy, czyli internetowi frustraci, mieli używania co niemiara. Dominowało przekonanie o impotencji inspektora i przedawkowaniu niebieskich pigułek.

Byłem w szpitalu, gdy go przywieźli. Lekarze podejrzewali, że to silna reakcja alergiczna. Zawieźli go na kardiologię i chyba tam umarł. Ja wylądowałem na chirurgii, z wyrostkiem.

Ten wpis rozpoczął nową dyskusję.

Alergia? Możliwe, przecież coś jadł, jak padł nieprzytomny.

\*

Durniu! Inspektor przewodnika kulinarnego nie mógł być alergikiem! Musi przecież kosztować różnych kuchni, różnych produktów.

\*

Może w tej Mapie podają jakieś trefne afrodyzjaki, co? Masz wzwód, ale jeśli jesteś uczulony, to umierasz. Ale jazda! Jak ryba fugu. Chyba się tam wybiorę.

\*

Ciekawe, czy przyślą tam kolejnego inspektora, czy może już TO wystarczy, żeby Bosak ZAPOMNIAŁ o gwiazdce? Przecież człowiek u niego umarł. Inspektor!

\*

Nie u niego umarł, tylko w szpitalu. A Mapa powinna dostać gwiazdkę. Drogo tam, ale drugiej takiej ciekawej w Polsce nie ma. Byłem w duńskiej Nomie, tam też serwują kuchnię molekularną. Bosak ma ciekawe pomysły.

Zuzanna zmarszczyła brwi. Bosak? Przerzuciła notatki. Jak mogła to przeoczyć? Janusz Bosak, właściciel restauracji, był obecny przy odkryciu zwłok Patejuka! I nie ma alibi, zniknął wtedy wszystkim z oczu na długi czas.

Przypomniała sobie jasne oczy restauratora i jego niepokojącą urodę księcia wampirów. Ma nierówno pod sufitem, uznała, myśląc o jego gotyckiej stylizacji i stroju, w którym przyjechał na wiejskie ognisko.

Jeszcze raz przeczytała wszystko, co o nim wiedziała z policyjnych ustaleń: niekarany, nieposzlakowana opinia, samotny, bez rodzeństwa, nigdy nie wlepiono mu nawet mandatu, dwa razy zatrzymany podczas akcji protestacyjnej ekologów, wypuszczony bez stawiania zarzutów. Znowu wrzuciła jego nazwisko w Google. Na hasło „Janusz Bosak” pokazało jej się sześćdziesiąt pięć tysięcy wyników, przede wszystkim związanych z artykułami o restauracji,

przepisami kulinarnymi, modą, plotkami towarzyskimi. Były też wzmianki o jego kolekcji egzotycznych ryb i koralowców.

Najświeższe wpisy dotyczyły przyznania tytułu Rising Star, czyli wschodzącej gwiazdy, restauracji Mapa.

Ciszę w pokoju przerwał sygnał oznaczający SMS.

Będę egzaminował do późnego popołudnia. Zapraszam do siebie do domu, 10 km od Siedlec, jechać przez Błogoszcz. Pytać o Frogleta, we wsi pokierują panią. Może być godz. 19. Froglet

Serce zabiło jej mocniej. Błogoszcz to wieś leżąca tuż pod Siedlcami, od strony Mordów, a więc osiadł na wsi tak jak ona! Co za pokrewieństwo dusz. Szkoda tylko, że wyznaczył spotkanie tak późno, chciała podzielić się z nim swoimi przemyśleniami już, zaraz, teraz! Czekać do wieczora? Wieczorem miała dokończyć kopanie fundamentów, bo na jutro rano były już zamówione gruszki z betonem.

Cóż, będzie musiała kopać w nocy.

Zerknęła na zegarek. Zdaży jeszcze obdzwonić okoliczne starostwa. Jeśli ten Patejuk pracował w prywatnym zoo, jak powiedział Frogletowi, to jest szansa, że znajdzie jakiś trop. Przepisy nakazują, aby przywożone do kraju egzotyczne zwierzęta miały nie tylko stosowne zezwolenia, ale też były zarejestrowane w starostwie, na którego terenie przebywają. Obowiązek rejestracji wprowadzono na podstawie konwencji CITES, by chronić gatunki zagrożone i ograniczyć przemyt zwierząt. Za brak takiego zgłoszenia groziła grzywna, a nawet areszt. Egzotyczne zwierzęta podzielono na dwie kategorie: po pierwsze te, których trzymanie w domach jest zakazane z powodu agresji lub niebezpieczeństwa związanego z ich biologią (na przykład śmiertelnego jadu), po drugie te rzadkie, którym grozi wyginięcie, więc hodowla i handlowy obrót nimi muszą być ściśle nadzorowane. Patejuk pytał Frogleta o rzadkie gatunki, więc w którymś z okolicznych starostw muszą być one zarejestrowane.

Z każdym kolejnym telefonem entuzjazm Zuzanny słabł. W starostwie siedleckim zgłoszonych było kilka papug i węży, ale żadnych groźnych pajaków, skorpionów, gadów. Podobnie w starostwie mińskim, sokołowskim, łosickim, garwolińskim i łukowskim.

Naczelnik zadzwonił, gdy skończyła rozmowę z urzędnikiem z Łukowa.

– Jakie postępy w śledztwie, pani aspirant? Nawet komendant wojewódzki pytał o tę sprawę...

Zuza dobrze wiedziała, co to znaczy. Niecierpliwy oddech szefostwa na karku.

W paru zdaniach zrelacjonowała, co już zrobiła.

– Niestety, oprócz kilku pojedynczych przypadków hodowli węży i papug nie ma wzmianki o prywatnym zoo. – Wymieniła powiaty, które już sprawdziła.

– Ciekawa teoria. Prywatne zoo... Został jeszcze do sprawdzenia Węgrów i ja bym obstawiał właśnie ten powiat. – Naczelnik się zamyślił. – Wsie w dolinie Liwca w większości zamieszkują już przybysze z Warszawy, a nie rdzenni mieszkańcy. Sprowadziła się tam kupa artystów, aktorów, a co jeden, to bardziej ekscentryczny. Kto wie, może któremuś z nich zamarzył się własny prywatny raj?

– To teraz sprawdzę starostwo węgrowskie – odparła. – Prywatne zoo nie może być gdzieś daleko, skoro Patejuk przyjeżdżał często na uczelnię.

– Myślę, że to dobry trop – pochwalił ją przełożony. – A operatorzy telefoniczni



jeszcze nie odpowiedzieli?

– Nie.

– A dałem do zrozumienia, że to pilne! – Zirytował się. – Sam komendant wojewódzki pyta o tę sprawę! I jeszcze jedno: jak układa się współpraca z prokuratorem Szatanem?

Zuza nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Milczy pani... Rozumiem... Prokurator Szatan pracuje według własnych standardów. Naczelnik się pożegnał.

Z pewną nadzieją zadzwoniła do starostwa w Węgrowie, ale tam również nie było śladu po zwierzętach, o których Patejuk wspominał wykładowcy.

Prywatne zoo, jeśli w ogóle gdzieś było, istniało nielegalnie.

Zuzanna czuła, że głowę rozsada jej ból, w dodatku miała dreszcze, zupełnie jakby łąpała ją grypa. Wiedziała, że ten stan będzie ją trzymał do wieczora, do spotkania z Markiem Frogletem.

Musi iść na siłownię!

Gwałtownie zatęskniła za potem i endorfinami, a trzymany w ręku długopis pękł pod silnie zaciśniętymi palcami.

Przed samym końcem pracy dostali jeszcze z Łukaszem wezwanie na interwencję. Mąż alkoholik skatował żonę, ale ta i tak nie chciała świadczyć przeciwko niemu. Młoda kobieta, wyglądająca na dwadzieścia lat więcej, niż miała w metryce, piątka dzieci ze smutnymi oczami, w domu brudno i biednie. Pod stodołą wychudzony pies na półmetrowym łańcuchu. I ten rozjuszony pan świata, rozdający razy na prawo i lewo. Smutne i przerażające. Gdy pochylała mu głowę, pakując go do radiowozu, żona stała w progu domu i ocierała krew z kącika ust. Zuzanna nie wytrzymała.

– Ulżyło ci, skurwysynu? – syknęła do ucha oprawcy.

Udał, że nie słyszy.

Z tęsknotą pomyślała o worku bokserskim. Siłownia! Potrzebuje kilku godzin w siłowni!

Do domu wracała, czując ból w karku. Na podwórku zastała miłą niespodziankę: pan Jurek jednak przyjechał i nic nie wspominał o wczorajszej kłótni. Burknęli sobie „dzień dobry”. Ona z ulgą, on tylko trochę nabzdyczony.

Do spotkania z Frogletem pozostały trzy godziny. Uznała, że bez sensu byłoby teraz brać się do kopania fundamentów. Zamiast wziąć do ręki szpadel, włożyła dres i zapięła na przegubie pulsometr. Zawołała psa.

Biegła przez las, zmieniając tempo, a obok z wywieszonym jęzorem pędził Impet. W myślach układała rozmowę z Frogletem. Jak zacząć, aby nie uznał jej za wariatkę? To, co zamierzała mu powiedzieć, każdemu mogłoby się wydać dziwne. Jeśli ją wyśmieje, trudno, pozostanie ze swymi podejrzeniami sama... Ale jeśli przyzna jej rację, zyska w nim doradcę i sojusznika.

Nie spodziewała się, że profesor mieszka w tak ogromnym i pięknym domu. Drewniany, stylizowany na dworek i otoczony bajecznym ogrodem, oczarował ją. Drzwi

otworzyła ładna brunetka. Żona Frogleta.

Jasne. Właściwie czemu mi nie przyszło do głowy, że taki facet musi być żonaty, jęknęła w duchu Zuzanna.

Poproszono ją na werandę, na której czekała już na stole lekka kolacja: wiejski chleb i miska twarogu z aromatycznymi ziołami. Ta prosta potrawa była niebiańsko dobra!

Froglet, w luźnej koszuli, w której prezentował się jeszcze lepiej niż w stroju wykładowcy, rozparty w wiklinowym fotelu, wyglądał jak odpoczywający Indiana Jones. Pasował do tej swojskiej scenerii.

Zuzanna nałożyła trochę twarogu na chleb i dosyć niepewnie zaczęła rozmowę.

– Pamięta pan może dziwny przypadek jadowitego pająka w Lipnie? Przeczytałam o tym w internecie.

Przełykając kęs chleba, uświadomiła sobie, że to jej pierwszy posiłek od śniadania. Była wściekle głodna.

– Lipno? Chodzi pani o wałęsaka? Pamiętam. Dziennikarze dzwoniли wtedy do mnie po komentarze.

Froglet chyba też był głodny; pochłaniał kolejne kromki dużymi kęsami.

– Zamknęli sklep, bo w transporcie bananów przyjechał pająk – przypomniała dla pewności.

– Kierownik sklepu zachował się wówczas bardzo przytomnie. Gdy ekspedientka zobaczyła pająka wychodzącego ze skrzynki z owocami, wcale nie uznał, że jej opowieści o wielkim potworze są przesadzone, choć strach ma wielkie oczy. Kazał wszystkim wyjść, zamknął sklep i wezwał straż pożarną, a potem specja od dezynsekcji. Gdy po dwóch dniach poszukiwań znaleziono martwego już pająka, okazało się, że to wałęsak.

– No właśnie, ten śmiertelnie jadowity pająk zawędrował do Europy nie ze swojej woli. Do Lipna przyjechał z partią bananów.

– W ten sposób trafiają do nas nie tylko wałęsaki – odparł ze śmiechem Froglet.

– Do Stokrotki w Siedlcach przyjechał w winogronach wąż!

Zuzanna nałożyła sobie kolejną porcję twarogu. Wyjdzie na żarłoka, ale obiadu nie zjadła, bo przed wieczornym spotkaniem nie mogła nic przełknąć. W twarogu wyczuła tymianek, czosnek, świeżą bazylię.

– Czytał pan to? – Wyciągnęła skserowany artykuł z brukowca.

Wykładowca przebiegł wzrokiem po informacji.

– Sugeruje pani – spytał niepewnie – że inspektor ze wzvodem był ofiarą wałęsaka?

– Stracił przytomność w restauracji – zaczęła szybko wyjaśniać. – W takich ekskluzywnych lokalach wszystko musi być świeże, owoce też. Pewnie nie kupują ich w marketach, tylko przywożą prosto z wybranych hurtowni, w skrzynkach. Jak w Lipnie.

Marek Froglet przyglądał jej się z zainteresowaniem.

– Teoretycznie...

Zuzanna poczuła wielką nieopisaną ulgę. Nie wyśmiał jej! Miała ochotę rzucić mu się na szyję.

– Tak sobie myślę, że w Brazylii, gdzie częściej zdarzają się ukąszenia, takie objawy od razu budzą czujność lekarzy, ale w Polsce? W pierwszym lepszym szpitalu, do którego trafi mężczyzna ze wzvodem i kłopotami z sercem?... – Nie dokończyła.

– Pomyślą, że przedawkował viagrę, i będą leczyć objawowo. – Froglet pokiwał głową. – Być może jakiś przytomny lekarz zleciłby toksykologię, ale byłaby to rzadkość.

W polskiej służbie zdrowia nikt się nie rwie do takich badań.

– No właśnie!

– A wie pani, że ja chyba się skontaktuję z tym szpitalem. Ciekaw jestem, jakie badania wykonano i czy znaleziono na ciele ślady mogące świadczyć o ukąszeniu. O ile zechcą ze mną rozmawiać o tak nietypowej sprawie...

Zuzanna poczuła się szczęśliwa. Marek Froglet się z nią zgadza! Potraktował ją poważnie, uwierzył w jej teorię. I dzięki niemu na to wpadła. Gdyby nie rozmawiał wtedy z Patejukiem o wałęsaku, nie skojarzyłaby szybko tych faktów.

Profesor odłożył na stół kserokopię artykułu.

– Jeśli w tej restauracji znalazł się wałęsak, to Warszawa ma problem – stwierdził.  
– Zazwyczaj te pająki na czas dnia kryją się w najciemniejszych i najbardziej wilgotnych miejscach, ale często spotyka się je w okolicach ludzkich mieszkań, a nawet w samych mieszkaniach. Jeśli pająk jest w restauracji, znajdzie wiele kryjówek, w których może się schować, i długo nie zostanie zauważony. A jeśli już wyjdzie, będzie to z pewnością spektakularny *coming out*. Wałęsak robi wrażenie. Ma charakterystyczną obronną postawę: unosi ciało sztywno do góry, a pierwsze dwie pary nóg trzyma wysoko.

Zuzannie ciarki przeszły po plecach.

– Tylko czy to możliwe, aby pająk ukąsił kogoś i uciekł niezauważony?

– Jeśli wszyscy rzucili się, żeby ratować nieprzytomnego klienta, to mógł uciec i nikt nie zwrócił na niego uwagi. Sprawa jest bardzo interesująca... Wie pani co? Pojadę do tej restauracji, rozejrzę się. Wałęsak w Warszawie? To by była sensacja.

– Patejuk też miał do czynienia z wałęsakami.

Froglet milczał przez chwilę.

– Trochę dużo się zrobiło tych wałęsaków, nie uważa pani? – Popatrzył na nią przenikliwie.

O tym samym pomyślała, ale nie umiała wyciągnąć wniosków. Froglet ją wyręczył.

– Nielegalny handel! To wielki biznes.

Zuzanna pomyślała o Patejuku.

– Na tyle intratny, by... zabić?

– Ludzie nie zadziwią mnie już niczym. – Froglet wzruszył ramionami. – Mordują się przecież ze znacznie błahszych powodów, ale pewnie pani mogłaby więcej na ten temat powiedzieć.

Zarumieniła się. Aż takim fachowcem od morderstw jeszcze nie jest.

– Nawet nie wie pan, jak jestem wdzięczna, że mnie pan nie wyśmiał.

– Och... – Chciał coś powiedzieć mile połączony, ale nie dała mu dojść do słowa.

– Mam jeszcze jedną szaloną teorię.

Wzięła głęboki oddech i nagle zamilkła. Nie wiedziała, jak ma powiedzieć o czymś, co niedawno przyszło jej do głowy. Zdenerwowana sięgnęła po kubek z herbatą i łapczywie upiła łyk.

– Tak? – Froglet czekał zaintrygowany.

– Jest coś, co nie daje mi spokoju.

Znowu nerwowo siorbnęła herbatę.

– Jeśli w restauracji był czy też jest wałęsak – zaczęła – to zakładamy, że to przypadek...

– No, raczej na pewno.

– Tylko że... Tylko że właściciel tej restauracji, Janusz Bosak, może być podejrzany o spowodowanie śmierci Pawła Patejuka.

Naukowiec wyprostował się w fotelu.

– Podejrzany?! O spowodowanie śmierci Pawła?!

– Bosak był na imprezie, podczas której znaleziono zwłoki. Nie ma alibi... Sprawa jest skomplikowana, na dobrą sprawę każdy z obecnych na ognisku może być podejrzany. Patejuk został dźgnięty rożnem – zdradziła szczegóły śledztwa.

Froglet milczał. Złączył czubki palców i oparł na nich brodę. Zuzanna mówiła dalej.

– Bosak pojawia się drugi raz w dziwnych okolicznościach. Pierwszy, przy morderstwie Patejuka, drugi, gdy w jego restauracji pada nieprzytomny inspektor. Przypadek?

Froglet zmrużył oczy.

– Ależ skąd! Widzę tu wyraźny związek.

– Naprawdę? – ucieszyła się Zuzanna.

– Oczywiście! Kulinaryny! Za pierwszym razem ofiara ginie dźgnięta rożnem, za drugim podczas konsumpcji w restauracji.

– Ech, teraz kpi pan sobie ze mnie! – Zdenerwowała się.

Froglet jednak ją rozczarował!

– Czytał pan ten artykuł? Czytał! Tam jest napisane, jakie emocje wiążą się z przewodnikiem Michelina. Bosak stara się o gwiazdkę? Stara! I kto do niego przychodzi? Najbardziej surowy z inspektorów! Pożeracz szefów kuchni!

– Grabarz. Tam napisali: grabarz szefów kuchni – poprawił ją Froglet.

– Pan się ze mnie wyśmiewa! – Zuzanna dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach.

Naukowiec pochylił się ku niej i zapytał:

– Sugeruje pani, że wałęsak, o ile znalazł się w restauracji, to nie przypadkiem? Czy ten Bosak, pani zdaniem, używa go jako narzędzia zbrodni?

– No...

Pod jego spojrzeniem poczuła, jak idiotyczne są jej podejrzenia.

– Jak miałby to robić? – pytał Froglet. – Przystawia wałęsaka do pleców i strzela jadem? Czy może nosi pająka w kieszeni i podrzuca podejrzanym klientom do talerza z zupą?

Zapadła cisza. Cała radość Zuzanny uleciała; policjantka znalazła się na dnie rozpaczy i upokorzenia. Froglet... kpił z niej!

Chyba zorientował się w jej uczuciach, bo zniecka poklepał ją przepraszająco po dłoni.

– Żartowałem, oczywiście, proszę się nie gniewać. Mam analityczny umysł i nie widzę związku między Pawłem, chłopakiem z ubogiej rodziny, zamordowanym na zadupiu – nie ujmując nic naszej pięknej okolicy oczywiście – a celebrytą z Warszawy oraz szyczą z przewodnika Michelina. Co może ich łączyć?

– Wałęsak! – mruknęła z uporem i zacisnęła zęby.

Na werandzie pojawiła się sympatyczna brunetka, co było wyraźnym sygnałem, że gość zbyt długo już siedzi i nadużywa uprzejmości gospodarzy. Zuzanna podniosła się, naukowiec również. Odprowadził ją do bramy, przy której zaparkowała samochód.

– Wybiorę się do restauracji i przypatrzę temu Bosakowi. – Froglet położył rękę na jej ramieniu. – I dam pani znać, co mi powiedzą w szpitalu.

Skinęła głową i wsiadła do auta. Zanim zamknęła drzwi, usłyszała, jak powiedział:

– Ma pani otwarty umysł i szybko się uczy o pająkach. Byłaby pani świetnym arachnologiem, widzę tę pasję.

– Ale jestem policjantką – warknęła.

Odjechała wzburzona i upokorzona.

Dochodziła północ, gdy skończyła kopanie fundamentów. Pracowała przy świetle położonych na ziemi latarek i lampy podłączonej przedłużaczem do prądu. Pan Jurek, widząc jej determinację, został i kopał razem z nią. Gdy skończyli i wyszli z głębokiego do pasa dołu, byli potwornie zmęczeni. Majster bez słowa podał jej rękę na pożegnanie i dowlóknął się do auta. Patrzyła na jego zgarbioną sylwetkę i miała ochotę go przytulić, mocno uściskać, poklepać po plecach. Ale chyba im obojgu byłoby potem niezręcznie.

On jeden jej nie zawiódł. Kochany pan Jurek.

Jutro przyjadą gruszki z betonem. A właściwie dzisiaj. Godzina duchów już minęła.

Poszła spać. Przyśnił jej się Janusz Bosak, który podsuwał jej pod nos talerz ze srebrną pokrywą. Wiedziała, że jest pod nią schowany wałęsak brazylijski, gotowy do ataku, ustawiony w swej bojowej pozycji. Wyciągnęła pistolet i oddała kilka strzałów. Gdy się obudziła, nie wiedziała, w kogo władowała magazynek: w Bosaka czy w pajaka.

## Rozdział 15

Idiotyczne sugestie, że bliźnięta uprawiają chorą rywalizację, przypomniały się Irenie w nie najlepszym momencie. W tej chwili skłonna była przyznać rację koleżankom.

Gdy wieczorem schroniła się w swoim pokoju, miała dosyć wszystkiego i wszystkich. Gotowała, sprzątała, robiła zakupy i nikt nie pomyślał, żeby jej pomóc. Matka patrzyła na nią z permanentną naganą, chyba wszystko jej się tu nie podobało. „A po co domek dla turystów? A po co w ogóle turyści? A przez staw to same komary. Za dużo jest tu kwiatów i grządek, trzeba przy nich chodzić, a po co ci dodatkowa praca?”. Wrrr! A po co, a na co – i tak w koło Macieju!

Moje kwiaty, moje zmartwienie!

No i jeszcze ten telefon!

– Nie działa? Od kiedy nie działa? Wyładowała się bateria?

Irena potrząsała aparatem, jakby to miało pomóc. Co mu jest?!

Teraz, gdy czekam na ważne połączenie? A jeśli Andrzej dzwonił?

Musi mu powiedzieć, że nie może teraz przyjeżdżać. Niech lepiej wraca do Chin. Albo niech rzuci politykę. Albo niech da jej, Irenie, spokój, bo ona jest już u kresu sił. Niepotrzebny jej romans, niepotrzebne nerwy. Ma dom pełen ludzi, dzieci się kłóć, matka ma wieczne pretensje, a przyjaciele zdradzili, wbili jej nóż w plecy. Właściwie tylko jeden przyjaciel, ale zrobił to jak zawodowy rzeźnik, zniecka i boleśnie.

– Włącz się, do cholery!

Bez skutku wciskała odpowiedni guzik. Czy cały dzień była niedostępna? Właściwie z nikim dziś nie rozmawiała. Marzena wróciła do domu dosyć wcześnie, niedługo po niej przyjechali Karol ze Spirosem, Irena nie miała potrzeby wydzwaniać i pytać, czy zdążą na kolację. Nikt też do niej nie telefonował... Może już od rana komórka nie działała?

Z aparatem w garści poszła do pokoju syna. Niestety, tuż pod uchylonymi drzwiami usłyszała, że jej dzieci znowu się kłóć! Ściszone głosy pełne były złych emocji. Zatrzymała się niepewnie. Marzenka syczała coś gniewnie, Irena zrozumiała tylko ostatnie słowa:

– Dlaczego jeździsz sam do Terespoła? A Spiros?

– Nie muszę ci się tłumaczyć! – W głosie Karola słychać było wściekłość. – I nie będę ci opowiadał o sprawach Spirosa.

– Ta pycha cię zgubi, gwiazdo.

Ojoj... To było niepotrzebne! „Gwiazdo”? Irena aż się skrzywiła. Stała pod drzwiami i sama nie wiedziała, czy ma dalej słuchać.

– „Gwiazdo”?! – Głos Karola był lodowaty. – Moja pycha? A co powiesz o swojej głupocie? Wiesz, jak ryzykujesz?!

– Nie bardziej niż ty!

Któreś z nich złapało za klamkę, a Irena błyskawicznie wycofała się do ciemnego korytarza. Zanim przemknęła do swojego pokoju, słyszała jeszcze stłumione głosy obojga i serce mało nie wyskoczyło jej z piersi.

Od dawna wiedziała, że przyjdzie taki moment, kiedy rodzeństwo zacznie funkcjonować nie jako bliźnięta, tylko jak brat i siostra. Samodzielnie, na własny rachunek. I tak długo przypominali jeden organizm, rozumieli się bez słów, jakby łączyła ich telepatia. Poszli do tej samej klasy w liceum, studiowali na tym samym uniwersytecie, a potem razem robili karierę

na innym kontynencie. Przypadek? Nie. Byli bardzo do siebie przywiązani, jedno za drugim skoczyłoby w ogień. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jej dzieci dorosły, czego ubocznym efektem są kłótnie. Tylko o co: o pracę, o tematy?! Rzeczywiście rywalizują z sobą! Bardzo przykre. Oby to nie zniszczyło więzi między rodzeństwem.

Irena miała wokół siebie wystarczająco dużo przykładów rodzinnej nienawiści. Przecież Regina nie utrzymuje kontaktu ze starszą siostrą, tą ładniejszą i lepiej życiowo ustawioną. To wystarczyło, by wiecznie skrzywiona bibliotekarka nosiła w sercu zadrę nie do usunięcia, sukcesy siostry były nie do wybaczenia. A Ignacy? Całe życie zazdrości bratu, znanemu dziennikarzowi radiowemu, opowiada o nim same nieprzyjemne rzeczy. Byłoby straszne, gdyby teraz Karol i Marzena... Nie chciała nawet o tym myśleć.

Tylko o jakim ryzyku oni mówią?! – zaniepokoiła się Irena.

Nie wiedziała, czy powinna z nimi o tym rozmawiać, czy też pozwolić obojgu układać nowe relacje, choćby rodziły się one w bólach? Może lepiej zaufać rozsądkowi dzieci. Och, Mikołaj by jej podpowiedział, co robić...

A niby skąd stary kawaler miałby to wiedzieć?!, zachnęła się ze złością. Lepiej niech pilnuje narzeczonej!

Zerknęła niepewnie na telefon. Naprawa musi poczekać do rana. Nie ma sił, by teraz pójść do dzieci i udawać, że niczego nie słyszała. Skoro oboje udają przed nią, że wszystko jest w porządku, to chyba nie ma wyjścia.

Niczego nie widziałam i nie słyszałam, postanowiła.

Dorastanie jest bolesne. I tyle.

Aspirant Zuzanna Brodzik siedziała w barowej pozycji przy kuchennym stole. Początkowo tylko łokcie opierała o krawędź, ale że głowa jej ciążyła, położyła na blacie ręce i opuściła na nie brodę. Pół leżąc, pół siedząc, oglądała na komputerze relacje z awanturczych wypraw Karola Wilka. Z coraz większym trudem podnosiła opadające powieki. Była senna, miała zakwasy po intensywnym treningu i przykre poczucie ogólnej frustracji. Czas uciekał, a dochodzenie nie ruszyło z miejsca, więc... Skoro prokurator Szatan kazał się „przyjrzeć” Wilkowi, to się przyjrzy.

Oglądała kolejny odcinek przygód reportera, tym razem na wodach Amazonii.

Świetny jest, kurde, musiała przyznać.

Karol Wilk siedział w łódce na żółto-brunatnej wodzie.

– Płynę bardzo wolno – mówił prosto do kamery. – To prawda, co mówili tubylcy: po powodzi poziom wody w rzece jest wysoki jak jeszcze nigdy od stu lat. Dlatego wodne bestie pokazują się tam, gdzie ich nigdy nie było, a normalne życie w wioskach stało się niebezpieczne. Pod powierzchnią pełno jest elektrycznych węgorzy i piranii.

Elektryczne węgorze! Piranie! Faaajnie...

Leniwie przewinęła film do przodu, by zobaczyć, jak podróżnik wreszcie spotyka się oko w oko z tropioną arapaimą, koszmarnie wyglądającą rybą. Reportaż pełen był dowcipnych uwag rozładowujących napięcie.

Dobry jest, co tu dużo mówić.

Jej zdanie potwierdzały setki tysięcy odsłon filmu i entuzjastyczne komentarze. Oczywiście większość od rozkochanych fanek.

Jak by to było pojechać z nim gdzieś do dzikiej dżungli?

Karol Wilk miał w sobie coś, co sprawiało, że czułaby się z nim bezpiecznie. I miał poczucie humoru. Generalnie, jakoś tak... Ciekawa mogłaby być taka podróż.

– Oczywiście, jeśli to nie on zabił Patejuka – mruknęła, przywołując się do porządku. Prokurator Szatan uważał, że tak. Że to Wilk stoi za zbrodnią.

Szatan jest głupi.

Powieki znowu jej opadły. Resztką woli wyprostowała plecy.

– Weź się w garść! – nakazała sobie.

Podsumowała to, czego dowiedziała się dotąd o pobycie reportera w Polsce: celnicy potwierdzili, że Wilk zbierał materiały do reportażu na temat przemytu zwierząt. Bywał w Terespolu, ale nie codziennie. Sam lub z kamerzystą. Jaki z tego wniosek?

Wniosek z tego... Przesadziłam na siłowni.

Dokąd jeździł Wilk, kiedy go nie było w Terespolu? Patejuk pracował w prywatnym nielegalnym zoo. Pobierał jad od wałęsaka. Wałęsak był w restauracji Janusza Bosaka. Janusz Bosak zna Karola Wilka. Skąd wziął się wałęsak w restauracji?

Przemyt zwierząt? Wniosek z tego... Eeee...

Janusz Bosak dużo podróżuje. Karol Wilk dużo podróżuje. Inspektor Michelina dużo podróżował. Czy inspektor znał Patejuka?

Wniosek z tego...

Skąd te zakwasy? To chyba ławeczka tak ją rozłożyła, za dużo było brzuszków. Ale te karki tak na nią patrzyły, jakby nie miała dać rady... tyle powtórzeń... na ławeczce... głową w dół... Owszem, mogłaby pojechać do takiej Amazonii... Elektryczne węgorze... Wałęsak... Byłoby miło...

Policzek opadł jej na blat stołu, ale Zuzanna Brodzik tego nie czuła. Jeszcze przez moment łapała ulotną myśl łączącą Janusza Bosaka z groźnym pajakiem i nieszczęsnym inspektorem.

A może... Tak! Tak mogło być...

Myśl uciekła.

Aspirant Brodzik zasnęła.

Tytus lubił tę ciszę, w którą wkradał się jedynie przytłumiony brzęk lamp w terrariach. W pawilonie było jasno jak w dzień. Malutka żabka, siedząca samotnie w niedużym akwarium, wyglądała tak niewinnie! Niecałe pięć centymetrów długości, bajecznie cytrynowy kolorek, lśniąca skóra, oczka jak u zabaweczki. Jednym słowem, słodkie pysio. Dopiero co przeniósł ją z wielkiego terrarium. Miała lepkie łapki jak u jakiegoś zasmarkanego bachora bawiącego się cukrową watą. Brrr!!!

Otarł koniuszki palców o kombinezon.

– Więcej nie będę cię już dotykał – syknął, zbliżając twarz do szyby.

W skupieniu zmarszczył niskie czoło.

– Nie na darmo Godzilla to twoja krewna.

Nie będzie już jej dotykał nie ze względu na te lepkie łapki... Gdyby chciał to zrobić jeszcze raz, żabka w kolorze kanarka byłaby ostatnim widokiem w jego życiu.

– Małe jest piękne, małe jest złe. He, he...

Drzewołaz złocisty. W naturze śmiertelnie niebezpieczne stworzenie. Jadem z gruczołów w skórze drzewołaza Indianie z Ameryki Południowej zatruwają strzały. Tytus przypomniał sobie fascynującą opowieść Szefa.

– Zbliżają żabki do ognia, a te, czując zagrożenie, produkują odstraszcający jad.

Wystarczy wtedy potrząść grotem strzały o ich skórę... Wierz mi, jedna strzała powali bawołu. Trucizna na grocie będzie niebezpieczna jeszcze przez rok. Dzienna dawka wytworzona



na skórze drzewołaza może zabić dziesięciu ludzi i dwa słonie. To maszynka do zabijania...

Ale nie w niewoli. W naturze niebezpieczny jad drzewołazów pochodzi z rodzaju pożywienia. W warunkach szklarniowych odseparowane od toksycznego przysmaku drzewołazy są nieszkodliwe. Tak jak te siedzące w terrarium obok.

Tytus sprawdził, czy temperatura i wilgotność są właściwe. Uff, parametry książkowe! Odetchnął z ulgą. Dałby mu Szef, gdyby pod jego nieobecność coś się stało! Zerknął na kolorowe punkciki widoczne doskonale na tle zielonych liści. O, jest jego ulubienica, niebieska! Tylko jedna taka tutaj. Inne są pomarańczowe, truskawkowe, cytrynowe.

Im jaskrawiej ubarwiona, tym bardziej jadowita – przypomniał sobie słowa Szefa.

Zadowolony z porządku, jaki panował w pawilonie z płazami, Tytus włożył rękawicę i podszedł do akwarium z chrząszczami. Ostrożnie uchylił pokrywę i wolnym ruchem zawiesił dłoń nad owadami. Spokojnie zniżył ją i chwycił kilka sztuk, a potem przeniósł je do pojemnika ze złośliwą żabką, uważając, by żaden z owadów nie czmychnął mu po drodze.

– Chrząszcze z rodzaju *Choresine* – powiedział z dumą.

Zapamiętał! Zapamiętał tę cholerną nazwę! Paweł miał to w małym palcu, szkoda, że stracili takiego pracownika, zwierzętami zajmował się jak nikt.

– Smacznego. – Tytus wolno puścił owady i uśmiechnął się do żółtej siostry Godzilli.

Żabka nawet się nie poruszyła, ale Tytus wiedział, że wieczorem chrząszczy już nie będzie. To z nich brała się ta trucizna.

– Bat... batra... batrachotoksyna! – wydukał i dumnie wyprężył pierś. Jeszcze zaskoczy Szefa. Nie mógł się doczekać, gdy tak od niechcienia powie: „No, mamy wystarczająco dużo batrachotoksyny!”. Albo: „Szefie mam już kantarydynę!”. Zaraz, zaraz, jak się te chrząszcze od tej drugiej trucizny nazywały? O, kurczę! Jakoś tak brzydko...

– Pryszczel! – Walnął się w czoło.

Pryszczel lekarski, zwany hiszpańską muchą. Ha! Jednak pamięta! Z zadowoleniem zerknął na skserowane notatki Szefa. Ciarki mu przeszły po plecach na myśl, co by się stało, gdyby jego pracodawca zobaczył te kopie. Siostra Godzilli to byłby mały pikuś w obliczu jego gniewu! Trzeba je dobrze schować.

Na początku Tytus był niezadowolony, że musi tyle czasu spędzać na farmie, ale teraz, gdy znalazł notatki Szefa, otworzył się przed nim tajemniczy świat gwałtownych śmierci, nieporównywalnego do żadnych tortur bólu, chorób, których nikt w Europie nie potrafił skojarzyć z rzadkimi i jakże niebezpiecznymi stworzeniami. To było fascynujące! I właściwie polubił te chwile, gdy Szef zajmował się swoim biznesem, a on miał czas na edukację w tej trudnej dziedzinie. Wcześniej nigdy nie przyszło mu na myśl, że na świecie żyje tak dużo śmiertelnie niebezpiecznych zwierząt.

– Szkoda nie wykorzystać tej wiedzy – mruknął, wpatrując się w drzewołaza.

Kolorowy trujący płaz już niedługo wyjedzie. Szkoda. Jest lepszy niż pistolet! Szef powinien sprzedawać zawodowym zabójcom igły nasączone śmiertcionym jadem. To dopiero interes! Trzeba go przekonać, ależ byłyby z tego pieniądze!

Tytus rozejrzał się po pawilonie, by się upewnić, że wszystko jest w porządku. Żaby, ropuchy, węże, skorpiony, pająki, nawet skolopendry... Prawdziwy pawilon śmierci.

– He, he – zaśmiał się z naprędce wymyślonej nazwy.

Szefowi by się spodobała.

Zadowolony wziął ze stołu kopie notatek i już nie mógł się doczekać, kiedy ponownie usiądzie, żeby je dalej studiować. Szef przyjedzie z Warszawy za dwa dni. Właściwie nie z Warszawy, bo przecież miał jeszcze biznesowy wyjazd, ale to nie zmienia faktu, że Tytus ma jeszcze dwa długie piękne dni bez wszechobecnych jasnoszarych oczu. A jak już to wszystko

rozgryzie, znajdzie kogoś do pomocy przy całej tej menażerii. Na razie sam sobie da radę.

## Rozdział 16

Aspirant Zuzanna Brodzik wstrzymała oddech. Jest! Billing rozmów z komórki Pawła Patejuka. Nareszcie!

– Miała pani nosa – pochwalił ją naczelnik.

Okazało się, że Patejuk miał telefon i często z niego korzystał.

Dużo było tu, niestety, połączeń z prepaidami, telefonami na kartę. Co istotne, żaden numer się nie powtarzał, jakby w każdym przypadku kontakt był jednorazowy. Z nadzieją przeszła do połączeń z przypisanymi abonentami. Lista nazwisk nie była długa. Od razu zaczęła szukać Janusza Bosaka.

Nie ma!?

Poczowała rozczarowanie. Bosak był na ognisku, gdy zginął Patejuk, no i obracał się w towarzystwie miłośników natury, co mogło go łączyć z ofiarą. W jego restauracji doszło do kolejnej tragedii z inspektorem Michelina... W tym przypadku Bosak mógł mieć motyw do popełnienia zbrodni, ale jeśli chodzi o Patejuka...?

Podświadomie nastawiła się, że znajdzie w billingu jakiś ślad potwierdzający, że ci dwaj się znali. Niestety. Porażka.

Studiowała kolejne połączenia i natknęła się na telefon Marka Frogleta. Profesor opowiadał jej, że rozmawiali sobie z Patejukiem od czasu do czasu. A właściwie często.

Aż tak często? Czy tylko o zwierzętach? Eee... Na pewno.

Czytała dalej. Kilka połączeń zagranicznych: do Rosji i Nowej Zelandii. W Rosji na prepaidy, a w Nowej Zelandii łączył się tylko z jednym numerem, należącym do... Polki!?

– Marzena Wilk?

Przypomniała sobie czarnowłosą dziewczynę, którą widziała, będąc ostatnio na miejscu zbrodni. Córka właścicielki domu.

Z billingu wynikało, że kontaktowała się z ofiarą: dwie rozmowy tydzień przed morderstwem i jedna dzień przed.

Marzena Wilk!

Patejuk zginął w niedzielę, a dziewczyna oświadczyła, że jest w Polsce od wtorku. Ciekawe.

Zuzanna przygryzła wargę. Gdyby się okazało, że Marzena Wilk była w kraju już od niedzieli...

I wtedy sobie przypomniała. Przecież to matka mówiła, że córka przyjechała we wtorek, dziewczyna milczała, nie odezwała się ani słowem!

Spryciula...

Trzeba sprawdzić na lotnisku, kiedy naprawdę Marzena Wilk stanęła na ojczystej ziemi.

No i wystąpić do wydziału wywiadu kryminalnego o analizę miejsc, w których logował się telefon Patejuka. Tak będzie szybciej niż oficjalną drogą przez prokuratora. Na myśl o Grzegorz Szatanie zacisnęła zęby.

Billing rzucał nowe światło na dochodzenie. Marzena Wilk знаła Patejuka i kontaktowała się z nim... A jej brat? Czyżby Karol Wilk kłamał? Może rodzeństwo działa w porozumieniu?

Dobry humor nagle opuścił Zuzannę. Pomyślała o prokuratorze. Niestety, będzie miał satysfakcję, niemal widziała jego kpiący arogancki uśmiech. Szlag by to!

Po raz pierwszy od kilku tygodni SzeF spędzał wieczór w domu. Czuł się dziś wyjątkowo samotny, miał melancholijny nastrój i zatęsknił za egzotycznymi podróżami. Nie mógł podróżować tak często, jak by chciał.

I tak wszystkim na tym świecie rządzi przypadek, pomyślał filozoficznie, wyglądając na ulicę.

Kot otarł mu się o nogi, wziął więc go na ręce i przytulił policzek do gorącego bezwłosego grzbietu.

Przypadek... Gdyby wtedy nie pojechał na to safari, gdyby nie spotkał Rosjan...

Na pewno nie stałby się milionerem w tak krótkim czasie. Dziś miał tyle pieniędzy, że po prostu o nich nie myślał, ale nie podniecały go już, nie cieszyły. Może dlatego, że nie napisze o nim „Forbes” ani nawet „Wprost” nie umieści go na liście najbogatszych Polaków. Do rankingu nie trafiają przecież pieniądze zarobione w szarej strefie.

Szkoda.

Bo tylko sława wydawała się jeszcze warta zachodu, ale jak długo będzie go bawiła?

To tylko zły dzień...

W nowym przedsięwzięciu, któremu zaczynał się oddawać z coraz większą pasją, zaczynała go upajać władza. Absolutnie cudowne było to, że nikt nie miał pojęcia o jego drugim, sekretnym życiu, choć znalazło się w tym miedzie trochę goryczki: nie mógł się pochwalić swoim geniuszem. A było czym, na Boga!

Gdyby kiedyś ktoś mu szepnął, że nad Bugiem, we wschodniej Polsce kwitnie międzynarodowy handel egzotycznymi zwierzętami, śmiałyby się w głos z tak fantastycznego żartu i pukał palcem w czoło. Dobrze sobie! Ale to i tak nic wobec stwierdzenia: „Nad Bugiem wylęgają się śmiertelnie niebezpieczne pająki, jadowite skorpiony, a nawet rodzą się lwy”.

Kto w to uwierzy?

Na tym polegała genialność pomysłu. A wszystko zaczęło się od tamtego pamiętnego safari, gdy grono zblazowanych biznesmenów dopuściło go do tajemnicy i zabrało na „prawdziwe” polowanie. Wtedy jeszcze nie wiedział, że w Afryce Południowej hoduje się na specjalnych farmach tysiące rzadkich zwierząt tylko po to, aby zagraniczni łowcy trofeów mogli polować za grube pieniądze.

– Naprawdę strzelają do lwów na specjalnych arenach? – dziwił się z niesmakiem, bo zwierzę nie miało szans na ucieczkę, a myśliwy bezpiecznie siedział na pace samochodu.

– Gwarancja sukcesu! – tłumaczył ze śmiechem przewodnik. – I cena!

No tak. Cena. Polowanie na dzikiego lwa w czasie safari w Tanzanii mogło kosztować ponad pięćdziesiąt tysięcy euro, podczas gdy na farmie w RPA płacono się zaledwie od pięciu do dwudziestu pięciu tysięcy euro. Polowano na wszystko: na antylopy, bawoły, lwy, krokodyle...

SzeF wrócił z niesmakiem do obozu i do późnej nocy słuchał przechwałek „myśliwych”, jak to zmierzli się z lwem. Każdy odbył sesję fotograficzną.

– No, no!!! – Inni obozowicze, niewtajemniczeni w sekret, zazdrościli tamtym, widząc okazane zdjęcia.

Kilka dni później przewodnik z zadowoleniem wsunął plik banknotów do kieszonki na piersi i po cichu zabrał go na farmę, na której hodowano lwy przeznaczone do kontrolowanych polowań.

– Zaskakująco łatwo się rozmnażają w niewoli – zapewniał właściciel farmy.

– Kocięta zaraz po urodzeniu odbiera się matce, żeby szybko weszła w następną ruję. W ten

sposób w ciągu dwóch lat można się doczekać nawet pięciu miotów od jednej samicy!

Patrząc na królewskie zwierzęta, Szefer doznał olśnienia. A gdyby tak w Europie...

Pomysł musiał swoje odczekać, aż do następnego wyjazdu do Afryki. Szefer poznał wtedy Rosjan, którym spodobały się jego marzenia. To oni urządzili oficjalny park safari z nieoficjalną farmą „kontrolowanych polowań”, gdzieś między Ukrainą a Kazachstanem. A on zaczął dostarczać tam zwierzęta.

Kupił kilkanaście hektarów nad Bugiem, choć po tej transakcji nie pozostał żaden ślad w oficjalnych dokumentach. Formalnie właścicielem ziemi nadal był zniszczony przez alkohol rolnik, o którym rozpuszczono wieści, że wyjechał za pracą do Belgii. W rzeczywistości żył w ciepłarnianych warunkach: miał gdzie spać, co jeść, co pić, niczego więcej nie potrzebował... Za betonowym murem powstało małe zoo, z solidnymi klatkami, bezpiecznymi wybiegami, a nawet fosami.

Już po jednym sezonie farma zaczęła przynosić krociowe zyski.

Bo on, Szefer, po prostu jest genialny!

Od razu zainwestował w prawdziwy rarytas, czyli białe lwy, przez lata uznawane za mityczne stworzenia. Żądni trofeów myśliwi gotowi byli płacić każdą cenę za odstrzelenie tych zwierząt. W niewoli bardzo łatwo uzyskiwało się potomstwo od osobników z genami recesywnymi, odpowiadającymi za tę rzadką barwę.

Upolować białego lwa... Po prostu pomagał spełniać te marzenia...

A pieniądze płynęły strumieniem.

I już myślał, że znalazł swój sposób na życie, gdyby nie podróż do Azji. Bo zobaczył tam...

– Farmy śmierci... – westchnął.

To one były najbliższe jego naturze. I taką farmę postanowił mieć.

## Rozdział 17

Mapa robiła wrażenie; wchodząc do restauracji, wkraczało się w inny świat. Ogromne reprodukcje starodawnych map pięknie się komponowały z akwariami i rozłożystymi roślinami. Wystrój lokalu był żywym dowodem, jak zachwycająca jest sama natura. Wąskie akwaria zastępowały wewnętrzne ściany między strefami sali jadalnej. Palmy, bananowce i owocujące drzewka pomarańczowe czuły się tu doskonale. Mimo że było ich dużo, i tak miało się wrażenie przestrzeni. Marek Froglet podczas podróży po całym świecie widział wiele miejsc zapadających w pamięć; Mapa na pewno będzie do nich należała.

Profesor bardziej przypominał gwiazdę rocka niż naukowiec: szczupły, wysoki, wysportowany, z włosami do ramion. Pasował do tego miejsca i od razu poczuł się tu jak stały bywalec. Znalazł wolny stolik w głębi i udając, że ogląda ryby w akwariach, przeszedł się po sali, lustrując donice z roślinami. Zaglądał pod liście, oglądał pnie przy korzeniach... Jeśli gdzieś tu ukrył się jadowity pająk, to miejsce do życia znalazł idealne, niestety.

Złożył zamówienie i nawet z przyjemnością zjadł jakąś wariację na temat buraka, ryby i selera.

– Czy coś jeszcze pan sobie życzy? – Kelner znalazł się przy nim natychmiast, gdy tylko otarł usta serwetką.

– Chciałbym porozmawiać z właścicielem, jeśli można.

– Szef jest dzisiaj, zaraz poproszę.

– To może jeszcze kieliszeczek „Młodego ziemniaka”.

Froglet uznał, że alkohol doda mu trochę przebojowości, której potrzebował do rozmowy z restauratorem. W końcu nieczęsto przynosi się komuś wieści, że gdzieś tu może spacerować śmiertelnie niebezpieczne zwierzę. Wizyta w szpitalu na niewiele się zdała. Personel, owszem, pamiętał pacjenta z erekcją, lecz nic poza tym. O tym, by zajrzeć do historii choroby, nawet nie było mowy, ochrona danych ponad wszystko. Pech.

Kelner postawił przed nim kieliszek z kamionki. Naukowiec przymknął oczy i upił pierwszy łyk. Zaraz potem do stolika podszedł szczupły mężczyzna z kobietą – jak to ocenił Marek – fryzurą. Długie do ramion włosy rozdzielał równy przedziałek. Mężczyzna był ubrany w czarny uniform z czerwonymi wypustkami.

– Lekki posmak gruszki, prawda? Zaskakujące – powiedział, wskazując kieliszek.

Szare oczy patrzyły na Frogleta z chłodną ciekawością.

– Zaskakujące – przyznał naukowiec.

Mężczyzna w czerni usiadł na wprost niego.

– „Młody ziemniak” to seria limitowana, dostępna tylko w najlepszych restauracjach – zaznaczył. – Powstaje na bazie spirytusu jednokrotnie destylowanego, produkowanego z młodych ziemniaków kopanych w czerwcu. Wódka miewa owocowy posmak, choć jest przecież wytwarzana jedynie z ziemniaków. Producent dokładnie opisuje rok, w którym została wyprodukowana, w specjalnej księdze zamieszcza informacje o pogodzie i jej anomaliach, o wybuchach wulkanów na poszczególnych kontynentach, powodziach, trzęsieniach ziemi...

Froglet wypił resztę alkoholu i odstawił kamionkowy kieliszek. Dokończył za restauratora:

– Tę wódkę produkuje się w gorzelnii w Krzesku, koło Siedlec, jednej z najstarszych w kraju, z wielowiekową tradycją wytwarzania alkoholu... To tam powstaje słynna na cały

świat luksusowa wódka Chopin... Wiedział pan, że w siedleckim Polmosie standardy produkcyjne są tak wysokie, że butelki przed nalaniem alkoholu są jeszcze płukane... wódka Chopin?

W szarych oczach pojawił się błysk uznania.

– Janusz Bosak. Chciał się pan ze mną widzieć.

Froglet uściśnął wyciągniętą dłoń. Jeśli restaurator był ciekaw, po co go zawołano, nie okazał tego po sobie. Twarz mężczyzny przypominała maskę.

Naukowiec chrząknął i z zakłopotaniem przesunął palcem po czole.

– Nie wiem, jak to panu powiedzieć... Obawiam się, że... Eee... Wie pan, ja się zawodowo zajmuję pająkami...

– Tak?

– Nie mogę wykluczyć... Właściwie mam pewne podejrzenia, że... Eee...

Bosak nie ułatwiał mu zadania. Twarz miał absolutnie beznamiętną.

– Myślę, że w tej restauracji może się znajdować *Phoneutria nigriventer!* – oświadczył Froglet z determinacją.

Bosak patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, zmarszczył brwi i przekrzywił głowę niczym pies spoglądający na zabawkę.

– Wałęsak brazylijski?! – Nagle w jego oczach pojawiło się rozbawienie.

Froglet energicznie przytaknął.

– Wie pan, ten inspektor Michelina... biedaczysko... Czytałem o tym w gazetach... To mogła być ofiara wałęsaka.

Restaurator wciąż wpatrywał się w niego ze zmarszczonymi brwiami. Po chwili wybuchnął śmiechem. Histerycznym, niekontrolowanym rechotem.

– Aaa... hi, hi, hi... aaaa...

Jego śmiech był na tyle zaraźliwy, że naukowiec także zaczął cicho chichotać.

– He, he... He, he...

Janusz Bosak uspokajał się powoli.

– Hi, hi, hi... To mam tu mordercę, tak? Aaa... Hi, hi, hi...

Chichotali razem.

Nagle restaurator wykrzywił się i zaczął gwałtownie pociągać nosem. Oparł dłonie na stoliku i podniósł się ciężko.

– Mam tu mordercę... – powtórzył złowieszczym tonem. – O, tak! Mam tu mordercę!

Odwrocił głowę w stronę kuchni.

– Czy nikt nie słyszy, jak te bakłazany płaczą?! Za długo już są duszone! Mordercy! Ile razy mam mówić: Tylko odrobinę duszenia! Odrobinę! One już krzyczą: „dość”! Mordercy!

Ze złością ruszył w stronę zaplecza. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, odwrócił w stronę zaskoczonego Frogleta i pobłażliwie machnął ręką.

– Wałęsak! Chyba pan zwariował.

I już go nie było.

Marek Froglet potrzebował chwili, aby dojść do siebie. Gdy wyszedł z lokalu, natychmiast zadzwonił do aspirant Zuzanny Brodzik.

– Ostrzegala mnie pani, że facet ma nierówno pod sufitem. To by się nawet zgadzało – stwierdził lakonicznie. – Coś z nim rzeczywiście nie tak. I niewątpliwie zna się na pająkach... Skąd wiem? Podalem mu łacińską nazwę, a on od razu wiedział, że chodzi o wałęsaka... Nie wiem, co pani z tym robi, ale ten człowiek jest dziwny.

## Rozdział 18

Mikołaj widział swoje odbicie w wielkim lustrze otoczonym malutkimi reflektorkami. Mimo że doskonale znał kulisy pracy w telewizji, niezmiennie bawiło go przygotowanie do występu w studiu. I trochę krępowało. Ten puder na twarzy... Poddawał się jednak bez słowa wszystkim zabiegom.

– Gotowy? – Do garderoby zajrzała młoda dziewczyna z włosami w niebieskim kolorze. Była jak kolorowy ptak, na powiekach mienił się złoty cień. – Już czekają.

Mikołaj poszedł za nią, czując lekką treść. W studio okazało się, że oprócz niego jest jeszcze dwóch rozmówców, których nie znał. Redaktorka prowadząca spotkanie przywitała go wylewnie, dziękując, że tak z marszu przyjął zaproszenie. Prawdę mówiąc, nie do końca wiedział, czego twórcy programu oczekują, miał wystąpić jako ekspert od zachowań zwierząt i rzeczywiście dorwano go z „łapanki”, bo ktoś umówiony zrezygnował w ostatniej chwili.

– Cisza! Wchodzimy na wizję! – zabrzmiał głos z reżyserki.

No, ładnie, audycja na żywo, zdążył pomyśleć.

Redaktorka prowadząca spotkanie rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

– Zastanawiali się państwo czasem, jakie obyczaje seksualne panują w świecie zwierząt? Ile mają w sobie ludzkich cech? Tajemnice alkozy ssaków, ptaków i gadów bywają fascynujące! – przekonywała.

Mikołajowi zrobiło się gorąco. Spodziewał się raczej pytań o udział w międzynarodowych akcjach ratujących zagrożone wymarciem gatunki, a tu, proszę, seks. Dwaj zaproszeni eksperci wymądrzali się już, opowiadając o zalotach ptaków, potem ssaków, a zadowolona redaktorka kiwała głową. Nagle zwróciła się do Mikołaja.

– Hoduje pan węże, jak wygląda ich seks?

– Burzliwie. – Z rezygnacją wypuścił powietrze z płuc.

– Burzliwie? – Zaśmiała się perliście. – Jak burzliwa może być miłość dwóch sznurówek? Dwóch wstążek makaronu bez rąk, nóg, jedwabistej sierści czy piór!

– Jak pani zauważyła, te sznurówki nie mają rączek, którymi mogłyby przytrzymać uciekającą kokietkę, za to mają dwa półprącia zwane hemipenisami.

– Dwa?! Przebił pan wszystkich. – Wyszczrzyła się radośnie, jakby to sam Mikołaj dysponował owym podwójnym narządem.

– Półprącia są kolczaste. Nabrzmiaty hemipenis trochę przypomina kaktus. To utrudnia wypadnięcie narządu z kloaki partnerki – tłumaczył obrazowo Mikołaj, a uśmiech redaktorki gwałtownie gasł. – Samiec musi się dobrze zapętlić na samicy, bo, jak się pani domyśla, brak rączek do przytulania utrudnia miłosny uścisk. Niestety, bywa, że kapryśnej oblubienicy seks szybko się nudzi i uciekając z alkozy, urywa hemipenis partnerowi.

Redaktorka zbladła.

– Dlatego natura wyposażyła węże w dwa półprącia – dodał szybko Mikołaj, jakby chciał zatrzeć złe wrażenie.

W studiu na chwilę zapanowała cisza. Jeden z gości postanowił uratować sytuację.

– A w świecie zwierząt samice nie mają orgazmu! – ryknął z triumfem.

– Spotkamy się ponownie po przerwie na reklamy. – Redaktorka oprzytomniała i profesjonalnie błysnęła do kamery nieskazitelnymi zębami.



Mikołaj wracał do domu w podłym humorze. Prowadząca do końca programu nie dopuszczała go już do głosu, a szkoda, bo miał wiele do powiedzenia. Zgodził się na to nagranie, bo potrzebował jakiejś odskoczni od prac związanych z wystawą. Jeszcze raz się potwierdziło: mógł iść na wojnę, wędrować po głuszy bez wody i jedzenia, ale nie mógł, po prostu NIE MÓGŁ siedzieć za biurkiem! Tymczasem obecna część przygotowań do projektu właśnie tego wymagała. Koszmar.

Na Mokotowie znalazł się w godzinach największego szczytu i utknął w korku.

Ze złością uderzył w kierownicę. Wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer Ireny. Nie odebrała. To już kolejny raz, gdy do niej dzwoni, a ona nie odbiera i nie oddzwania. Obraziła się? Ale, na Boga, za co miałaby się obrażać?!

Zadzwoił do Karola. Chłopak też nie odebrał, ale po chwili przyszedł od niego SMS: „Nie mogę rozmawiać. Robimy nagrania w Terespolu”.

– No, chociaż ten dzieciak okazuje trochę szacunku – mruknął Mikołaj.

Auto wlokło się w korku jak ślimak. Zirytował się, Warszawa nie jest miejscem dla ludzi!

Wybrał numer Marzeny, ale od razu automat poinformował go, że abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem. Przypomniał sobie, że mówiła coś o kłopotach z aparatem, więc zrezygnował z dalszych prób.

Cały czas miał wrażenie, że bliźniaki go unikają. Po spotkaniu w Mapie, z Marzeną nie udało mu się już porozmawiać. Karol wymawiał się pracą. Mikołaj zawsze miał z obojgiem dobry kontakt, lubili się chwalić swoimi osiągnięciami, a on nie szczędził im pochwał. Przecież był dla nich jak ojciec. Teraz czuł bijącą od nich rezerwę.

Pod wpływem impulsu zadzwonił do znajomego celnika z przejścia w Terespolu. Po kurtuazyjnych opowieściach, co słysząc, zapytał o dziennikarzy z Nowej Zelandii.

– Mój chłopak tam u was nagrywa, taki prawie syn. Jak sobie radzi? Przygotuj jakieś sprawy ekstra, on pracuje dla National Geographic.

– Karol? – W głosie celnika od razu czuło się sympatię. Wszyscy tak reagowali, chłopak podbijał serca ludzi już przy pierwszym spotkaniu. Mistrz pierwszego wrażenia.

Zadowolony Mikołaj uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Powiedz mu, że jak skończy z wami, ma do mnie zadzwonić.

– Ale jego tu nie ma. – Tym razem w głosie kolegi słysząc było zdziwienie.

– Skończyli nagrania z tym kudłatym dwa dni temu.

– A, to się uwinął! Szybki, jak zwykle. Chyba już nie nadażam za młodzieżą. To trzymaj się, stary. – Skonsternowany Mikołaj próbował rozmawiać, jakby nic się nie stało.

– A kto ma nadażać za młodymi, jak nie ty! – Celnik śmiał się w głos. – Dociekliwy ten twój prawie syn, czuje się dobrą szkołę, wypytał nas tu o wszystko.

– Tak?

– Ty, a o co mu chodzi z tymi farmami śmierci?

– Farmy śmierci? Pierwsze słyszę.

– Jeszcze raz przyjechał, ale już sam, i pytał, czy coś wiemy. Czy przypadkiem nie mamy więcej przypadków przemytu jadowitych węży, skorpionów.

– A macie?

– Standardowo, od czasu do czasu trafi się jakiś idiota. Stary, pamiętasz tego gościa, który uszył worek na węże i przymocował go w nogawce spodni? – Celnik roześmiał się rubasznie.

Mikołaj pamiętał. Worek pękł, a węże jeden po drugim wypełzały ze spodni, każdy

w inną stronę. Mężczyzna stał, rozglądał się i udawał, że nie ma pojęcia, co się dzieje.

– Co to za farmy śmierci?  
– Podzwoniłem trochę, popytałem. Witalij, wiesz, ten z Ukrainy, coś słyszał. Podobno są miejsca, gdzie poszukiwacze przygód uczestniczą w ekstremalnych zawodach.  
– Niech zgadnę... Sprawdzają się w łapaniu jadowitych węży?  
– Coś w tym stylu, choć bardziej ma to przypominać rosyjską ruletkę, że nie wiesz, jaki ci się okaz trafi.

– To chore.  
– Jeszcze jak! Ponoć jest publika, są losowania... No i lekarz aplikujący surowicę. Wyobrażasz sobie, jaki to powód do dumy? Przeżyłem starcie z grzechotnikiem!

– Mają grzechotniki?!  
– Tak tylko strzelam. Coś tam muszą mieć. Mikołaj, może jakieś szkolenia trzeba zrobić, co? Bo jeśli to prawda... Podpytaj Karola.

– Taaa... Podpytam.  
– Bystry chłopak – chwalił go celnik. – To mówisz, że będziemy w National Geographic? Fiu, fiu! No, trzymaj się, Mikołaj, i odwiedź starych znajomych z Terespolu. Cześć.

Mikołaj jechał do domu jak automat, czuł się wyjątkowo podle. Karol go okłamał, już nie nagrywa w Terespolu.

Muszę się spotkać z gówniarzem! Co on kombinuje? Co to za farmy śmierci?!

Do domu dojechał z mocnym postanowieniem: choćby miał siedzieć do rana, musi skatalogować zdjęcia na wystawę, wysłać materiał organizatorom i z czystym umysłem zająć się bliźniętami!

Na ławeczce przed klatką schodową siedziała sąsiadka z parteru. Mikołaj udał, że nie widzi jej szerokiego uśmiechu, bo wyglądała, jakby chciała sobie pogadać, a on na pogawędki nie miał ochoty. Przyspieszył kroku.

– Panie Mikołaju! – Usłyszał za sobą wołanie. – Jakże się cieszę!

Zatrzymał się i starał przypomnieć, czy nie było jakiegoś zebrania wspólnoty mieszkaniowej, o którym zapomniał. Starał się na nich bywać, aby nie dopuszczać do zbytnej ofensywy nawiedzonych społeczników, lubujących się we wszelkiego rodzaju zakazach, dla dobra lokatorów, oczywiście. Przynajmniej raz na kwartał próbowali wprowadzać jakieś ograniczenia swobód obywatelskich, przeciwko czemu Mikołaj zawsze gwałtownie protestował.

Sąsiadka była podejrzenie rozanielona.

Nie jest dobrze, przemknęło mu przez głowę. Banda nawiedzonych ani chybi coś wymyśliła.

– Panie Mikołaju, co to za urocza osoba. – Leciwa sąsiadka złożyła ręce jak w dziękczynnej modlitwie. – Zakupy mi zrobiła, sama zapytała, czy czegoś nie potrzebuję, jak szła do sklepu. Znalazł pan skarb! Skarb! Jak ja się cieszę.

– Skarb? – Mikołaj na wszelki wypadek wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ogarnęły go złe przeczucia.

– Diament! Czystej wody diament! – Sąsiadka nakręcała się coraz bardziej. – I jaka czyścioszka! Oj, nowe życie pana czeka, nowe życie! – Zniżyła głos. – My wszyscy się tu cieszymy, panie Mikołaju, wszyscy!

– Wszyscy?

– No, sąsiedzi – doprecyzowała.

– Dziękuję – powiedział niepewnie i ze ściśniętym gardłem wszedł do klatki schodowej.

Ze zdumieniem i lekkim niepokojem stwierdził, że zza drzwi jego mieszkania dolatuje muzyka. I jeszcze coś... Grzybowa?! Wciągnął zapach w nozdrza. Grzybowa! Jego ukochana zupa!

Nacisnął klamkę, a drzwi ustąpiły, choć dałby sobie głowę uciąć, że wychodząc, zamknął je na klucz. W mieszkaniu zrobiło się bardzo jasno i od razu domyślił się dlaczego. W oknach nie było zasłonek ani firanek. Sądząc po odgłosach dobiegających z łazienki, pewnie właśnie się prały. Na parapecie stała miska z wodą, a Regina, w obcisłym dresiku i z włosami zaplecionymi w warkocz, myła szyby. Mikołaj dostrzegł sąsiadów, którzy stali na swoich balkonach i machali mu przyjaźnie, ze znaczącymi uśmiechami.

– Renia???

– Nareszcie jesteś! – Zeskoczyła zadowolona z krzesła. – Zobacz, jak widno się zrobiło. Tych okien nie myłeś chyba z rok, co?

– Co ty tu robisz?

– Obiad! Myj ręce i siadaj, wszystko gotowe i czeka.

– Jak tu weszłaś?

Spojrzała na niego zdumiona.

– No przecież dorobiłam klucze. Nie pamiętasz? Uznaliśmy, że tak będzie wygodniej, bo jak wyjeżdżasz, to ktoś musi tu być i opiekować się zwierzętami.

– Uznaliśmy?

– No... WTEDY...

– Kiedy?

– No, WTEDY, wiesz!

– Nie wiem.

– No, jak spaliśmy z sobą. – Rumieniec okrasił jej chude policzki.

– Spaliśmy z sobą... – powtórzył słabym głosem Mikołaj.

Regina wyszła do kuchni, skąd dobiegł brzęk talerzy.

– Myj ręce! Jest grzybowa, a na drugie zrazy po staropolsku. Dostałam przepis od mamy Ireny.

– Od mamy Ireny...

– Co mówisz? Nie słyszę!

Mikołaj zupełnie bez sił opadł na kanapę. Siedział z otwartymi ustami i zastanawiał się rozpaczliwie, czy przypadkiem nie ma tu ukrytej kamery.

O! Janusz mógł mu wyciąć taki numer! Ukryta kamera!

Rozejrzał się podejrzliwie po znajomych kątach. Jakieś przebijające się przez mózg wspomnienie nie dawało mu spokoju. Regina... noc... stypa po Bartnickim... dużo alkoholu... kac gigant...

O kurwa...

## Rozdział 19

Olga pobiła chyba rekord biegu na wysokich obcasach. Czuła, jak pot spływa jej po plecach, a panika ściska gardło. Jak mogła zapomnieć o terminie rozprawy?! Stukot szpilek rozlegał się echem w korytarzu sądu, a ludzie siedzący ze smętnymi minami na drewnianych ławkach przyglądali się drobnej kobiecie w krótkiej sukience i z opalonymi nogami.

Nie tak miało być, nie tak miała wyglądać! Przecież wszystko obmyśliła, przygotowywała się na ten dzień spotkania z ojcem w sądzie. W garderobie wisiał szary prosty garnitur, jak dla urzędniczki, a pod nim czekały równo ustawione czarne pantofle na płaskim obcasie. Miała wyglądać skromnie i przeciętnie, jak przystało na porzucone kiedyś dziecko, z którego wyrosła kobieta wychowywana tylko przez matkę, w biedzie.

Z tych planów jednak nic nie wyszło. Zapomniała o rozprawie! Włożyła krótką sukienkę odsłaniającą nogi, dekolt i ramiona, pachniała drogimi perfumami, nawet makijaż miała dziś mocniejszy. Na wszelki wypadek przygotowała się na spotkanie ze Spirosem, choć do końca nie wiedziała, czy uda mu się znowu przyjechać. Wpadał znienacka, kochał się z nią gwałtownie i zniknął. Oszałała na jego punkcie, była gotowa czekać na wiadomość i rzucić wszystko dla kilku chwil uniesienia. Dziś też funkcjonowała jak w gorączce, fantazjując o rozkoszach z kochankiem. Termin sądowego boju z ojcem o alimenty całkiem wypadł jej z głowy! O rozprawie przypomniała Oldze w ostatniej chwili pracownica.

Dobiegła do sali rozpraw, w momencie gdy zamykały się drzwi za wchodzącymi mężczyznami. Szarpnęła za klamkę i wpadła do niedużego pomieszczenia, w którym stały ławki, a na podwyższeniu siedział już wysoki sąd i protokolantka. Kobieta w tożde spojrzała surowo na spoconą, zaróżowioną Olę. Długi nos pani sędzi poruszył się leciutko, gdy do kobiety doszedł zapach perfum pozwanej. Pod spojrzeniem niezyczliwych oczu Olga poczuła, jakby niewidzialny potwór ścisnął jej serce i chciał żywcem wyrwać je z piersi. Jak automat podała swoje dane i odpowiadała na pytania. Bała się patrzeć w stronę mężczyzn siedzących na wprost niej. Jeden był adwokatem z urzędu, drugi jej ojcem. Zniszczona, poorana bruzdami twarz nie miała żadnego wyrazu. Nie patrzył na nią. Olga słyszała pytania sędzi jak przez jakiś filtr, odnosiła wrażenie, że wszystko to się dzieje poza nią.

– Nie utrzymywał pan kontaktów z córką – stwierdziła beznamiętnie sędzia, utkwivszy nos w aktach.

– Żona nie pozwalała, a córka nie chciała mnie znać. – Jego głęboki głos był zachrypnięty.

Tę chrypkę mam po nim... Ale co on mówi?

– Nieprawda! – krzyknęła Olga i aż zerwała się z miejsca. – Uciekł od nas! Nie wierzył, że jestem jego dzieckiem!

Patrzyła ze zgrozą i bezradnością na sędziego. Jak on może tak kłamać!

– Będzie pani miała czas na odpowiedź, kiedy panią zapytam! – surowo upomniała ją sędzia.

Olga z niedowierzaniem słuchała opowieści, jak to jej ojciec starał się naprawić małżeństwo, ale żona zawsze uważała się za kogoś lepszego i nie chciała już żyć z nim, prostym człowiekiem. I tak wychowała córkę, dla której niewykształcony ojciec był powodem wstydu. Czemu nie pracował? Próbował, ale zdrowie nie pozwalało, chociaż renty mu nie dali, wiadomo, jaki jest ZUS. Korzystał z pomocy społecznej, tułał się po noclegowniach, czasem

przygarniali go tacy jak on sam, wyrzuceni poza nawias.

– Wykluczeni – podpowiedział adwokat.

Gdy ostatniej zimy prawie zamarzł, pracownik noclegowni, do której go zawieźli policjanci, namawiał, żeby zamieszkał w domu opieki społecznej. Tam jest pielęgniarka, jedzenie każdego dnia, nawet terapia. I wtedy dopatrzone się, że ma córkę, która zgodnie z prawem powinna częściowo ponosić koszty jego utrzymania w placówce. Ale po co robić kłopot państwowej instytucji, wystarczy, jeśli córka będzie płacić tych parę groszy, to on sobie da radę. Na chleb żeby starczyło, mieszkać będzie miał gdzie, bo kolega mu odnajmie pokój.

Olga słuchała tej opowieści jak sparaliżowana, każde słowo docierało do niej z opóźnieniem, w uszach pulsowała krew. Miała zaschnięte gardło i spocone dłonie, z trudem oddychała.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Adwokat ojca mówił o jej dobrze prosperującej firmie i o prawie, które nakłada na dzieci obowiązek zajmowania się rodzicami na starość. Ojciec unikał wzroku Olgi, za to sędzia patrzyła na nią niechętnie, lustrując doskonale przystrzyżone włosy w dobrym salonie fryzjerskim, twarzową i seksownie krótką sukienkę, stopy obute w drogie szpilki.

– Artykuł numer sto dwadzieścia osiem Kodeksu Rodzinnego i Opiekuńczego wyraźnie mówi, że obowiązek alimentacyjny obciąża krewnych w linii prostej – oświadczyła sędzia monotonnym głosem. – Rodzic, jeśli znajdzie się w niedostatku, czyli nie może pokryć swoich uzasadnionych potrzeb, może się domagać alimentów od pełnoletniego dziecka.

Olga nie wykrztusiła już z siebie ani słowa. Wyrok zasądający alimenty w wysokości tysiąca złotych nawet jej nie zdziwił. Wyszła z sądu, nie oglądając się na mężczyznę, który po trzydziestu latach przypomniał sobie o jej istnieniu. Chciało jej się płakać, ale nie uroniła ani jednej łzy.

## Rozdział 20

Aspirant Zuzanna Brodzik nie lubiła znanej filmowej kwestii: „Mam dwie wiadomości: dobrą i złą, którą wybierasz?”. A dziś czuła się właśnie jak bohaterka kiepskiego filmu, w którym los obdarzył ją dwiema wiadomościami, dobrą i złą.

Przyszła odpowiedź z lotniska. I to były te dobre wieści: Marzena Wilk przyleciała w niedzielę rano, więc była w kraju w czasie, gdy popełniono morderstwo! Przeczucie nie myliło Zuzanny, to był przełom w sprawie!

Ale były też i złe wieści.

Marzeny Wilk nie było u matki ani w hotelu, z którego już się wymeldowała, a telefon miała wyłączony i nie udało się go namierzyć. W wypożyczalni aut rozłożyli ręce: klientka zapłaciła z góry za dwa tygodnie, wzięła auto bez GPS-u, więc samochodu nie można zlokalizować. Zuzanna dostała tylko informację o marce pojazdu i numer rejestracyjny.

Marzena Wilk zniknęła.

I stała się główną podejrzaną w pierwszej sprawie o morderstwo prowadzonej przez aspirant Zuzannę Brodzik.

Na parking przy cmentarzu stało kilka aut. Wszystkie na podlaskiej rejestracji, tylko jeden samochód miał numery z Mazowsza. Szef z aprobatą zaparkował obok nich. Pośrednik już czekał.

Ostrożnie podniósł z siedzenia pasażera skórzaną teczkę i zamknął pilotem auto. Powoli, jak na turystę przystało, ruszył w stronę cerkwi. Zdawał sobie sprawę, że z elegancką aktówką w ręce wygląda raczej, jakby szedł do pracy, ale w końcu kogo to obchodzi. Droga była pusta, tak jak się spodziewał, w tygodniu nikt tu nie zaglądał.

O wsi Tokary usłyszał przez przypadek. Znajoma para chwaliła się zdjęciami zrobionymi przy szlabanie na granicy z Białorusią. Oczywiście pustkowie zachęcało, aby przejść za szlaban i pstryknąć sobie fotkę na Białorusi. Wieś Tokary nie tylko leżała na granicy, lecz dosłownie była podzielona na dwie części. Po stronie polskiej pozostał cmentarz, na który przychodziły rodziny mieszkające w części białoruskiej. Szef pojechał tam w pewien długi weekend pod pozorem obejrzenia starej cerkwi, charakterystycznej drewnianej budowli o intensywnie błękitnym kolorze. Cerkiew pod wezwaniem Ikony Matki Bożej „Wszystkich Strapionych Radość” stała kilkadziesiąt metrów od szlabanu granicznego. Zastał przy nim znudzonego strażnika, który chętnie wdał się w rozmowę. Funkcjonariusze Straży Granicznej pojawiali się w okolicach szlabanu tylko w weekendy, gdy był ruch turystyczny.

– Warszawiacy... – Strażnik pokręcił głową. – Nawet pan się nie domyślasz, jakie miewają pomysły, byle tylko poczuć adrenalinę.

Szef od niechcienia zagadnął o domorosłych przemytników, czy takie pustkowie przypadkiem nie kusi do złego.

– A, kusi, kusi, a jakże! – zaśmiał się strażnik. – Papierosy, alkohol...

– Zwierzęta bez paszportu pewnie też?

– Zwierzęta? Panie, coś pan! Jakie zwierzęta? Tu w okolicy nikt rasowego psa ani kota nie kupi. Zwierzę, panie, musi zapracować na żarcie, domostwa pilnować... Nie, jeszcze się nie zdarzyło.

Obok szlabanu wiodła na Białoruś szeroka leśna droga, pod którą biegł rurociąg. Trakt jakby zapraszał do spacerów, z dwóch stron osłaniały go drzewa. Szefer patrzył i nie wierzył własnym oczom.

Cóż... Wieś Tokary pozwoliła mu zbudować imperium.

Nie dochodząc do szlabanu, skręcił w lewo, w leśną dróżkę. Wszedł na drewniany mostek biegnący między drzewami. Ciągnął się on przez kilkadziesiąt metrów i prowadził wprost na dziedziniec cerkwi. Omijało się w ten sposób miejsce, w którym istniało ryzyko spotkania z patrolem Straży Granicznej. Błękitna świątynia była pusta, nabożeństwa odprawiano tu tylko o określonych porach. Szefer obszedł cerkiew niczym turysta i niepostrzeżenie wkroczył w las, gdzie kilka metrów od drogi urządzono miejsce odpoczynku dla pielgrzymów. Obok drewnianych ław stał stół z bali, przy którym można było się pożywić, porozmyślać.

Pośrednik już tam był. Wyglądał jak podróżny pogrążony w zadumie po obejrzeniu świętego miejsca. Na ławie stała otwarta butelka z wodą mineralną, obok leżał plecak. Szefer dosiadł się bez słowa. Położył na stole aktówkę i sprawnie ustawił szyfr zamka. Teczka otworzyła się z cichym kliknięciem.

– Jest gotowa. – Wyjął pakunek.

Było to małe plastikowe pudełeczko, przystosowane do przewożenia zwierząt, w wieczku miało podłużne ukośne otwory niczym rybnie skrzela. Wewnątrz siedziała niewielka żabka o kolorze kanarka.

– Życz ode mnie udanej zabawy. – Zamknął z trzaskiem aktówkę.

Potem energicznie wstał i nie oglądając się, ruszył do samochodu. Był spokojny o los drzewołaza, o transport zatroszczy się już pośrednik. Szefer nawet nie chciał znać szczegółów, nie interesowało go, przez ile jeszcze rąk przejdzie pakunek. Gdy się stąd oddali, zapewne od białoruskiej strony dyskretnie pojawi się kurier. Przesyłka była dobrze zabezpieczona i najpóźniej jutro dotrze do celu, a pieniądze wpłyną na konto.

Wyjeżdżał z Tokar zadowolony. Zazwyczaj osobiście nie załatwiał takich spraw, ale Tytus nie znalazł jeszcze nowego, godnego zaufania następcy Patejuka.

Czasem dobrze jest samemu dopilnować interesu, stwierdził z westchnieniem.

Wszystko działało jak dobrze naoliwiona maszyna. Tokary znajdowały się niedaleko farmy, mieli tu idealne warunki do przemytu zwierząt na wschód. Wystarczyło skorzystać z promu, dobić do Mielnika, a stamtąd prostą, pustą drogą dojechać do szlabanu w Tokarach. Przy sprzyjających warunkach pas graniczny można było bezpiecznie przekroczyć pieszo, przenosząc lub przeprowadzając zwierzęta, na które czekały auta na białoruskich rejestracjach. Tą drogą ekspediowano te okazy, których nie dało się dołączyć do legalnych transportów zwierząt z pobliskiej wioski ekologicznej.

Mieliśmy wielkie szczęście z tą wioską. Dla Szefera był to kolejny znak, że opatrność nad nim czuwa.

Z początku bał się, że zwariowani ekolodzy przeszkodzą mu w interesach, bo niepotrzebnie zwrócą uwagę na ten nadbużański zakątek. Niedalekie sąsiedztwo ekowioski okazało się jednak atutem. Hodowano tam mało jeszcze popularne w Polsce szkockie krowy hajlandy, wietnamskie świnki, afrykańskie kozy, czyli nietypowe zwierzęta gospodarskie dobrze sprzedające się za granicą.

Tytus to świetnie rozegrał! – Szefer musiał sprawiedliwie przyznać.

Podwładny nie tylko wkupił się w łaski ekologów, lecz uchodził wśród nich wręcz za eksperta. A gdy zaproponował pomoc w eksporcie ekologicznie hodowanych zwierząt

na wschód, witany był w wiosce jak król. W kilku legalnych transportach udało się przewieźć przez granicę sporo „dodatkowych” okazów, o czym ekolodzy nie musieli wiedzieć.

Interes kwitł. Tylko raz przydarzyła się przykra wpadka, całkiem niedawno, kiedy to jadące z farmy do Tokar auto ze zwierzętami miało kolizję z ciągnikiem bez świateł. Uciekł wtedy młody guziec i krokodyl. O guźca nie trzeba było się martwić, nie stanowił takiego zagrożenia, a jeśli nawet miejscowi zobaczyli w zaroślach dziwną dziką świnię, mogli pomyśleć, że zwierzę uciekło z ekowioski. Gorzej z krokodylem, który zniknął w zaroślach i natychmiast zsunął się do rzeki. To zwierzę mogło się okazać niebezpieczne, trzeba było mieć nadzieję, że nie wybierze się na polowanie gdzieś do kąpieliska pełnego ludzi. Krokodyl ma wolny metabolizm, nie głodnieje szybko. W ekstremalnych warunkach może nie jeść kilka miesięcy, w naturze zjada około pięćdziesięciu pełnych posiłków w ciągu roku. Z farmy nie wyjechał głodny... Na razie nie było słyhać o żadnym tajemniczym wypadku, więc byle do zimy. Temperatura zrobi swoje.



## Rozdział 21

Irenie wszystko dziś leciało z rąk. Dochodziło południe, a ona nawet nie zaczęła przygotowań do obiadu. Tylko patrzeć, jak Ignacy się rozjęczy:

– Iiiiirka, noooo, Iiiiirka... głodny jestem!

Na szczęście jeszcze spał, a matka malowała w swoim pokoju, zadowolając się dzbankiem z kawą. Irena siedziała sama w kuchni. Wciąż nie mogła ochłonąć po wizycie policjantki, która wyraźnie sugerowała, że Marzenka jest podejrzana o to straszne morderstwo! I w dodatku teraz się ukrywa. Jak to, ukrywa?! Jeszcze wczoraj wieczorem rozmawiała przez telefon, córka dzwoniła z warszawskiego hotelu, do którego pojechała po kłótni z bratem. Matce powiedziała, że to ze względu na pracę.

Irena wrzuciła do kubka torebkę herbaty z melisy, ale gdy zalewała ją wrzątkiem, rozchlapała wodę na stół. Do oczu napłynęły jej łzy. Marzenka podejrzana?! Co to znaczy, że była w Polsce już od niedzieli? Próbowała się do niej dodzwonić, ale komórka była wyłączona, a w hotelu powiedziano, że Marzena Wilk wymeldowała się rano.

Irena wytarła stół i odłożyła mokrą ścierkę na krawędź. Znowu wybrała numer córki i po raz kolejny wysłuchiwała komunikatu, że abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem. Zaczęła analizować wczorajszą rozmowę.

– Jestem zmęczona... Chyba już się położę – mówiła Marzena, ale w jej głosie słychać było więcej smutku niż zmęczenia.

– Kiedy przyjedziesz?

– Nie wiem, mam... Mam coś do załatwienia.

– Nie mogę się wami nacieszyć! Karol też ciągle poza domem! I pomyśleć, że kiedyś tyle czasu spędzaliście razem...

– Dzieciństwo! Nic nie pamiętasz, tylko rodzice pokazują ci kompromitujące zdjęcia!

– Dobra, dobra. Byliście uroczy, takie pulchne golaski w baseniku.

– Mam!

– No przecież żartuję. Pokłóciliście się? – zapytała, jakby nie podsłuchiwała rozmowy dzieci.

– Wszystko jest w porządku...

– Jak ty byłeś w domu, Karol zaraz wyjeżdżał, a kiedy wracał, ty wyjeżdżałaś. O co chodzi?

– On ma swoją pracę, ja swoją.

– No właśnie! Dlaczego nie pracujecie już razem?

– Bo mam teraz ciekawsze zajęcie? – odpowiedziała pytaniem. Po chwili dodała cicho:

– Jego brawura i pewność siebie są denerwujące. A pycha niejednego zgubiła.

– Jaka pycha?

– Nie chcę o tym rozmawiać. Załatwię to sama z Karolem. – Marzena zakończyła szybko rozmowę.

Czy córka wpakowała się w jakieś kłopoty? Irena w pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Mikołaja, bo zawsze był przy niej w ciężkich chwilach. Ale zamiast tego znowu zacisnęła zęby: nie będzie rozmawiać z „narzeczonym” Reginy o swoich dzieciach! Nigdy!

Piła herbatę, patrząc w okno, i analizowała każdą chwilę pobytu córki. Szczęście na twarzy podczas powitania, radość, że ma pokój obok Spirosa, przerażenie na wieść

o morderstwie, wypytywanie, gdzie Karol ze Spirosem jeżdżą, co robią, zaciekawione spojrzenia rzucające na Greka...

– Spiros! – wykrzyknęła w natchnieniu Irena. – Marzenka zakochała się w Spirosie! Że też tego nie zauważyłam! Karola też pytała o Spirosa!

Wybrała numer do syna. Opowiedziała mu o wizycie policjantki i zniknięciu siostry.

– To jakaś bzdura! – zdenerwował się Karol. – Ta policjantka najpierw podejrzewała mnie, zabroniła mi wyjeżdżać z kraju, a teraz czepia się Marzeny.

– Tylko czemu Marzenka zniknęła?

– Jakie „zniknęła”? Nie ma jej raptem od paru godzin! Może odebrała grupę swoich turystów.

– W Polsce?! Co robiliby w Polsce? U nas nie ma żadnych perwersyjnych przyjemności.

– I tu się mylisz. – Zaśmiał się nieprzyjemnie. – A zresztą, może Marzena już wyjechała z Polski...

– I nie martwi cię to?

– Mamo, ona zawsze robi wszystko po swojemu; o tym, że zmienia pracę, dowiedzieliśmy się już po fakcie, pamiętasz? A ja się tak starałem, żeby ją umieścić w mojej ekipie!

– Pokłóciliście się, prawda?

– Tak jakby...

– Co się dzieje?

– Marzena czasem miewa głupie pomysły. Zosia Samosia. Tylko żeby się na tym nie przejechała!

Irena wzniosła oczy do nieba. Małe dzieci, mały kłopot, duże dzieci...

– Zapytaj na wszelki wypadek Spirosa, może on coś wie o planach Marzenki.

– Spirosa? A cóż on może wiedzieć, czego ja bym nie wiedział?

– No co się tak dziwisz? – Irena zaśmiała się gorzko. – Nie zauważyłeś jej spojrzeń?

– Na Spirosa???

– No, tak! Na mój gust podkochuje się w nim.

– W Spirosie?!

– Karol, Karol... – westchnęła. – To ty chyba jesteś ślepy... Zapytaj go, proszę, może rozmawiała z nim o swoich planach. Bo wy dwoje nie nagadaliście się przecież – dodała z sarkazmem.

– Nie mogę go teraz zapytać. Spiros... Jest zajęty czym innym. Robi zdjęcia. Jak coś mi powie, to dam ci znać.

Karol się pożegnał. Jego argumenty były uspokajające, rzeczywiście, Marzenka miała tę swoją dziwną tajemniczą pracę... A przyjazd do Polski już w niedzielę na pewno da się wytłumaczyć, przecież Marzenka nie jest morderczynią!

To tylko nieszczęśliwie zakochane dziecko, rozczuliła się Irena.

Nie ma nic smutniejszego od nieszczęśliwej miłości, a, niestety, Spiros nie wyglądał na zbyt zainteresowanego. Może Marzenka zaszyła się gdzieś, by lizać rany, i wróci do domu jakby nigdy nic, silniejsza niż przedtem? To nawet do niej pasuje, to w jej stylu.

Jeszcze raz wybrała numer, znowu bez powodzenia. Miała ochotę rzucić telefonem o ścianę.

Musi się czymś zająć, bo zwariuje!

Pusta, sterylnie wysprzątnana kuchnia wydawała się taka obca, Irena postanowiła pójść do domku dla turystów.

Cicho otworzyła drzwi, by nie obudzić Ignacego. Pachniało tu przyjemnie świeżym drewnem. Drewniane były ściany, sufity, podłogi, fotele, stół i ławy, łóżka. Na podłodze leżały kolorowe pasiaste dywaniki, jakie kiedyś można było spotkać wszędzie na wsi, a dziś wydawały się mocno wyrafinowane i designerskie.

Pokój, w którym ulokował się malarz, był zamknięty, nie dochodził z niego żaden dźwięk. Ignac przyjechał tu niczym na wczasy. W dzień chodzili razem z matką Ireny w plener, malowali, a potem godzinami dyskutowali o obrazach, polityce, plotkowali o znajomych. Z jednej strony jego obecność miała swoje plusy, bo Irena nie była skazana na gderanie rodzicielki, ale z drugiej... Ignacy w swoim skrajnym egoizmie okropnie ją irytował. Przekonany, że jest pępkiem świata, stosownie do tego się zachowywał i jeśli podczas spotkań towarzyskich ujmował złośliwą inteligencją, to tak na co dzień przestawał być zabawny. Potrzebował adoracji i był absolutnie przeświadczony, że jeżeli ktoś miałby być blisko Boga, to właśnie on. Dzięki swej wyjątkowości i talentowi oczywiście. Pod względem boskiego kompleksu Ignacy i matka Ireny stanowili idealnie dobraną parę. Dwa pępki świata w jednej czasoprzestrzeni... Ciężkie doświadczenie.

To pewnie kara boska za mój romans, pomyślała ponuro.

Nie miała od Andrzeja żadnej wiadomości od czasu tamtej krótkiej rozmowy w supermarkecie.

W domku dla gości, tak jak się spodziewała, panował bałagan. Krzesła w jadalni były niechlujnie porzucane po kątach, na blacie stołu wałały się okruszki. Wstrętne wszechobecne okruszki, skrzypiące pod nogami, gdy je się deptało, uwierające, gdy spadły na krzesło. Jakby nie można było wykonać tego prostego gestu i zetrzeć ich ze stołu ściereczką! W zlewice stały szklanki i talerzyki, mimo że Ignac przychodził przecież na posiłki do domu Ireny.

Zacisnęła zęby i odkręciła kran. Nienawidziła okruszków na stole i na podłodze, nienawidziła brudnych okien, brudnych naczyń.

Wyszorowała szklanki i talerzyki, usunąwszy z nich przedtem zaschnięte resztki. Zabrała się do zamiatania podłogi, gdy usłyszała piknięcie w telefonie, sygnalizujące nadejście SMS-a. Odebrała szybko z nadzieją, że to Marzenka, ale, niestety, wiadomość wysłał jej Janusz. Do SMS-a dołączone było zdjęcie. Irena o mało nie upuściła telefonu. Zmarszczyła brwi.

Z ekranu patrzyło na nią dziwadło, dopiero po dobrej chwili rozpoznała w nim Janusza. Miał na głowie ciemną perukę, na twarzy mocny makijaż. Podpis pod fotką brzmiał: „Czyż nie przypominam Nigelli Lawson?! Będę pertraktował z telewizją! Zostanę polską Nigellą!”.

– Srakellą! – wyrwało się Irenie. – Kolejny pępek świata, któremu najwyraźniej padło na głowę!

Oddzwoniła do restauratora. Odebrał natychmiast, sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Dostałaś moją slit focię?

– Slit focię?

– Ostatni krzyk mody na Facebooku. Robisz słodki dzióbek i strzelasz sobie fotkę z wyciągniętej ręki telefonem. Proste.

– Robisz dzióbek... No właśnie, długo się zastanawiałam, czy to na pewno ty.

– Tak będę wyglądał jako polska Nigella. Fajnie, co?

– Janusz...

– Widziałas, jak ona oblizuje łyżkę po czekoladzie? Potrafię jeszcze lepiej!

– Janusz...

Nie dał jej dokończyć.

– Wymyśliłem to podczas jednej z bezsennych nocy. Patrzyłem w sufit, pościel mnie parzyła do bólu i byłem tak ogólnie nieszczęśliwy... Płakałem i targały mną straszne myśli! Straszne! I oto nagle objawienie! Będę trochę jak ty, taką kobietą z impetem! Uważam, że ten pomysł jest genialny, przyniesie mi dużą popularność.

– Już jesteś popularny.

– Och! Kochana jesteś! Ty jedna we mnie wierzysz!

Usłyszała w jego głosie autentyczne wzruszenie i teraz nie wiedziała, jak mu powiedzieć brutalną prawdę.

– Janusz, nie musisz szukać potwierdzenia własnej wartości w imitacji Nigelli Lawson. Jesteś niepowtarzalny. Jeśli widzowie mają cię pokochać, to niech cię kochają za to, jaki ty jesteś, a nie za udawanie kogoś innego.

Cisza po drugiej stronie się przedłużała.

– Uważasz, że to głupi pomysł? – W głosie Janusza nie było już takiej pewności siebie. Jeszcze jak głupi, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

– Nie możesz spać? Co to za straszne myśli? Mogę ci podać kontakt do znajomego psychiatry, to świetny fachowiec.

– No, wiesz?! Nie rób ze mnie wariata, dobrze?! – Euforia Janusza błyskawicznie zmieniła się we wściekłość. – Psychiatra!

– To nic złego. – Próbowwała załagodzić sytuację. – Chodziło mi tylko o twoją bezsenność i zmianę nastrojów. Myślę, że łagodne antydepresanty by ci pomogły.

– Wiesz, co by mi pomogło? Gdyby się dało cofnąć czas! Wtedy ja sam porzuciłbym tego zdrajcę i nie musiałbym być ofiarą, której wszyscy współczują! – Janusz krzyczał histerycznie. – Wytykają mnie palcami! Śmieją się ze mnie! Ogłosił to w mediach i na Facebooku!

– Nikt się z ciebie nie śmieje, nie przesadzaj.

– Ja swoje wiem! Ten zdrajca zrujnował mi życie!

– To zakrawa na obsesję, Janusz!

– Psychiatry nie potrzebuję, dziękuję ci za troskę – zakończył chłodno i rozłączył się bez pożegnania.

Irena bezradnie patrzyła na „słit focie”, z której straszyl „dzióbek” przesadnie wymalowanego mężczyzny, naśladowującego słynną Angielkę.

Powinien skorzystać z pomocy specjalisty, bez dwóch zdań!

Odłożyła telefon i sięgnęła do szafki po płyn do mycia podłóg, który był na najniższej półce. Usłyszała za sobą jakiś szmer.

– Ale masz pupeczkę! Ira! Te spodnie powinny być wdzięczne, że twój tyłek je nosi!

– Stojący za nią Ignacy patrzył na jej pośladki i cmokał z zadowoleniem.

Poderwała się i uderzyła głową w kant zlewu. Z grymasem bólu na twarzy zaczęła masować potylicę.

– Tyłek mi oglądasz?

Ignacy był rozczochrany, jak zwykle, ale miał na szyi kwiecisty krawat kontrastujący z czarną koszulą. Wyglądał przez to odświętnie. Widząc jej zdziwione spojrzenie, poprawił węzeł.

– Klient w krawacie jest mniej awanturujący się – zacytował z powagą motto knajpianych wykidajłów.

Irena uniosła brwi.

– Od dziś zmieniam swoje życie – sprecyzował. – Chodź, coś ci pokażę.

Otworzył szeroko drzwi do swojego pokoju i wskazał obrazy oparte o ścianę. Patrzyły

z nich twarze ni to ludzkie, ni owadzie. Barwne i ekspresyjne.

– Znowu malujesz owady? – zdziwiła się.

– Jakie owady?! – Był oburzony. – To portrety psychologiczne. Wyciągam z ludzi atawizm, który w nich siedzi. Ewolucja ewolucją, a w każdym z nas i tak tkwi cząstka jakiegoś zwierza. To, na przykład, ty! – Z dumą wskazał jeden z obrazów.

Irena patrzyła na plątaninę barwnych plam, z których układał się kształt przerażającej twarzy. Chrząknęła zakłopotana.

– Hmm... Dlaczego mam takie duże oczy?

– Jesteś ważką. Zwinną, piękną, troskliwą ważką. – Ignacy powiedział to tak, jakby składał jej najwyższy hołd. – A ważka jest jak mała dobra wróżka. Taki elfik – rozczulił się.

– Hmm... Kogoś jeszcze namalowałeś?

– Twoja matka. – Wskazał coś, co mogło być skarabeuszem. – O, a tu jest Olga. Prawdziwa pajęczycza, no nie? Z każdego wypije soki, każdego zmaceruje, z ofiary zostaje tylko pusty wyspany korpus – zakończył dramatycznie.

– No wiesz?!

– Ja to wszystko widzę, Ira. Nie broń jej. A w ogóle to nic złego, pajęcza konsumpcja jest szalenie elegancka. Wystarczy wstrzyknąć soki trawienne do ciała ofiary, a jak już rozpuszczą trzewia, po prostu je wyssać. Żadnych resztek do wyrzucenia, żadnych kosteczek na talerzu... Wygodne, praktyczne.

– Hmm... Nigdy nie patrzyłam na to od tej strony.

– No widzisz. Chodź!

Złapał ją za rękę i wyprowadził z powrotem do jadalni. Posadził Irenę na krześle i usiadł na wprost niej. Poprawił krawat.

– Ira – zaczął uroczyście. – Tak mi u ciebie dobrze...

Wbił wzrok w kolana, unikając jej spojrzenia. Zobaczył plamkę na spodniach i zaczął ją skrobać paznokciem.

– Czy mogę być szczery? – Potarł mocniej plamkę.

Irena poczuła się nieswojo.

– Sama nie wiem. Mam jakieś złe przeczucia.

Nigdy nie rozmawiał z nią w ten sposób, zawsze czegoś chciał albo miał pretensje.

– Hiiii, dowcipna jak zwykle! – Wydał z siebie ni to chichot, ni jęk. – Ira... Eee...

– Zostaw te spodnie! Zaraz dziurę w nich wydrapiesz.

Posłusznie wyprostował palce i oparł dłonie na udach. Niepewnie podniósł wzrok.

– Zauważyłaś, że wszyscy jesteśmy samotni?

– Wszyscy? To znaczy kto?

– Ja, ty, Mikołaj, Olga, Regina – zaczął wymieniać po kolei. – Nawet twoja mama. Same single.

– Jeśli ktoś jest sam, wcale nie oznacza, że czuje się samotny.

– E tam! Psychologiczne bzdury! – Ignacy z lekceważeniem przewrócił oczami.

– Jesteśmy samotni! Zrozumiałem to w ciągu ostatnich dni. Bo wiesz... Tak mi u ciebie dobrze. Jakbym miał rodzinę! Ty, twoja mama, ten dom... Ja maluję, ty gotujesz...

– Zmywam – podpowiedziała lodowatym głosem i przycisnęła palce do górnej wargi, która zaczęła niebezpiecznie drgać.

– Sprzątasz – dodał sprawiedliwie, nie dostrzegając „efektu małego rycerza”. – To się nazywa sta-bi-li-zacja. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś zechcę się ustabilizować.

Westchnął i poprawił krawat. Irenie przeszedł dreszcz po plecach.

– Czy ty... – Bała się, że oto Ignac jej się oświadcza.

Malarz nie zwracał na nią uwagi, mówił jak w transie:

– Kiedyś wydawało mi się, że mogę być szczęśliwy, tylko kiedy jestem sam... I, rozumiesz, tak się tego szczęścia nażarłem... tak nażarłem... że teraz nim rzygam!  
– Dramatycznie uderzył pięścią w tors. – Rzygam! – Zapadła cisza. Irena czuła, że jeśli Ignacy powie jeszcze słowo, to ona ucieknie z krzykiem. Malarz chrząknął i znowu poprawił krawat. – Irena... – zaczął z desperacją.

Gwałtownie poderwała się z krzesła. Niech on już lepiej niczego nie mówi! Nie może dopuścić, by te słowa padły, bo jak potem będą z tym żyli?!

– Ignac!... Ja... Eee... A Regina i Mikołaj biorą ślub! – wrzasnęła w panice. Zastygł z rozchylonymi ustami, a ona wykrzykiwała dalej: – Ha! Nie jesteśmy samotni! Widzisz?  
– Zaczęła się histerycznie śmiać.

Ignacy nie mógł wydusić z siebie ani słowa. W tym samym momencie drzwi domku otworzyły się z hukiem i do środka wpadła matka Ireny. Starsza pani miała wypieki na policzkach i groźnie zmarszczone brwi. Z obrzydzeniem trzymała przed sobą w dwóch palcach jakiś przedmiot.

– Czy ty to widziałaś?! – Potrząsała czymś, co wisiało na skórzanym cienutkim paseczku. Gdy zobaczyła Ignaca, błyskawicznie schowała ów przedmiot za plecy.

Ten jednak niczego nie zauważył, gdyż wlepił osłupiałe spojrzenie w Irenę.

– Jak to: biorą ślub... Biorą ślub?! – Poderwał się z krzesła.

Starsza pani trzymała ręce za plecami, a zmarszczka na jej czole miała głębokość Rowu Mariańskiego. Spod barwnej chusty, którą obwiązała włosy, wystawały siwe kosmyki. Irena poczuła się jak skazaniec, z jednej strony Ignacy wpatrywał się w nią ze zgrozą, z drugiej stała matka z zagniewaną miną.

– Kto bierze ślub? – spytała starsza pani tonem nakazującym natychmiastową odpowiedź.

Irena zacisnęła zęby. Uniosła dumnie głowę.

– Tajemnica! – wycedziła.

Wyszła z domku, trzaskając drzwiami.

Biegła przez podwórko, a policzki piekły ją żywym ogniem. I to wcale nie dlatego, że zdradziła sekret Reginy i Mikołaja. Niemal zemdliała, gdy zobaczyła, co matka trzyma w rękach.

Wpadła do swojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi i ciężko się o nie oparła.

Niech to wszyscy diabli! Ignac chyba naprawdę zamierzał się jej oświadczyć!... No i matka! Skąd wyciągnęła... to, co wyciągnęła?!

Jasna cholera! Jeśli znalazła TO, znajdzie i inne rzeczy! Chryste Panie!

Przyłożyła dłonie do zaczerwienionych ze wstydu policzków. To wszystko przez Andrzeja! Cholera, pikantnych igraszek mu się zachciało!

Poczuła się jak mała dziewczynka. W panice nasłuchiwała kroków matki, przecież ona nie odpuści tak łatwo, będzie drażnić, co taka rzecz tu robi.

Przecucie jej nie myliło. Minęło zaledwie kilka minut, gdy matka konspiracyjnie otworzyła drzwi jej pokoju i bezszelestnie weszła.

– Cicho, bo Ignac usłyszy – syknęła.

Uważnie popatrzyła córce w oczy, co Irena zniosła nadzwyczaj dzielnie, do końca udając, że nie wie, o co chodzi. Starsza pani powoli wyciągnęła zza pleców erotyczny gadżet z sex shopu i pomachała nim przed sobą.

– Twoja córka jest lesbijką – stwierdziła dobitnie. – Nic dziwnego, że zniknęła. Ma romans z kobietą i nie wie, jak ci o tym powiedzieć!

Napięcie i stres zrobiły swoje. Irena wydała z siebie krótki histeryczny śmiech i zemdląca.

Chwilę później, gdy poczuła, że ktoś poklepuje ją po policzkach, i zaczęła odzyskiwać świadomość, zobaczyła nad sobą zaaferowaną pomarszczoną twarz.

– Mama? – Uśmiechnęła się błogo.

Starsza pani wyprostowała się i ze zmarszczonymi brwiami przyłożyła erotyczny gadżet do bioder.

– A nie wiesz, jak to się mocuje? Przecież penis jest z tej strony i z tej!

Irena znowu zamknęła oczy i odpłynęła w niebyt.

## Rozdział 22

Tak zapewne wygląda koniec świata. Przychodzi nagle, w momencie, w którym się go najmniej spodziewasz. Sprawia, że chcesz się wcisnąć w mysią dziurę i boisz się każdej kolejnej godziny. Ten dzień przypominał Armagedon! A gdyby Irena wiedziała, jaki będzie długi i co jeszcze przyniesie, zapewne wolałaby zapaść w bezpieczny letarg po solidnych lekach antydepresyjnych.

Od godziny leżała na kanapie w salonie, choć czuła się już dobrze. Krótkie omdlenie było skutkiem ogromnych emocji: wizyta policjantki i podejrzenia rzucone na jej córkę, prawie oświadczyzny Ignacego, no i erotyczny gadżet wyciągnięty z ukrycia przez matkę. Wściekłość dusiła ją w gardle. Marzenka jest lesbijką, też coś! I to powiedziała matka, wyzwolona artystka!

Hipokrytka jedna!

Na myśl o matce machającej w powietrzu erotyczną zabawką znowu zrobiło jej się słabo...

Wszystko przez Andrzeja, to on kupował te idiotyczne „pomoce” w sex shopach. Gdy przyjeżdżał, zawsze przywoził jej perfumy i jakiś fikuśny gadżet do ich miłosnych igraszek. Uwielbiał przebieranki, gierki i eksperymenty. Owszem, na życie seksualne nie mogła narzekać, z Andrzejem było ono ekstremalnie urozmaicone. Przez całą młodość Irena nie bawiła się tak dobrze, jak teraz „na stare lata” z nim, konserwatywnym posłem, publicznie piętnującym wszelkie dewiacje i odstępstwa od życia „po bożemu”.

No co?! Zasluguję na porządne życie seksualne! Dawno już się usprawiedliwiła sama przed sobą.

Gadżet, który matka znalazła w pokoju zajmowanym przez Marzenkę, istotnie był wykorzystywany przez kobiety, nawet na opakowaniu zamieszczono sugestywny obrazek kochających się pań. Na wspomnienie, jak bawili się tą zabawką z Andrzejem, Irenie natychmiast zrobiło się gorąco. Że też matka znalazła właśnie to w pokoju zajmowanym przez Marzenkę!

– Schowała to na regale za książkami – poinformowała konspiracyjnym szeptem starsza pani.

Irena ze zgrozą pomyślała o innych akcesoriach, poutykanych po domu.

– A czego szukałaś za książkami? – burknęła ze złością.

– Książek! Album o Beksińskim wystawał, próbowałam go wsunąć, ale nie chciał wejść na miejsce. Teraz wiem czemu – stwierdziła z triumfem matka.

Na szczęście nie przyszło jej na myśl, że ta zabawka należy do czterdziestoparoletniej zrównoważonej psycholożki. Od razu założyła, że to własność Marzenki.

– Nie tylko lesbijki tym się bawią. – Irena lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Gdyby Marzenka nie była lesbijką, toby nie znikła, a tak wszystko mi się układa.

– Matka Ireny zapaliła cygaretkę. – I jeszcze te dwa dni, kiedy nie wiadomo, gdzie była i z kim... A wcześniej przestała pracować z Karolem... Ona boi się nam o tym powiedzieć! Uważam, że potrzebuje czasu do namysłu.

– A nawet gdyby była lesbijką, to co? Mówisz tak, jakby to było największe nieszczęście.

– Ja?! – Starsza pani zakrztusiła się dymem. Gdy przestała kasłać, dokończyła: – Mnie



to nie przeszkadza.

– To dobrze. – Irena zakończyła rozmowę i odwróciła się na drugi bok.

Przeleżała tak drugą godzinę, aż wreszcie do salonu wsunął głowę rozczochrany Ignac.

– Obiady nie gotujesz? – Miał markotną minę. – Zajrzałem do kuchni, a tam pusto...

Kuchnia jest taka smutna bez kobiety.

– Ja też bym coś zjadła! – poparła go starsza pani. – Ale obawiam się, że zakupy trzeba zrobić.

Irena zrozumiała aluzję, zwlokła się z kanapy i zaczęła szukać kluczyków do samochodu. Przypomniała sobie, że jej oplem jeździ Karol, zażądała więc od matki cytrynowego garbusa. Chwilę później wyruszyła do Siedlec i nawet uznała, że wyjazd z domu bardzo dobrze jej robi. W końcu była sama! Mogła poskładać do kupy myśli, a miała o czym dumać, oj, miała.

Przycisnęła pedał gazu, a cytrynowy garbus zaskakująco ochoczo wyrwał do przodu.

Ależ oni ją męczyli! Wszyscy! Marudny Ignac, despotyczna matka, zakręcona Olga, szczęśliwa do obrzydliwości Regina... I jeszcze zbliża się czas przyjazdu Andrzeja.

Na myśl o kochanku poczuła dreszcz niepokoju. Byle wcześniej zadzwonił! Tylko tego jej brakowało, aby wpaść bez uprzedzenia w całe to towarzystwo. Nie miała pojęcia, kiedy wraca z zagranicy, bo ich system komunikacji był dosyć skomplikowany. Polegał na tym, że to głównie Andrzej do niej dzwonił. Bał się dekonspiracji, podsłuchów, prowokacji i zawsze był niezadowolony, gdy telefonowała.

– Przekrety biznesowe by mi wybaczyli, ale romansu nigdy – mówił o swoich wyborcach.

Wypracowali sobie system luźnego związku, w którym ona czekała, a on pojawiał się niespodziewanie w jakiejś chwili skradzionej wielkiej polityce. Spotkania były krótkie, lecz emocjonujące. Zdawała sobie sprawę, że wpakowała się w toksyczny układ, w którym wszystko jest podporządkowane Andrzejowi; spotykali się, kiedy miał czas, robili to, o czym marzył i fantazjował... Ona, walcząca o prawa kobiet, niezależna i silna, tkwiła w związku z mężczyzną, który traktował ją mocno instrumentalnie. Każdej innej kobiecie, każdej koleżance wykrzyczałaby z oburzeniem: Uciekaj od niego jak najdalej!

Tymczasem...

Porażka... Na stare lata taka porażka!

Bo jak inaczej nazwać sytuację, w której się znalazła z własnej nieprzymuszonej woli? Czy za długo była sama? Bo przecież wcale nie chodzi o seks, jego brak przez tyle lat jej nie dokuczał.

Dlaczego z nim jestem? W dodatku go okłamuję. Mówię, że kocham, i nawet głos mi nie zadrzy. A przecież go nie kocham.

Przez pierwszy rok niecierpliwie czekała na telefony od niego, na spotkania, które zawsze były gorące i namiętne, uwielbiała, gdy o nią zabiegał, przywoził z podróży prezenty, zawsze wybrane tak, by ich obecność w domu nie prowokowała dzieci do pytań: skąd to masz? Ostatnio jednak wizyty Andrzeja ją zaskakiwały. Jak to, już? Przyjeżdża? Tyle czasu minęło od ostatniego spotkania? Pochłaniały ją codzienne zajęcia, praca w ogrodzie, budowa domku, na wsi cały czas było coś do zrobienia. Namiętność się skończyła, uczucie gdzieś pierzchło. Gdy tulił ją i pytał: „kochasz mnie?”, odpowiadała: „kocham”, bo właśnie to chciał usłyszeć. No i wypadało tak powiedzieć.

Wypada tak mówić?

Kiedyś byłaby takim podejściem oburzona. A jeżeli omija ją coś innego, ciekawszego, piękniejszego?

Tkwę w związku bez przyszłości – doszła do oczywistego, smętnego wniosku. A tymczasem taka Regina... Wychodzi za męża za Mikołaja! Jej Mikołaja! No, dobra, nie jej, bo przecież to tylko przyjaciel, nic ich nigdy nie łączyło.

Na pewno jutro się ucieszę z ich szczęścia, ale dzisiaj... Mam dość ich wszystkich! Uderzyła ręką w kierownicę.

Tuż przed miastem, w Stoku Lackim, zwolniła, doskonale wiedziała, gdzie policjanci lubili łapać. Rzeczywiście stali i celowali „suszarką” w przejeżdżające auta. Minęła ich z mściwą satysfakcją. Nie da im zarobić!

Zakupy zrobiła w Lidlu na Starowiejskiej, wyjazd z parkingu, jak zwykle o tej porze, trwał dłuższą chwilę. Irena stała cierpliwie, przepuszczając samochody, gdy nagle wydało jej się, że mignęło jej znajome auto, terenowa captiva w nietypowym kawowym kolorze.

– Janusz? Tutaj?

Nie zapowiadał się przecież. Nadal nie mogła włączyć się do ruchu. Gdy captiva zniknęła jej z oczu, wybrała numer do restauratora i poinformowała od razu:

– Nie ma mnie w domu.

– Irena? A czemu mi mówisz, że cię nie ma? To jakaś zagadka?

– Widziałam twoje auto. Stoję pod Lidlem i nie mogę wyjechać.

– ???

– Janusz? Słyszysz mnie? Halo!

– Słyszę, tylko oddaję się refleksji, jaki ten świat mały. Tak po prostu, widziałas mnie!

Wreszcie udało jej się wyjechać na Starowiejską, musiała jeszcze tylko pokonać zatłoczone rondo i znaleźć się na prostej drodze do domu.

– Zaraz cię dogonię – zaśmiała się. – Uważaj, w Stoku Lackim stoją z radarem.

– Nie dogonisz mnie, bo nie jadę do ciebie – powiedział chłodno.

– O! Myślałam... To co tu robisz?

– Jadę na spotkanie biznesowe. Do gorzelni w Krzesku.

– Tędy? Przez Starowiejską?

– Oj, coś taka czepliwa?! – fuknął zirytowany. – Zamyśliłem się i wjechałem w miasto, jakbym miał jechać do ciebie. Odbiję w Terespolską.

– Aaa, no tak...

Poczuła się niezręcznie, bo Janusz nie wykazywał ochoty do rozmowy. Pożegnała się szybko.

– To baw się dobrze w tej gorzelni.

– Mam taki zamiar. Cześć.

Chyba był obrażony za jej wcześniejszą krytykę i propozycję pójścia do psychiatry. Ale przynajmniej nie powiedział słowa o byłym kochanku.

Tylko zdążyła odłożyć telefon, a już natarczywie zawibrował. Dzwoniła matka.

– Gdzie ty jesteś?! Wracaj szybko!

Serce podeszło jej do gardła. Od razu pomyślała o córce.

– Marzenka?!

– Daj spokój Marzence! Nie kontroluj jej! – Zdenerwowana matka wyrzucała z siebie chaotyczne słowa: – Regina! Histeria! Jakiś zastrzyk jej trzeba zrobić czy co. Wracaj! Ja się na pielęgniarkę nie nadaję!

Za Stokiem Lackim przycisnęła gaz, a cytrynowy garbus posłusznie wyrwał do przodu. Czy ten sądny dzień nigdy się nie skończy?

Regina wyglądała jak kupka nieszczęścia. Rude włosy miała rozczochrane, tkwił w nich przeraźliwie żółty motyl z piórek. Wyglądało to, jakby na czubku głowy zrobił sobie gniazdo kanarek. Spod zlepionej od potu grzywki żałośnie spoglądały zapuchnięte oczy. Leżała na kanapie, a nad nią stała bezradnie matka Ireny, Ignac zaś chodził nerwowo w tę i z powrotem.

– Nareszcie jesteście! – wykrzyknęła starsza pani na widok córki. – Zrób coś!

Gdy Irena podeszła do zapłakanej przyjaciółki, ta złapała ją za rękę i żałośnie zawyla:

– Zerwał ze mną! A przecież my... my... buuuuuu...

Ignacy stanął na wprost nich.

– Masz swoje: „Biorą ślub”! Ha!

Matka wyglądała jak rażona piorunem.

– No, że Mikołaj tak się zachował... – Kolorowa chusta przekrzywiła się i zsunęła z czoła na oczy. Starsza pani poprawiła ją, ale chusta znowu opadła na brwi.

– Ja... ja jeszcze z nikim nie byłam... tak jak z nim... – przyznała się ze szlochem Regina.

Na twarzy starszej pani malowały się: groza, odraza i gniew. Chustka znowu zsunęła jej się na oczy, więc zerwała ją z głowy. Siwe włosy z fioletowymi pasemkami sterczały teraz rozczochrane jak u Ignaca.

– Mikołaj! Nie mogę uwierzyć!

Ignacy skrzywił się, jakby wypił duży łyk octu. Stali teraz ze starszą panią obok siebie, z takim samym wyrazem twarzy, podobnie rozczochrani i podobnie bezradni wobec rozpacz Reginy.

Starsza pani, niewiele myśląc, złapała za telefon. Wybrała numer Mikołaja.

– Tego nie można tak zostawić! – powiedziała do zbaraniałej Ireny i zanim ta zaprotestowała, krzyknęła do słuchawki: – O! Jesteście! Mikołaj! Słów mi brak! Liczę, że zachowasz się jak mężczyzna!

Odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Regina zaczęła płakać jeszcze głośniej.

Irena, czując, że zaraz zwariuje, wyprosiła tamtych dwoje z salonu.

– Zostawcie nas same – zarządziła.

Przytuliła zapłakaną przyjaciółkę, kołysząc ją, jakby usypiała dziecko.

– Zostaniesz dzisiaj z nami – szeptała. – W domku dla gości jest dużo miejsca. Nie będziesz sama. Ciiii... Nie płacz, Renia, nie płacz...

Matka Ireny nerwowo paliła cygaretkę.

– Co za dzień! Co za dzień! – powtarzała w kółko.

Regina bez protestu połknęła tabletki podsunięte przez Irenę i zmęczona płaczem zasnęła w pokoju sąsiadującym z pokojem Ignaca.

– Rozmawiałaś z doktor Szubielską? – Starsza pani spojrzała z niepokojem na córkę.

Irena przytaknęła. Umówiła się z lekarką, że jutro odbierze zwolnienie dla Reginy, będącej w totalnej rozsypce. Przyjaciółka nie nadawała się do pracy, potrzebowała opieki.

Doktor Grażyna Szubielska była lekarzem rodzinnym, takim z powołania. Irena kochała swoją lekarkę jak członka rodziny za ogromny takt i szacunek dla pacjenta. Doktor Grażynka leczyła też Reginę. Od razu zrozumiała sytuację i kazała przyjechać następnego dnia po zwolnienie.

Matka Ireny wyglądała, jakby przybyło jej lat. Wokół zaciśniętych ust pojawiły się głębokie zmarszczki.

– Myślałam, że ty i Mikołaj... – Zaciągnęła się papierosem.  
– Co: ona i Mikołaj? – Smętnie zamyślony Ignacy gwałtownie poderwał głowę.  
– No, że będą razem. – Starsza pani spojrzała na niego niewinnie. – A tu taki ambaras! Renia... Szczerze mówiąc, nie pasuje do Mikołaja.  
Ignacy poderwał się z fotela.  
– Będą razem?! – ryknął z furją. – Kto?!  
– Toż mówię: Mikołaj i Irena. Oj, Ignacy, siadaj! Głowa mnie boli, jak ktoś tak sterczy nade mną. Siadaj.

Malarz posłusznie usiadł, ale patrzył na Irenę spode łba i nerwowo poprawiał krawat. Ta wywróciła tylko oczami, zła na matkę. Zapadła niezręczna cisza, w którą nagle wdarł się warkot piłującego niemilosiernie na wysokim biegu silnika i huk uderzenia. Wybiegli na podwórze.

Toyota Olgi staranowała wiklinowy płotek i wbiła się w skalniak między werandą a stawem. Wszyscy stali jak sparaliżowani, dopóki z auta nie wytoczyła się pijana w sztok właścicielka.

Rzucili się na nią z krzykiem.

– Jak mogłaś taka pijana sięść za kierownicę?! – darła się Irena.  
– No, będzie cię to kosztowało! – Ignacy oglądał skalę zniszczeń w toyocie.  
– Co za dzień! Co za dzień! – mamrotała matka Ireny, przypalając kolejną cygaretkę.  
– Nie marcie się, tatuś się szcześliwie odnalass i nie da mi sssginać – bełkotała Olga.  
Starsza pani wypuściła z ust chmurę dymu.  
– O czym ona bredzi? Co za tatuś? Ona nie ma tatusia.

Irena złapała przyjaciółkę za ramiona i potrząsnęła nią mocno.

– Matko Boska! Była rozprawa o alimenty? Olga! Spójrz na mnie! Byłaś w sądzie?  
Olga znowu się zachwiała.

– Iiiiirka... U ciebie graffitacja jest jakaś większa – wysapała.

Przez moment łapała równowagę, trzymając się ręki Ireny, ale nogi odmówiły jej współpracy i upadłaby jak długa, gdyby Ignac nie wziął jej na ręce. Wprawdzie sam był drobny, ale Olga z posturą dziewczynki nie stanowiła dużego ciężaru. Wniósł ją do domku dla gości.

– Pewnie też zostanie na noc – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Dom wariatów! – Starsza pani wzniosła ręce do góry.

Wszyscy stłoczyli się w pokoiku, do którego Ignac zaniósł bełkoczącą Olgę. Ta, leżąc na łóżku, zamknęła oczy.

– Świat mi wiruje... – wymamrotała. – Tak mnie wsysa i wiruje... Sędzia miała taki dłuugi nos, hi, hi... Pinokio... Kobiety mnie nie lubią... Źle to rossegrałam... Tak mnie wsysa i wsysa...

Zamilkła; oczy miała zamknięte, usta otwarte. Matka Ireny z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Że też ona w takim stanie siadła za kierownicą. Przecież mogło dojść do nieszczęścia. – Spojrzała bezradnie na córkę.

Irena nic nie odpowiedziała. Nie przeszło jej przez gardło, że to, niestety, nie pierwszy raz.

Ten dzień dobiegł wreszcie końca. Karol ze Spirosem wrócili późno, Irena nie wdawała się przy Greku w opowieści o tym, co się tu działo. Przytuliła się tylko do syna, a gdy ją

objął, poczuła się jak mała dziewczynka. Dobrze mieć dorosłe dzieci.

– Zostaniesz jutro w domu? – poprosiła.

– Zostanę – obiecał po chwili milczenia.

Długo w noc leżała przy otwartym oknie i nie mogła zasnąć. Żaby koncertowały, koniki polne nawoływały się radosnym „cri-ri-cri”...

To koniki czy wążacze? Nie pamiętała... Mikołaj by wiedział... Trzeba go zapytać, jak przyjedzie... Mikołaj by... Mikołaj...

Zasnęła.

– Szefie! Urodziła! – Tytus był tak podekscytowany, że nie panował nad głosem.

Szef skrzywił się i odsunął telefon od ucha.

– Ciszej, Tytus, ciszej.

– Ale, bo, Szefie, urodziła! Widziałem! Dwa maluchy!

No to mamy nowy miot białych lwów.

Zazwyczaj lwiątko, gdy się rodzą, mają futerko w cętki, ale te przychodzą na świat bez jednej plamki, są jak śnieg.

Szef przez chwilę pożałował, że nie mógł przy tym być.

– Odebraliście od razu młode?

– Tak. – Entuzjazm w głosie Tytusa zniknął. – Jeszcze jest zdenerwowana, chodzi i szuka małych... Widzę na monitorze.

– Za parę godzin nie będzie o nich pamiętała, wierz mi. Młode trzeba od razu odbierać, wtedy samica szybko znowu będzie płodna. A maluchy na butelkowym mleku pięknie przybierają na wadze. Nic im nie będzie.

Jego podwładny milczał. Do tej pory lwami, tak jak innymi zwierzętami, zajmował się Patejuk. Dla Tytusa pewne sprawy były jeszcze dosyć nowe.

Dwójka młodych. Mogłoby być więcej, ale trudno. Ten miot jeszcze pojedzie do Rosjan, ale może następny...

Nie, chyba jeszcze za wcześnie, nie zdążę, pomyślał.

Lwiątko najłatwiej i najbezpieczniej przetransportować przez granicę, gdy są małe. Zresztą wszystkie inne zwierzęta też. Ile jeszcze takich miotów musi sprzedać, zanim kolejne zostaną na jego farmie? Ma na razie jedną dorosłą samicę, ale zostawił jej dwie córki, które mają teraz cztery miesiące. Powinien sprowadzić dla nich drugiego samca.

I tak powinienem sprowadzić drugiego lwa, a tego... Po tym, co się stało... Brr!

O ile lwica wychowana od małego przez ludzi dawała z sobą robić wszystko, o tyle jej partner był po prostu nieprzewidywalnym dzikim zwierzęciem. Trzymali go oddzielnie.

– Co mówisz, Tytus? Powtórz, zamyśliłem się...

– Może trzeba wziąć kogoś do pomocy od tych wariatów?

– Wariatów! Cha, cha! Gdyby ekolodzy wiedzieli, jak ty o nich mówisz. A oni z takim szacunkiem zwracają się do ciebie: „Panie Tytusie”.

– Wariaty! – Upierał się twardo Tytus. – Znowu przyjechali tam tacy, co z saperką biegają do lasu za potrzebą. Bo to ekologiczne. A mnie od razu, za przeproszeniem, dupę ściska, Szefie. Z saperką! Bez gazety do poczytania, Szefie, bez srajtaśmy, jak to, palcem się podcierają?!

Szef chichotał.

– Lepiej, żeby nie wiedzieli za dużo. Są cwani, tylko udają wariatów. Na ekowiosce zbijają solidne pieniądze... Może ściągniemy kogoś z zagranicy? Z którejś farmy w RPA?

– Z Afryki? Szefie! A bo to wiadomo, co taki zrobi? Poczekajmy, na razie ta z ochrony mi pomaga.

– Niech ona lepiej ochroną się zajmuje!

Zirytowany Szef odłożył telefon. Lwy muszą mieć opiekuna! Dziewczyna z ochrony? Chociaż... Hmm... może? Nie boi się zwierząt, jest dyskretna i wystarczająco zła. Kobiety też bywają okrutne, a właśnie taka im się trafiła. Nie mrugnęła nawet okiem, gdy pewnego ranka się okazało, że jacyś biedacy weszli na wybieg samca...

A potem, niestety, opowiadała ze szczegółami o tym, co zobaczyła. Patejuk to odchorował, a ona zajęła się porządkowaniem wybiegu. Hmm... Może rzeczywiście nie szukać daleko, skoro ta jest na miejscu?

Pomyśli o tym. Później.

A z tym samcem też trzeba coś zrobić. Może go sprzedać? O! To jest myśl! Lew, który posmakował ludzkiego mięsa, osiągnie niebotyczną cenę! Któż nie chciałby się pochwalić, że zabił ludojada?

## Rozdział 23

Zuzanna zasnęła! Ona, dotąd wzorowa policjantka, jak nic spóźni się dziś do pracy! To już drugi raz!

Obudziło ją dopiero szczekanie Impeta, który radośnie witał pana Jurka. Całą noc męczył ją koszmar. Wpatrywały się w nią jasne, szare oczy Janusza Bosaka, które zmieniły się nagle w bezczelne, czarne oczy Karola Wilka. A potem okazało się, że patrzy na nią mąż Pauli, przyjaciółki z Sanoka. Jego spojrzenie było pełne pożądania i mówiło: „Poczekaj na mnie, miłość do Pauli nie potrwa wiecznie... Będę twój, Zuza, będę twój...”. „Jesteś mężem mojej przyjaciółki! – płakała. – Nie patrz tak!”. „Będę twój, Zuza. Przyjadę...”.

Usiadła na łóżku zlaną potem.

– O Boże! To tylko sen! Tylko sen!

Od kiedy wyjechała z Sanoka, Paula i Tomek przyśnili jej się pierwszy raz. Dlaczego teraz?! Przecież ostatnio wcale o nich nie myślała! Prawie zapomniała o beznadziejnej miłości do chłopaka, który pojawił się znikąd i ukradł jej przyjaciółkę. Prawie zapomniała o tym potwornym bólu, kiedy stała za nimi jako drużna, słuchała przysięgi, że na zawsze, do końca życia... Prawie zapomniała o chwili, gdy dotarło do niej, że nie może sobie ufać, bo jeśli Tomek powie: „Chodź ze mną”, pójdzie za nim na koniec świata, zostawiając Paulę we łzach, bo przecież ona, Zuza, też zasługuje na szczęście. Prawie...

Sen mara, Bóg wiara! A kysz! A kysz!

W pośpiechu wpadła do łazienki, ale myśli o przyjaciółce i jej mężu przyczepiły się jak rzep do psiego ogona.

– Nadal uważam, że ślub z obcym człowiekiem po trzech miesiącach znajomości to krok ryzykowny i niemądry – mruknęła do swego odbicia w lustrze, gdy już wypluła pastę do zębów. – A najgorsze, że zrobiłabym to samo.

Wyszczrzyła zęby, by przyjrzeć im się dokładniej, i energicznie wrzuciła szczoteczkę do kubka.

– No!

Koniec z Paulą i jej mężem, koniec z Sanokiem, jest tu i teraz, buduje dom i ściga przestępców!

Wyjrzała przez okno. Pan Jurek oglądał podmurówkę, wyraźnie zadowolony z efektu. Fundamenty już wyschły i dziś miał się zająć szkieletem ścian z drewnianych elementów. Miał już na sobie zielony drelichowy kombinezon i przekładał żerdzie z miejsca na miejsce. Wczoraj Zuza uznała, że przydałby mu się pomocnik, choć wiedziała, że pan Jurek to prawdziwa Zosia Samosia i nie lubi z nikim pracować do spółki. Robota poszłaby jednak szybciej. Nic mu nie mówiąc, ugadała stolarza polecanego przez Łukasza. Ponoć stolarz był artystą w swym fachu. Zrobił na niej sympatyczne wrażenie i nawet dała mu zaliczkę, bo zaznaczył, że ma dużo roboty, więc będzie musiał odmówić innym, by pracować u niej.

Patrzyła przez okno na pana Jurka i układała sobie w głowie, jak mu przekazać „dobrą nowinę”. Postanowiła zrobić to już z auta, wyjeżdżając do pracy.

Czerwone policzki majstra były dziś gładko ogolone, oczy rzucały wesołe błyski. Pan Jurek najwyraźniej miał dobry dzień i zrobiło jej się nieswojo, że zaraz mu popsuje humor.

– Aha, byłabym zapomniała – zaczęła słodko. – Umówiłam do pomocy stolarza, tego artystę z Golic. Przyjedzie w południe.

Pan Jurek zmarszczył brwi.

– Ryśka?

– No chyba tak, pana Rysia.

Majster bez słowa zaczął przesuwać skrzydło bramy, jakby chciał pogonić Zużę i zamknąć podwórko.

– I pewnie dała mu już pani zaliczkę?

– Oczywiście – przytaknęła z godnością. Zawsze płaciła swoje rachunki!

Pan Jurek w milczeniu zamknął za nią bramę. Wyjątkowo dobrze przyjął wiadomość, a może po prostu nie chciał się już klócić. Zuza odetchnęła. Co za ulga.

W komisariacie wykonała całą zaległą papierologię i niecierpliwie zerkała na zegarek, bo koledzy z wywiadu kryminalnego mieli przygotować analizy miejsc, w których logował się telefon Patejuka. Powinna jeszcze przygotować informację dla oficera prasowego, którego jakaś dziennikarka z „Tygodnika Siedleckiego” poprosiła o szczegóły zabójstwa. Oczywiście musi coś powiedzieć, nie mówiąc nic. Ach, ci dziennikarze! Najchętniej sami zabawiliby się w detektywów.

Otworzyła stronę internetową „Tygodnika Siedleckiego”, by prześledzić, czym ostatnio żyła kronika policyjna. W rubryce „Na gorąco” przykuł jej uwagę krzykliwy tytuł: „Bójka wyższych sfer w gorzelnii”. Zaczęła czytać.

Do niecodziennej sytuacji doszło wczoraj podczas biznesowego spotkania w słynnej gorzelnii w Krzesku. Brawurowy pokaz umiejętności amerykańskich barmanów zakłóciła bójka dwóch polskich celebrytów: restauratora Janusza Bosaka (ubiega się o gwiazdkę w legendarnym przewodniku Michelin) i stylisty Dominika (dba o wiele polskich gwiazd). Interweniowała policja. O szczegółach napiszemy w papierowym wydaniu „Tygodnika”.

Zuza od razu zaczęła przeglądać internet w poszukiwaniu dodatkowych informacji. Portale plotkarskie już podchwyciły temat, ale przypominały głównie historię głośnego romansu i jeszcze głośniejszego rozstania restauratora ze stylistą. Zadzwoiła na posterunek w Zbuczynie, pod który podlegał Krzesk.

– No, no, jeszcze trochę, a mielibyśmy sprawę o morderstwo – śmiał się dzielnicowy ze Zbuczyna. – Pan restaurator o mało nie utopił pana stylisty w stawie. Trzymał mu głowę pod wodą tak mocno, że kilku chłopca nie mogło sobie z ratunkiem poradzić. Zawiedziona miłość to coś strasznego, mówię ci.

No, proszę, proszę... Znowu Bosak i znowu morderstwo... Właściwie próba morderstwa.

– Ale że tak przy ludziach?

– To celebryci! Oni wszystko robią tylko przy ludziach.

– No, niby tak.

– Zaczęło się całkiem niewinnie. Pan stylistka bąknął pod nosem jakąś krytyczną uwagę na temat wyglądu pana restauratora. To wystarczyło, chwilę później znalazł się w stawie. A ten Bosak jest dziwny. Przyjechał na biznesowe spotkanie w damskiej peruce, wymalowany... Czujesz to? Wiesz, jaki świat zjeżdża do gorzelnii w Krzesku...

– Nie wiem. Jaki świat?

– Wielki! I bogaty. Właściciel przylatuje własnym helikopterem.



– Aż tak?

– Aż tak. Właściciel jest bardzo w porządku. Odrestaurował dziewiętnastowieczny wiatrak, zrobił z tej gorzelni cacko. Pewnie już Bosaka nie zaproszą. – Zaśmiał się. – Kiedy przyjechaliśmy, wyglądał strasznie. Wiszące mokre strąki i, uważaj, rozmazany makijaż. Jak z filmu jakiegoś. O szaleńcu. Albo o opętanym.

– Robicie coś z tym?

– Wezwała nas gospodyni opiekująca się rezydencją. Gdy przyjechaliśmy, kochasiów już rozdzielono i okazało się, że nie ma sprawy, nikt nie składa skargi. Gospośia niepocieszona, bo „ten w peruce” od początku jej się nie podobał. – Dzielnicowy ze Zbuczyna próbował naśladować głos zde gustowanej gosposi.

Zuzanna podziękowała za rozmowę i pożegnała się.

Znowu Janusz Bosak!

Czy podczas pamiętnego ogniska też wpadł w furję i zabił Patejuka tym, co miał pod ręką?

Jej rozmyślenia przerwał Łukasz, który wszedł do dyżurki.

– Nareszcie! – Podniosła się z krzesła.

– Też się cieszę, że cię widzę. Miło dla odmiany poczuć, że ktoś na człowieka czeka z utęsknieniem.

– Taka praca, stary! – Klepnęła go po plecach. – To ja się zmywam.

– A tego stolarza Ryśka znalazłaś? Dobrze ci wytłumaczyłem?

– O, tak! Dzięki! Fajny człowiek, wesoły.

– To się cieszę. Tylko pamiętaj, żeby mu nie dawać żadnych zaliczek! Płać dopiero po robocie.

– O! A dlaczego?

– Bo nie przyjdzie do roboty, zanim wszystkiego nie przepije.

– Teraz mi to mówisz?! O szlag!

Szybko obliczyła, na ile starczy panu Rysiowi picia z otrzymanych wczoraj pieniędzy... Jeśli nie będzie stawiał całej wsi, to przynajmniej na miesiąc. Albo dwa. O jasny gwint!

Była już w drzwiach, gdy Łukasz zawołał ją, dając tajemnicze znaki. W rękę trzymał słuchawkę telefonu.

– Co? – Zmarszczyła brwi.

– Prokurator Szatan! – szepnął konspiracyjnie.

Pełna złych przeczuców podeszła do telefonu i przedstawiła się służbiście:

– Aspirant Zuzanna Brodzik!

– Zapraszam do mnie – usłyszała suche polecenie i prokurator się rozłączył.

Łukasz, widząc minę Zuzanny, wydał z siebie serię ryków niczym jeleń na rykowisku.

– Łoś wzywa! Urlopik się skończył?

– Najwyraźniej. A to był taki całkiem miły dzień...

Zadzwo niła do kolegów z kryminalnego, ale jeszcze nie mieli analiz. Szkoda, znowu pojedzie do prokuratury z niczym.

## Rozdział 24

Słońce zaglądało przez okno, bawiło się z firanką i kwiatem na parapecie. Olga przymykała oczy, jasne promienie ją razily. Obudziła się w domku dla gości u Ireny, bolała ją głowa i miała wrażenie, że wczoraj stało się coś strasznego... Co to było? Pulsujący ból w skroniach nie pozwalał się skupić... Ach!

Spiros! Spiros nie przyjechał! Nie uprzedził, że go nie będzie, nie zadzwonił, po prostu się nie zjawił. To już kolejny raz. Zostawił ją? Znudził się? Pędziła na spotkanie z nim jak na skrzydłach, żeby ją pocieszył, przytulił po tej okropnej rozprawie... Ach!

Sąd!

Ojciec!

Pamięć wróciła i Olga szczerze tego pożałowała.

Przegrałam. Będę płacić alimenty...

Zamknęła oczy. Docierały do niej obce odgłosy, obce zapachy. To nie było jej łóżko, nie jej poduszka, nie jej pokój.

– To nie jest moje życie... – Spod powiek potoczyły się gorące łzy. – Spiiiiiros...  
– szlochała.

Był jej jedyną radością przez te ostatnie okropne dni. Naprawdę ją zostawił? Bez słowa? Właśnie teraz, gdy tak bardzo, bardzo go potrzebowała? Wstydziła się pytać Karola, czy Grek się nią znudził, czy po prostu ma dużo zajęć. Syn Ireny zachowywał się przy niej, jakby o niczym nie wiedział, był bardzo lojalny wobec kolegi. Nie poskarżył się ani razu, że musi sam pracować, gdy Spiros dobrze się bawił z Olgą. A rzeczywiście bawili się świetnie! Żeby było pikantniej, spotykali się w hotelach, jeździli na wycieczki i kochali się na łonie natury. Potrafił jej robić niespodzianki: zrywał się pierwszy, wskakiwał do jej toyoty i przywoził truskawki z szampanem albo lody czekoladowe. Ona jak królowa czekała, nawet nie podnosząc się z łóżka. I widziała w jego oczach, że... Ech!

Przyjechała do Ireny w nadziei, że się z nim spotka, ale obleciał ją zimny strach. Co teraz wyczyta z tych oczu?

Skuliła się i zaczęła płakać cichutko, żeby nikt nie usłyszał. Czy naprawdę jeszcze niedawno była szczęśliwa i żyła tak, jak lubiła? Zapracowała na to ciężko, po latach biedy osiągnęła status kobiety sukcesu, nie musiała nikogo o nic prosić. I wszystko zawdzięczała tylko sobie i swojej pracy, nie miała przecież bogatych rodziców, dających dziecku na dobry start mieszkanie lub kapitał na założenie własnego biznesu.

Teraz przerażał ją każdy kolejny dzień, bała się, że straci wszystko.

Usłyszała ciche pukanie, więc szybko zamknęła oczy, udając, że jeszcze się nie obudziła.

– Spisz?

Odetchnęła z ulgą, słysząc głos Ireny, z nikim innym nie mogłaby teraz rozmawiać.

– Nie śpię... Umieram.

Przyjaciółka usiadła na łóżku i podsunęła jej pod nos kubek z pachnącą kawą.

– Płaczesz? Powiesz mi, co się dzieje?

Olga usiadła, objęła rękami kolana i położyła na nich głowę.

– To koniec, Ira. Koniec. – Jej drobne ramiona trzęsły się od cichego szlochu. – Nie dają już rady. Mam długi, ludzie mi nie płacą... Skarbowka żąda dokumentów, a ja gdzieś zgubiłam faktury... Po raz pierwszy nie mam pieniędzy na pensję dla pracownicy! Mam

zaległości w ZUS-ie...

- Olu, znam dobrą księgową, siądziemy razem, popatrzymy, poszukamy rozwiązań.
- I jeszcze te alimenty dla ojca! Zniszczył życie matce, zniszczył mi dzieciństwo,

a teraz... Nie wiem, jak to się stało! Nie wiem!

Irena odstawiła kawę na nocną szafkę i przytuliła Olgę.

- Kochanie... Przede wszystkim złożysz apelację! Pójdziemy do dobrego prawnika.

Spotkamy się wszyscy, porozmawiamy, poszukamy jakiegoś ratunku. Tylko musisz być trzeźwa. Bo przestałaś już nad tym panować, sama to wiesz, prawda?

- Nie chcę o tym rozmawiać.
- W końcu będziesz musiała.

Olga ukryła się pod kołdrą. Gryzła pięść, żeby nie wyć w głos.

- Ira... Ja... Ja...

– Nie jesteś sama, pamiętaj.

– Jestem! Właśnie, że jestem! Wy też mnie zostawicie, jak wszyscy. Ty już masz ochotę, prawda? – Wystawiła zapłakaną twarz.

- Nieprawda. Olu, dasz radę ze wszystkim, jesteś naprawdę dzielna.

– O, tak! Zawsze dzielna i silna! Poprowadzić firmę? Olga poprowadzi! Dokonać niemożliwego? Olga dokona. Olga zniesie wszystko! Można jej zrobić każde świństwo.

Na przykład wysłać ją na wycieczkę, żeby się po cichu zabić! Tak! Zniosę wszystko, prawda?!

Irena odwróciła wzrok, jak zawsze, gdy przyjaciółka wspominała samobójczą śmierć matki, którą znalazła martwą po powrocie z urlopu.

- Ira, dlaczego ona nie zostawiła wtedy listu?! Nie robi się tego własnemu dziecku!

– Wcisnęła twarz w poduszkę, by zagłuszyć wycie. Nienawidziła tych wspomnień.

- Olu, twoja mama cierpiała na depresję, to choroba... Ty jej nie zawiodłaś.

– Umarła, kiedy mogłam jej dać wszystko! Dlaczego mi to zrobiła?! Zostawiła mnie, tak jak kiedyś ojciec. Nic jej nie obchodziłam!

– Parę lat temu o depresji niewiele się mówiło. Dziś pewnie by było inaczej, miałyby lepszą opiekę. Olu, przecież to twoja mama, stworzyła ci kochający dom. To ona dała ci tę siłę.

- Nie wyjaśniła dlaczego! Nie wiedziała, że będę z tym musiała żyć?! Planowała to!

Miała kupioną sukienkę do trumny, powiesiła ją w szafie, z przyczepioną karteczką!

Nienawidzę jej!

Irena milczała, czując się bezradna.

– Irka, czy mogę na trochę zostać u ciebie? – Przestała szlochać w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Tak, oczywiście. Jadę dziś po rzeczy Reginy, mogę przywieźć trochę twoich.

- Dziękuję... Klucze są w torebce, weźmiesz?

Irena wyciągnęła pęk kluczy. Gdy doszła do drzwi, Olga zawołała za nią:

- Zaczekaj!

– Tak?

- Nie mów nikomu, że płakałam.

– Jasne.

Przyjaciółka na chwilę zatrzymała się z dłonią na klamce.

- Olga... Wymagam tylko jednego. Dopóki jesteś u mnie, nie tkniesz alkoholu!

Pamiętaj!

Na późnym śniadaniu spotkali się wszyscy oprócz Olgi i Reginy. Jedli w milczeniu.

Starsza pani wydawała się blada, jakby źle spała, a Ignacy znowu włożył krawat i wyglądał jak urzędnik na wczasach. Karol i Spiros wbijali oczy w talerze.

– Naprawcie płot i odholujcie toyotę Olgi do Siedlec, do warsztatu – zadysponowała Irena, a syn posłusznie kiwnął głową.

– Do pana Maćka? – upewnił się. – No tak, głupio pytam.

Irena ufała tylko panu Maćkowi. Pierwsza odkryła, że sympatyczny mechanik nie wykorzystuje motoryzacyjnej ignorancji kobiet i nie naciąga klientek na niepotrzebne wymiany części. W jego warsztacie na Floriańskiej naprawiano auta rzetelnie i w rozsądnych cenach. Pan Maciek szybko stał się ulubionym mechanikiem wszystkich zmotoryzowanych koleżanek Ireny.

– Dzisiaj zmywa Ignacy! – Wydała kolejną dyspozycję.

– Zwariowałaś? Ja muszę malować! – Malarz ze zgrozą wytrzeszczył oczy.

Rozpaczliwie szukał ratunku u matki Ireny, ale ta, widząc minę córki, postanowiła się bezpiecznie ewakuować.

– Raz możesz. – Uśmiechnęła się nieszczerze i szybko zniknęła.

Kuchnia nagle opustoszała, a Ignacy z niedowierzaniem patrzył na stertę naczyń. Klnąc pod nosem, wstawił je do zlewu, zakorkował odpływ i nalał wody po brzegi.

– Najpierw musi się namoczyć!... No, żeby mnie!... Artystę!... – mamrotał, znikając za drzwiami.

Gdy Irena wyjeżdżała z podwórza, Ignacy ze sztalugami pod pachą biegł do sadu, a talerze moczyły się posłusznie.

Irena czuła, że to będzie kolejny długi dzień. Niestety, nie wiedziała jeszcze, jak bardzo....

W kawalerce Reginy panował idealny porządek, mieszkanie wiele mówiło o właścicielce. W małym saloniku królowały funkcjonalne i niedrogie meble z Ikei, w wazonach stały bukiety z suszonych kwiatów, na półkach z książkami nie było ani grama kurzu. Odsuwając drzwi szafy, Irena czuła, że wkracza w czyjąś intymność. Spakowała szybko pierwsze z brzegu sukienki. W łazience znalazła kosmetyki, zgarnęła nawet kilka kolorowych motylków – spinek do włosów. Jeszcze tylko koszula nocna i bielizna. Otworzyła drzwi sypialni.

– Jasny gwint! – Zamarła z wrażenia.

Na wprost łóżka wisiała suknia ślubna opakowana w foliowy worek. Piękna suknia. Musiała kosztować majątek! Irena delikatnie dotknęła rąbka wystającego materiału. To cudo było spełnieniem marzeń każdej panny młodej.

Rozejrzała się po sypialni. Na komodzie stały zdjęcia Mikołaja... Małe, duże, portrety i fotografie sprzed lat, gdy był jeszcze młody i zbuntowany... Nigdy wcześniej ich nie widziała. Kiedy Regina je oprawiła i poustawiała?

Koszulę nocną i bieliznę znalazła w szufladzie komody. Obrzuciła wzrokiem sypialnię, patrząc, co mogłoby się jeszcze przydać przyjaciółce. Na nocnym stoliku przy łóżku zobaczyła ślubne katalogi i ulotki z reklamami sal weselnych. Wyglądało na to, że przygotowania do uroczystości szły pełną parą, tym bardziej więc nie mogła zrozumieć postępków Mikołaja, to zerwanie było z jego strony takie okrutne!

Opuściła mieszkanie z ulgą. Pojechała do przychodni po zwolnienie Reginy i zawiozła je do biblioteki. Zdażyła tuż przed końcem pracy sekretariatu.

U Olgi czekała ją niemiła niespodzianka. Otwierała drzwi, gdy ktoś brutalnie popchnął ją, aż się zatoczyła i uderzyła głową o framugę.

– Gdzie ona jest?!

Sebastian, młody kochanek Olgi, wdarł się za nią do mieszkania i nogą zatrzasnął drzwi. Ramieniem przycisnął Irenę do ściany. Przestraszyła się, nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Gdzie ona jest?!

Sebastian wyglądał przerażająco: wykrzywił usta, w oczach miał furję. Irena wcisnęła głowę w ramiona, jakby spodziewała się uderzenia, i ten bezradny ruch trochę go ostudził. Puścił ją i z wściekłością walnął zaciśniętą pięścią w ścianę.

– Gdzie ona jest?! – powtórzył. – Nie było jej całą noc!

Wyglądał, jakby czekał pod blokiem Olgi od wczoraj, był nieogolony, w nieświeżej przepeconej koszulce.

– Zwariowałeś? – spytała drżącym głosem. – Co ty sobie wyobrazasz?! Wyjdź stąd!

– Gdzie ona jest?!

– Wyjechała! – skłamała. – Prosiła, żeby podlać kwiaty.

Sebastian znowu uderzył pięścią nad głową Ireny.

– Znajdę ją! – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Myślisz, że nie wiem, gdzie jej szukać?

Wybiegł z mieszkania jak szalony.

Irena wzięła głęboki wdech i przyciskając plecy do ściany, osunęła się, usiadła na podłodze. Nogi jej się trzęsły, jakby były z galarety.

Co to było?! Ten chłopak jest niebezpieczny! Z kim ta Olga się zadaje, na Boga!?

Zakurzone czarne auto z ceglastym bagażnikiem Irena zobaczyła po raz pierwszy, gdy dojechała do drogi prowadzącej na jej posesję. Samochód stał na skraju lasu po przeciwnej stronie. Gdyby wyjeżdżała ze swojej działki, nie zobaczyłaby go, bo był ukryty za krzakami. Z głównej drogi widać było jego tył. Kolorowy obcy akcent w doskonale znanym codziennym pejzażu z daleka przykuł jej uwagę. Jakaś zakochana para szukała samotności na łonie natury? Irena zapomniałaby o tym, gdyby nie późniejsze wydarzenia.

– Ignac! – wrzasnęła, gdy tylko weszła do kuchni, bo w zlewozmywaku nadal moczyły się naczynia. – Zamorduję cię, ty leniu!

Odstawiła torby z rzeczami przyjaciółek i z furją wyciągnęła korek ze zlewu.

Odkręciła kran. Strumień wody odbił się od łyżki i trysnął na bluzkę i twarz Ireny.

Na podłodze od razu powstała kałuża. Przez moment stała jak wryta; z jej grzywki kapła woda. Usta same ułożyły się w dzióbek jak u ryby łapiącej rozpaczliwie oddech. Niewiele myśląc, złapała pierwszy z brzegu talerz i trzasnęła nim o podłogę. Rozpadł się w drobny mak, a hałas ściągnął do kuchni matkę.

Starsza pani spojrzała na rozbitą porcelanę.

– O...! To ja przyjdę później.... Bo, hmm... chciałam ci coś powiedzieć.

Zniknęła tak samo szybko, jak się pojawiła.

Irena osunęła się ciężko na krzesło. Sięgnęła po kuchenną ścierkę i otarła mokrą twarz, spróbowała osuszyć bluzkę. Górna warga zaczęła jej drgać jak szalona.

Oni wszyscy muszą wyjechać! Zaraz! Natychmiast! Dać jej święty spokój!

Nigdy nie była zwierzęciem stadnym, wręcz przeciwnie, dobrze się czuła w wiejskiej samotni, nie tęskniła za gwarem miasta, nie tęskniła za ludźmi! Więc dlaczego, do jasnej cholery, wszyscy przyjeżdżają do niej jak do własnego domu?!

Jakby na potwierdzenie tych słów usłyszała, że na podwórze wjechało auto. Ze znanej

jej captivy w kolorze kawowym wysiadła jakaś kobieta ubrana cała na białą. Irena, w bojowym nastroju i mokrej bluzce, ruszyła na dwór niczym rozjuszony nosorożec.

Babę przegonię, a Januszowi przegryzę tętnicę! – odgrażała się w duchu.

Nie miała najmniejszej ochoty na kolejnych gości.

Przy aucie Janusza nikogo już nie było. Rozejrzała się. Obok kamiennego kręgu, w którym palono ogniska, siedziała szczupła nieznajoma brunetka. Miała na sobie luźny biały kombinezon, głowę pochyliła tak, że długie do pasa włosy zasłaniały twarz. Powoli łamała drobne gałązki i układała stosik do rozpałki.

Bezczelność! Przecież ona czuje się tu jak u siebie w domu, oburzyła się Irena.

Podeszła do nieznajomej.

– Janusz...?!

Spod czarnej zmierzwionej grzywki łypnęło na nią oko w sinej obwódce.

– Boże! Na „slit foci” prezentowałeś się lepiej niż na żywo – wyrwało się Irenie.

Oprócz sinej plamy pod okiem miał pomalowane usta i róż na policzkach. Wyglądał co najmniej żałośnie. – Ten efekt misia pandy to rozmazany makijaż czy trafiłeś na brutala?

– Wskazała podsinione oko.

– Brutalna to jesteś ty!

– Nie każ mi uruchamiać wyobraźni. Co się stało?

– Biłem się wczoraj – przyznał niechętnie. – Z NIM!

Nadal łamał gałązki i rzucał je do kamiennego kręgu. Z całej postaci Janusza emanowało przygnębienie i Irena poczuła się winna, że przywitała go tak obcesowo i niechętnie. Z westchnieniem usiadła obok i sięgnęła po drugą gałąź. Połamała ją z cichym trzaskiem.

– Wolę cię bez peruki.

Bez słowa ściągnął czarne pukle i położył na kolanach. Zobaczyła teraz, że miał też opuchniętą wargę.

– Nie bardzo ci wychodzi udawanie kobiety z impetem.

Wzruszył ramionami.

– Bądź po prostu sobą.

– Zrobimy ognisko? Proszę... – jęknął.

– Dobrze – westchnęła z rezygnacją.

Po kolejnej chwili milczenia Janusz wyszeptał:

– Nie wiedziałem, że on mnie tak nienawidzi.

– To ty go nienawidzisz, Janusz.

– Nic nie rozumiesz! Ja go nienawidzę, bo on mnie nienawidzi! To różnica.

– Aha. Powiedział ci o tym?

– Nie. Śmiał się z Nigelli... Wiesz, że mnie...

Irena westchnęła w duchu. Podejrzewała, że nie tylko były kochanek śmiał się z niefortunnej kreacji restauratora. Janusz sprawiał wrażenie, jakby stracił kontakt z rzeczywistością!

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Bo ja wiem...

– Drugi raz nie zaproponuję!

– Najchętniej to bym się napił. Mogę zostać do jutra?

Irena zacisnęła zęby.

– Jasne – warknęła. – A nie boisz się, że pod twoją nieobecność przyjedzie jakiś inspektor Micheline?

– Niech przyjeżdża. Co ma być, to będzie. – Westchnął. – I tak jestem najlepszy. A Mapa może funkcjonować beze mnie, tak to urządziłem. – Widać było, że domagał się uznania.

– Świetnie – pochwaliła beznamiętnie.

Kolejne gałązki wylądowały w kamiennym kręgu. A potem następne i następne... Janusz milczał, a Irena razem z nim.

Albo odwożę mnie do wariatkowa, albo popełnię dziś morderstwo.

Bezmyślnie łamała patyki i nie wiedziała, co lepsze.

Ignacy malował. Poranna złość wpłynęła na niego bardzo inspirująco. Wrócił z sadu, gdzie chciały go pożreć żywcem komary, i oddawał się twórczej pasji w domku dla gości. Było tu cicho i spokojnie. Ignacy ustawił sztalugę w jadalni, by złapać jeszcze trochę dziennego światła. Miał pokój od wschodu, o tej porze już nie można było tam malować.

Poczuł pragnienie i podszedł do kuchennego blatu, na którym stał karton z sokiem jabłkowym. Z kartonu wystawał mały kranik. Bardzo sprytne! Ta Irka zawsze coś wynajdzie. Upił łyk i ze zdumieniem stwierdził, że wyjątkowo mu smakuje. Obejrzał pudełko z każdej strony. Przy napisie „Samo jabłko” była mała naklejka z rysunkiem selera. Zaintrygowany Ignacy przestudiował informację. Sok pozyskiwano w tłoczni, do jabłka dodano seler, uzyskując oryginalny smak. W życiu by nie powiedział, że seler może być taki smaczny! Nalał sobie kolejną porcję i stojąc przy oknie, delektował się napojem.

– A ta kucharczyna co tu robi? – Zmarszczył brwi, rozpoznając Janusza.

Bosak siedział z Ireną przy kamiennym kręgu, w którym rósł stos patyków. Będzie ognisko?

Restaurator denerwował Ignacego od dawna. Przy Januszu nie mogła błyszczeć żadna inna gwiazda, bo zaraz robił się naburmuszony i złośliwy. Zawsze musiał się znajdować w centrum uwagi i potrafił ją na sobie skupić, ale zdaniem malarza był jedynie pustą wydmuszką, beztalenciem ślizgającym się na plecach innych, czyli na talencie zdolnych pracowników. Największą winą Janusza było jednak to, że do tej pory nie kupił od Ignaca ani jednego obrazu, choć w Mapie i we własnym domu eksponował współczesne dzieła sztuki. Malarz tylko zaciskał zęby. Janusz obracał się w gronie bogatych snobów, więc gdyby choć raz zainwestował w obraz kumpla, popularność Ignacego, jak też wartość jego prac, niewątpliwie wzrosłaby na salonach.

– Egoista! – syczał zza firanki. – Jest przekonany, że słońce świeci mu prosto z dupy!

– Kto jest egoistą? – Usłyszał za sobą zaspany głos Reginy.

Odkoczył od okna, jakby przyłapano go na podglądaniu.

– Kucharczyna – mruknięła niechętnie.

– Janusz przyjechał – bardziej stwierdziła, niż zapytała Regina.

I tak było jej to obojętne. Rude włosy opadały w nieładzie na ramiona, piegi na bladej twarzy były wyraźniejsze, oczy otoczył siny cień. Usiadła bez życia przy stole, patrząc tępo na koronkową serwetkę. Zachodzące słońce zatańczyło w jej włosach niczym płomień ognia. Ignac aż otworzył usta.

– Nie ruszaj się! – Pobiegnął do pokoju po blejtram.

Ustawił go na sztaludze i szybko zaczął szkicować. Chciał uchwycić ten moment, w którym rude loki żyły własnym życiem, szczęśliwe z chwili wolności, jako że na co dzień były surowo kontrolowane przez koszarne spinki i motylki. No, proszę, dać im trochę swobody, a pokazują swą prawdziwą naturę.

– Malujesz mnie? – Regina ze zdziwieniem uniosła brwi.

Mruknął coś niezrozumiale; przebywał już w innym świecie i nie miał ochoty na pogawędkę. Zrozumiała, że artysta jej nie słyszy, a jeśli nawet docierają do niego jakieś dźwięki, to ich nie słucha. Posłusznie siedziała bez ruchu.

– Co ja mam teraz zrobić? – westchnęła. – Najlepiej, żebym umarła... Tak mi wstyd. Ignacy nie odpowiadał, pochłonięty pracą.

– Szkoda, że się obudziłam. Jak spałam, wszystko było łatwiejsze. On mnie nie kocha. Nie chcę ślubu z kimś, kto nie czuje do mnie tego, co ja do niego. A myślałam... Kupiłam już sukienkę, zaraz następnego dnia po tym...! Tyle lat na nią odkładałam, z każdej pensji. Z każdej! Wybrałam najdroższą... Nawet jej nie zobaczył...

Zaczęła nerwowo skubać brzeg obrusa. Jej policzki powoli nabierały rumieńców.

– Chciałam mu przychylić nieba... Wysprzątałam to jego kawalerskie mieszkanie, ugotowałam obiad, poznałam sąsiadów... Tacy mili ludzie! A wiesz, co było w jego oczach?... Strach...

Podniosła wzrok i spojrzała na Ignaca. Smutek w jej zielonych oczach sprawił, że malarz przez chwilę nie mógł złapać tchu. Zamarł z pędzlem w dłoni.

– Nie wiedziałam... Nie wiedziałam, że męskie ciało może dać takie poczucie bezpieczeństwa! – Regina zatrzepotała rzęsami. – Że jest takie gorące, twarde... Że, gdy się do niego przywiera całą sobą, to znikają wszystkie lęki. Czułeś kiedyś coś takiego? Czułeś, że wtedy dusze się łączą? Ja nie bałam się w tamtej chwili niczego... Ja... pierwszy raz byłam naga... przy mężczyźnie.

Reginie spierzchły usta, zwilżyła je, a Ignac jak zahipnotyzowany obserwował powolny ruch jej języka. Wpatrywał się w ogień tańczący w rudych włosach, w zielony blask chmurnego spojrzenia i nagły rumieniec na policzkach.

– Wiesz, że jesteś piękna?

W jego głosie było takie zdumienie, że Regina znowu wbiła wzrok w obrus i wykrzywiła usta w podkówkę.

– Nie pocieszaj mnie. Chcę umrzeć – powiedziała żałośnie.

Czerwone włosy zasłoniły jej twarz, ramionami wstrząsał szloch.

– Renia...

– Życie już nie ma sensu...

– Ja to bym tego bydlaka... Renia!

Podszedł do niej niepewnie. Gdy podniosła głowę i spojrzała na niego oczami lśniącymi od łez, pędzel wypadł mu z ręki i potoczył się po podłodze.

– Renia...

W kamiennym kręgu płonął ogień. Janusz z zaciętą twarzą dorzucał kolejne kawałki drewna.

– Irena! Karol dzwoni! – Na schodach werandy pojawiła się starsza pani i machała ponaglająco ręką. – Na pewno zepsuł moją „cytrynkę”! Prosi, żebyś przyjechała do nich z kanistrem, bo stoją pod Pruszyńcem.

Irena pobiegła do domu.

– To zepsuł czy benzyna się skończyła? – spytała, biorąc od matki telefon.

– Na pewno miał stłuczkę i nie chce się przyznać. – Starsza pani wydeła usta.

– Czuję to! Moja „cytrynka” przesyła mi telepatycznie s.o.s.!

Irena przyłożyła aparat do ucha. Po chwili ze złością zerknęła na matkę.

– Nie szwankuje ci czasem wskaźnik paliwa?

– Tylko trochę! To znaczy raz działa, a raz nie.



– To teraz jest właśnie „nie”. Jakby mało było kłopotów! – Z niechęcią pomyślała o kolejnym czekającym ją wyjeździe.

Cytrynowy garbus mrugał światłami awaryjnymi na poboczu. Irena zgrabnie zaparkowała za samochodem matki. Gdy chciała wyciągnąć z bagażnika kanister, doskoczył szybko Karol. Znużony Spiros opierał się o unieruchomione auto i nawet mu do głowy nie przyszło, by pomóc. Matka z dumą spojrzała na syna. Dżentelmen!

„Cytrynka”, mimo uzupełnienia baku, nie chciała zapalić.

– No, to holujemy! – zdecydował Karol. – Dzwon do warsztatu, niech chwilę zaczekają z zamknięciem.

Powoli ruszyli. Karol za kierownicą ciągniętego garbusa, Spiros z Ireną.

– Podobają ci się polskie dziewczyny, Spiros? – Przedsiębiorcza matka od razu postanowiła wysondować, czy Marzenka miałaby u niego jakieś szanse.

– Ooo, badzio! – Grek z werwą pokiwał kudłatą głową.

– A czy ty masz w ogóle jakąś dziewczynę?... No, wiesz, taką partnerkę...

– Ja modzutki jeszdze!

– Młodziutki? Stare chłopisko z ciebie, niedługo będziesz miał trzydziestkę. Może warto już pomyśleć o jakiejś fajnej, milej dziewczynie, co?

– Myszlecz moszna – przytaknął ugodowo.

– No właśnie! To samo ciągle powtarzam Marzence! Przecież jej też niedługo stuknie trzydziestka, a kobiecie tyka zegar biologiczny! Kobieta nie ma tyle czasu!

Grek zmarszczył krzaczaste brwi.

– O tak! Sztraszne! U kobiet tyka! Niedobra rzecz. Trzeba uganiać, jak tyka.

– „Uganiać”?... Znaczy, uciekać?

– Tak, tak! – potwierdził radośnie, a Irena odniosła wrażenie, że jej subtelna uwaga odniosła całkiem odwrotny skutek.

Z ulgą wjechała na podwórko mechanika. Okazało się, że w „cytrynce” trzeba wymienić przewód paliwowy, naprawę odłożono do jutra.

Zapadł zmierzch, gdy dojeżdżali do wsi.

– Dziwne... Ten samochód stoi tu już cały dzień. – Irena patrzyła na wystający z krzaków bagażnik z ceglastą klapą. – Może ktoś porzucił gruchota, zamiast oddać go na szrot? Ludzie to jednak straszne brudasy, wszystko wywalą do lasu!

Wjechali na podwórze.

– O, Mikołaj przyjechał. – Karol wskazał granatowego passata combi. – I ognisko się pali! Ale gdzie są wszyscy?

Przy kamiennym kręgu było pusto i panowała podejrzana cisza.

– Spokój jak przed burzą – mruknęła Irena.

Jak zwykle, miała rację...

Irena zajrzała do kuchni. Pierwsze, co ją powitało, to sterta nieumytych naczyń. Zamknęła oczy i przeszła obok zlewu, ale poziom adrenaliny od razu jej podskoczył. Weszła na piętro i zastukała do pokoju matki.

Starsza pani siedziała w fotelu. Paliła papierosa i wpatrywała się w niedokończony obraz. Wydawała się blada i zmęczona.

– Mikołaj jest? – zapytała Irena. – Gdzie się wszyscy podziali?

– Mikołaj patrzy na mnie tak, jakby chciał mnie zamordować – powiedziała matka z wyrzutem.

– Tak po prostu? Czy może coś mu powiedziałaś?

– Tylko że teraz powinien się ożenić z Reginą.

– Mamo! To nie te czasy! – Irena przycisnęła palcami powieki. Po chwili westchnęła.

– I co? Obraził się i poszedł w pole kontemplować? Gdzie są wszyscy?

Matka poruszyła się niespokojnie.

– Właściwie... Nie tylko ja rozmawiałam z Mikołajem.

Sposób, w jaki to powiedziała, uruchomił w głowie Ireny alarm. Czerwona lampka pulsowała coraz mocniej.

– Co tu się działo?

– Oj, bo było siedzieć w domu, jak ma się tylu gości! – wybuchnęła matka. – Ciągłe cię nie ma!

– Mamo! Co tu się działo?

– Ech, nic takiego. – Starsza pani lekceważąco machnęła ręką. – No, może oprócz tego, że Ignacy próbował udusić Mikołaja.

– Co?!

– No, tak! Kiedy Mikołaj przyjechał, Ignac wyskoczył z domku jak nienormalny i rzucił się na niego.

– Zwariował? Przecież Mikołaj jest wielki jak czołg, a Ignacy... Co on, samobójca?

– Ha! I tu się mylisz! – Starsza pani podniosła palec. – Mikołaj stał jak zamurowany, przyjmował ciosy, tylko oczy mrużył. Nie oddał ani razu!

Irena aż przysiadła na brzegu fotela. Matka opowiadała dalej.

– Więc jak Mikołaj tak stał, to Ignac złapał go za gardło i zaczął dusić. O Reginie coś krzyczał. Regina i Regina!

– Regina? Dusić?

– No, tak! Mówię ci, straszne to było... Dopiero Janusz go odciągnął... A wtedy Ignac wyrznął Janusza tak, że ten się przewrócił.

– Janusza?!

– A jakże! Wykrzykiwał, że z niego zasrany koneser sztuki, że się nie zna i nawet gotować nie umie. Że ludzie mu gotują. To prawda?

– Mamo!

– No, co?! Tak mówił!

– Uderzył Janusza! Biedny Janusz, wczoraj też oberwał. Widziałaś jego podbite oko?

– Co ty mówisz? Nie widziałam. To może dlatego Olga skoczyła Ignacowi na plecy.

Pewnie broniła słabszego.

– Jezus Maria! Olga skoczyła na Ignaca? – Pod Ireną ugięły się nogi. – Co tu się działo?!

– Co się działo, co się działo, było tutaj siedzieć!

– Ratowałam twój samochód! Ale Olga? Rano była na dnie rozpaczy!

– Rano to rano – skwitowała lakonicznie matka. – Teraz znowu jest pijana w sztok.

Czy nie uważasz, że ona za dużo pije?

Irenie zrobiło się nieprzyjemnie, ale nic nie powiedziała, słuchała dalszych rewelacji.

– Olga była już nieźle wstawiona, chyba sobie z Januszem popijali. „Brata mojego bijesz?”, tak się darła. I złapała za włosy Ignaca, za włosy...

Rany boskie! Sceny jak z jakiejś meliny! W jej domu! W jej spokojnym wymarzonej wiejskim domu. W samotni, która miała być jej twierdzą. Azylem. Rajem.

Kącik wargi zaczął żyć własnym życiem. Drgał jak u królika, który zwęszył marchewkę.  
– I co dalej? No, mów!  
– Nic. Ignac krzyczał jak szalony, wygrażał wszystkim, nawet Oldze. W końcu poszedł sobie gdzieś. Mikołaj też się włóczy, bo nie wyjechał, jego auto stoi, a Olga z Januszem piją nad stawem.

– Piją?!  
Starsza pani energicznie pokiwała głową.  
– A Regina?  
– Ani razu nie wyszła z domku. Pewnie zobaczyła, że przyjechał Mikołaj. Chciałam do niej zajrzeć wcześniej, ale Ignac mnie nie wpuścił, powiedział, że Renia potrzebuje spokoju i on się nią zajmie. Zaraz do niej pójde.

– Ignac?! Zajmie?! Renią?!  
– Tylko pytasz i pytasz! – zdenerwowała się matka. – Lepiej zrób coś! Bo ja znalazłam to!

Powoli podeszła do szafy, skąd z ponurą miną wyciągnęła koronkowy fatalaszek rodem z sex shopu. Trzymała go w dwóch palcach, jakby miał ją poparzyć, i machnęła nim Irenie przed nosem, mówiąc z mocą:

– Uważam, że kochanka twojej córki jest zepsuta i deprawuje ci dziecko!

Irena marzyła o jednym: żeby ten dzień się wreszcie skończył. Stała na werandzie, bezradnie zaciskając pięści. Z sadu dobiegł ją chrapliwy śmiech. Olga! W tej chwili Irena serdecznie nienawidziła przyjaciółki. A właściwie nienawidziła ich wszystkich: matki, która wyciągała erotyczne gadżety jak króliki z kapelusza, Andrzeja, który lubował się w tych zabawkach, Mikołaja, Reginy...

– A niech ich wszystkich cholera weźmie! – zaklęła pod nosem.

Ruszyła do sadu gotowa rozszarpać pijaną Olgę na strzępy. Znalazła ją siedzącą pod gruszą.

– Chodź do domu!  
– Widziałś Spirosa? – Zaczęła się nieporadnie podnosić.  
– Musiałś się napić, co?!  
Tanta wyprostowała się sztywno.  
– Ja?!  
– A kto?! Ja?!  
– Wiesz, co to jest? Dulszczyzna! Zostaw mnie. No, zooooostaw mnie! – Wpadła w histeryczny ton, a gdy Irena chciała jej pomóc, wyszarpnęła rękę i upadła.

– Ciszej... Chodź do domu...  
– Duuuulszczyzna... duuulszczyzna! Jak ja was nie cierpię...  
Z wzajemnością, pomyślała Irena, gdy pijana przyjaciółka znowu się przewróciła.  
– Zaczekaj tu na mnie. Siedź, bo jeszcze wpadniesz do stawu... A gdzie Janusz?  
Olga zaśmiała się chrapliwie.  
– Szuka jadalnych korzonków... Cha, cha, cha... On jest nienormalny, wiedziałś?  
Niiienormaaalny...

Irena ruszyła do domu, szukając kogoś, kto jej pomoże. Z mężczyznami zawsze tak jest, gdy są potrzebni, to ich nie ma! Przy ognisku siedział Spiros, ale nie chciała angażować cudzoziemca do tak delikatnej i mało przyjemnej sprawy. Jak burza wpadła do gościnnego domku. Została tam tylko matkę i Reginę.

– Gdzie są wszyscy? Ktoś mi musi pomóc zaprowadzić Olgę do pokoju!

Regina poderwała się z miejsca.

– Idę z tobą!

– Renia? Dobrze się czujesz?

Koleżanka, która dopiero co odchodziła od zmysłów z rozpaczy po rozstaniu z Mikołajem, teraz wyglądała jakoś inaczej. Irena patrzyła na nią ze zdumieniem. Zniknęły gdzieś zapłakane oczy, rude włosy nieposkromione żadnym motylkiem opadały na ramiona, a w zielonym spojrzeniu czaiła się jakaś dzikość. Pierwsze, co Irenie przyszło na myśl, to współczucie dla Mikołaja... Uuuuu... Szykuje się odwet, to pewne! Jakby na potwierdzenie jej przypuszczeń Regina uniosła głowę i wycodziła:

– Czuję się... świetnie. No, chodźmy!

Zza jej pleców wychyliła się matka. Jej spojrzenie mówiło wszystko: Nie jest dobrze!

We trzy poszły do starego sadu, gdzie między drzewami zaczynał się czaić mrok.

Starsza pani dreptała z tyłu, próbując dotrzymać kroku energicznej córce. Niestety, Olgi nie było w miejscu, w którym Irena ją zostawiła. Zaczęły nasłuchiwać.

– Tam ktoś jest! – Regina ruszyła pierwsza.

Matka złapała Irenę za bluzkę.

– Daj mi rękę – wysapała. – Muszę odzignąć. Ufff... Ale mi serce wali. To nie na moje nerwy!... Wyjeżdżam! Słyszysz?! Wyjeżdżam!

Irena powstrzymała się od westchnienia „nareszcie”. Podała dłoń matce.

– Weź kilka głębokich wdechów i powoli wypuszczaj powietrze nosem – poradziła.

– Uregulujesz tętno.

– Ufff... Za stara jestem na takie maratony. Malowanie jest prostsze... Ufff... – Matka oddychała ciężko.

Nagle usłyszały przeraźliwy wrzask Reginy.

– AAAAAAAAAA!!!!!!! AAAAAAAAAA!!!!!!! AAAAAAAAAA!!!!!!!

Irena podskoczyła, a matka złapała się za serce. Krzyk przybierał na sile.

– AAAAAAAAAA!!!!!!!

Irena puściła zlodowaciałą drobną dłoń i podbiegła do wrzeszczącej koleżanki.

Przedarła się przez krzewy. Po tym, co zobaczyła, ugięły jej się nogi.

Na ziemi leżał Ignac, ale poznała go tylko po koszuli i krawacie, całą twarz miał we krwi. Obok oparta na łokciach Olga rozpaczliwie próbowała wstać. Jej włosy też były zlepione krwią. Irena patrzyła na Ignaca, na krzyczącą Reginę i doznała uczucia déjà vu.

– Nie! Nie wygłupiajcie się! To już było! Ignac! – Złapała malarza za ramię.

– Wstawaj! To nie jest śmieszne!

– AAAAAA!!!!!!! AAAAAA!!!!!!! AAAAAA!!!!!!!

– Regina, zamknij się!

– AAAAAA!!!!!!! AAAAAA!!!!!!! AAAAAA!!!!!!!

Irena nie wiedziała, co ma robić. Nagle poczuła na swych plecach ciężar. To matka oparła się o nią ciężko, twarz miała białą, a sine usta spazmatycznie łąpały powietrze.

– Co się... co się... stało... Ja...

Starsza pani osunęła się na kolana.

– Irenko... Ja...

– Mamo? Mamo!

– AAAAAA!!!!!!! AAAAAA!!!!!!! AAAAAA!!!!!!!

– Mamo! Pomocy! Karol!... Mikołaj!... Pomocy! Mamo?!... Mamo!!!

## Rozdział 25

Szpital nocą jest smutnym i przerażającym miejscem. Kroki przechodzących pielęgniarek odbijają się echem od ścian w pustych korytarzach. Irena patrzyła na zatroskaną twarz doktora Kołodzieja i próbowała z niej wyczytać to, czego jej nie mówił. A na pewno nie mówił jej wszystkiego, czuła to.

– Zawał opanowaliśmy, ale nie wiemy, jak długo był niedotleniony mózg i jakie będą tego konsekwencje... – powiedział w końcu.

Irena opuściła głowę.

– Mikołaj... Mój przyjaciel reanimował mamę do przyjazdu karetki...

– Na pewno uratował jej życie, ale nie potrafię pani powiedzieć, kiedy mama się wybudzi i na ile będzie sprawna. Dopóki jest nieprzytomna, trudno to ocenić.

Doktor Kołodziej, ordynator kardiologii, osobiście zajął się chorą. Irena cieszyła się, że właśnie on miał dyżur, gdy karetka dowiozła matkę do szpitala. Był prawdziwą sławą i bardzo dobrym człowiekiem.

– Mogę do niej iść?

– Ale tylko na moment. Na kardiologicznej erce nie ma odwiedzin, chyba pani wie...

– Chciałabym ją zobaczyć.

Wyszła z gabinetu lekarza. Na korytarzu stali Karol ze Spirosem, miny mieli poważne.

– Co z Ignacem? – zapytała syna.

Matkę Ireny odwieziono – na wyraźną prośbę córki – do szpitala miejskiego na Starowiejską, pod opiekę doktora Kołodzieja, natomiast Ignacy i Olga zostali zabrani na SOR do szpitala wojewódzkiego. Irena wysłała tam syna, by sprawdził, co się dzieje z przyjaciółmi.

– Z tego, co mówił Mikołaj, wujek Ignacy od razu trafił na salę operacyjną

– relacjonował Karol. – Składają mu nos.

– A co z Olgą?

– Cioci Oli nic nie jest – zapewnił ją szybko Karol.

– Nic? Była cała we krwi, i nic?

– To krew wujka Ignaca...

– Boże! – Irena wzdrygnęła się na wspomnienie krwawych plam. – Dobrze, że Ignacy żyje! To Olgę zaraz wypiszą, pewnie wróci ze wszystkimi?

Za karetkami wiozącymi Olgę i Ignaca pojechali Mikołaj i Janusz, a że Regina odmówiła wspólnej jazdy z wiarołomnym ukochanym, restaurator oddał jej swój samochód. Auto bibliotekarki stało w garażu Ireny, a nikt nie miał głowy do szukania pilota od bramy.

– Co wy tak patrzycie na siebie? Coś jej jednak jest! No mówcie!

Karol i Grek wymieniali się zakłopotanymi spojrzeniami. Spiros dyskretnie odszedł na bok, udając zainteresowanie gablotą z rysunkami medycznymi.

– O co chodzi? – Irena zaniepokoiła się nie na żarty.

Karol objął matkę ramieniem i szepnął jej do ucha:

– Ciocia Ola zrobiła awanturę. Pielęgniarki wezwały ochronę, a gdy przyszli strażnicy, ciocia jeszcze bardziej się wściekła i wywróciła stół z narzędziami.

– Boże!

– No, nie wyglądało to najlepiej... Tym bardziej że mieli tam „leżaka”, napitego

do nieprzytomności bezdomnego. O rany, jak on potwornie śmierdział! Pielęgniarki potraktowały ciocię Olę dosyć obcesowo, ale chyba miały dosyć...

– Pijaków. To chciałeś powiedzieć, prawda? – Irena uśmiechnęła się gorzko. – Olga ma szczęście, że w Siedlcach nie ma izby wytrzeźwień. A może szkoda? Jak raz wylądowałyby w „żłobku” i dostała rachunek za nocleg, może by to nią wstrząsnęło.

– Mikołaj pomógł ją uspokoić. Teraz ciocia Ola leży pod kroplówką...

Rewelacje ze szpitala wojewódzkiego zmartwiły Irenę. Kazała Karolowi poczekać na korytarzu, a sama poszła na erkę.

Stała przy łóżku nieprzytomnej matki. Ależ ona jest drobna i delikatna! Chciała ją wziąć za rękę, ale do palca były przyłączone jakieś kable, a w żyłę nad nadgarstkiem został założony wenflon. Irenie znowu stanęły przed oczyma wydarzenia z sadu.

Krzyk Reginy sprowadził wszystkich. Mikołaj pierwszy zorientował się, że ze starszą panią jest źle, sprawdził jej puls i zaczął masaż serca. Karol zadzwonił po pogotowie, Regina krzyczała, Irena powtarzała w kółko:

– Mamo! Mamo!

Niech ten dzień się skończy...

Nie miała już siły jechać do szpitala do Ignacego. Skoro jest tam Mikołaj, ona na nic się nie przyda. Mikołaj! Niezawodny. Opanowany. Bohater.

Niepotrzebnie tak się na niego złościła.

Była już noc, gdy podjechali pod dom, prowadził Karol. Irena zdziwiła się, że w oknie kuchni widać włączone światło.

– Nie zgasiłam? A może Marzenka przyjechała?!

– Obstawiam, że nie zgasiłaś, bo nie ma auta Marzeny. – Karol rozwiął jej nadzieje.

– Trzeba dogasić ognisko, chodź, Spiros.

Włożyła klucz do zamka, ale drzwi okazały się otwarte. A przecież na pewno je zamykała przed odjazdem! Serce znowu zabiło jej mocniej, Marzenka wiedziała, gdzie chowa zapasowy klucz. Uśmiechnęła się, nareszcie coś dobrego w tym koszmarnym dniu! Już w korytarzu usłyszała odgłos lejącej się wody i zmywanych naczyń.

– Kochanie, to ty? – zawołała i jak na skrzydłach pobiegła do kuchni.

Przy zlewie stał nagi mężczyzna, osłonięty jedynie frywolnym fartuszkim pokojówki, i zmywał naczynia. Widząc Irenę, podniósł do góry dłonie w gumowych rękawiczkach.

– No, jesteś!! – wykrzyknął i rozłożył ręce, prezentując się z każdej strony. – Jak ci się podoba?

Błysnęły blade pośladki w czerwonych stringach.

– Andrzej...?!!!

Ten dzień jednak nie miał końca...

## Rozdział 26

Aspirant Brodzik miała wrażenie, że ktoś jej robi głupi kawał.

– To przecież już było! Ognisko, pijane towarzystwo i ofiara.

Tym razem napadnięty przeżył, ale, oczywiście, nikt nic nie słyszał i nic nie widział.

Zuzanna była wściekła. Czekala teraz na raport techników z oględzin miejsca zdarzenia i przeglądała notatki ze wstępnych przesłuchań. Za godzinę mieli się pojawić świadkowie, żeby złożyć zeznania.

Malarz Ignacy Sokołowski został uderzony tępym narzędziem w głowę. Otrzymał cios, który złamał mu nos i rozciął łuk brwiowy, stąd tyle krwi. Nos i łuk brwiowy to te punkty w twarzy, które podczas bójek należy specjalnie chronić. Krew ofiary mieli na sobie wszyscy, bo razem przynosili nieprzytomnego artystę do domu.

– Ta napaść jest bez sensu! – westchnęła.

– Z reguły wszystkie zbrodnie są bez sensu. – Łukasz się skrzywił. – A dlaczego?

– Pomyśl: do napaści doszło niemal w tym samym miejscu i gronie, co poprzednim razem. Jeśli to ktoś z nich... Nie, to by było bez sensu... Co się tak patrzysz?

– Ja?

– Chodzi ci o to, że morderca czuje się bezkarny? I robi się bezczelny? Tak?

– Ja nic nie mówię. – Łukasz uniósł ręce obronnym gestem.

– Ale patrzysz!

– Jak poszło spotkanie z Szatanem? – Wyraźnie chciał zmienić temat.

Nie mógł gorzej trafić.

– Chyba nie wypoczął na urlopie. – Zuzanna zazgrzytała zębami.

– Aha. Nie był miły – domyślił się kolega.

– Niemiły to za mało powiedziane. Upokorzył mnie... Nazwał Sherlockiem. I czemu się głupio śmiejesz?

– Jak chcesz, mogę być twoim Watsonem, Sherlocku.

Zrobił unik, gdy rzuciła w niego długopisem. Jej nie było do śmiechu. Stała ze śledztwem w miejscu, nie miała jeszcze analizy od kryminalnych, a w szpitalu znalazła się kolejna ofiara. Czyżby morderca rzeczywiście robił się coraz bardziej bezczelny? Zdaniem prokuratora Szatana zabójcą był Karol Wilk.

– Niewiele jest tu informacji o rodzeństwie – wściekał się na wczorajszym spotkaniu.

– Mogą działać razem, ale to on znajdował się na miejscu zbrodni. Nie ma żadnych śladów ani dowodów, że jego siostra tam była.

– Ale to ona się kontaktowała z Patejukiem. – Zuzanna broniła swojej teorii.

– To, że przyjechała w dniu zabójstwa do Polski, o niczym nie świadczy. – Wpadł jej w słowo. – Rozmawiała z Patejukiem, ale skąd wiesz, czy brat nie rozmawiał z telefonu na kartę? Postaraj się bardziej. Nawet nie sprawdziłaś, co tak naprawdę robi Karol Wilk, gdzie bywa, z kim się spotyka. Oczekuję, że bardziej się przyłożysz do pracy, Sherlocku.

Przed wyjazdem na urlop mówił do niej per „pani”, teraz gładko i kąśliwie przeszedł na ty. „Sherlocku”!

Upokorzona Zuzanna zacisnęła zęby. Już ona mu pokaże! Znajdzie mordercę i poda mu go na tacy!

„Sherlocku”! Też coś!

Cham!



## Rozdział 27

Irena siedziała z podkulonymi nogami na łóżku. W domu było cicho, wszyscy spali albo po prostu nie wyszli jeszcze ze swoich sypialni. Jej, pozał się Boże, kochanek syczał, stojąc przy oknie:

– Kaśka wyszła, Mańka przyszła, Mańka wyszła, Kaśka przyszła. Tak jest u ciebie! To ma być ta sielska wieś? I to teraz, właśnie kiedy przyjechałem???

Andrzej nie mógł jej darować wczorajszych chwil grozy: on ją wita, jak go Pan Bóg stworzył, a ona, zamiast rzucać się mu w ramiona, siłą wypycha z kuchni, krzycząc, że zaraz wejdą tu obcy ludzie! Nie tak sobie wyobrażał powitanie. W popłochu ukrył się w jej sypialni, a roztrzęsiona Irena zaczęła zmywać naczynia, mimo że talerze wyslizgiwały jej się z rąk. Gdy Karol i Spiros weszli do kuchni, ogłosiła zbolalym głosem, że musi się położyć po wyjątkowo wstrząsających wydarzeniach dnia. Zakręciła kran i pobięła na górę.

Andrzej biegał w panice po pokoju, zbierając z podłogi ubranie. Zrzucił frywolny fartuszek, a za każdym razem, gdy się schylił po jakąś część garderoby, wypinał chude pośladki.

– Musiałeś się rozbierać? – Wściekła Irena piorunowała go wzrokiem. Na samą myśl, że Karol ze Spirosem mogli zobaczyć gołego Andrzeja, robiło jej się słabo.

– Musiałaś spraszać tylu ludzi? – Bronił się, wciągając spodnie. – Chciałem ci zrobić niespodziankę! Zostawiłaś straszny bałagan. Zmywałem!

– Nago?!

– W fartuchu, do cholery! I w rękawicach!

– Ciszej!

– Przecież krzyczę szeptem! W co ty mnie wplątałaś?!

– Wplątałam?! – Wszystko się w niej gotowało z oburzenia. – Mogłeś zadzwonić, że przyjeżdżasz. W jakim świetle stawiasz mnie przed dzieckiem?! Goły facet w stringach przy zlewie!

– W fartuchu, moja droga, w fartuchu!

– Wiem, wiem, i w rękawicach!

Patrzyli na siebie, jak gdyby zaraz mieli sobie skoczyć do gardeł. Andrzej ze złością zapiął ostatni guzik koszuli i zaczął wiązać krawat. Włożył garnitur i usiadł sztywno w fotelu koło łóżka. Irena popukała się palcem w czoło.

– Do rana w garniturze będziesz siedział? Przecież teraz w nocy nie wezwiesz kierowcy przy tylu ludziach. A zaręczam, że nie zasną szybko po tych wydarzeniach.

– Jakich wydarzeniach?

– Rozbieraj się, wszystko ci opowiem.

– O, nie! W garniturze czuję się bezpieczniej.

– A jak sobie chcesz! – Irena przebrała się w piżamę za drzwiami szafy i z irytacją zgasiła światło.

Położyła się z postanowieniem, że nie będzie się przejmować nadąsanym Andrzejem. W nocnej ciszy usłyszała nagle dziwny nieznanym dźwięk, coś jakby chrobotanie.

– Słyszysz? – Usiadła gwałtownie. – Co to?!

– Otwórz szufladę – mruknął niechętnie pan poseł.

Szarpnęła za rączkę szuflady nocnego stolika, a wtedy ciemność rozświetlił

fosforyzujący fioletowy blask, drgający razem z silikonowym gadżetem.

– Fluorescencyjny wibrator???

– I kulki do kompletu. Z Chin przywiozłem – poinformował ją ponuro kochanek.

Irena zbaraniała; patrzyła bez słowa na świecący galaretowaty penis, a po chwili schowała twarz w dłoniach i zaczęła się śmiać. Obrażony Andrzej ostentacyjnie wyłączył mechanizm erotycznej zabawki i stanął przy oknie.

– Wyglądasz jak pomnik męczeństwa. Chodź tu do mnie. – Uchyliła kołdrę.

Andrzej usiadł sztywno na łóżku.

– Położę się, ale w garniturze – zastrzegł się szybko. – Przecież nie wiem, czy nie będę musiał uciekać przez okno – dodał złośliwie.

Irena westchnęła.

– I to najlepszy dowód, że się starzejemy. Parę lat temu taki skok przez okno zapewne bardzo by cię kręcił.

– Kochana, jestem parlamentarzystą! – przypomniał jej z urazą.

– Jasne. Już jeden taki skakał przez mur, nie przejmuj się, kariera mu przez to ruszyła.

– Posuń się. – Andrzej wyciągnął się sztywno na łóżku.

Zrobiła mu miejsce i przytuliła się. Widziała na tle okna jego profil, wydatny nos i łysiejące czoło. Leżał na wznak z dłońmi splecionymi na brzuchu.

– Wyglądasz jak na własnym pogrzebie.

– Opowiadaj, co tu się dzieje. – Westchnął z rezygnacją.

Opowiedziała. W efekcie Andrzej do rana nie zmrużył oka, leżąc sztywno niczym nieboszczyk, któremu do kompletu brakuje tylko gromnicy. Wpatrywał się żałośnie w sufit, jakby oglądał na nim film ukazujący przebieg jego świetlanej (dotychczas) politycznej kariery. Oto wdepnął w sam środek afery. Morderstwo, napad, pijackie ekscesy, gromada ludzi, wizyty policji... Jak on się z tego wywinie?

Rano stało się oczywiste, że o dyskretnym wyjeździe posła nie ma mowy, bo za dużo ludzi kręci się po domu i na podwórzu.

– Więcej ich matka nie miała?! – Wściekał się, stojąc za firanką. – Skąd ich tu tyle? Jak przyjechałem, twój dom wyglądał na zupełnie pusty.

Dobrze po północy wrócili Mikołaj z Januszem, a o świcie dojechały Regina z Olgą. Irena patrzyła na ich samochody przed domem, myśląc, że to prawdziwy pech. Gdyby Olga nie rozbiła swojej toyoty i Karol nie odholował wozu do warsztatu... Gdyby w „cytrynce” matki nie zepsuł się przewód paliwowy... Gdyby nie wprowadzili auta Reginy do garażu, bo przeszkadzało, a nie zanosilo się, że biedaczka szybko dojdzie do siebie... Andrzej – jakże czuły w kwestii dyskrecji – zapewne nawet by nie wjechał na podwórze, widząc stojące samochody...

– Bo też musiałeś trafić na taki moment! – Skrzywiła się. – Idę zrobić śniadanie. Spróbuję tak wszystkim wyznaczyć zadania, żeby sobie gdzieś poszli, a wtedy wezwiesz „kaptiowego”. Przecież ja też muszę jechać do szpitala do matki!

Andrzeja zawsze przywoził zaufany asystent, który potem czekał na wezwanie w hotelu Janusz. Pełnił funkcję sekretarza, kierowcy, ochroniarza, ale Irena nie lubiła go i nazywała „kaptiowym”. Według niej miał lisie oczka i charakter hieny, pasował do polityki i na pewno kiedyś zrobi karierę.

Zeszła do kuchni i zaczęła hałasować garnkami. Z impetem trzasnęła patelnią o kuchenkę, stuknęła w stół, ustawiając kubki. Liczyła, że te sygnały ściągną towarzystwo na śniadanie. Pierwszy pojawił się Mikołaj, zaraz za nim Janusz, potem Karol.

– Lolek, zawołaj Olgę i Reginę. A Spiros nie będzie jadł?

– Jeszcze śpi, za dużo miał atrakcji. – Karol spojrział wymownie na matkę. Skwiercząca jajecznica na boczku wylądowała na talerzach w momencie, gdy w kuchni pojawiła się Regina. Z czubka jej głowy sterczał wściekle różowy upiorny motylek. Irena natychmiast pożałowała, że przywiozła przyjaciółce jej ulubione spinki do włosów. Każdy dobry uczynek się mści!

– Olga przyjdzie później – ogłosiła tamta, wchodząc. Omijała wzrokiem Mikołaja. Irena przystąpiła do rozdzielania obowiązków.

– Karol, pojedziesz ze Spirosem do warsztatu i odbierzesz garbusa babci. Może weźmiecie Olę? Niech się zajmie toyotą i ustali z panem Maćkiem zakres napraw. Janusz...

– Ja muszę jechać do Warszawy. Ruszam zaraz po śniadaniu. Muszę jeszcze wpaść na komisariat i złożyć zeznania.

– I ja zaraz jadę. – Mikołaj patrzył w talerz. – I też muszę złożyć zeznania.

– Jak my wszyscy – mruknęła Irena. – Co ta policjantka sobie wyobraża, że to ktoś z nas?

– Pewne wyskoczy z rewelacją, że to Marzena gdzieś się zaczęła i rąbnęła wujka Ignacego – prychnął Karol.

– Lolek! To nie jest śmieszne – zgromiła go matka. – Ale, właśnie! Teraz zobaczy, jakie głupie były jej podejrzenia. Marzenki nie ma, a trup... o, przepraszam, Ignacy żyje...

– Wtedy też Marzeny nie było.

– Coś ty się tak uwziął! Przynajmniej nie gadaj tych głupot w komisariacie! O której macie być na przesłuchaniu?

– Pojedziemy ze Spirosem, jak tylko wrócimy z warsztatu.

Irena zaczęła nerwowo zbierać ze stołu naczynia. Mikołaj ze zdziwieniem i pewną tęsknotą patrzył za oddalającymi się resztkami jajecznicy, zazwyczaj czyścił jeszcze talerz kromką chleba. Zakłopotany wsunął do ust suchą piętękę. Nie protestował, bo we wzroku Ireny było coś, co tłumilo w zarodku wszelkie pretensje.

– Wracasz do domu, Mikołaj? – Nawet nie zauważyła jego konsternacji.

Zerknął szybko na Karola i lekceważąco machnął ręką.

– Nie... takie tam sprawy będę załatwiał. Nie ma o czym mówić...

– Mikołaj... – Irena odstawiła talerze do zlewu i podeszła do krzesła, na którym siedział. Położyła mu dłonie na ramionach i pocałowała go w czubek głowy. – Bardzo ci dziękuję za wczoraj. Gdyby nie ty...

– Przystań. Pierwszą pomoc mam w małym palcu, jak chcesz, zrobię ci specjalny kurs.

Roześmiał się, żeby ukryć skrępowanie. Irena spojrzała na Reginę i szybko cofnęła dłonie z ramion Mikołaja. Przyjaciółka zacisnęła usta w wąską kreskę, a wściekły motyl wyglądał jak myśliwiec szykujący się do ataku.

– A ja jadę do Ignacego! – Regina powiedziała to tak, jakby chciała zganić ich wszystkich za to, że rozmawiają sobie spokojnie, podczas gdy malarz leży w szpitalu samotny, nieprzytomny, być może umierający. – Nie umiem otworzyć tego twojego garażu, ktoś musi wyprowadzić mój samochód. Karol, mógłbyś?

– Jasne, ciociu.

Śniadanie dobiegło końca.

Wyekspediowanie Olgi okazało się trudne. Właściwie niemożliwe. Przyjaciółka naciągnęła koldrę na głowę i wysunęła tylko dłoń z wyprostowanym środkowym palcem. Irena zatrzęsała się z oburzenia.

- Jeszcze jesteś pijana?!
- Pijana, pijana! Co ty z tym „pijana”?! Płyta ci się zacięła? Nie byłam pijana, tylko się zatrułam – dobiegło spod kołdry urażone tłumaczenie.
- Niby czym?
- Alkoholem. Ja po prostu cały dzień nic nie jadłam, więc jak Janusz mnie poczęstował nalewką, to... No, zaszkodziła mi. To było zatrucie! Nawet w szpitalu podali mi kroplówkę.
- Kroplówkę podają pijakom, którzy mają za dużo promili. Nie rób z siebie ofiary.
- Nie mów o mnie „pijak”?! – Olga usiadła.

Wyglądała okropnie, to znaczy dziś wyglądała na swoje czterdzieści kilka lat. Irena bojowo oparła ręce na biodrach.

– Chyba umknęło ci, co powiedziałam wczoraj... Możesz u mnie mieszkać pod warunkiem, że nie tkniesz alkoholu, ale ty...

– Tknęłam! I co takiego się stało, że tknęłam?! Janusz chciał się napić, co mu miałam powiedzieć? Czego ty ode mnie chcesz?!

– Żebyś wyjechała. – Irena powiedziała to zimno, ze złością.

– Wyjadę! Jak tylko sprowadzicie mój samochód i jak tylko przestanę być „pijana”

– zaskrzeczała Olga, naśladowując jej ton. – Wyjechałabym natychmiast, ale, jak wiesz, nie stać mnie na taksówkę, bo muszę płacić ojcu alimenty.

Irena poczuła się, jakby otrzymała uderzenie w policzek, od razu dopadło ją poczucie winy. No, tak... przyjaciółka przeżywa prawdziwy dramat, ma wielkie kłopoty, a ona, zamiast pomóc, wspierać, każe jej się wynosić.

Co się ze mną dzieje?!

Wszystko przez Andrzeja! Nie miał kiedy przyjechać! Siedzi teraz w jej pokoju jak na rozgrzanych węglach, a ona wbija nóż w serce przyjaciółki, by chronić jego chudy tyłek! Poczula, że ma wszystkiego serdecznie dość. Przecież powinna jeszcze pojechać do szpitala, do matki.

– Przepraszam.

Olga natychmiast rzuciła się na łóżko i znowu nakryła kołdrą po czubek głowy, a Irena wyszła na podwórze z poczuciem, że nawaliła na każdej linii.

Zawiodła najbliższych jej ludzi. Jeśli córka nie była z nią szczerą i ukrywała swój przyjazd, to pewnie nie miała już takiego zaufania do matki jak kiedyś... Skoro Mikołaj ukrywał romans z Regimą, to też musiało się stać coś, co nie pozwoliło mu wyjawic swoich zamiarów... Jej matka nic nie wspominała o kłopotach z sercem, ale przecież ona, córka, powinna o tym wiedzieć, zauważyć, że coś jest nie tak... Nie widziała, nie pytała... Od kiedy matka choruje? A może jej przyjazd nie był przypadkowy? Może chciała o czymś porozmawiać?... Z Januszem też się coś dzieje niedobrego, a ona nie znalazła dla niego czasu... Podobnie jak dla Olgi.

Czuła się tak podle, że zanim wróciła do domu, oparła głowę o framugę drzwi i wzięła kilka głębokich wdechów.

Dom opustoszał.

– Nareszcie! – syknął Andrzej, gdy weszła do sypialni.

Nerwowo uchylił firankę i wyjrzał na podwórze.

– Kiedy jest bardzo źle, czas staje w miejscu. Dziwna sprawa.

– Za to mój czas galopuje. – Przyłożyła palce do skroni, bo głowa jej pękała.

– Nie było cię wieki! Przez moment myślałem, że spotkałaś tam kogoś bardziej seksownego. – Andrzej doskoczył do niej jednym susem i zaczął ją namiętnie całować.

– To co? – mruknął jej do ucha. – Może chociaż jeden numer przed odjazdem?

Odepchnęła go ze złością.

- Daj spokój! Całą noc przeleżałeś jak nieboszczyk, a teraz numerek, tak?
- Bo dookoła byli ludzie. To mnie deprymowało! – Wymownie zmarszczył brwi. – Ale teraz jesteśmy sami... – Znowu zaczął ją całować, błyskawicznie zsunął ręce na jej pośladki i prowokacyjnie uszczypnął.
- Andrzej!
- No, co?! Przeżyłem, nie rób takiej zawiedzionej miny.
- Daj spokój, nie mogę. Nie teraz! – Wywinęła się z jego objęć.
- Przecież tyle czasu się nie widzieliśmy! Mogłabyś przyjąć taktykę angielskiej lady, spełniającej obowiązek małżeński.
- To znaczy?
- Zamknąć oczy, zacisnąć zęby i myśleć o ojczyźnie. – Roześmiał się. – W końcu kochasz się z wielkim patriotą.
- Czy ty nie rozumiesz, że w tej chwili nie mam ochoty na seks?
- No, wiesz?! Nawet ze mną?! Jeśli tylko trochę się postarasz, ujrzysz mój seksapil i znowu nie będziesz się mu mogła oprzeć... To co? Zrzucamy gatki?

Nie czekając na odpowiedź, zaczął ściągać spodnie.

- Andrzej!
- Czy ty trochę mną pomiatasz, czy jesteś, nie daj Boże, szczerą? – Zamarł z opuszczonymi spodniami. – Szczere kobiety mnie peszą.
- Jestem szczerą do bólu. Muszę zaraz jechać do szpitala, a potem do komisariatu, złożyć zeznanie. Dzwonź po kierowcę.

Słowo „zeznanie” zrobiło swoje. Andrzej błyskawicznie wciągnął spodnie i z nadąsaną miną zadzwonił po „kaptiowego”.

- Nie wiem, co ty tu wyprawiasz, ale nie podoba mi się to wszystko – stwierdził kategorycznie. – A ja z tak daleka wiozłem dla ciebie prezent!

Na wspomnienie fosforyzującego wibratora Irena tylko westchnęła. On się nigdy nie zmieni!

Stała przy oknie odwrócona plecami do Andrzeja. Usłyszała, że podszedł, i poczuła, jak coś chłodnego delikatnie dotyka jej karku. Andrzej przyłożył do jej szyi sznur drobnych pereł i przez chwilę mocował się z zapięciem.

- Wiem, jak je lubisz. – Pocałował ją tuż przy uchu. – Będą pasowały do tych poprzednich.

Ze wzruszeniem dotknęła naszyjnika. Andrzej patrzył na nią czule, bez pajacowania i głupich pretensji.

- I znowu będę tęsknił – westchnął, przytulając ją.

Irena miała ochotę się rozplakać. Zamknęła oczy.

- Wiesz, że nie mogę z tobą pojechać do szpitala, do mamy... – szepnął.

– Chciałbym być przy tobie w takich chwilach.

Dopiero teraz objęła go i oddała mu uścisk.

- Jesteśmy jak para starych, pasujących do siebie pantofli – wymamrotał w jej włosy.
- Straszne! – przytaknęła.
- To może jednak szybki numerek? Żartowałem! – wrzasnął, gdy zdzieliła go pięścią w pierś, ale śmiał się jak młody chłopak. – Wiesz, spróbować zawsze warto.

Poczuła ulgę, kiedy na podwórzu wjechało auto. Miała nadzieję, że Olga śpi, Andrzejowi nawet nie mówiła, że w domku dla gości schowała się przed światem alkoholiczka na kacu. Niepotrzebnie by się denerwował.

Przy „kapciowym” kochanek pożegnał się z nią sztywno, z oficjalną miną. Gdy już odjechał, Irena odetchnęła głośno. Nareszcie!

Napięcie powoli ustępowało. Sprzątała kuchnię, rozmyślając o ostatnich wydarzeniach i o tym, co ma jeszcze dziś do zrobienia. Musi pojechać na komisariat i złożyć zeznania, odwiedzić w szpitalu matkę, a potem Ignacego. No i porozmawiać z Olgą. Dobrze, że teraz zostały same, może będzie łatwiej.

Po odjeździe Andrzeja czuła przeogromną ulgę. To cud, że w domu pełnym ludzi nikt go nie widział! Cud! Zwłaszcza wczorajszej nocy, gdy powitał ją odziany jedynie w fartuszek pokojówki. Zachciało jej się śmiać. Ależ uciekał z kuchni, jego nagie pośladki tylko błyskały w ciemnym korytarzu, gdy biegł w panice do sypialni.

– Kim był ten facet?

– O Boże! – Irena położyła dłoń na sercu. W drzwiach kuchni, oparta o futrynę, stała Olga. Skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła kpiąco. Była uczesana, miała makijaż i już nie wyglądała jak czupiradło. – Ale mnie przestraszyłaś!

– Skądś go znam.

– Znajomy. – Myślała gorączkowo, jak by tu szybko zmienić temat. – A...! Twój Sebastian chciał mnie pobić! Uważaj na tego faceta, on jest niebezpieczny.

– O czym ty mówisz?

– Dusił mnie! Wyglądał strasznie: nieogolony, w przepoconej koszulce, w jakichś poplamionych dzinsach. Co się z nim dzieje? Zawsze jest przecież taki wymuskany, aż do przesady.

Olga usiadła z wrażenia.

– Pewnie wracał z windykacji. Zawsze się wtedy nakręca. Wkłada stare ciuchy, bierze służbowego gruchota z dorabianą klapą bagażnika, żeby tylko wyglądać jak ktoś bez kasy.

– Tłumaczysz go? Olga!

– Nie tłumaczę, zaskoczyłaś mnie.

– Pytał, gdzie jesteś. Powiedział, że i tak cię znajdzie, więc lepiej uważaj. Był brutalny i wściekły.

– Ostatnio zrobił się strasznie zazdrosny. – Olga się skrzywiła. – Trudno się go pozbyć, miałam nawet wrażenie, że mnie śledzi... Już ja z nim pogadam!

Irena zmarszczyła brwi.

– Sebastian jeździ samochodem z dorabianym bagażnikiem? Może czarnym z ceglastą klapą?

– Tak. Z taką, co wygląda, jakby dopiero miała być lakierowana.

– I uważasz, że cię śledzi... – Irena ściągnęła brwi. – Chodź ze mną! Wczoraj w łasku stał taki samochód.

Po kilku minutach szybkiego marszu wyszły na asfaltową drogę. Auta nie było.

– Olga, a właściwie co się wydarzyło wczoraj w tym sadzie? Pamiętasz coś?

– Nie bardzo.

Olga nie patrzyła na nią. Nagle skrzywiła się, jak do płaczu.

– Ira... Czy to ja tak załatwiłam Ignacego?

– Wątpię. Nie rób takiej nieszczęśliwej miny, Ignaca wyróżnił ktoś z potężną siłą, a ty nie mogłaś się utrzymać na nogach.

– Bo się zatrulałam, mówiłam ci.

Irena powstrzymała się od złośliwego komentarza.

- Jak zwał, tak zwał, Olga... Czy Sebastian mógłby z zazdrości kogoś zaatakować?
- Jak to?!
- Wieczorem stał tu samochód, a twój kochanek cię szukał. Może policja powinna o tym wiedzieć, nie uważasz?

Olga objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło jej się zimno. Czy Seba byłby zdolny kogoś pobić? Tak, była tego pewna. Spojrzała bezradnie na Irenę i dostrzegła w jej wzroku, że myśla o tym samym. Czy Sebastian śledził Olgę na pamiętnym ognisku, gdy zabito tamtego nieznanego chłopaka?

- Irka, jedźmy na policję.

## Rozdział 28

Mikołaj złożył dosyć oszczędne zeznanie, a teraz przez całą drogę myślał o tym, co powiedział. Jechał pustą nadbużańską szosą, mrużąc oczy w pełnym słońcu. W końcu wybrał się do ekowioski.

Było mu żal młodej policjantki z komisariatu w Mordach, która sprawiała wrażenie dosyć zdesperowanej. Nie miała łatwego zadania, a on jej niczego nie ułatwił. Nie wyjawiał, co naprawdę o tym myśli.

Wczorajsza napaść na Ignaca utwierdziła go w przekonaniu, że mógł to zrobić ktoś z ich grona. Wygląda na to, że zabójstwa też dokonał ktoś z nich. Irenę i jej matkę wykluczył od razu. Po namyśle skreślił też z listy podejrzanych Reginę i Spirosa. Zostali: Karol, Janusz i Olga. Po zastanowieniu dołączył jeszcze Marzenę, bo to, że jej nie ma, wcale nie oznaczało, że naprawdę była gdzieś daleko. Znała tę okolicę jak własną kieszeń i bez problemu mogła się poruszać niezauważona. Jeśli Karol był w coś zamieszany, to istniało duże prawdopodobieństwo, że ona też.

Janusz? Ostatnio zachowuje się irracjonalnie i sprawia wrażenie zdolnego do wszystkiego, do każdego szaleństwa.

Właśnie! Szaleństwo! Tego słowa mu brakowało!

Janusz jakby nie był sobą. Ale żeby miał kogoś zabić?...

A Olga? Nie, chyba nie... Najbardziej podejrzany wydawał się więc Karol.

– Szlag! – Mikołaj ze złością uderzył parę razy w kierownicę.

Chłopak przyjechał do Polski pod pozorem nakręcenia reportażu o przemyśle zwierząt. Jego obecność na punktach granicznych była więc uzasadniona, podobnie jak pytania zadawane celnikom. Bartnicki twierdził, że to idealna przykrywka do przeprowadzenia większej akcji, bo pod latarnią zawsze bywa najciemniej. Ale jakiej akcji? Czemu Karol pytał o jadowite zwierzęta? Jeśli byłby zamieszany w przemyt, czy zwracałby na nie uwagę?

Pod warunkiem że przerzutu dokonuje się inną drogą. Ale jeśli ktoś miałby sobie poradzić z przewozem niebezpiecznych zwierząt, to na pewno Karol. Niestety.

Pytał o farmy śmierci. Mikołaj nigdy o nich nie słyszał, ale nie miał wątpliwości, że mogą takie istnieć.

W Polsce na pewno ich nie ma, więc dlaczego mówił o nich w Terespolu?

By uzasadnić pytania o jadowite zwierzęta, proste! A czemu pytał? Chciał oddalić od siebie ewentualne podejrzenia?

A może chciał się zorientować, czy celnicy nie wpadli na trop przemytu? Mikołaj zacisnął zęby, wszystko zaczęło się logicznie układać.

Nie mógł jednak uwierzyć, by Karol był zdolny do morderstwa.

Karol?!

Przecież go wychował, był dla chłopaka prawie jak ojciec. Mikołaj poczuł dojmujący ból w piersi. Ten Karol, którego znał, nigdy nikogo by nie skrzywdził. No, chyba że ktoś chciałby skrzywdzić Marzenę...

Co miał teraz zrobić? Zapytać wprost: „Karol, zabiłeś tamtego chłopaka?”. Idiotyczne. Dlaczego ten nieznajomy młody mężczyzna zginął na podwórku Ireny? I dlaczego teraz próbowano zabić Ignaca?

Może malarz przypadkiem coś zobaczył albo usłyszał?



Mikołaj czuł, że robi mu się coraz większy mętlik w głowie. Miał nadzieję, że uda mu się czegoś dowiedzieć w ekowiosce, o której mówił Bartnicki. Na wspomnienie przyjaciela zupełnie stracił humor. Poczuł się osamotniony.

Wyprostował plecy; po nieprzespanej nocy czuł ból w krzyżu, a niewesołe myśli niemal wgniotły go w fotel kierowcy.

Starość, cholera jasna.

Pomyślał o Irenie. Zostawił ją samą w trudnej chwili. Po traumatycznych nocnych wydarzeniach w końcu zaczęła z nim normalnie rozmawiać. Domyślał się, że chciała być lojalna wobec Reginy i dlatego okazywała mu chłód.

Regina... Głupio wyszło.

Nic nie pamiętał z tamtej nocy, był zalany w trupa!

Oj, nie miał ostatnio farta.

Adres wioski ekologicznej Dar Ziemi znalazł w internecie. Miała swoją stronę i bogatą ofertę wszelakiej maści warsztatów: od lepienia garnków poprzez tajniki zielarstwa do nauki podstaw stolarki.

Gdy przyjechał na miejsce, ekowioska zaskoczyła go swoim wyglądem. Spodziewał się, że zastanie tu skromne gospodarstwa nastawione na produkcję ekologicznej żywności, tymczasem zobaczył komercyjny skansen. Domy z bali pokryto nowoczesną niepalną strzechą, droższą od tradycyjnego dachu. Na podwórzach stały studnie z ozdobnymi żurawiami, a wiklinowe płoty, bardzo modne i efektowne, oddzielały wypielęgowane ogrody. Miał wrażenie, że znalazł się na planie filmu Disneya i za chwilę z najbliższego wiklinowego ogrodu wyjdzie siedmiu krasnoludków, a królewna Śnieżka pobiegnie za nimi z kanapkami.

Zatrzymał się na wysypanym piaskiem parkingu przy bramie.

„Zostaw tu auto. Dalej możesz iść pieszo lub jechać rowerem. Zapraszamy” – głosił napis wypalony na drewnianej tablicy.

Obok znajdował się stojak z rowerami i ogromny plan wioski. Mikołaj zaczął go uważnie studiować. Małe rysunekki przedstawiały tutejsze atrakcje. Garnek oznaczał miejsce warsztatów ceramicznych; młotek i piła – zajęcia stolarskie i ciesielskie; roślinki – zielarstwo; koza – wytwarzanie serów; mały domek – sklep ekologiczny (a jakże, zapewne z cenami z kosmosu!), namiot – pole biwakowe. Był też hotel i zagroda ze zwierzętami.

– A to co?

Z uwagą przyglądał się krzywej kreseczce przypominającej wydłużony przecinek.

– Centrum hirudoterapii? Hodowla pijawek? Ciekawe...

Obok tablicy z mapą wioski stała drewniana prymitywna rzeźba zafrasowanego świętka z krzykliwym napisem: „Jesteś zmęczony cywilizacją? Dobrze trafiłeś. Zapraszamy!”.

Mikołaj ruszył przed siebie. Na jednym z podwórek pielila grządki młoda kobieta, na jej plecach spało niemowlę omotane chustą. Uśmiechnęła się, odprowadzając go wzrokiem. Było ciepło, sielankowo, a wiejską ciszę przerywał od czasu do czasu odgłos wbijania gwoździ.

Mikołaj poszedł w stronę, skąd dobiegało stukanie, i dotarł do placu, na którym kilku mężczyzn mocowało się z drewnianą konstrukcją. Dowodził nimi korpulentny brodacz stojący na zydelku. Miał siwe, nieco przydługie włosy i był ubrany w luźną płócienną koszulę niebezpiecznie opiętą na wystającym brzuchu. Przypominał trochę pańszczyźnianego chłopca z ilustracji w starych książkach. Gdy zobaczył Mikołaja, zeskoczył ciężko ze stołeczka.

– To ty! – niechętnie powitał gościa.

Stał przed Mikołajem niczym szeryf: na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach.

– To ty! – zrewanżował się Mikołaj, przyjmując podobną pozycję rewolwerowca.

Mierzyli się wzrokiem. Gdy się widzieli ostatni raz, podobnie stali na wprost siebie, po dwóch stronach barykady. Brodacz protestował z grupą ekologów przeciwko budowie ośrodka wczasowego na terenie przylegającym do rezerwatu przyrody, a Mikołaj z niesmakiem odżegnywał się od protestu, bo okazało się, że akcja była inspirowana przez innego inwestora, mającego chrapkę na atrakcyjny kawałek gruntu. Do dziś nie wiadomo było, który z aktywistów wziął grube pieniądze za rozkręcenie rozróby pod szyldem organizacji ekologicznych, choć podejrzenia padały na Paragrafa. Mikołaj obiecał sobie wówczas, że to koniec wspólnych akcji, wybrał dolę samotnego wilka, o co miało do niego pretensje wielu starych przyjaciół.

Mężczyźni na placu przestali pracować, przyglądali się niememu pojedynkowi.

– Czego chcesz? – Na spalonej słońcem twarzy brodacza malował się grymas wyższości.

– Szukam Paragrafa.

– Phi! – Brodacz wzruszył ramionami. – Wszyscy go szukają. Tu go nie ma.

Mikołaj rozejrzał się ciekawie.

– Hmm... Jeszcze nie widziałem ekologii w wydaniu biznesowym.

– Chodź, oprowadzę cię – zaproponował szybko brodacz. – Coś cię szczególnie interesuje?

– Wszystko.

– Zapraszam.

Mikołaj pomyślał, że jeśli raz jeszcze usłyszy lub przeczyta słowo „zapraszam”, po prostu eksploduje.

– Na początek pójdziemy do sołtysa.

– Sołtys? Myślałem, że macie jakiegoś guru, kacyka, a tu proszę, po prostu sołtys.

– Nie kpij. Nie jesteśmy jakimiś świrami.

To samo Mikołaj usłyszał w schludnej chacie oznaczonej czerwoną urzędową tabliczką „Sołtys”. Znajdowali się w pokoju przypominającym biuro.

– Nie jesteśmy dziwakami – mówił sztywny elegancik w okularach, piastujący zaszczytny tytuł przewodniczącego ekowioski.

On dla odmiany nie miał w sobie nic z pańszczyźnianego chłopca, bardziej przypominał harcerza w krótkich spodenkach i koszulce khaki. Cały czas kontrolował coś na ekranie komputera, starając się jednocześnie rozmawiać z przybyłymi.

– Podejmujemy świadome wybory i chcemy, żeby je szanowano, tak jak my szanujemy wybory innych. – Wyklepał beznamiętnie formułkę, którą pewnie powtarzał turystom każdego dnia. – Chce pan zwiedzić wioskę czy zatrzymać się na dłużej?

– Mikołaj jest znanym fotografem i obrońcą praw zwierząt. Znamy się od lat.

– Brodacz przedstawił gościa.

– Obrońca praw zwierząt? U nas? – Okularnik wyglądał na zdumionego. – Przecież my zwierząt nie jemy, nie zabijamy, szanujemy każdy przejaw życia.

Brodacz gorliwie przytakiwał.

– Unikamy wszystkiego, co szkodliwe, a co stworzyła cywilizacja, zwłaszcza miejska – podkreślił.

Mikołaj nie mógł uwierzyć, że karmią go takimi frazesami. Wskazał dwa monitory

stojące na szerokim biurku.

– Myślałem, że nie używacie prądu.

Sołtys w skautowskim wdzianku uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Energia odnawialna. Mamy swój wiatrak pod lasem, a z naszego prądu mogłyby jeszcze korzystać okoliczne wioski. Ale nie chcą, trudno.

Odwrocił jeden z monitorów tak, aby Mikołaj mógł zobaczyć, że ekran jest podzielony na sektory. W każdym widać było inny fragment wioski.

– Monitoring? W wiosce ekologicznej?

– Jesteśmy nowoczesni. – Sołtys wzruszył ramionami.

– No i czar przysł.

– A niby dlaczego? Mamy ofertę dla ludzi na różnym etapie świadomości ekologicznej. O, proszę spojrzeć. – Wskazał na jedno z okienek. – Japończycy. Niby naszpikowani elektroniką, a wybrali wariant ortodoksyjny!

Na ekranie widać było grupkę turystów wchodzącą do jakiejś zagrody. Brodacz nagle się zaniepokoił.

– Czy to dobry pomysł? Nie wytrzymają turnusu. – Wypuścił powietrze przez zęby.

Sołtys udawał, że go nie słyszy.

– Wariant ortodoksyjny, zwany u nas zakonnym – tłumaczył beznamiętnie

– proponujemy tym, którzy chcą posmakować, jak się żyje bez cywilizacji. A także wszystkim, którzy chcieliby zamieszkać w ekowiosce na stałe. To taka próba...

Mikołaj uśmiechnął się krzywo.

– Na planie wioski widziałem trzygwiazdkowy hotel. To dla tych, którzy się zmęczą siennikami z siana?

– Musi pan wiedzieć, że nie wyrzucamy nikogo, kto jest nieekologiczny. Pokazujemy tylko, jak można żyć – oświadczył z patosem sołtys.

Drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem i do środka wpadła dziewczyna z rumieńcami na policzkach.

– Prysznic zepsuty! – krzyknęła od progu. – Na pewno zepsuła go ta nowa!

Widząc Mikołaja, umilkła zakłopotana.

– Jestem pewna, że to ona – powtórzyła już spokojniejszym tonem. – To niezdarą, pierwszego dnia urwała klamkę w sławojce i zablokowała drzwi, trzeba ją było siekierką wyzwać.

Sołtys rozłożył dłonie niczym ksiądz odprawiający mszę.

– Bo ja ciągle mówię, że najlepszy jest dołeczek w ziemi i saperka. Przecież fekalia rozkładają się w dołku tylko kilka dni! Gdyby poszła do lasu z saperką, to nie utknęłaby w sławojce.

– Jeszcze by podpaliła las – prorokowała złowieszczo dziewczyna.

Sołtys zwrócił się do brodacza.

– Idź, zobacz, co z tym prysznicem – poprosił. – Całe szczęście, że pan Tytus zabrał tę nieszczęsną fajtlapę. Ja już nie wiedziałem, jak ją zniechęcić, wszędzie jej było pełno! Chyba miała ADHD.

Brodacz pociągnął za sobą Mikołaja. Oprawdzał go po wiosce, która okazała się większa, niżby się z pozoru wydawało. Podzielono ją na kilka części.

– W każdej prowadzimy inny wariant ekologicznej edukacji – tłumaczył brodacz.

– Mamy dużo ciekawych warsztatów.

Oczywiście wszystko było tu płatne.

– A ten wariant ortodoksyjny? – Mikołaj był ciekaw, na co zdecydowali się

Japończycy.

– Turyści mieszkają w domach bez prądu i bez bieżącej wody. Mają do dyspozycji studnię, sławojkę i papier toaletowy wielokrotnego użytku.

– Japończycy?! Będą prali szmatki?!

– Czemu się tak dziwisz? Muszą sobie radzić. Wiedzą, na co się decydują, pokazaliśmy im wszystko. Panie mogą kupić w naszym ekosklepie orzechy piorące, szampony z nagietka i pokrzywy, lejki menstruacyjne... Lejki to takie... hmmm... kobiety ich używają...

– Wiem, co to lejki menstruacyjne – przerwał mu Mikołaj. – Jesteś pewien, że Japończycy dobrze zrozumieli, co ich czeka?

– Już oddali swoje telefony, laptopy i aparaty fotograficzne. – Brodacz wzruszył ramionami. – Wieczorem czeka ich kurs dojenia kóz i pogadanka na temat wytwarzania twarogu.

Mikołaj z niedowierzaniem kręcił głową. Że też turyści za to płacą!

Wyszli poza wioskę, na rozległe pastwiska. Powitał ich niezwykle widok: futrzaste szkockie krowy, zwane hajlandami, pasły się w zgodzie ze stadem owiec. Z jednej strony naturalną granicą łąki był szeroki rów wypełniony wodą. Pływały w nim gęsi i kaczki, w większości o egzotycznym wyglądzie, najwyraźniej sprowadzone z odległych zakątków świata. Zmierzali w kierunku dużej zagrody ze stajniami. Gdy do niej dotarli, powitało ich radosne gdakanie drobiu różnej maści: od miniaturowych puchatych kurek po przepiórki, bażanty i kuropatwy. Nie wiadomo kiedy pojawiła się dziewczyna w zwiewnej sukience do kostek i zaczęła sypać ziarno. Uśmiechała się czule, gdy ptactwo zbiegło się do jej stóp z każdego zakątka. Miała rozpuszczone długie włosy.

– Niczym Zosia z *Pana Tadeusza* – prychnął Mikołaj.

Brodacz machnął ręką do dziewczyny.

– To nie turysta!

Zjawiskowa pastereczka przestała się uśmiechać.

– Jestem z sanepidu! – krzyknął złośliwie Mikołaj.

– Umieram ze śmiechu – warknął brodacz, przesyłając dziewczynie wymowną informację: wskazał palcem Mikołaja i popukał się w czoło. Zdegustowana „Zosia” zniknęła w niedużej stodółce. – Czy coś jeszcze cię interesuje?

– Muszę pogadać z Paragrafem.

– Paragraf! Też chciałbym go dorwać. I nie tylko ja! Zostawił tu parę niezłatwionych spraw i zniknął. Z dnia na dzień!

– Niezłatwione sprawy?

– Głównie finansowe. – Brodacz potarł palcami jak przy liczeniu pieniędzy. – Jest trochę winien ludziom.

– Paragraf? Zawsze spłacał swoje długi.

– No właśnie. Dlatego ludzie mu pożyczali.

Mikołaj oparł się plecami o ogrodzenie i powiódł wzrokiem po wiosce.

– Chyba zostanę u was na noc – zdecydował. – Ile kosztuje nocleg?

Mina brodacza daleka była od szczęśliwości.

– Noclegów jako takich nie świadczymy. Musisz wybrać jakiś ekowariant.

– A hotel? Przecież go macie.

– Jest dla celebrytów. Nie wiem, czy będą wolne miejsca.

– Celebryci w ekowiosce? Nie mów, że doją kozy!

Tamten po raz pierwszy się zaśmiał.

– Przyjeżdżają tu na zakupy, po żywność ekologiczną. No i na pijawki, to ostatni

krzyk mody. Hotel jest właściwie częścią centrum hirudoterapii...

- Chcesz powiedzieć, że meldując się tam, muszę pożywić kilka pijawek?
- Brodacz nie odpowiedział, zerknął na zegarek.
- Wybacz, stary, ale nie mam zbyt dużo czasu z tobą się cackać – mruknął nieuprzejmie.
- Zaraz ktoś cię zaprowadzi do hotelu... Zośka! – krzyknął w stronę stodółki.
- Pastereczka wystawiła głowę zza drewnianych drzwi i spojrzała pytająco.
- Zaprowadzisz pana do hotelu.
  - Zosia? – Mikołaj roześmiał się w głos. – To rola z *Pana Tadeusza* czy naprawdę ma tak na imię?

Po wzroku brodacza domyślił się, że nie dostanie odpowiedzi. Chwilę później wiotka pastereczka prowadziła go do hotelu. Próbował ją wypytywać o zwierzęta, o odwiedzających wioskę ludzi, o plany. Na wszystko odpowiadała krótko: „nie wiem”. Pożegnała go, gdy doszli do niedużego hotelu w stylu wiejskiej karczmy. Obok stały dwa domki z bali. Nad drzwiami pierwszego wyryto napis „Centrum hirudoterapii”, nad drugim wisiał szyld „Ekosklep”. Mikołaj bez trudu wynajął pokój, choć z niekłamanym bólem zapłacił za nocleg trzysta złotych. Ekowioska była sprawnie naoliwioną maszynką do zarabiania pieniędzy, a o tym, jak dużych, miał się za chwilę przekonać.

- Pan pierwszy raz na zabieg? – zapytała uśmiechnięta recepcjonistka.
- Potwierdził skinieniem głowy, myśląc o mniejszych i większych pijawkach, które strącał z siebie podczas plenerów i przyrodniczych wypraw. Postanowił jednak poddać się szczękom i przysawkom krwiożerczych pierścienic, licząc na konwersację z pracownikami centrum. Zaciśnął zęby i zapłacił kolejne trzysta złotych. Idąc do gabinetu zabiegowego, minął przytulny salonik, w którym piły kawę popularna aktorka i znana prezenterka telewizyjnego programu informacyjnego. Obie bardzo eleganckie i bardzo zadowolone rozmawiały ścisłym głosem. Tuż przy gabinecie minęła go kolejna aktorka, jej twarz doskonale znał, ale nazwiska nie mógł sobie przypomnieć. Najwyraźniej był w dobrym towarzystwie.

- Proszę zdjąć koszulę i się położyć – zaproponowała miła kobieta w stroju pielęgniarki. – Pijawki przystawimy na plecy.

Gabinet był niedużym pokojem z dwiema leżankami przedzielonymi parawanem. Okna zasłaniały ciężkie kotary, na niedużych stolikach paliły się świece zapachowe, a z dyskretnie umieszczonych głośników sączyła się spokojna muzyka. Leżanka obok była pusta. Mikołaj położył się i czekał na krwiopijców; wiedział, że momentu ukąszenia i przysysania się pijawki nawet nie poczuje. Kobieta z czułością postawiła na stoliku słoiczek z wijącymi się pierścienicami.

- Już kochane, już – przemówiła do nich czule. – Biedactwa ostatnio przeżyły wielki wstrząs. Dosłownie. Mieliliśmy tu taką wolontariuszkę, gorliwą nad podziw, a niezdarną, ho, ho! Wszystko jej leciało z rąk. Słoik z pijawkami też.

Pieczołowicie przytknęła „biedactwa” do pleców Mikołaja.

- Pierwszy raz, co? – szczebiotała z przejęciem. – Ależ miał pan szczęście, że jeden z naszych stałych bywalców nie dojechał, bo dziś trudno byłoby się dostać na zabieg. Mamy wycieczkę Japończyków, wszyscy zapisali się na terapię.

Kobieta była sympatyczna i gadatliwa, co Mikołaj skrzętnie wykorzystał.

- Widziałem tu znane twarze. Pijawki to jakaś nowa moda?
- Moda? Ależ to samo zdrowie! Pijawki leczą wszystko! Oczy, nerki, pęcherz, migreny, urazy po udarach – wyliczała z zapalem. – Pomagają przejść klimakterium, leczą niepłodność u mężczyzn i torbiele jajników u kobiet, zatoki. Pijawki warto sobie przystawić nawet wtedy, gdy nic nie dolega. Bo my jeszcze nie wiemy o chorobie, a pijawka dostrzeże ją od razu

i zlikwiduje dolegliwość! No a poza tym... odmładza! Te aktorki stosują je jak zabieg kosmetyczny i widzi pan, jak wyglądają! To nasza chodząca reklama.

– Aha – mruknął.

Spokój i muzyka robiły swoje. Nagle poczuł się odprężony... A może to te pijawki?

– Myślałem, że ekowioska to społeczność ludzi kochających naturę, a tu jest cały biznes i wielki świat – mówił sennym głosem.

– Och, nasze centrum jest dla normalnych ludzi – stwierdziła zniżając głos i akcentując słowo „normalnych”. – Oczywiście my wszyscy kochamy naturę, ale w wiosce jest za dużo dziwaków. Dlatego tak wyraźnie się odgradziliśmy, żeby tamci nie psuli nam opinii. Bo wie pan, wegetarianizm – tak, oszczędzanie energii – owszem, zdrowa żywność i ekologiczne marchewki – naturalnie... Ale używanie własnoręcznie robionych past do zębów, szamponów z ziół, szmatek, które trzeba prać, zamiast papieru toaletowego... O, to już wielka przesada! – Była wyraźnie zdegustowana. – Inna sprawa, że pod hasłem „ekologia” i „natura” sprzedaje się dosłownie wszystko – przyznała, wzdychając. – Dlatego to wszystko tak dobrze się kręci.

– Ktoś tu musiał zainwestować ogromne pieniądze. Ekolodzy nie mają takiej kasy.

Dziwne, nie?

– Ja tam nie wiem, ja tu tylko pracuję. – Nagle zrobiła się czujna.

– Zna pani Paragrafa?

– Nie.

Za długo się zastanawiała, pomyślał Mikołaj.

– A pojawiał się tu może młody dziennikarz z Nowej Zelandii? – Drążył temat.

– Och, dziennikarzy to u nas ostatnio pełno. Z całego świata, proszę pana. O!

Małeństwa już się najadły. Zaczynam ściągać... Jak się pan czuje?

Do drzwi gabinetu ktoś zapukał i Mikołaj, leżący jeszcze za parawanem, usłyszał męski głos:

– Japończycy przyszli, można?

– Chwileczkę, kończę.

Kobieta delikatnie ściągała pijawki, a Mikołaj słuchał, jak mężczyzna zachwala pod gabinetem hirudoterapię.

– Podczas ssania krwi pijawka wpuszcza do niej jednocześnie ponad dwieście pożytecznych związków, których farmacja jeszcze nie umie spreparować – mówił po angielsku. – To cudowna fabryka natury, potrafi oczyścić z toksyn cały organizm... Słucham? Może pan powtórzyć pytanie?... Aaa, czy boli, gdy ssie krew! Już panu mówię: nic pan nie będzie czuł, mimo iż pijawka ma trzysta zębów, szczęki i przyssawki... Oj, co panu?... Proszę się rozstąpić, powietrza mu trzeba, powietrza!

Pod gabinetem dał się słyszeć nagły rumor i jakieś poruszenie. Drzwi otworzyły się i do pokoju wniesiono zemdlonego Japończyka. Pielęgniarka szybko się nim zajęła, a Mikołaj grzecznie podziękował za pijawkową terapię i wyszedł, zapinając koszulę. Trzysta zębów już na nim pracowało.

Szef był zły, że musiał odwołać zabieg w centrum hirudoterapii. A tak bardzo by mu się przydał! Lubił te chwile relaksu i lubił późniejsze rozmowy w saloniku przy kawie z aktorami i celebrytami. Wszyscy mieli poczucie wtajemniczenia wyższego stopnia, czuli się lepsi od reszty ludzi, tych, którzy nie wierzyli w terapię za pomocą pijawek lub których nie było na nią stać. Oczywiście mógłby sobie przystawiać pijawki sam, we własnym domu, ale to nie to samo. Brakowałyby tego braterstwa krwi z wielkim światem, ze śmietanką towarzyską.

Braterstwo krwi.

Rozkoszował się tym określeniem, wyszło mu tak pięknie. Musi kiedyś napisać książkę. Tak, ma do tego talent.

Pijawkoterapia bardzo by mu się przydała po ostatnich okropnych wydarzeniach. Relaksu, potrzebował relaksu! No, ale nie zdążyłby dojechać z Warszawy na czas.

Wziął głęboki wdech.

A właściwie czemu ma rezygnować z zabiegu? Przecież, jeśli odpowiednio poprosi, na pewno przyjmą go po godzinach, a w hotelu będzie ktoś znany, z kim wypije wieczornego drinka... Tak! Tego mu trzeba!

Tytus go zawiezie i odwiezie, przecież znalazł już jakiegoś pomocnika. A, właśnie, trzeba się przyjrzeć, jak ten nowy sobie radzi ze zwierzętami. Tytus był taki tajemniczy...

– Będzie Szef zadowolony, hy, hy! – rżał po swojemu.

A na pytania odpowiadał tylko:

– Niespodzianka, hy, hy!

Szef nie lubił niespodzianek, ale nic nie powiedział.

Decyzja zapadła szybko: mimo zmęczenia pojedzie do Mielnika, a Tytus zawiezie go do ekowioski. Trzeba być dla siebie dobrym i sprawiać sobie drobne przyjemności.

## Rozdział 29

Zuzanna czuła jednocześnie ulgę i niepokój. Ulgę, bo Sebastian Dobosz – kochanek Olgi Kucharskiej – był trzeźwy. (W końcu ktoś trzeźwy w tym towarzystwie!). A niepokój... bo wyskoczył jak królik z kapelusza i rozbijał w proch dotychczasowe teorie dotyczące zabójstwa Pawła Patejuka.

– Kochanek... – wycedziła przez zęby aspirant Brodzik.

Nie partner, nie narzeczony, tylko właśnie „kochanek”. Filigranowa bizneswoman upierała się przy tym określeniu.

– Nie jest moim partnerem! – wrzasnęła, gdy policjantka spisywała zeznania do protokołu. – Jest tylko i wyłącznie kochankiem!

Niech będzie. Z zeznań wynikało, że kochanek Sebastian Dobosz, nazywany Sebą, był młodszy od swej... hmm... kochanki o jedenaście lat.

– I twierdzi pani, że śledził ją w dniu zabójstwa Pawła Patejuka?

– Pewna nie jestem, ale przypomniało mi się, że podczas kłótni powiedział coś, co by wskazywało, że tam był. Policja chyba może to ustalić, co?

– A czemu dopiero teraz pani o tym mówi? Po kłótni?

– Tu nie chodzi o zemstę! – oburzyła się bizneswoman. – No, co się pani tak patrzy? Mam tego dość! – wybuchnęła nagle. – Wszyscy mają do mnie jakieś pretensje! Niech pani jedzie ze mną do Seby. Sama go zapytam, czy był u Ireny czy nie. Znam go jak nikt inny, mnie nie okłamie. To co? Jedziemy?

Aspirant Brodzik dziękowała potem opatrności, że przystała na ten pomysł. Obyło się bowiem bez żmudnych przesłuchań i podchwytliwych pytań. Gdy tylko stanęły w drzwiach mieszkania Sebastiana Dobosza, kochankowie niemal skoczyli sobie do gardeł, wyrzucając z siebie stek wyzwisk i wzajemnych oskarżeń. A kiedy rozsierdzona bizneswoman wparowała do łazienki i wyciągnęła z kosza dzinsy poplamione krwią, Sebastian Dobosz wykrzyczał:

– To ciebie powinienem ukatrupić, głupia dziwko!

I mogłoby to się niewesoło skończyć, gdyby nie błyskawiczna reakcja aspirant Brodzik. Przydały się żmudne godziny ćwiczeń na siłowni i treningi z instruktorem krav magi. Bowiem zdradzony kochanek wpadł w furję i zaczął dusić awanturującą się kobietę. Zuzanna obezwładniła napastnika i wezwała wsparcie.

Sebastiana Dobosza osobiście przesłuchiwał prokurator Grzegorz Szatan. Robił wszystko, by wyciągnąć z podejrzanego, że działał wspólnie i w porozumieniu z Karolem Wilkiem, zarówno przy zabójstwie Patejuka, jak i podczas ataku na malarza Sokołowskiego.

– Nie znam go – odpowiadał krótko zatrzymany.

– To się jeszcze okaże – cedził przez zęby prokurator.

Sebastian Dobosz przyznał się do napaści na malarza. Zresztą ślady krwi na zabezpieczonej odzieży były niezbitym dowodem.

– Czułem, że ta dziwka mnie zdradza – opowiadał, przyciskając dłonie do skroni, jakby czaszkę rozsadał mu ból. – Była taka... nie moja! Nie miała dla mnie czasu! Chodziłem wokół posesji i obserwowałem. Zatrzymała się w tym drewnianym domku, razem z malarzem. Musiała z nim spędzić noc, bo nie było jej u siebie... A potem, w tym sadzie, jak usłyszałem, że on na nią krzyczy...

– Ignacy Sokołowski krzyczał na nią?



– Tak! Jakby miał do niej jakieś cholerne prawo! Wrzeszczał, że Olga jest jak pająk rozciągający sieć. Mówił, że ją namalował... Wściekłem się. Już ja się domyślam, jak ją malował... Pieprzeni artyści, tylko jedno im w głowie! No i tak jakoś wyszło...

Prokurator Szatan zerkał z triumfem na Zuzannę Brodzik, jakby chciał powiedzieć: Patrz, kobieto, i ucz się, jak przesłuchiwać przestępców.

Sebastian Dobosz nie przyznał się jednak do zabójstwa Pawła Patejuka.

– Olga Kucharska twierdzi, że ją wtedy śledziłeś.

– Tak, pojechałem sprawdzić, z kim się bawi – potwierdził – ale nikogo nie zabiłem. Bajerowała takiego kudłatego... Wściekłem się i wróciłem do domu.

– Kudłatego?

– Greka – odpowiedziała Zuzanna.

– Wściekłeś się... Hmm... I spokojnie wróciłeś... Ale przecież my już wiemy, co się z tobą dzieje, gdy się wściekniesz...

Sebastian Dobosz jednak twardo utrzymywał, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Patejuka.

– Nic na mnie nie macie, bo nie możecie mieć.

Po tym stwierdzeniu nie odezwał się już ani słowem. Przesłuchanie zakończono.

Prokurator Szatan spojrział na policjantkę z pełnym wyższości uśmiechem.

– Ucz się, Sherlocku – rzucił od niechcienia, jakby to on osobiście zatrzymał Sebastiana Dobosza.

Zadowolony z siebie, stał na wprost Zuzanny. Nie zdawał sobie sprawy, że policjantka z trudem powstrzymuje się od wykonania energicznego ruchu głową w przód. Po takim ciosie, zwanym „z główki”, z nosa prokuratora zostałby naleśnik. Podobnie jak z jej dalszej policyjnej kariery. Dlatego rozciągnęła usta w grymasie mogącym od biedy uchodzić za uśmiech i beznamiętnie stwierdziła:

– Uczę się.

Dupku – dorzuciła w myślach.

Nienawidziła, gdy mówił do niej „Sherlocku”. Dla niej śledztwo wcale się nie zakończyło.

## Rozdział 30

Ludzie pełni energii zawsze wydają nam się więksi, wyżsi, niż są w rzeczywistości, i bardziej zdrowi, jakby mieli żyć wiecznie. Irena patrzyła na swoją matkę i nie mogła się nadziwić, że jest ona drobna jak dziecko. Zawsze jej się wydawało, że matka jest od niej wyższa... Może zresztą kiedyś była? Tak, chyba na pewno. Na starość człowiek się kurczy.

Co ja mam robić? Przecież nie jestem gotowa na jej śmierć – myślała w panice.

Starsza pani nadal leżała nieprzytomna, a doktor Kołodziej nie miał nic nowego do dodania ponad to, co powiedział w nocy. Trzeba czekać.

– Słyszysz mnie? – Irena pochyliła się nad matką. Mówiła cicho, wprost do jej ucha, mimo iż były w sali same. – Nie umieraj... Proszę.

W bladej twarzy nie poruszył się nawet najmniejszy mięsień, nie drgnęła powieka na znak, że głos córki dotarł do mózgu i wywołał jakąś reakcję.

– Nie umieraj... Nie zostawiaj mnie z tymi niewypowiedzianymi słowami jak na jakimś durnym filmie. Nie zdążyłam ci powiedzieć, że cię kocham, że ci wybaczyłam... Bo nie wiem, czy ci wybaczyłam, może po prostu nauczyłam się z tym żyć, że mnie taką malutką zostawiłaś... Wiesz, jakie mam najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa? Chyba jeszcze nie umiałam wtedy chodzić, babcia posadziła mnie na wprost pieca. Było ciemno, bo przecież dziadek oszczędzał na wszystkim, światło padało tylko z otwartego paleniska. I wtedy zaczęłam płakać. Może się przestraszyłam tej ciemności i ciszy? Babcia z dziadkiem nawet się nie ruszyli, nie zagadali, nie przytulili mnie. Siedziałam i płakałam... Czy to był ten moment, kiedy mnie u nich zostawiłaś? Możliwe, żebym to pamiętała? Wiem, co powiesz: „Przecież to ty jesteś psychologiem!”. Jestem i pewnie już się z tym uporałam. A może nie?

Nie było cię przy mnie, gdy zaczęłam jeździć na rowerze i gdy nauczyłam się pisać. Na początku stawiałam bezładnie litery podpatrzone w książkach i biegłam do dziadka z pytaniem: „Co napisałam?”. Zawsze odpowiadał z powagą to samo: „Masło po żydowsku”, a ja byłam niezmiernie dumna. Nie pamiętam momentu, kiedy umarła babcia. Nie dlatego że byłam za mała, tylko ona była w domu jak cień, po prostu jej nie pamiętam. Zostaliśmy z dziadkiem sami. Nie przyjechałaś na pogrzeb, prawda? W ogóle wtedy nie przyjeżdżałaś. Zapamiętałabym wizytę mamy. Gdy pytałam o ciebie, dziadek odpowiadał, że kiedyś po mnie przyjedziesz. Jak ja czekałam!

Tak, dziadek mnie kochał. Wiesz, czego mu nie mogę darować? Że czytał mi *Serce Amicisa* i bajki Andersena. I *Zew krwi*. Czy ktoś jeszcze katował dziecko takimi smutnymi opowieściami? W pokoju był mrok, dziadek lekko modulował głos, a te książki wciągały mnie w swój świat. Przecież widział, że walczyłam ze łzami! Ale wychowywał mnie tak, żebym nigdy nie płakała. Nie przy ludziach! Opowieść się kończyła, a ja trajkotałam jak najęta o czymkolwiek, byle nie widział, że w środku szlocham, że pęka mi serce ze smutku i żalu. „A czemu tak broda ci drży?”, pytał z uwagą, a ja twardo udawałam, że nie wiem, o czym mówi, i zaciskałam zęby. Czy był wtedy ze mnie dumny? Nie uroniłam łzy, tak jak chciał, zamknęłam się w skorupie, którą trudno przebić. Czy kiedykolwiek widziałaś, jak płakałam?

Więc nie umieraj teraz, bo nie jestem gotowa. Nie wiem, czy wolno mi płakać ani czy wycisnę z siebie jakieś łzy. Kiedy jest mi źle, idę spać. Mogę przespać tydzień, miesiąc, wstając tylko, by coś zjeść, iść do łazienki. Ale nie płaczę. Tak przespałam swój rozwód.

Nie umieraj...

Przecież nie powiedziałaś mi, kto jest moim ojcem. Czy on jeszcze żyje? Czy w ogóle wiesz, kto nim był? Może jednak powinniśmy pogadać, więc proszę cię, nie umieraj...

A te zabawki z sex shopu wcale nie były Marzenki. Są moje. Mam romans. Z takim jednym. Nie spodobałby ci się... Już sama nie wiem, czy go kocham czy nie, i raczej nie będę z tobą o nim rozmawiała. Nigdy nie rozmawialiśmy o naszych uczuciach, prawda? Ja o twoich też nic nie wiem... Dlaczego jesteś sama? Taka piękna kobieta... A może nie jesteś? Może kogoś masz?

Nie umieraj, mamo!

Proszę...

## Rozdział 31

Czy ci pseudoekolodzy są zamieszani w przemyt zwierząt, o którym mówił Bartnicki? Mikołaj zadawał sobie to pytanie, spacerując po wiosce. Była urządzona z wielkim rozmachem i Mikołaj nie miał wątpliwości, że przynosiła kokosy. Zastanawiała go jednak skala hodowli zwierząt. Skoro nie zasilają „ekokuchni”, co robiono z mnożącymi się kaczkami, hajlandami, owcami? Na pastwisku wraz z dorosłymi osobnikami chodziły przecież młode, a w rowie taplało się sporo piskląt kaczek i gęsi.

Ściemniało się już, gdy postanowił wrócić do zagrody. Skierował się do obory, z której słychać było śmiechy. Pierwsze, co zobaczył po otwarciu drzwi, to rząd wypiętych pośladków. Grupa Japończyków z przejęciem zaglądała pod brzuch kozy. Domyślił się, że trafił na lekcję dojenia kóz.

Dwie młode kobiety objaśniały, gdzie są wymiona i co trzeba z nimi robić. Jeden z turystów dotknął podbrzusza zwierzęcia i z piskiem odskoczył, gdy rogaty łeb zwrócił się w jego stronę. Wszyscy zaczęli się śmiać. Japończycy z ożywieniem rozmawiali między sobą, pokrzykując, a jeden z nich, bardzo przejęty, robił notatki. W końcu pierwsze krople mleka trafiły do naczyń.

Mikołaj, udając turystę, także usiadł przy jednej z kóz, a gdy napełnił kubek mlekiem, zebrał wielkie pochwały od instruktorek.

– Bardzo dobrze panu poszło! – zachwyciła się jedna z kobiet tonem, jakim zazwyczaj dorośli zwracają się do małych dzieci. – A teraz może pan skosztować tego mleczka. Czy też chce pan zabrać kubeczek z sobą?

– Mogę oddać.

Mikołaj rozejrzał się i widząc specjalistę od notatek, podał mu pełne naczynie. Twarz tamtego rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Podziękował Mikołajowi, kłaniając się nisko. Niespodziewany podarunek bardzo mu przypadł do gustu.

– Dużo tu zwierząt – zagadnął Mikołaj z udawaną troską. – Jak sobie panie radzą same? Jestem pełen podziwu.

– Och, dziękuję! Lubimy tę pracę i nie jesteśmy same. Latem, gdy zwierzątka są na pastwisku, nie ma przy nich wiele roboty. No, może oprócz żniw, bo staramy się mieć własne sianko – odrzekła z uśmiechem, takim tonem, jakby zwracała się do trzylatka.

– Utrzymanie ich musi sporo kosztować – zauważył z miną znawcy.

– Ależ zwierzątka zarabiają na sobie! – Kobieta radośnie złożyła ręce jak do modlitwy, przez co skojarzyła się Mikołajowi z zakonnicą opowiadającą o Jezusie.

– Zarabiają? Jako turystyczna atrakcja?

– Musi pan wiedzieć, że mięsko ze zwierzątek, które wychowują się w naturze i dużo chodzą, jedzą trawkę, ziółka i robaczki... jest bardzo delikatne i smaczne. To rarytas! Nawet pan nie wie, jaka jest różnica w smaku w porównaniu z tym, co mamy w sklepach!

– Z ubolewaniem pokiwała głową.

– Myślałem, że tutaj nie je się mięsa.

– To prawda! My nie jemy, ale po nasze zwierzątka przyjeżdżają szefowie najelegantszych kuchni z całej Polski. I wiele gwiazd zamawia takie zdrowe mięsko z kacuszek i naturalnie chowanych kurek. – Uśmiechała się promiennie. – Jeśli będzie pan zainteresowany, to przygotujemy mięsko i dla pana. Bo, prawdę mówiąc, nie wygląda pan

na mężczyznę żywiącego się korzonkami – zachichotała.

– I owszem, droga pani. – Wpadł w jej naiwny ton. – Mięsko jadam pasjami.

Kobieta chichotała już w najlepsze, a jej humor udzielił się Japończykom walczącym dzielnie z kozimi wymionami. W oborze zrobiło się wesoło. Na ten moment trafił niewysoki, barczysty mężczyzna, który zajrzał ciekawie do środka.

– A co to za śmichy-chichy? – Zmarszczył czarne grube brwi.

– Och, pan Tytus! – Rozmówczyni Mikołaja z radością klasnęła w dłonie. – Mamy tu lekcję dojenia kózek, zapraszamy.

– A, nie, nie, dziękuję, ja tylko na moment, bo Szefa na pijawki przywiozłem, ale tak tu u was wesoło, że zajrzałem... Urodziło się coś nowego?

– Dwa byczki! Jakie śliczne!

– To pewnie będziemy wysyłać, co?

– Oj, chyba tak! – Kobieta chichotała.

– Hy, hy... To lecę. Zobaczymy się później.

– Panie Tytusie, zaraz! A jak tam nasza wolontariuszka?

– A, radzi sobie, sprytna jest.

– Sprytna? Jeszcze niczego nie zbiła, nie zepsuła? Nie przewróciła się?

– Nie... – Mężczyzna wyglądał na zdziwionego. – Całkiem bystra.

Kobieta prychnęła śmiechem, jakby powiedział dobry żart. Widząc jednak, że mężczyzna mówi poważnie, pokryła chichot kaszlem.

– Och, przepraszam, coś mi wpadło do gardła.

– To na razie! – Pożegnał się.

Gdy zniknął za drzwiami, kobieta szepnęła konspiracyjnym szeptem do Mikołaja:

– Mieliśmy tu dziewczynę, po prostu chodzące nieszczęście! Taka trochę dziwna, w chuście na głowie i burce, jak muzułmanka. Ale muzułmanką nie była, mówiła, że tak wyraża swoją wielokulturowość. Co myśmy z nią mieli! Czego tylko się dotknęła, zaraz się psuło, zbiło, urywało, spadało. Strasznie chciała pomagać, zamieszkać w wiosce, wszędzie jej było pełno! Denerwowała wszystkich, ale miała w sobie tyle uporu, że było nam jej żal. Podrzucaliśmy ją sobie jak gorący kartofel, aż w końcu wybawił nas pan Tytus, który akurat szukał pracownika. No i ją zabrał! Co za ulga!

– A może przez tę burkę traktowaliście ją inaczej?

– Sugeruje pan, że nie jesteśmy tolerancyjni? Nieładnie! – Kobieta pogroziła mu palcem.

– A czym się zajmuje pan Tytus?

– Nie wiem dokładnie, ale bardzo nam pomaga w eksportowaniu zwierzątek za granicę.

– Handlujecie zwierzętami?

– No przecież mówiłam, że zwierzątka zarabiają na sobie. Pan Tytus wszystko organizuje. Ach, jak on się zna na wszelkich stworzonkach! Gdy on załatwia transport, jestem naprawdę spokojna.

– I gdzie trafiają te wasze stworzonka?

– Głównie za wschodnią granicę. Wie pan, teraz my dla nich jesteśmy Zachodem, wielkim światem. Podpatrują nas i chcą żyć tak jak my.

Mikołaj zastrzygł uszami. Eksport zwierząt? Na Wschód? Serce zabiło mu szybciej.

– Ale pan to tak pyta o wszystko jak dziennikarz. – Kobieta nagle zrobiła się podejrzliwa, a udawana do tej pory serdeczność gdzieś znikła.

W tym samym momencie Japończycy zakończyli lekcję i radośnie bili sobie brawo.

Zrobiło się zamieszanie. Instruktorka pożegnała się z Mikołajem.

– Przepraszam, ale mam obowiązki. – Zaciśnęła usta w wąską kreskę.

Mikołaj wyszedł z zagrody. Na zewnątrz było już ciemno, wracając do hotelu, zboczył w stronę pastwiska i zatrzymał się przy stadzie szkockich krów. Ich długa sierść i potężne rogi wyglądały nierealnie na podlaskiej łące. Bydło skupiło się w zbitą gromadkę, chroniąc młode, a potężna krowa patrzyła czujnie w jego stronę.

Eksportują zwierzęta...

Muszę jutro zatelefonować do celników, sprawdzić, co wysyłają, gdzie, jak często.

To, oczywiście, nic nie musi znaczyć, najwyraźniej przewożą zwierzęta legalnie, ale...

Pamiętał ożywienie Bartnickiego, stary glina wierzył, że gdzieś tu, nad Bugiem, rozgrywa się wielka afera.

No dobra, dowiem się, co i gdzie eksportują... I co z tego? Cholera jasna, nie nadaję się na śledczego, myślał Mikołaj.

Wrócił do zagrody. Było już ciemno, w oborze paliło się światło. Z daleka zobaczył, że Japończycy odchodzą z jedną z instruktorek. Druga z kimś rozmawiała.

– Janusz? – Mikołaj z niedowierzaniem patrzył na przybyłego.

W tym momencie zgasło światło. Gdy doszedł do zagrody, nie było tam już nikogo, ale dałby sobie głowę uciąć, że widział przyjaciela.

Niemożliwe. Przecież miał być w Warszawie.

Gadatliwy Janusz nigdy się nie pochwalił, że zagląda do ekowioski. Czy to na pewno był on?

Dojmujące poczucie bezradności uświadomiło Mikołajowi, że cały ten pomysł ze śledztwem był głupi. Nie dowiedział się niczego o rzekomej międzynarodowej aferze, w którą miał być zamieszany Karol. Może gdyby dopadł Paragrafa... Ale Paragraf przepadł. Rzeczywiście narobił długów i zniknął?

Nic tu po mnie. Taki ze mnie detektyw jak z mysiej dupy kaptur! Spadam stąd.

Lepiej zapytać Karola wprost. Jeszcze dziś, tej nocy. A jeśli zobaczy, że chłopak kręci, spuści mu ojcowskie manto!

Nie miał ochoty czekać z wyjazdem do rana, poszedł do hotelu oddać klucz.

– Już pan nas opuszcza? – Recepcjonistka zrobiła minę pełną żalu, jakby za zawodową uprzejmość płacili jej premię ekstra.

– Ten rodzaj ekologii mi szkodzi. – Skrzywił się.

– Ale pijawki, mam nadzieję, pomogły? – Nadal uśmiechała się uprzejmie.

– Kobieto, tu są same pijawki – mruknął na pożegnanie.

Po wyjściu z hotelu żałował, że tak chamsko się odezwał. Co się z nim dzieje?

Z reguły nie tracił zimnej krwi.

Doszedł do piaszczystej ścieżki prowadzącej na parking. Wydawało mu się, że ktoś idzie za nim, więc przyspieszył, nie miał ochoty na żadne pogaduszki. Otwierał auto, gdy poczuł na plecach ból, jakby ułucie. Odwrócił się i ze zdumieniem zobaczył, że stoi przed nim barczysty niewysoki mężczyzna z grubymi czarnymi brwiami... Pan Tytus od stworzonek... To był ostatni widok, jaki dotarł do Mikołaja, zanim odplłynął w niebyt.

Szef jechał zadowolony i zrelaksowany, pijawki zrobiły swoje. Wyssały z krwi zmęczenie, złość i frustrację, wtłoczyły energię, spokój i siłę.

– Magia. Mówię ci, Tytus, człowiek powinien być bliżej natury. Kiedy ludzie to w końcu rozumieją? Nie będą niszczyć lasów, zatruwać powietrza, majstrować przy genach?

Zdumiewa mnie tylko jedno... Dlaczego Bóg pozwala na to bezmyślne niszczenie jego dzieła?

– Dlatego że go nie ma? – mruknął Tytus. Zaciskał ręce na kierownicy, bo wjechali już na leśną drogę pełną wystających korzeni.

– Nie wiemy, czy go nie ma. Coś musi być... Czy to dlatego wzięłeś sobie na pomocnicę muzulmankę? Taki bunt wobec wiary?

– To nie muzulmanka, ona tylko tak się ubiera. Ma dobrą rękę do zwierząt.

– Widziałem na monitoringu, jak karmiła skorpiony, dłoń z pęsetą nawet jej nie drgnęła. No, ale że ty wybrałeś dziewczynę... Zaskoczyłeś mnie.

– Przecież pan też zatrudnił babę, tę z ochrony.

Szef roześmiał się w głos.

– Ta baba z ochrony to najgorsza suka, jaką widziałem kiedykolwiek. Nie pije, nie gra na komputerze podczas służby, nie posadzi dupy ani na moment, nie to, co inni strażnicy. I ma obsesję na punkcie sprawności, widziałeś, jak sobie wytrenowała mięśnie? A jej zmiennik już dostaje brzuszka... Tytus, a co ty taki zadowolony? Przecież byłeś zły, że cię od pracy odciągają i każą się wozić.

– Hy, hy... Bo mam ochotnika. Będzie Szef zadowolony, bo taki, jak Szef chciał: duży i zdrowy, nie żaden pijaczyna.

– Na premię pracujesz? Nie poznaję cię. A może ta nowa tak ci dodaje skrzydeł? Nie zakochałeś się przypadkiem?

– No, co pan, Szefie?! – Tytus splonął rumieńcem.

– Co to za ochotnik?

– Kręcił się po wiosce i rozpytywał. To go znieczuliłem i przewiozłem na farmę, do rana będzie spał. Szybko obróciłem. Trzeba tylko coś zrobić z jego samochodem, ale już ja się tym zajmę.

– Rozpytywał? O czym ty mówisz?

– To jakiś ciekawski, znajomy tego Paragrafa.

– „Ochotnika” Paragrafa, dodajmy.

– Tak, ochotnika, hy, hy... Szukał Paragrafa, to teraz się spotkają, hy, hy! W niebie.

– Paragraf był zbyt gadatliwy. Za to jako „ochotnik” – wspaniały! Objawy po ukąszeniu wałęsaka miał książkowe, cudowne! Szkoda, że wtedy nie było jeszcze skorpionia... Myślisz, że ten jego znajomy coś wie?

– Spoko, Szefie, cóż on może wiedzieć? Co najwyżej, że gdzieś dzwony biją, ale jaką piosenkę?

– Ale się z ciebie poeta zrobił, no, no.

– Rano Szef go sobie obejrzy, pogada... Tak jak Szef lubi.

Dojechali do farmy. Brama otworzyła się, minęli budkę ochrony. Strażniczka omiotła światłem latarki ścianę lasu za nimi i brama się zamknęła. Szef od razu poszedł do sypialni, naprawdę się cieszył, że przyjechał z Warszawy, warto było. Wsunął się pod chłodną pościel, i zaraz potem poczuł, jak na łóżko wskakuje kot.

– Tobie też trzeba będzie przystawić pijawki, może nie będziesz taki złośliwy.

Przed snem pomyślał jeszcze, że świat byłby naprawdę spokojniejszy i piękniejszy, gdyby ludzie częściej przystawiali sobie pijawki.

## Rozdział 32

Spod bandaża zasłaniającego pół twarzy spoglądały czarne oczy. Ciche pojękiwanie świadczyło, że pacjent ma żal do całego świata. Malarz Ignacy Sokołowski dochodził do siebie w dosyć szybkim tempie. Po pierwszym, oczywistym, pytaniu: „Czy będę żył?”, padło słabowite:

– Jak wyglądam?

Olga i Regina spojrzały na siebie zaskoczone.

– Nie chcesz wiedzieć, próżny człowieku – wychrypiała Olga.

– Nie widać, jak wyglądasz – przyznała uczciwie Regina.

Spod opatrunku wystawały spierzchnięte usta i pokrywająca się ciemnym zarostem żuchwa. Bibliotekarka pochyliła się nad łóżkiem, błękitny motyl spinający rude włosy na czubku głowy zatrzymał się tuż przed oczami Ignacego.

– Przywiozłam ci rosołek – zaszczebiotała. – Sama ugotowałam.

Podsunęła malarzowi pod nos pachnącą apetycznie miseczkę.

– Reeenia.... – W głosie Ignacego słychać było błogość.

Olga z niesmakiem przyglądała się sielankowej scenie.

– Ej, zaraz, zaraz! Przestańcie!

– Co? – Regina się wyprostowała.

– Co? – Ignacy łypnął okiem spod bandaży.

Byli zdziwieni, gdy przyglądała im się podejrzliwie.

– Wchodzicie w jakieś dziwne role... Przecież się nie znosicie, a tu raptem takie srutu tutu. Rosołeczek pierdeczek! – denerwowała się.

Regina groźnie zmarszczyła brwi.

– Rozumiem, że tak się objawia twoje poczucie winy – stwierdziła wyniośle.

– Jakie poczucie winy?!

– Przecież to twój narzeczony pobił Ignaca.

– Nie narzeczony, tylko kochanek! I nie mam poczucia winy!

– A powinnaś!

Malarz pomachał ręką.

– Dosyć... dajcie spokój – poprosił słabo. – Co z tym rosołkiem?

Regina uniosła zagłówek i pomogła Ignacemu usiąść. Zamiast wręczyć mu miseczkę, zaczęła go karmić. Rola obłożnie chorego odpowiadała artyście, który delikatnie chleptał rosół z łyżki. Zdegustowana Olga wykonała ruch, jakby miała z wymiotować z obrzydzenia, na co Regina usiadła tak, by być do niej tyłem i nie widzieć denerwujących min koleżanki.

– Smakuje ci, Ignasiu? – mówiła tonem jak do małego dziecka.

– Pyszny ten rosołek! – Ignacy czuł się wspaniale jako obiekt zainteresowania Reginy.

– Chcesz coś jeszcze?

– O, tak.

– Co byś chciał, Ignasiu?

– Zdejmij tego koszmarne motyla z głowy. Lubię, jak twoje włosy... – Nie dokończywszy, zerknął niepewnie na Olgę, która ze zdumienia aż otworzyła usta.

Regina oblała się rumieńcem.

– Dobrze. – Wstała i sięgnęła po torebkę. – Zaraz wracam.



Wyszła z pokoju, a Olga zajęła jej miejsce.

- Co ty wyprawiasz?!
- O co ci chodzi?
- „Ignasiu”?! Pogięło was? Przecież nie cierpisz starych panien!
- W ten sposób nie zyskasz we mnie przyjaciela. – Nadąsał się.
- Co to za odpowiedź?! Mów, co jest grane! Jesteś jeszcze gorszy niż Mikołaj.

Bajerujesz Reginę, a ona łyka to jak głodny ciastko. Też chcesz się z nią przespać i uciec?

Ignacy podniósł ręce do góry, jakby chciał zatrzymać ten potok słów.

– Zaraz, spokojnie... Mikołaj się z nią nie przespał.

– No jak nie przespał, jak przespał! Uwiódł i porzucił! Wszyscy to wiedzą. Ślub miał być!

Malarz pokiwał palcem, dając znak, aby Olga się przysunęła. Gdy zbliżyła ucho do jego ust, powiedział szeptem:

– Nie mógł z nią spać, bo była... dziewicą!

– Co?!

– Ciii! Bo ci nic więcej nie powiem!

– Była dziewicą?!

– Ciii! No była... Spała z Mikołajem, ale dosłownie: spała. On się narąbał, zrzucił z siebie ciuchy... wszystkie... i runął na łóżko. Ona też się rozebrała... ze wszystkiego...

– Przelknął ślinę i widać było, że ta część opowieści nie bardzo mu się podoba. – I tak sobie spali do rana.

– Przerażające!... Ona jest przerażająca! Pokazała się naga mężczyźnie i zaraz potem kupiła suknię ślubną?! Wrobiła Mikołaja i teraz wszyscy go potępiają!

– Uważaj, co mówisz o mojej dziew... eee... przyjaciółce – dokończył niepewnie.

Olga znowu otworzyła usta i wybałuszyła oczy.

– Zgroooza – wyszeptła. – Ty i Regina? Przecież zawsze twierdziłeś, że do końca życia pozostaniesz singlem.

– No przecież jestem singlem. Tylko teraz jakby trochę mniej, bo komuś na mnie zależy.

Olga zerwała się z miejsca i podeszła do okna. Targały nią skrajne uczucia. Ignac i Regina! To jeszcze bardziej niedorzeczne niż para Regina i Mikołaj! Popatrzyła na ludzi chodzących wokół szpitala, którzy z góry wyglądali jak figurki z klocków Lego. Nagle odwróciła się gwałtownie.

– Ignac... Jak to: BYŁA dziewicą...?

Kawałek policzka, wystający spod bandażu, zaczerwienił się lekko, ale malarz milczał.

– Ignac! Spałeś z nią?! Przecież... przecież... Regina to kawał drewna, który płacze kostkami lodu!

– I tu się mylisz! – Podniósł palec niczym nauczyciel. – Jest... namiętna. Tylko czasem miewa takie denerwujące, ambiwalentne reakcje.

Olga zaczęła machać rękami.

– Namiętna! Nie chcę tego słuchać! Okropność! Co ci odfiło?

– Zawsze czułem w sobie romantycznego bohatera.

Otworzyły się drzwi do pokoju i weszła Regina. Nie straszyla już błękitnym motylem, lśniącej, rozczesane włosy spływały jej swobodnie na ramiona. Od razu spojrziała na uśmiechniętego Ignacego i oczy jej rozblęskły. Olga ze zdumieniem patrzyła na tę metamorfozę. Między malarzem a bibliotekarką wyraźnie iskrzyło. Olga uznała, że to za dużo dla jej skołatanych nerwów. Poczula się osamotniona i w pewien sposób oszukana. To wokół

niej zawsze krążył wianuszek adoratorów, tymczasem została sama jak palec z kupą problemów na głowie. Wyszła, nie żegnając się z zajęta sobą parą, ale oni i tak nie zwrócili uwagi na jej zniknięcie.

Musiała się napić. Chociaż jednego malutkiego drinka.

## Rozdział 33

Szef nie żałował, że był na farmie. Obudził się rześki, wypoczęty i pełen optymizmu. Ostatnie wydarzenia, które wydawały mu się traumatyczne, odeszły gdzieś w najdalsze zakamarki umysłu. Nie będzie ich wyciągał. Poczł nagły przypływ sił.

Rano nigdy nie miał apetytu, ale bez kawy nie mógł żyć. Zszedł do kuchni i włączył ekspres. Chwilę później wrócił na piętro i szeroko otworzył drzwi na taras. Rozłożył ręce i wystawił twarz do słońca, czekając, aż kosmiczna energia przeniknie go na wskroś, dając mu siłę, zdrowie i twórcze pomysły. Był artystą w każdym calu, a dziś czuł się jak sam Stwórca. Tego mu było trzeba: głębokiego snu, o który tak trudno w ruchliwej i głośniejszy stolicy.

Usiadł w idealnie białym fotelu na wprost idealnie białej sofy. Czern stolika z najcenniejszego hebanu kontrastowała ze śnieżnymi obiciami, tak jak czarna kawa z białą porcelanową filiżanką czy jak jego pizama z czarnego jedwabiu z białą pościelą. Kochał te szczegóły, był perfekcjonistą. Aromat kawy unosił się w powietrzu, a widok z tarasu na wybieg lwów kołł jego duszę. W tej chwili baraszkowały tam czteromiesięczne samice, które postanowił sobie zostawić. Sprawdził godzinę: dochodziło już południe. Wysłał SMS do pośrednika, niech przyjeżdża, omówią najważniejsze kwestie przed jego wyjazdem z Polski.

Ależ pospał! Chyba po raz pierwszy od kilku miesięcy pozwolił sobie na taki luksus.

Dopił kawę i leniwie, nie spiesząc się, nakarmił kota, a potem zrobił sobie śniadanie. Dziś będzie piękny dzień! Zaaplikuje „ochotnikowi” dawkę jadu skorpiona i jeszcze przed wyjazdem do Warszawy poda mu anatoksynę.

Dostanie koktajl z setek składników wywołujących kaskadę komplikacji.

Jad to najdoskonalszy z wymysłów Boga. Kto by pomyślał, że Stwórca zabawi się w chemika? Na świecie jest około dwustu tysięcy jadowitych gatunków, to blisko dziesięć procent wszystkich zwierząt. Te dziesięć procent oferuje nieograniczone możliwości!

Przeszedł do gabinetu, w którym panował przyjemny chłód, żaluzje chroniły pomieszczenie przed słońcem. Nie odsłaniał okien, lubił mrok. Włączył komputer, by przejrzeć pocztę i sprawdzić zapis z monitoringu w pawilonie z terrariumami. Nie działo się nic szczególnego; Szef przyspieszył podgląd i uśmiechnął się, gdy na czarno-białym ekranie błyskawicznie przemieszczał się Tytus. Zawsze powolny i skrupulatny, teraz, na podglądzie, pojawiał się i znikał. Szef zwolnił ścieżkę filmu, gdy obok Tytusa pokazała się „muzułmanka”. Ubrana w jasną zwiewną burkę i chustę oplataną na głowie jak turban, sprawnie otwierała i zamykała pojemniki z pajęczakami. Trudno było zobaczyć twarz dziewczyny pod zwojami chusty, a Szef był ciekaw, jak ona wygląda. Tytus chwalił jej umiejętności, tylko ciekawe dlaczego. Rzeczywiście była taka dobra, czy po prostu spodobała się temu samotnikowi?

– Jest po zootechnice, podobnie jak Patejuk. – Opowiadał po pierwszym dniu jej pracy.  
– Pokazałem jej szafki z ampulkami i zapamiętała wszystko! Nic nie pomyliła, wie, gdzie szukać jakiej surowicy, jakby co...

– Nie pytała, po co nam takie niebezpieczne okazy?

– Szefie, ona pracowała w sklepie zoologicznym. Jeden klient hodował żmije i mała nie stracił ręki, bo szpital nie miał surowicy. Nic jej tu nie dziwi.

– Dużo rozmawiacie, co?

– Oj, tam... Przecież muszę ją we wszystko wprowadzić, no nie?

Coś ostatnio ten Tytus jest za bardzo ożywiony. I naprawdę się rumieni, gdy opowiada

o zaletach nowej pracownicy. Ale trzeba przyznać, że dziewczyna wydaje się całkiem bystra. No ale że Tytus zatrudnił kobietę... Koniec świata!

Sam nie zamierzał rozmawiać z dziewczyną, dopóki ta się nie sprawdzi; lepiej, żeby widziała i wiedziała jedynie to, co potrzebne do opieki nad zwierzętami.

Szef przełączył podgląd na izolatkę. Mężczyzna leżący na kozetce rzeczywiście musiał być postawny. W półmroku widać było zarys postaci pod kocem, kozetka wydawała się za mała dla ogromnej postaci. Szef wyłączył komputer. Pora rozpocząć nowy, piękny, jakże obiecujący dzień.

Mikołaj nie wiedział, gdzie jest. Leżał na łóżku przypominającym szpitalną kozetkę, był okryty kocem aż po usta. Ręce miał przywiązane do metalowych uchwytów mocnymi skórzanymi pasami.

Gdzie ja jestem?

Znajdował się w pomieszczeniu bez okien, a jedynym źródłem światła była włączona lampa w niewielkim terrarium w rogu pokoju. Obok łóżka zobaczył stojaki do kroplówek i jakiś niewielki sprzęt wyglądający na medyczny. Potworny ból rozsadał mu głowę.

Co się dzieje? Jestem w szpitalu?

Pamiętał, że był w ekowiosce, oddał krew pijawkom, rozmawiał z ludźmi... O czym? Nie mógł sobie przypomnieć. Japończycy, brodacze... Obrazy przesuwaly się bez sensu i składu.

Co się stało? Dlaczego nie mogę się ruszyć?

Potwornie chciało mu się pić. Nie potrafił powiedzieć, jak długo tu jest. Co jakiś czas się budził i ponownie zapadał w sen. Momentami wydawało mu się, że w oddali słyszy jakieś głosy, ktoś chodził za drzwiami.

Po pewnym czasie przestało mu się kręcić w głowie, obraz stał się wyraźniejszy. Dochodził do siebie. Obejrzał swoje ręce; nie miał szans, aby rozerwać krępujące go skórzane pasy.

Jestem w jakimś wariatkowie?

Wydało mu się, że słyszy męskie głosy. Ktoś się zbliżał... Kliknął zamek w drzwiach... Ktoś zapalił światło.

Mikołaj zmrużył oczy. W drzwiach stał barczysty mężczyzna z grubymi czarnymi brwiami. „Pan Tytus”. Mikołaj w jednej chwili przypomniał sobie ich spotkanie na parkingu i zacisnął zęby.

Mężczyzna zbliżał się powoli, a za nim pojawił się ktoś jeszcze. Nad kozetką pochyliła się jakaś postać. Widząc ją, Mikołaj poczuł ulgę pomieszaną z irytacją.

– Co to za głupia zabawa? – wychrypiał. – Odbiło ci?

I wtedy we wpatrzonych w niego oczach dostrzegł zaskoczenie, a potem coś, co sprawiło, że oblał go zimny pot. Zrozumiał, że to nie żart.

To było czyste, przerażające szaleństwo.

## Rozdział 34

Zuzanna Brodzik zamknęła drzwi służbowego pokoju, padła na krzesło i opierając głowę na biurku, załkała bezgłośnie. Na szczęście była sama, nikt nie widział, jak łzy płyną jej po twarzy. Są takie dni, kiedy świat po prostu boli.

Rano pan Jurek przyjechał wcześniej niż zwykle. Zastukał do drzwi, gdy szykowała się do pracy.

– Nigdzie pani nie pojedzie, dopóki nie zje! – Zagonił ją do turystycznego stolika nakrytego serwetką. Stały na nim talerze i termos z kawą.

– Swojskie. Sam robiłem. – Wskazał wędlinę pokrojoną w plasterki. – Polecam salcesonik, nikt go już prawie nie robi.

Sprawnie odkroił pajdę chleba i zrobił kanapkę dla Zuzy.

– Niech siada!

Posłusznie usiadła i odgryzła mały kęs.

– Ja widzę, co się dzieje. – Majster zajął się teraz swoim śniadaniem. – Pani oddaje mi wszystkie pieniądze i nie ma na jedzenie. Tak nie może być! Lodówka pusta! Paczka bobu na dzień? To nie jedzenie!

O tym, że lodówka jest pusta, musiał wiedzieć, bo codziennie chował do niej obiady przywożone z domu. A była pusta, bo istotnie tak się złożyło, że Zuza oddała majstrowi prawie całą swoją pensję. Miała porobione skromne lokaty z pieniędzy babci, ale kolejną mogła zlikwidować najwcześniej za dwa tygodnie. Uznała, że do tego czasu przeżyje na chlebie z dżemem i gotowanym bobie, który jest pożywny, ma dużo białka.

– Jak pani nie ma teraz pieniędzy, to ja poczekam.

Ścisnęło ją w gardle; z trudem przełknęła kęs pysznego wiejskiego chleba.

– Nie ma potrzeby, ja lubię bób... Dziękuję, panie Jurku.

Zjadła śniadanie do ostatniego okruszka.

Majster ją wzruszył. Na co dzień zręczliwy, wszechwiedzący, robił zawsze wszystko po swojemu. A tu, proszę, jakie ma serce.

Zamiast do pracy pojechała do Golic, do stolarza, któremu dała zaliczkę, by pomagał panu Jurkowi. Postanowiła stanowczo zażądać albo zwrotu pieniędzy, albo wywiązania się z obiecywanej pracy. Żona fachowca bez słowa zaprowadziła ją na podwórko.

– Coś pani najlepszego zrobiła, dawać mu pieniądze? – Z goryczą wskazała ciemny kąć pod balkonem obrośniętym dzikim winem i wróciła do swych zajęć.

Zuza powoli odgarnęła splątane pędy. Za zieloną zasłoną z liści siedział na ziemi stolarz. Był brudny, bełkotał coś do siebie i nie miał kontaktu z rzeczywistością. Jakakolwiek rozmowa z nim nie miała sensu, nie mówiąc o stawianiu żądań. Ten widok nią wstrząsnął; jechała do komisariatu, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

Przez pół dnia dobijała się do kryminalnych o obiecywane analizy.

– Czy gdybym nie była kobietą, dostałabym je szybciej? Albo gdybym pracowała w komendzie w Siedlcach, a nie na komisariacie w Mordach? – wypaliła w końcu.

Nic się nie układało. Nic.

Chyba będę miała okres!, pomyślała, ocierając łzy.

Świat ją bolał do szpiku kości.

– Nie nadaję się na policjantkę... I jeszcze to imię... Zuzanna... Buuuu...

Gdzieś z tyłu głowy kołatała się myśl, że hormony to największy wróg kobiety. Bo przecież jutro, zamiast szlochać, będzie miała ochotę strzelać do wszystkiego i wszystkich. Ale to będzie dopiero jutro. Dziś po prostu trochę popłacze.

– Buuu...

Przygarbiony Tytus patrzył, jak jego pracodawca zaciska pięści, by stłumić wściekłość. No, stało się, no... Skąd mógł wiedzieć, że...

– Duży, zdrowy! – przedrzeźniał go Szef. – Coś ty zrobił, durniu?!

Tytus marzył, aby stać się niewidzialnym. Chciał dobrze, wyszło źle.

– Szefie...

– Wyjdź!!! Zostaw mnie samego! Muszę pomyśleć.

– Ja nie wiedziałem...

– Zawsze ci powtarzałem: tutejszych! Takich, których nikt nie będzie szukał!

– Ale jakby zniknął, to i tak nikt by go nie szukał tutaj. Wymeldował się z hotelu, powiedział głośno, że wyjeżdża. Paragrafa do tej pory nikt nie szuka!

– Wyjdź!

Tytus zamknął za sobą drzwi, a Szef nerwowo chodził po gabinecie.

Ech! Te oczy Mikołaja, gdy zrozumiał... Cholerny Tytus! Cholerny świat!

Nie ma wyjścia... Trzeba to zrobić.

– Tytus! – Wrzasnął, wystawiając głowę na korytarz.

Podwładny pojawił się natychmiast.

– *Latrodectus* – powiedział cicho Szef.

– To nie skorpionem go...? Pajakiem??? – Tytus uniósł brwi.

– Czy ty nie rozumiesz, że on nie może, ot, tak, zniknąć na zawsze? Wiesz, ile ludzi by go szukało?!

Zatrzymał się tuż przed Tytusem, a ten aż się cofnął.

– Zrozum, durniu, że muszą go znaleźć! Najlepiej w jego własnym domu! W łóżku albo pod prysznicem...

– Aaaa! – Tytus w końcu zrozumiał. – Serce wysiadło!

– Dasz radę pobrać jad?

– Ja?!

– Tak myślałem! Naprawdę nie wiem, Tytus, po co ja cię trzymam!

– Mogę spróbować. – Podwładny powiedział to tak, jakby już żegnał się ze światem.

Szef wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

– Nawet jak cię jedna ukąsi, przeżyjesz. Pogłoski o sile jadu czarnych wdów są mocno przesadzone.

– No jak to? Przecież...

– Policjanci i maratończyk umarli, bo dostali większą dawkę, niż otrzymuje się przy jednym ukąszeniu. Dlatego musimy się dziś pobawić z naszymi wdowami... A potem zrobić jedno mikroskopijne nakłucie. Przygotuj wszystko.

Tytus bez entuzjazmu wyszedł z gabinetu. Wiele razy się przyglądał, jak Patejuk po mistrzowsku produkował śmiertelne zastrzyki. Używał do tego wielkiej stojącej lupy, długich pęset, statywu do fiolek i zasilacza wysyłającego niewielkie impulsy elektryczne. Niby proste... Ale *Latrodectus mactans* miały złą sławę, a on tak do końca Szefowi nie wierzył...

Pewne było to, że produkcja śmiertelnego zastrzyku zajmie trochę czasu. Może nawet do jutra. Szef najwyraźniej pomyślał o tym samym, bo mruknął, wychodząc:

– Podaj mu coś na sen.

## Rozdział 35

Panie doktorze, czy ona może mnie słyszeć?

Doktor Kołodziej położył dłoń na ramieniu Ireny, jakby chciał jej dodać otuchy.

– Proszę do niej mówić – odrzekł zachęcająco.

Wyszedł z sali, a Irena zdała sobie sprawę, że nie odpowiedział na jej pytanie. Czy powinna dalej przemawiać do matki, w nadziei, że ona ją słyszy? A może ta rozmowa miała pomóc jej samej?

Przysunęła do łóżka taboret, który odstawiła w kąt podczas wizyty lekarza. Stan chorej nie uległ zmianie. Nadal oplatały ją rurki, aplikowano jej kroplówki, a monitor z kolorowymi liniami pikał regularnie. Jedyne twarz matki wydawała się bardziej przezroczysta.

– Cierpisz? Daj jakiś znak...

Irena z uwagą wpatrywała się w opuszczone powieki. Te ani drgnęły.

– Tyle się dzieje... Jak wrócisz do domu, sama zobaczysz. Pan Maciek wymieni ci wskaźnik paliwa w „cytrynce”, wiesz? Chyba nie masz nic przeciwko temu, że Karol teraz nią jeździ? Wczoraj zatankował, a wskaźnik nawet nie drgnął... Karol mówi, że to z tęsknoty za tobą. Chłopcy zawiozą „cytrynkę” do warsztatu, pan Maciek ją naprawi. Widzisz, „cytrynka” też chce, żebyś już wróciła... Ignacy dochodzi do siebie. Lekarze mają go dość, bo robi im awantury, że zepsuli mu nos. Uznał, że przedtem miał ładniejszy. Wiesz, on teraz chce się podobać Reginie. Tak! Reginie! Dziwisz się? Wszyscy jesteśmy w szoku.

A teraz powiem ci najważniejsze... Mikołaj wcale nie uwiódł Reginy! Ona to wszystko zmyśliła! No, może nie zmyśliła... raczej ubzdurała sobie. Olga się wściekła, że my wszyscy tak skoczyliśmy na Mikołaja, a on Bogu ducha winny. Twierdzi, że pewnie nawet nie wie, co tak naprawdę zaszło między nim a Reginą, i sam siebie uważa za ostatnią świnię. Podobno był pijany... Dzwoniłam do niego, ale nie odbiera telefonu.

Mamo... Dlaczego wtedy powiedziałaś... Myślałaś, że będziemy razem, ja i Mikołaj?... Ech, nieważne. Ale powiem ci, że czuję ulgę. Wielką ulgę! Ja wcale nie chciałam, żeby Mikołaj i Regina... Niech ona sobie będzie z Ignacym. Na pewno będą żyli długo i nieszczęśliwie. To żart! Oczywiście życzę im jak najlepiej, ale Olga mówi, że już teraz nie można z nimi wytrzymać... Olga zresztą to oddzielny temat. Umówiłam się dziś z nią na rozmowę. Myślę, że nie będzie łatwo. Potem ci wszystko opowiem.

Aha... Marzenka jeszcze się nie odezwała. Nie wie, że ty...

To teraz śpij, odpoczywaj. Wiem, że dasz radę! Zostawiłaś niedokończony obraz na sztalugach.

Irena pochyliła się nad matką. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby ją chciała pocałować, ale w końcu tylko odgarnęła jej włosy z czoła. Po prostu nigdy nie okazywały sobie czułości.

Przyjechała do domu, który wydał jej się pusty. Ma w końcu to, czego chciała: jest sama w absolutnej ciszy, ale teraz nie umiała się w niej odnaleźć. Zaparzyła kawę i usiadła na werandzie.

Wracając do domu, próbowała się dodzwonić do Mikołaja, ale nie odbierał. Czy obraził się za to, że traktowała go jak powietrze?

Ach, ta Regina! Tak namieszać! Dziewica od siedmiu boleści.



Irena jeszcze nie rozmawiała z przyjaciółką, wysłuchała jedynie opowieści rozwścieczonej Olgi.

A, właśnie! Olga! Już powinna być!

Jak zwykle się spóźnia. Irena zadzwoniła do przyjaciółki.

– No, co z tobą? Czekam – zaczęła zmęczonym głosem.

Po chwili ciszy usłyszała:

– Iirka? Kochana!

I wszystko jasne.

– Znowu jesteś pijana – westchnęła z rezygnacją.

– Jestem szczęśliwa! – W głosie Olgi słychać było euforię. – Pozwolisz, że dziś nie przybędę w twoje gościnne progi, ale... ale... – Zaśmiała się. – Czekają mnie upojne chwile! Irka, nie gniewaj się, ale sama rozumiesz, że trochę mi się od życia należy.

– Mogłaś chociaż zadzwonić, że nie przyjedziesz. Posiedziałabym jeszcze przy matce.

– Oooo, przepraszam, kochaaana... ale mnie też zaskoczyła ta zmiana planów. Jestem szczęśliwa! Już to mówiłam?

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Irena przymknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. No proszę, jak szybko Olga pocieszyła się po Sebastianie, już ma nowego kochanka. Kim jest ten szczęściarz?

Na pewno jakiś młodzik, jak zwykle... A, co ja jej będę żałować, też mam kochanka.

Pomyślała o Andrzeju, lecz jego miejsce zaraz zajął Mikołaj.

Nie spał z Reginą! Ha!

Humor jej się poprawił.

## Rozdział 36

Jest! Jest analiza!

Być może przyszła jej kolej, a być może poskutkował wczorajszy wybuch. Oto miała przed sobą listę miejsc, w których logował się telefon Patejuka. W Zuzannę wstąpił nowy duch i energia. A jako że dziś miała ochotę strzelać do wszystkiego, co się rusza, darowała sobie spotkanie z prokuratorem Szatanem.

– Nie baw się w kowboja – radził jej Łukasz, gdy powiedziała mu, że pojedzie sama na rekonesans.

– Dla niego sprawa jest zakończona, a ja wiem, że nie jest!

Pojechała do domu, żeby się przebrać. Włożyła dres, wzięła lornetkę i wklepała w nawigację współrzędne miejsca, które pojawiało się najczęściej w analizie. Gdy sprawdzała je na mapie, pokazywały jej się okolice Mielnika w powiecie siemiatyckim. Głos Hołowczycy polecił: „Jedź prosto, następnie skręć w lewo”.

Ruszyła energicznie z miejsca, a widząc kątem oka, jak pan Jurek sceptycznie kręci głową, zatrzymała się gwałtownie.

– Słucham? – Spojrzała zaczepnie na majstra.

– Nic nie mówię! – W obronnym geście podniósł rękę.

„Jedź trzydzieści kilometrów prosto” – powiedział Hołowczyc, gdy wyjechała na główną trasę.

– Tylko mi, Hołowczyc, nie róbcie numerów – warknęła, bo nawigacja nie raz już wyprowadziła ją na manowce.

Po godzinie jazdy wjechała do Mielnika. Hołowczyc nakazał: „Skręć w prawo”. Minęła jakieś ruiny.

– Kurwa! Hołowczyc!

Miała przed sobą rzekę Bug i żadnego mostu. Wściekła wysiadła z auta i stanęła na skarpie, patrząc w rwący nurt. Było pusto, żadnych ludzi.

Zawróciła do głównej drogi. Gdzie jest to cholerne zoo, w którym pracował Patejuk? Na pewno nie w samym Mielniku, bo za dużo tu turystów.

Zatrzymała się przy tablicy informacyjnej w centrum miejscowości. Mapa wskazywała najciekawsze miejsca: taras widokowy, kopalnia kredy, góra Uszeście... Jak teraz jechać? Rozejrzała się bezradnie. Na skwerze, na ławeczce w cieniu drzew, siedziało dwóch starszych panów. Między nimi stały rozłożone szachy, obaj z namysłem wpatrywali się w planszę.

– Dzień dobry, chyba się zgubiłam. – Zuzanna spojrzała z nieszczęśliwą miną na graczy.

– Niemożliwe! Taka ładna dziewczyna na pewno szukała nas, chłopców z dobrego przedwojennego materiału! – Jeden ze starszków zaprezentował garnitur sztucznych zębów i szarmancko uchylił kapelusza. Drugi szybko przesunął jakiś pionek.

– Panowie tutejsi?

– Całe życie! Nawet partyzantkę w tych lasach uprawialiśmy.

– Och, to panowie są bohaterami!

– Dokazywało się, dokazywało. A pani do kogo?

Zuzanna miała już przygotowaną historyjkę.

– Przyjechałam tu aż z Sanoka i szukam przyjaciółki. Mówiła mi przez telefon, że

zatrzymała się w odludnym miejscu, w pobliżu którego ktoś hoduje dziwne zwierzęta. Tak powiedziała: „dziwne”. Nie wiem, co to znaczy, ale chyba nie krowy.

– Dziwne zwierzęta? – Starszy pan się zastanawiał. – Dziwne zwierzęta to mają tylko turyści. Wczoraj była tu taka piękna pani z torebką na ramieniu, a w torebce zielony ptaszek siedział. Papuga. Wszyscy chcieli ją głaskać, ale się okazało, że łapie dziobem do krwi. Ach, jaka to była piękna kobieta! – Starszy pan się rozmarzył. – Czekala na prom i tak sobie chodziła z tą torebką i papugą.

– Prom? Tu jest prom?

– A jest, jest. Za unijne pieniądze zbudowany, tylko latem funkcjonuje. Po drugiej stronie zaraz jest Zabuze, a tam piękny dworek. Może w tym dworku hodują jakieś zwierzęta? Czego się teraz nie robi dla przyciągnięcia turystów. – Starszy pan nadal prezentował idealne użębienie. Zerknął na szachy i uśmiech mu zgasł. – A co ty, Zdzisiu, za rozbój uprawiasz? – huknął na partnera. – Kiedy... jak... no, wiesz, co!

Zuzanna chwilę później wjechała na platformę promu. Gdy wylądowała po drugiej stronie, Hołowczyc powiadomił ją radośnie: „Jedź trzy kilometry prosto”.

Parę minut później oznajmił: „Dojechałeś na miejsce”.

Była w środku lasu.

– Hołowczyc! Wrrr!

Zaczęła walić dłońmi w kierownicę, ze złością zerwała nadajnik i wyrzuciła przez okno. Wskoczyła za nim i zaczęła go deptać, na koniec energicznym kopnięciem posłała w kosmos. Gdyby miała z sobą broń, wpakowałaby w niego magazynek.

Założyła dłonie na kark i dla uspokojenia zaczęła chodzić tam i z powrotem.

Coś błysnęło. Zawróciła. Na drzewie, na wysokości kolan, ktoś zamocował kawałek światła odblaskowego. Wyglądało to tak, jakby o drzewo otarło się auto, pozostawiając fragment lampy, ale Zuza wiedziała, że jest to stary sposób oznaczania miejsc, w których trzeba skręcić. Zerknęła w leśną dróżkę odbiegającą w bok. Chwilę później jechała nią powolutku.

– Jasna cholera...

Patrzyła zdumiona na wielki betonowy mur, który nagle przed nią wyrósł.

– Dobra, Hołowczyc, sorry...

Teraz wiedziała, że dojechała na miejsce.

Szef miał już to, czego potrzebował. Leżała przed nim fiołka ze śmiertcionym płynem, wystarczy nabrać go do strzykawki i zrobić zastrzyk igłą cienką jak włos.

Źle spał tej nocy. Skończyli wczoraj bardzo późno i postanowił odłożyć wszystko do rana. Myślał, że przyśni mu się Mikołaj, ale nie...

Wybrał numer Tytusa.

– Gdzie jesteś?

– W pawilonie, Szefie.

– Przyjdź do gabinetu. Ty zrobisz zastrzyk.

Podwładny pojawił się kilka minut później. Szef nie patrzył mu w oczy.

– Zagładałeś rano do niego?

Tytus przytaknął.

– Był przytomny, chciał z panem rozmawiać.

Szef w skupieniu nappełnił strzykawkę jadem.

– Chciał ze mną rozmawiać? Co mu powiedziałeś?

– Że jeszcze pan do niego przyjdzie.

Szef zacisnął szczęki.

- Trzymaj. – Podał strzykawkę Tytusowi. – Postaraj się zrobić zastrzyk pod pachą.
- Trudno będzie, nie dawałem mu już nic na sen. To kawał chłopca.

Szef machnął ręką.

- To wbij, gdzie ci będzie łatwiej, ja ci nie pomogę! Idź już!

Gdy podwładny wyszedł, wyciągnął czarny notes. Przełożył zakładkę na nową stronę.

Napisał „Ochotnik nr”...

- Jaki to będzie numer?

Spojrzał na poprzednią kartkę i się zamyślił. Przekreślił słowo Ochotnik i napisał: „Mikołaj”. Zerknął na zegarek, po czym dodał:

„Godz. 10.10. Podano jad *Latrodectus mactans*”.

Zuzanna podjechała do bramy. Tabliczka informowała, że obiekt jest monitorowany, a dwie kamery skierowane na podjazd potwierdzały, że nie są to czcze słowa. Zgasiła silnik i wysiadła z auta. Nacisnęła brzęczyk domofonu.

- Słucham? – spytał nieuprzejmie zdecydowany kobiecy głos.

– Dzień dobry – odpowiedziała swobodnym tonem i wyobraziła sobie własną twarz na monitorze w dyżurce ochrony. – Szukam Pawła Patejuka.

Po chwili ciszy nieuprzejmy głos burknął:

- Nie mieszka tu taki.

– Wiem, że nie mieszka, ale przecież pracuje. Nie mogę się do niego dodzwonić, a mam ważną sprawę.

Znowu cisza.

- Kim pani jest?

- Znajomą Pawła.

Cisza.

– Nie pracuje tu taki. – Domofon znowu zatrzeszczał. – Proszę stąd odjechać, jest pani na terenie prywatnej posesji.

Stanowczy głos wykluczał jakikolwiek sprzeciw.

Przez metalowe pręty niewiele było widać, tylko fragment długiego podjazdu. Zuzanna, powstrzymując się od pokazania do kamery wyprostowanego środkowego palca, odjechała w stronę najbliższych pól. Tam skręciła i zaparkowała auto na skraju lasu, tak by zasłoniły je zarośla. Wyciągnęła lornetkę i ruszyła w gęstwinę, zamierzając obejść posesję. Musi być gdzieś miejsce, z którego coś więcej zobaczy.

Szła wzdłuż betonowego muru, który się ciągnął i ciągnął. Szukała kamer, ale jeśli były, to zamontowane wewnątrz, na podwórzu. Działka musiała być ogromna, w pewnym momencie Zuzanna nie wiedziała już, gdzie się znajduje ani ile zostało jej drogi do pokonania. Zawróciła.

Przed bramą nadal było pusto. Weszła w las po drugiej stronie i wdrapała się na drzewo, z którego mogła widzieć podjazd. Nastawiła lornetkę, jednak na niewiele to się zdało, mur był za wysoki, by zobaczyć coś więcej niż dachy zabudowań.

Co teraz? Kłaniać się nisko prokuratorowi i prosić o nakaz, z którym mogłaby tu wejść? Na myśl o Grzegorz Szatanie zacisnęła zęby.

Coś wymyślę!

Zaczęła schodzić z drzewa. Nagle wydało jej się, że słyszy samochód. Wróciła na poprzednie miejsce i przyłożyła do oczu lornetkę. Pod bramę podjechał garbus w cytrynowym kolorze, a ta rozsunęła się, jakby czekano na auto. Zuza wstrzymała oddech.

Widziała już ten samochód! Stał na podwórku Ireny Wilk, a wczoraj Karol przyjechał nim złożyć zeznania. Cytrynowego autka nie dało się pomylić z żadnym innym.

Garbus zatrzymał się na chwilę za bramą. Kobieta w stroju ochroniarza nachyliła się do okna kierowcy. Na czoło miała nasuniętą bejsbolówkę, włosy zebrane w koński ogon. Śmiała się i kiwała energicznie głową, musiała znać kierowcę. Auto ruszyło i zniknęło z pola widzenia, a rozbawiona strażniczka patrzyła za nim przez chwilę, po czym wróciła do budki i brama się zasunęła.

Serce Zuzanny biło jak oszalałe, pulsowało jej w skroniach. Cholerny Szatan miał rację?! Co tu robi Karol Wilk?!

Irena przeciągnęła się leniwie. Nie mogła uwierzyć, że zasnęła drugi raz, nigdy jej się to nie zdarzało. Bez względu na to, jak wcześnie wstała, nie wracała już do łóżka na „dosypianie”. Przez otwarte okno wdzierał się intensywny zapach piwonii, w domu było przeraźliwie cicho. Poczula się dziwnie. Czy teraz będzie musiała uczyć się na nowo życia w pojedynkę, bez gości i ciągłych niezapowiedzianych odwiedzin?

Karol ze Spirosem wyjechali rano, zabierając przy okazji „cytrynkę” do warsztatu pana Maćka. Irena umówiła się z synem, że wróci po południu i razem pojedą do szpitala. Miała dużo wolnego czasu.

Przewróciła się na drugi bok i zacisnęła powieki, żeby przywołać oddalający się sen. Był w nim chyba Mikołaj, ale im bardziej próbowała sobie przypomnieć jakieś obrazy, tym stawały się odleglejsze. Mikołaj... Kiedy właściwie ta ich przyjaźń okrzepla i spowszedniała?

Pomyślała o ciężkich latach po rozwodzie. Mikołaj po prostu przy niej był. Nie mogła wtedy patrzeć na mężczyzn, a każdy, który chciał się do niej zbliżyć, budził odrazę. Miała z tym wielki problem, bo jednocześnie pragnęła bliskości i poczucia bezpieczeństwa, jakie dają męskie ramiona.

– Możesz mnie przytulić? – prosiła Mikołaja, gdy już było bardzo źle, a on bez słowa stawał przy niej, jak mur odgradzający od złego świata. Nigdy nie wykorzystał jej słabości.

Mikołaj...

Od chwili, gdy Olga powiedziała jej, co naprawdę zaszło, Irenie chciało się śpiewać z radości. Nie spał z Reginą! Nie planował z nią ślubu! To było jedno wielkie nieporozumienie!

Irena wtuliła głowę w poduszkę i przywołała w pamięci twarz przyjaciela. Uśmiechnęła się.

Mikołaj...

Dlaczego nie odbiera telefonu?

Półmrok był błogosławieństwem dla oczu. Ból w ramieniu się nasilał.

Co on mi wstrzyknął?... Co on mi...

Ciałem Mikołaja wstrząsały dreszcze, chyba miał wysoką gorączkę. Chciało mu się pić, usta mu spierzchły i tracił ostrość widzenia. Kontury terrarium zamazywały się. Ramię pulsowało trudnym do zniesienia bólem, do gardła podchodziła fala mdłości.

To szaleństwo... Że też niczego się nie domyśliłem...

Próbował analizować fakty, składać w całość luźne informacje, słowa, ale myśli mu się rwały. Co jakiś czas przysypiał, sen był błogosławieństwem...

Miałem piękne życie.

Mógł nim obdzielić kilka osób, niczego by w nim nie zmienił. No, może inaczej by rozegrał to z Ireną...

„Miałem”? Dlaczego „miałem”?

Krew pulsowała mu w skroniach...

Bo nie wyjdę z tego.

Nikomu nie mówił, dokąd jedzie, nikt nie wie, gdzie jest. Nawet on sam nie wiedział, gdzie się znajduje... Umiał realnie ocenić sytuację.

W jego umysł wdarło się nagle pytanie:

Czy tak umierał Bartnicki?

Ból. Boże, co za ból!

Czuł, że nogi mu drżą.

Irena...

Szkoda, że nigdy jej nie powiedział...

Irena...

## Rozdział 37

Karol Wilk!

Zuzanna nie wiedziała, na kogo jest bardziej wściekła: na prokuratora Szatana, że bezbłędnie wytypował mordercę; na Karola Wilka, który okazał się wytrawnym graczem wodzącym ją za nos; czy na siebie – koncertową, naiwną idiotkę.

Cholerny „Łoś” był górą! Już widziała ten pełen satysfakcji uśmiezek: „No, i co, Sherlocku?!”.

Decyzję podjęła w jednej chwili. Może każdego innego dnia postąpiłaby inaczej, ale dziś...

Pobiegła wzdłuż muru do miejsca, które podczas rekonesansu uznała za łatwe do sforsowania. Wystarczyło wspiąć się na rozłożystą sosnę i zsunąć na betonowe przesłó. Zajęło jej to moment. Przytrzymując się gałęzi, popatrzyła wokół. Było jasne, że jeśli zeskoczy na drugą stronę, może mieć kłopot z powrotem. Zawahała się.

Myśl!

Gdyby mogła coś przywiązać, co jej pomoże się wspiąć... Zdjęła bluzę od dresu. Przerzuciła rękaw przez konar i mocno obwiązała wyciągniętym ze spodni sznurkiem. Sprawdziła, czy węzeł trzyma. Opuściła bluzę na stronę posesji i uwiesiła się na niej. Dobrze jest! Ma drogę powrotu! Wystarczy podskoczyć, by ją złapać i przy pewnym wysiłku wdrapać się na mur!

Przebiegło jej przez głowę, że oto ryzykuje całą swoją karierę, której na dobrą sprawę jeszcze nie zaczęła. W następnej chwili skoczyła.

Znalazła się na czymś, co wyglądało jak więzienny spacerniak, parę metrów za murem biegło bowiem drugie solidne ogrodzenie z metalowych prętów. Ze spacerniaka chyba jednak nikt nie korzystał, bo był zarośnięty wysoką trawą. Zuzanna ruszyła pochylona w stronę zabudowań.

Nie widziała i nie słyszała, że za jej plecami ktoś inny także przeskoczył przez mur, w miejscu, w którym pozostawiła bluzę. Nie miała pojęcia, że podąży za nią cień.

Szef spojrzał, kto dzwoni, i odebrał połączenie.

– Jesteś już? – zapytał pośrednika. – Idź obejrzyć młode, a ja przyjdę niedługo...

Muszę coś załatwić.

Odłożył telefon i wrócił do notatek. Wpisywał dane:

*Wzrost – ok. 195 cm, waga – ok. 110 kg.*

Przerwał na chwilę, by zerknąć na monitor. Znowu zaczął pisać.

*Po czterdziestu minutach od podania jadu pojawiają się pierwsze objawy latrodektyzmu: gorączka i skurcze mięśni.*

– Bardzo szybko postępuje – mruknął ze zdziwieniem.  
Spodziewał się, że niebawem pojawią się wymioty i drgawki. Cóż... Mikołaj otrzymał solidną dawkę jadu. Bo po prostu musiał umrzeć.

Irena gwałtownie usiadła na łóżku. Jednak znowu zasnęła!

– Mikołaj?

Wyjrzała przez okno sypialni.

Podwórce było puste. Żadnego samochodu, żadnych gości. Widocznie jej się przyśniło, że Mikołaj wchodzi do domu i ją woła. Tak lekko i radośnie jak kiedyś.

Jestem sama. Nareszcie sama, pomyślała.

Dlaczego dziś jej to nie cieszyło?

Aspirant Brodzik ciekawie przyglądała się posesji, urządzonej na wzór prawdziwego zoo. Widziała głązy imitujące urwiska skalne, sztuczne pagórki, drzewa poprzycinane w japońskim stylu, sadzawki. W kilku miejscach teren przecinały dodatkowe solidne kraty. Zdziwiło ją tylko, że jest cicho. Żadnych krzyków, ryków, szczekania psów...

W metalowym parkanie, wzdłuż którego się skradała, co jakiś czas umiejscowione były wąskie furtki. Nie miały klamek. Zatrzymała się przy jednej z nich i zobaczyła, że jest zamykana od środka na zwykłą zasuwkę. Wsunęła dłoń między pręty i bez problemu poradziła sobie z zamkiem. Weszła na teren zoo.

Z początku wydawało jej się, że znalazła się na pustym wybiegu. Nad sporą sadzawką stał murowany domek z oszklonym frontem, woda wpływała do wnętrza. Przyglądała się temu zdziwiona, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Spojrzała w tamtą stronę i zamarła. To, co wzięła za kawałek drewna, okazało się gadem o brunatnozielonej skórze. Krokodyl? Aligator? Wpatrzona w gada cofała się powoli w stronę furtki.

O Boże!

Gdy znalazła się z powrotem na spacerunku, osunęła się na ziemię. Przycisnęła policzek do wilgotnej trawy i głęboko oddychała. Czuła, jak trzęsą jej się nogi, widok gada był szokujący! Mokre włosy przylepiły jej się do czoła i karku. Usłyszała plusk, jakby coś wskoczyło do wody.

Czy on mnie wyczuł?, zastanawiała się. Cholera! A jeśli pachnę smakowicie? Właściwie może już wracać, przekonała się na własne oczy, że jest tu nielegalne zoo.

Na pewno chodzi o przemyt!

Wiedziała, że to gra o wielkie pieniądze. Tak duże, że warto dla nich zabić.

Dobra, koniec bohaterstwa!

Nikomus się nie przyzna, co przed chwilą przeżyła. Była tak spocona, że zwabiła chmurę much, których było tu jakby więcej niż gdziekolwiek indziej. Może z powodu zwierząt? Bzyczący rój krążył wokół niej.

Nagle wydało jej się, że usłyszała w pobliżu jakiś szmer. Przywarła mocniej do ziemi, a serce mało nie wyskoczyło jej z piersi. Czas zamarł w miejscu.

Coś się skrada!

Człowiek?! Zwierzę?!

Ile czasu tak już leżała? Przysięgłaby, że parę godzin! Nie oddychać!

I wtedy rozległ się dźwięk, od którego ścierpła jej skóra. Gardłowy, głęboki i krótki. Zuzanna zamknęła oczy. Taki ryk słyszała tylko na filmach, a teraz rozległ się gdzieś całkiem



blisko. W jednej chwili przypomniała sobie opowieść pijaczka o braciach Wasilczukach, co to ich lew zjadł...

Jasna cholera, trzeba stąd spieszyć!

Poderwała się na kolana, wykręciła w miejscu, zrobiła kilka kroków na czworakach i zamarła. Powoli odwróciła głowę... Kilka kroków dalej stała strażniczka. Zuzanna szybko oceniła sytuację: bejsbolówka nasunięta na oczy, wyjątkowo wredny uśmiezek i paralizator w dłoni. Znała ten model: Taser X26. Aby go skutecznie użyć, trzeba się zbliżyć na odległość czterech i pół metra, strażniczka podeszła na odległość dwóch...

Przesrane, pomyślała z rezygnacją Zuzanna i zrobiła to, co wydało jej się najważniejsze.

– Dobry wieczór!

Wstała, otrzepała kolana i rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

– Bo wie pani... Bardzo mi zależy, żeby porozmawiać z Pawłem Patejukiem. Nie odzywa się do mnie od jakiegoś czasu, a ja jestem w ciąży. Może go pani zawołać?

Zuza nie wiedziała, czy idąca za nią kobieta uwierzyła w bajeczkę o ciąży. Oceniała, że jej przeciwniczka zna się na rzeczy. Strażniczka była małowówna, zdecydowana i sprawna fizycznie. Od razu kazała sobie oddać telefon i przeszukała Zuzannę, która gratulowała sobie w duchu przezorności: portfel i legitymacja zostały w schowku w aucie. Szkoda tylko było lornetki, którą z satysfakcją zabrała strażniczka. Zuzannie nie pozostawało nic innego, jak posłusznie iść naprzód i rozmyślać nad swoją dolą.

Tak oto zakończy swą świetlaną karierę. Strażniczka zaraz powiadomi policję o wtargnięciu na prywatny teren, a prokurator Szatan osobiście sporządzi akt oskarżenia przeciwko naruszającej prawo funkcjonariuszce... To już koniec.

Nikt nie wezwie policji – dotarło do niej nagle z niezachwianą pewnością.

Nielegalne zoo... Przemyt... Wielkie pieniądze... Znikający ludzie...

Ja też zniknę.

Mimo upału zrobiło jej się zimno.

Szły przez spacerniak, aż zbliżyły się do zabudowań. Strażniczka kazała jej się zatrzymać i otworzyła boczną furtkę. Po chwili weszły do niskiego pawilonu. We frontowej ścianie tkwiły solidne, otwarte teraz kraty. Zuzanna poczuła specyficzny zapach i włosy zjeżyły jej się na karku. Rozległ się groźny ryk, który nie pozostawiał złudzeń: tu mieszkały lwy. A jeśli stary pijaczek Paprocki mówił prawdę, te lwy znały smak ludzkiego mięsa. Zuza zobaczyła drapieżnika za kratą ostatniego pomieszczenia, usytuowanego na wprost wejścia. Zdziwiła się, widząc płową grzywę i białą sierść. Lew albinos? Ale i tak robił przerażające wrażenie, gdy tak chodził nerwowo wzdłuż prętów.

Tylko nie to! Chce mnie wrzucić lwu na pożarcie?!

Z trudem przełknęła ślinę.

Pierwsze pomieszczenie było otwarte i dochodziły z niego odgłosy szamotaniny. Ale gdy Zuzanna stanęła w drzwiach, zamiast spodziewanych kolejnych lwów zobaczyła bijących się mężczyzn. Karol Wilk i Grek Spiros tarzali się w stercie słomy, zadając sobie ciosy. Z ust Greka płynęła krew.

Zaskoczona strażniczka odruchowo wymierzyła taser w mężczyzn, co Zuzanna natychmiast wykorzystała. Dwa precyzyjne ciosy pozbawiły kobietę przytomności, broń wypadła

jej z ręki i zniknęła w słomie. Zuzanna rzuciła się na kolana, rozgrzebując kostki słomy rękami, za jej plecami toczyła się zacięta walka. W chwili, gdy dostrzegła broń, uświadomiła sobie, że zrobiło się cicho. Powoli odwróciła głowę. Stał nad nią Karol Wilk; Grek leżał bez ruchu, z zakrwawioną głową.

Błyskawicznie sięgnęła po paralizator.

– Pod ścianę! – rozkazała, mierząc w przeciwnika.

Przesunął się posłusznie, a ona wstała i nie spuszczać mężczyzny z oczu, podeszła do strażniczki. Wyciągnęła z kieszeni czarnego uniformu swój telefon. Kobieta jęknęła i otworzyła oczy, najwyraźniej dotarło do niej, co się stało, bo próbowała się zerwać z wściekłym charkotem. Zuza, niewiele myśląc, posłała jej obezwładniający strzał.

– Wciągnij ją tutaj! – Wskazała kąt pod oknem.

Karol wykonał polecenie, ułożył nieprzytomną kobietę na posadzce.

– Wspólnika też! Co, pokłóciliście się o zyski? Świetnie, zaoszczędzę nabój.

– Wymierzyła w Wilka. – Koniec zabawy! Prowadź mnie do tego, kto tu rządzi.

Karol uśmiechnął się krzywo.

– Chyba nie będę zbyt przydatny. Nie wiem, kto tu rządzi.

– Prowadź! Zaraz wpadną tu moi kumple, a wierz mi... nie chcesz się z nimi spotkać!

– zablefowała ze złowieszczym uśmiechem.

– Kumple? I całe szczęście! – To dziwne, ale się ucieszył. – Bo ta zabaweczka jakoś nie daje mi poczucia bezpieczeństwa. – Ruchem głowy wskazał paralizator.

– Powiedziałam: to koniec zabawy... Widziałam, jak przyjechałeś tu tym cytrynowym garbusem, więc nie wciskaj mi głodnych kawałków. Idziemy!

– Nie przyjechałem garbusem. Samochód mojej matki stoi w lesie... A ja widziałem, jak ty przyjechałaś pod bramę, a potem ukryłaś auto w zaroślach. Przeskoczyłaś przez mur i zapewniłaś sobie możliwość powrotu, wieszając bluzę na gałęzi. Sprytnie. Skorzystałem z okazji. Pozwolisz, że ich zwiążę, okej?

Trybiki w głowie Zuzanny znowu zaczęły się obracać w zawrotnym tempie. Co on kombinuje?

– To kto przyjechał garbusem?

– Spiros.

– Twój wspólnik.

– Niezupełnie.

Mierzyła w niego taserem, w każdej chwili gotowa wystrzelić. Karol zrobił krok w jej stronę.

– Stój!

– Co z twoimi kumplami, długo będziemy czekać?... Bo jedzie tu policja, prawda?

– Policja to ja! – Zuzanna zirytowała się i pogroziła mu paralizatorem.

– Nie wezwałaś nikogo? Kłamałaś?! To wezwij! Dzwon!

Zmarszczyła brwi i niepewnie przestąpiła z nogi na nogę.

– Dzwon!

Zrozumiała, że ten facet nie żartuje. Spojrzała bezradnie na nieprzytomnego Spirosa.

– Co z tobą?! Dzwon!

– Bo, kurde, nie wiem, gdzie jestem! – wrzasnęła z rozpaczą. – Nie mam pojęcia, jak się ta miejscowość nazywa, trafiłam tu po współrzędnych w GPS! Jak mam ich wezwać?!

– Na widok miny Karola warknęła: – Nie próbuj się śmiać!

– Dzwon po kumpli. – Z trudem zachował powagę. – Wytłumaczę im, jak mają dojechać.

- Tylko że... Jestem tu... jakby nielegalnie.
- Dzwon! – Teraz on wrzasnął. – Coś wymyślisz!

Zuzanna wykręciła numer alarmowy.

- Eeee... Usłyszałam wołanie o pomoc i przeskoczyłam przez ogrodzenie
- tłumaczyła mętnie dyżurnemu, gdy już podała mu swoje nazwisko i stopień. – Doszło do usiłowania zabójstwa. Obezwładniłam napastnika, ale nie wiem, jak duża jest grupa... Eee... Potrzebuję pomocy. Niedoszła ofiara wytłumaczy, jak dojechać...

Karol z uznaniem podniósł w górę kciuk. Podała mu telefon, a on wyjaśnił, jak tu dojechać od strony Zabuza.

- Łżesz jak z nut. – Oddał jej aparat. – Jestem pod wrażeniem.
- Zrobiłam z siebie idiotkę! „Niedoszła ofiara wytłumaczy, jak dojechać”!... To się będzie ciągnęło za mną do końca życia!

Karol rozglądał się za czymś, czym mógłby związać strażniczkę i Greka. Dostrzegł na korytarzu kostki słomy i z jednej ściągnął sznurek. Sprawnie krępował dłonie strażniczki i Greka, który zaczął otwierać oczy.

Zuzanna obejrzała boks, w którym się znajdowali. Nad wejściem dostrzegła kamerę.

- Pospiesz się, tu jest monitoring.
- Monitoring? – Karol stanął obok niej i przyjrzał się kamerze. Zaczął nasłuchiwać. – Nie wydaje ci się dziwne, że jeszcze nikt po nas nie przyszedł?

- Może ta strażniczka sama wszystkiego pilnuje? – niepewnie podpowiedziała Zuza.
- A nie dziwi cię, że ten boks jest pusty?

Z głębi korytarza rozległ się przerażający ryk. Zuza zamarła. Gdzieś z podwórza odpowiedziało inne ciche ryknięcie.

Pusty boks, otwarta krata... Nie powinno tu być jakiegoś zwierzaka?

Ryk z głębi korytarza niemal ją ogłuszył. Czy lew wyczuł ich oboje? To dlatego nikt jeszcze po nich nie przyszedł?!

Drżącymi rękami wycelowała taser w otwarte wejście i poczuła, że Karol przysunął się bliżej.

- Musimy się stąd wydostać – szepnęła. – Albo chociaż zamknąć kratę.
- Za późno! – jęknęła.

Na betonowej podłodze korytarza zobaczyła cień... Okrągłe uszy, charakterystyczny kształt czaszki... Lwica, bo nie widać grzywy... A obok druga!...

Potem wszystko stało się bardzo szybko. Do boksu wpadły dwa białe lwiątko wielkości dorodnych psów, rzuciły się na siebie, zakotłowały i chwilę później w radosnych podskokach wybiegły na zewnątrz. Wściekły ryk samca znowu zatrzęsł ścianami pawilonu.

- Jasna cholera! – Zuzanna otarła pot z czoła.
- Ufff... – Karol wypuścił z płuc powietrze.

Spojrzeni na siebie i bez zbędnych słów razem wybiegli na zewnątrz.

Szef bez słowa wpatrywał się w obraz z kamery. Westchnął i spojrzał na zegar. „Sześćdziesiąt minut po ukąszeniu”, zanotował.

Odłożył pióro i ukrył twarz w dłoniach. Cholerny Tytus! Dureń! Idiota!

Wpatrywał się w mokrą od potu twarz Mikołaja, który wyglądał, jakby męczył go niespokojny sen.

Jeszcze tej nocy trzeba będzie przetransportować ciało do Warszawy, do mieszkania fotografa. To będzie najtrudniejszy etap całej operacji. Mikołaj, co prawda, mieszka samotnie, ale

ma wielu sąsiadów. Najlepiej byłoby go zawinąć w dywan, ale kto go wtedy udźwignie? I tak swoje waży. Nie będzie to łatwe... Więc, może jednak jakiś hotel? A meldunek? Za dużo śladów, recepcjoniści miewają zbyt dobrą pamięć... Coś trzeba wymyślić, i to szybko!

Nagle drgnął. Dostrzegł na ekranie jakiś ruch. W rogu pokoju pojawił się cień. Szef zmrużył oczy.

– Co to jest?

Po chwili cień zbliżył się do kozetki, zamieniając się w wyraźną postać. Muzułmanka! Dziewczyna pochyliła się nad Mikołajem i zaczęła odpinać pasy. Szef wybrał numer Tytusa.

– Przyjdź do gabinetu. Szybko!

Patrzył, jak dziewczyna poklepuje Mikołaja po twarzy. Obraz był bez głosu, ale Szef był pewien, że tamta głośno krzyczy.

Przyszedł Tytus.

– Tak, Szefie?

– Chodź tu i popatrz.

Tytus ze zdumieniem gapił się w ekran.

– Jak ona się tam dostała? Już lecę, Szefie – jęknął przerażony.

– Zaczekaj! Chcę wiedzieć, co zrobi.

Mikołaj z trudem usiadł na kozetce. Dziewczyna próbowała go podnieść, zarzuciła sobie jego ramię na kark i robiła wszystko, by dźwignąć ciężkiego mężczyznę. Szef się skrzywił.

– Idę tam! – Tytus nie mógł spokojnie patrzeć na to, co się dzieje.

– Mówiłem, zaczekaj!

Dziewczynie udało się zmusić Mikołaja do wykonania paru niepewnych kroków. Po chwili zniknęli z kadru.

Szef zaklął. Włączył obraz z pawilonu pajęczaków. Czekał. Zaraz potem, tak jak się spodziewał, w kadrze znowu pojawiła się dziewczyna z ledwo idącym mężczyzną.

– Chyba wiem, co chce zrobić. Chodź, Tytus, czas na nas. Może być ciekawie.

Zuzanna i dziennikarz dobiegli do imponującego domostwa, nikt ich nie gonił i nie zatrzymywał. Drzwi na taras były otwarte.

– Nie zaczekamy na policję?! – spytał Karol, widząc, że Zuzanna zamierza się zakraść do środka.

– Ja jestem policją! Już ci mówiłam.

Po chwili znaleźli się w przestronnym salonie; wyglądało na to, że w domu nikogo nie ma. Nagle za ich plecami rozległ się jakiś łoskot. Zuzanna odwróciła się, błyskawicznie wyciągając przed siebie paralizator. Na przewróconym krześle siedziało wielkie łyse kocisko o złych oczach, koniuszek jego ogona drgał w napięciu. Zwierzak wpatrywał się w Karola, a jemu wydało się, że skądś zna to bandyckie spojrzenie.

– Tam jest dobudówka. – Zuzanna wskazała niski pawilon przylegający do budynku.

– Poczekajmy na twoich kumpli. – Karol próbował ją przytrzymać.

Zawahała się na chwilę. Miejscowa policja na dobrą sprawę już powinna tu być...

W tym momencie ciszę przerwał pełen rozpaczny krzyk kobiety, dobiegający z przybudówki. Słyszając go, Karol ruszył przed siebie, nie oglądając się na Zuzannę. Biegł, ile sił, policjantka ruszyła za nim.

Jednocześnie wpadli do środka, z którego dobiegał krzyk. Przestronny pokój był zastawiony terrariami na wysokich metalowych nogach, stojącymi rzędem. Zuzanna przystanęła przy pierwszym i zbliżyła twarz do szklanej ściany, by zobaczyć, co jest za szybą. Odskoczyła z krzykiem, gdy tuż przed jej oczami pojawił się ogromny pająk. Przewróciła się, paralizator wypadł jej z ręki.

Karol pobiegł dalej. To, co zobaczył, zatrzymało go w miejscu. Na podłodze leżał bez ruchu Mikołaj, obok niego krępy mężczyzna z grubymi czarnymi brwiami próbował obezwładnić wyrywającą się Marzenę. Siostra, ubrana w burkę, płakała i okładała pięściami ściskające ją muskularne ramiona.

– Zostaw ją! – Karol rzucił się na mężczyznę.

Ten popchnął dziewczynę z taką siłą, że upadła, uderzając głową w najbliższe terrarium. Szklany pojemnik przechylił się niebezpiecznie. Metalowe nogi uniosły się i przez chwilę zatrzymały w powietrzu, jakby miały opaść na swoje miejsce. Ktoś z tyłu krzyknął:

– Uważaj!

W tym momencie terrarium przewróciło się, uderzając w kolejne, a tamto w następne... Runęły niczym wielkie domino, rozległ się ogłuszający brzęk tłuczonego szkła.

– Niecee!

Zuzanna w panice poderwała się z podłogi, po której rozpierzchły się pająki i skorpiony. Jakiś człowiek w kącie pokoju krzyczał głośno. Leżał przygnieciony jednym z terrariów; w jego stronę biegł już Tytus.

Karol pomógł wstać Marzenie. Miała krwawiącą ranę na czole.

– Nic mi nie jest! Mikołaj!

Oboje pochylili się nad niedającym oznak życia mężczyzną.

– Zabierzmy go stąd! – Karol chwycił Mikołaja za ramiona i pociągnął do wyjścia. Zuzanna podbiegła, by pomóc. Cały czas tupiała nogami, by nie wszedł na nią żaden pająk.

– Cholera! – wrzeszczała. – Ile tu tego jest!

Wyciągnęli fotografa na zewnątrz, ułożyli na trawie. Marzena wróciła do pawilonu, podbiegła do przeszklonej szafki i wyciągnęła z niej ampułkę ze strzykawką. Chwilę później wbiła igłę w ramię Mikołaja.

– To adrenalina! On musi natychmiast trafić do szpitala! Wiem, co mu jest, i wiem, gdzie jest surowica! Dzwon po pogotowie!

– Gdzie ci twoi kumple?! – krzyknął Karol do Zuzanny, przykładając telefon do ucha. Policjantka bezradnie wzruszyła ramionami.

– Brama! Trzeba otworzyć bramę!

Pobiegła do stróżówki, zostawiając tamtych dwoje z Mikołajem. Słyszała za sobą głośny płacz Marzeny i serce jej się ścisnęło... Niestety, wyglądało na to, że medycyna niewiele już może zrobić dla fotografa...

Pilot do bramy leżał w widocznym miejscu. Otworzyła ją dokładnie w chwili, gdy na drodze pojawił się radiowóz.

Przed pawilonem leżał Mikołaj, Karol chodził wokół niego z telefonem przy uchu i tłumaczył, którądy ma jechać karetka.

– Pospieszcie się, proszę!

Pozostawało tylko czekać.

– Surowica! – Zapłakana Marzena podniosła się z kolan. – Trzeba ją dać lekarzom, bo tu nikt nie będzie jej miał.

- Surowica?!
- Podpatrzyłam wczoraj, jak Tytus coś robił z czarnymi wdowami i myślę...
- Marzena ruszyła w stronę przybudówki.
  - Zaraz, zaraz! Sama tam nie pójdziesz!
  - Wiem, gdzie są ampułki, dam sobie radę, a ktoś musi przy nim zostać. – Wskazała Mikołaja.

Karol się wahał.

- Mówiłem ci, że pakujesz się w kłopoty!
- A ja cię ostrzegałam przed Spirosem! – Nie oglądając się, wbiegła do pawilonu.

Uważnie patrzyła pod nogi, doskonale wiedziała, jak niebezpieczne stworzenia uwolniły się z rozbitych terrariów. Musiała jednak dotrzeć do lodówki, w której Tytus trzymał zestaw różnych surowic. Sam jej pokazał, gdzie co jest...

Tytus z bladą twarzą klęczał przy swoim pracodawcy.

- Nie ruszaj się – wyszeptał ostrożnie Szef, starając się nie poruszać ustami.

Przygniatało go terrarium, a po klacie piersiowej wędrował jasny, niemal przezroczysty skorpion. Wykonywał swoisty taniec, dreptał to w jedną, to w drugą stronę z ogonem uniesionym w górę. Tytus wiedział, że w momencie, gdy skorpion poczuje się zagrożony, wbije w skórę Szefa kolec znajdujący się na końcu ogona.

- Szefie... Może go zrzucę... – zaproponował cicho.
- Nie... zdążysz... Nie... ruszaj... się...

Skorpion przewędrował z klatki piersiowej na szyję, wdrapał się na policzek.

Szef powoli wypuszczał powietrze z otwartych ust, a Tytus zamarł. Nagle usłyszał za sobą chrzęst deptanych okruchów szkła. Jadowy kolec błyskawicznie zatopił się w gładko ogolonym policzku. Szare oczy Szefa rozszerzyły się z bólu i niedowierzania. Tytus przycisnął zaciśnięte pięści do skroni, krzycząc przeraźliwie:

- Neeee!!!!

## Rozdział 38

Było do przewidzenia, że po ostatnich upałach nadejdą burze.

Pierwsze krople spadły nagle, w chwili gdy opuszczano trumnę. Irena pierwsza rzuciła garstkę ziemi. Chciała już stąd uciec do szpitala, gdzie mogła wszystko opowiedzieć, wykrzyczeć, wyzalić się... Gdzie w końcu mogłaby się rozplakać, bo nigdy nie płakała przy ludziach, nawet tych bliskich. W szpitalu będzie inaczej, przecież zamknięte oczy nie mogły zobaczyć jej łez.

Wszyscy po kolei podchodzili do grobu... Karol, Marzenka, Olga, Regina, Ignacy... Marzenka płakała, Olga dyskretnie ocierała oczy, Regina patrzyła na trumnę, usta miała zaciśnięte w wąską kreskę, Ignacy wyglądał, jakby przybyło mu lat.

Deszcz lunął z pełną siłą, a niebo przecięła błyskawica. Smutna uroczystość skończyła się szybko.

Irena uniosła twarz i zamknęła oczy.

Dzięki Ci, Boże, za ten deszcz!

Teraz już płakała, czując, jak gorące są te krople, spływające jej z oczu.

Do szpitala pojechała sama. Pielęgniarka powitała ją uśmiechem.

– Wie pani, że dziś przez moment wydawało mi się... Ja bym była dobrej myśli!

Wyszła, a Irena jak zwykle przystawiła do łóżka taboret i wpatrywała się w zamknięte powieki, jakby chciała je otworzyć siłą własnej woli.

Obudź się!, prosiła w duchu. Mam ci tyle do powiedzenia

Jak zwykle, bez skutku.

– Na cmentarzu było bardzo smutno... – zaczęła mówić. – Zgodnie z wolą, pogrzeb był świecki...

Coś ścisnęło ją w gardle, a do oczu znowu napłynęły łzy. Spojrzała do góry i zamrugła, by je powstrzymać, ale nie dała rady i popłynęły.

– Gdyby nie Karol i Marzenka, nie wiem, jak bym to zniosła.

Wyciągnęła z torebki chusteczkę.

– Nikt nie widzi. – Uśmiechnęła się, wycierając oczy. – Dobrze, że moje dzieci nie mają takiego problemu. To naprawdę nie jest fajne, kiedy na pogrzebie myślisz tylko o jednym: żeby się nie rozkleić! A, wiesz, źle oceniłam moje dzieci. Myślałam, że rywalizują między sobą i stracili tę więź, jaka zawsze oboje łączyła. A tymczasem, wyobraź sobie, że oni się nawzajem chronili! Marzena ratowała Karola, a Karol Marzenę.

Westchnęła, myśląc o ostatnich wydarzeniach.

– Zupełnie nie znam się na ludziach! Przyszłoby ci do głowy, że to Spiros zabił tego nieszczęśnika wtedy na ognisku? Tamten chłopak przyszedł, żeby się spotkać z Marzenką, ale ona do tej pory nie rozumie, dlaczego właśnie wtedy się pojawił. Przełożyła spotkanie, wysłała mu wiadomość, że będzie dopiero we wtorek... Nie, nie mogę o tym spokojnie mówić!

Wstała i podeszła do okna. Jeszcze padało, na ulicy tworzyły się kałuże, ludzie chronili się pod parasolami. Jakże inny widok niż przez ostatnie dni.

– Do dziś nie wiem, czemu Marzenka nie pracuje z Karolem. Oboje o tym nie mówią, ale podobno tak okropnie się pokłócili, że nie rozmawiali z sobą. O co im poszło? Może kiedyś

mi powiedzą. Spiros... A ja chciałam go wyswatać z moją córką! – Z niedowierzaniem pokręciła głową i tak ciężko westchnęła, że na szybie pojawił się obłoczek pary. – Ależ byłam głupia! Marzenka przyjechała do Polski, bo bała się o Karola. Kochają się te moje dzieci, wiesz?

Wróciła do łóżka i usiadła na taborecie.

– Spiros to podstępny i bezwzględny drań! Zgadnij, jak wyprowadził w pole i Marzenkę, i Karola. Romansem z Olgą! Nie, ona jest niereformowalna, ta Olga! Mówiłam ci już, że to jej zazdrosny kochanek pobił Ignacego? Spiros udawał, że jest taki zakochany i w ukryciu romansuje z Olgą, a tymczasem, owszem, spotykał się z nią, ale na krótko. Resztę czasu miał dla siebie, na swoją podłą działalność. Karol, którego prosił o dyskrecję, dałby się przecież pokroić, zanimby puścił parę z ust, więc Marzenka do końca nie wiedziała, czy jej informacje o aferze przemytniczej są prawdziwe, czy nie... Ach, bo ty nie wiesz, że tu chodziło o wielki przemyt. Muszę ci to jakoś po kolei opowiedzieć.

Za oknem zagrzmiało, zbliżała się kolejna burza. W sali zrobiło się ciemno.

– Marzenka i ten chłopak, którego zabił Spiros, poznali się na jakimś forum internetowym. Ona szukała wiadomości o farmach śmierci, a on dał do zrozumienia, że może jej pomóc, ale chciał pieniędzy za informację. Ludzie nie przestaną mnie zadziwiać. Farmy śmierci! Banda idiotów urządza sobie polowania i zabawy z groźnymi zwierzętami, mówię ci, ten świat zwariował! Oczywiście, jej zepsuci do szpiku kości turyści życzyli sobie odwiedzić taką farmę. Marzenka nie wierzyła, że istnieją, ale ten chłopak zapewnił ją, że owszem.

Błyskawica rozświetliła mrok sali, a w górze przetoczył się dudniący dźwięk grzmotu. Irena spojrzała na monitor szpitalnej aparatury, jakby się bała, że zaraz wszystko zgaśnie. Uspokojona, że urządzenia działają bez zarzutu, mówiła dalej. Potrzebowała tej rozmowy, układała sobie w myślach wszystkie elementy wydarzeń rozgrywających się wokół, o których tak długo nie miała pojęcia.

– Jak wiesz, Marzenka nie jest głupia, płacić za niepewne informacje nie chciała, bo przecież wyglądało to dziwnie: chłopak z Polski coś wie o farmach śmierci! Wtedy przysłał jej parę zdjęć. Był na nich z jadowitymi pajakami, gadami, skorpionami, a jak jeszcze dodał fotkę karmionych butelką lwiatek, to – jak mi powiedziała – szczęka jej opadła. Lwy w Polsce?! Zrozumiała, że dzieje się coś dziwnego, a ten chłopak rzeczywiście sporo wie...

Przerwała, bo burza była dokładnie nad miastem; błysnęło się gwałtownie i równocześnie zahuczał potężny grom. Miała wrażenie, że przy uderzeniu pioruna wszystko zadrżało. Znowu z niepokojem zerknęła na urządzenia monitorujące czynności życiowe, ale uznała, że nic złego się nie dzieje.

– Marzenka robiła wszystko, żeby się dowiedzieć czegoś więcej, a chłopak był zadowolony z wrażenia, jakie na niej zrobił. Pochwalił się, że czeka jeszcze na coś ekstra, co przyjedzie aż z Nowej Zelandii. Domyślasz się, jak nadstawiła uszu: czyżby miała pod nosem farmy śmierci? Ale nie, okazało się, że chodzi tylko o odbiór niebezpiecznej dostawy od kogoś, kto będzie stamtąd jechał. Termin i parę szczegółów, które wyciągnęła, wskazywały, że albo jest to wielki zbieg okoliczności, albo tajemnicza przesyłka przyjedzie z Karolem! Wyobrazasz sobie, co czuła? Świat jej się zawalił. Nie rozmawiali wtedy z sobą, śmiertelnie obrażeni.

Irena westchnęła. Słyszała, jak deszcz zacina o szyby. Zamyśliła się na chwilę. Mimo klótni z bratem Marzena w jednej chwili zdecydowała, że pojedzie za nim.

– Miała być u mnie w niedzielę, ale kiedy powiedziała w firmie, że leci do Polski, dostała pod opiekę, niejako przy okazji, grupę japońskich turystów. Przez dwa dni zajmowała się nimi, nie zdając sobie sprawy z tego, co zaszło... A potem nie wiedziała, co robić z podejrzeniem, że brat, świadomie lub nie, tkwi po uszy w jakiejś koszarnej aferze...



– Nogi... z dupy... mu powyrywam. – Usłyszała słaby szept.

– O Boże! – Poderwała się, przewracając taboret.

Otwarte oczy patrzyły na nią sennie, ale przytomnie. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe.

– Mikołaj?!...

Nie, nie zdawało jej się!

– Siostrze!... Panie doktorze!...

Po raz drugi tego dnia napłynęły jej do oczu łzy. Tym razem nie wstydziła się ich, mimo że Mikołaj widział lśniące ślady, jakie zostawiały na policzkach.

W małej szpitalnej sali zrobiło się tłoczno. Marzena i Karol siedzieli po dwóch stronach łóżka, szczęśliwa Irena trzymała Mikołaja za rękę, a Regina ostentacyjnie uwiesiła się ramienia Ignacego. Malarz wyglądał jeszcze jak po zderzeniu z czołgiem, siniaki przechodziły właśnie z barwy granatowej w fiolet. Wyjątkowo cicha i spokojna Olga stała w kącie, uśmiechając się jakby z musu.

Mikołaj był jeszcze bardzo słaby.

– Jak sobie pomyślę, że jechałem was ratować, a to wy uratowaliście mnie, to jest mi głupio. Chyba czas na emeryturę. – Patrzył na Marzenę i Karola, jakby chciał oboje przeprosić.

– Wujku, ja też przyjechałam, żeby ratować Karola, a tymczasem to on mnie uratował. Gdyby go tam nie było we właściwym momencie, skończyłabym jak ty. Przecież minuty dzieliły mnie od spotkania ze Spirosem...

Irenie serce zabiło mocniej z radości, gdy zobaczyła, jak rodzeństwo patrzy na siebie. To były znowu jej bliźnięta! Kochające się i rozumiejące bez słów. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, gdy dostrzegła w oczach Mikołaja ojcowską dumę.

Ten sielankowy obrazek zakłóciła Regina.

– Ciągłe nie rozumiem, jak mogłeś się nie zorientować, że przywiozłeś do domu matki bandytę! – Wykrzywiła wąskie usta i zerknęła groźnie na Karola.

– Reeenia! – jęknęły w duecie Irena i Olga.

– Ciociu, podszedł mnie bardzo umiejętnie. Zresztą nie tylko mnie! Miał świetne referencje, bywał w Polsce, idealnie się nadawał na ten wyjazd. – Karol bezradnie rozłożył ręce.

– Zachowałeś się nieodpowiedzialnie!

– Reeenia! – Tym razem zareagował Ignacy, bo Irenie z oburzenia zabrakło słów.

– Trochę mnie zmyliło to jego romantyczne usposobienie. – Karol spojrzał niepewnie na Olę, a ta się zaczerwieniła. – Zacząłem go podejrzewać, dopiero jak zadzwoniła ciocia Ola z pytaniem, kiedy skończymy nagrania, a Spiros powinien być z nią w tym czasie... Przyjrzałem się sprzętowi, który przywiózł, i odkryłem, że w różnych schowkach nie ma obiektywów ani baterii. Wieźliśmy z sobą kupę pudeł i futerałów, a tymczasem na miejscu okazało się, że sprzęt jest dosyć skromny. To było dziwne i niezrozumiałe. Więc pewnego dnia postanowiłem sprawdzić, co on tak naprawdę robi, gdy mówi, że jest u cioci Oli. Wysadziłem go przed blokiem, zaparkowałem za rogiem i czekałem. Spiros spotkał się z jakimś facetem. To był ten Tytus... Pojechałem za nim, ale zniknął w lesie i trochę mi zajęło czasu, zanim odkryłem gdzie. Potem zacząłem obserwować tę twierdzę.

– Twierdzę? – Regina z powątpiewaniem wzruszyła ramionami.

– I to jaką! – Marzena przyszła bratu z pomocą. – Wysoki mur, kamery, kraty, nawet fosy! Ciociu, tam były niebezpieczne zwierzęta!

Resztę opowieści już znali. Spiros przyjechał „cytrynką”, którą zaoferował się odstawić sam do warsztatu, tłumacząc, że i tak będzie w Siedlcach, bo umówił się z Olgą, a Karol sforsował mur, podążając za sprytną policjantką.

- Okazuje się, że Spiros od dawna zajmował się przemytem „jadów”, był w tym dobry.
- Jadów? – Regina nie zrozumiała.
- Tak się mówi na jadowite zwierzęta – podpowiedziała Marzena.
- Jako sprawny operator kręcił się przy różnych ekipach po całym świecie. Do nas przyszedł z bardzo dobrymi referencjami, znał kilka języków. Zero podejrzeń. No, zero!
- Karol pokręcił głową. – Nieźle to wymyślił: przemycać zwierzęta podczas kręcenia filmu o przemyście. Przyszłoby wam do głowy?
- Jak ci mówiłam, że masz na niego uważać – Marzena zrobiła przemądrzałą minę
- to nie chciałeś słuchać.
- Bo głądziłaś o tych farmach śmierci! Wściekłem się. Jakie farmy śmierci?! Dopiero jak z różnych źródeł zaczęły przychodzić informacje, że coś jest na rzeczy, to po prostu bałem się o ciebie. Że tam pojedziesz, wariatko!
- O! Widzicie? – Regina wywróciła oczami. – To jest efekt bezstresowego wychowania.
- Irena z furią poderwała się z taboretu.
- Od kiedy to jesteś ekspertką od wychowywania dzieci? Coś przeoczyłam?
- Dziewczyny... Proszę... – Mikołaj uśmiechnął się słabo. – Powiedzcie mi tylko, co z Januszem...
- W szpitalnej sali nagle zapadła cisza.

Szef był na granicy snu i jawy. Czy to efekt wysokiej gorączki, czy środków przeciwbólowych? Pochyliła się nad nim jakaś twarz. Znał ją.

Ach, to lekarz... Jest w szpitalu... Jak długo?

Chciał o to zapytać, ale nie mógł poruszyć szczęką. Z krtani wydobył się tylko cichy skrzek, a i gardło zapiekło żywym ogniem.

Został intubowany?... Nie... Oddycha sam... Dlaczego więc nie może nic powiedzieć?

Doktor odwrócił się i odszedł.

Szef nie potrafił powiedzieć, jak długo trwało, gdy znowu otworzył oczy. Zobaczył w pobliżu lekarza, który rozmawiał z jakąś młodą kobietą. Razem z tymi dwojgiem stał wysoki mężczyzna i od czasu do czasu włączał się do rozmowy. Było w nim coś, co przywodziło na myśl filmowego Indianę Jonesa.

To ta policjantka. Co się stało? Gdzie Tytus?

Pod jego powiekami zaczęły się pojawiać chaotyczne obrazy.

Safari. Jest na safari? Dlatego tak tu gorąco.

Dosyć tego dobrego, trzeba iść do pracy! Nie, chyba jeszcze. Nie. Spać... Skąd to zmęczenie? Aha, to przez tę podróż... Jaką podróż?

No przecież jest na safari...

Powieki znowu podniosły się z trudem. Lekarz i policjantka stali przy łóżku.

O czym oni tak rozmawiają? Dlaczego ich nie słyszy?... Co on tam ma?

Medyk trzymał w dłoniach czarny notes.

To jego dziennik!... Jakim prawem?!... Tam są notatki o „ochotnikach”!

I nagle przypomniał sobie wszystko, łącznie z przeszywającym bólem, gdy kolec jadowy wbił się w jego policzek tuż nad żuchwą. Chciał dotknąć bolącego miejsca, ale nie mógł

poruszyć ręką. Chciał krzyknąć, ale nie miał władzy nad głosem.

*Hemiscorpius lepturus...*

Znał każdy objaw, jaki występuje po ukąszeniu tego skorpiona... Skrupulatnie je przecież obserwował i zapisywał w czarnym notesie. Rozległe niegojące się rany, wymagające przeszczepów skóry...

Jego twarz!

Paniczny strach spowodował, że zaczął się trząść i wydawać nieartykułowane dźwięki. Do jego łóżka podbiegły pielęgniarki, lekarz zaczął wydawać jakieś dyspozycje.

Policjantka odsunęła się, a w jej oczach dostrzegł... współczucie?

Aspirant Zuzanna Brodzik patrzyła na Janusza Bosaka i z trudem ukrywała satysfakcję. Przyoblekła twarz w wyraz współczucia, bo w końcu okoliczności były dramatyczne, ale wewnątrz pękała z dumy. Miała rację! Miała cholerną, pewną, niezaprzeczalną rację!

Jestem dobra. Co tam, dobra... Jestem świetna! – śpiewało jej w duszy. A „Łoś” może mi buty czyścić!

Nie dane jej jeszcze było spotkać się z prokuratorem Szatanem, bo jakoś nagle stał się bardzo zajęty. Ha! Niech teraz spojrzy jej w oczy i powie: „No, co, Sherlocku?”

Profesor Marek Froglet już przyznał jej rację, a nawet pogratulował intuicji. Doskonale wiedziała, że naukowiec, który dziś kojarzył jej się z filmowym Indianą Jonesem, podobnie jak ona okazuje współczucie restauratorowi, ale w głębi duszy równie niecierpliwie czeka, co będzie dalej. Zabrała Frogleta z sobą, bo przecież jego wiedza o pająkach była bezcenna.

Janusz Bosak nie był już tym pewnym siebie celebrytą, tak ochoczo pozującym paparazzim. Janusz Bosak, którego miała przed sobą, był wrakiem człowieka.

Olga miała minę jak zbity pies. Przeszła ostatnio tyle upokorzeń, które skutecznie odebrały jej pewność siebie, a poczucie wartości przesunęły w okolice zera. Doczekała się w końcu chwili, kiedy Irena była sama. Siedziały w kuchni domu na wsi, który teraz wydawał się cichy i smutny. Olga podsunęła przyjaciółce pod oczy pismo od adwokata.

– Zobacz, czy niczego nie pominął.

– To dobry prawnik, na pewno uwzględnił w apelacji wszystko, co ma znaczenie.

– Irena z irytacją rozglądała się po kuchni. – Gdzież te moje okulary, przecież ostatnio czytałam etykiety na lekarstwach.

– Może zabrałaś do sypialni? Skoczę, sprawdzę. – Olga poderwała się z krzesła.

– Nie!!!! Nie w sypialni!

– Dobra, nie krzycz!... – Urażona Olga z powrotem opadła na krzesło. – Wszyscy mnie teraz traktują jak chłopca do bicia, więc, proszę, nie krępuj się. Krzycz, wal na oślep, należy mi się – powiedziała żałośnie i zaczęła uderzać czołem w blat stołu.

Irena z zadowoleniem przyjęła ten akt samokrytyki, który oszczędził jej mętnych tłumaczeń, dlaczego nie chce, by przyjaciółka buszowała po sypialni. Na myśl, że mogłaby znaleźć fluorescencyjny wibrator spoczywający nadal w szufladzie nocnej szafki, skóra jej ścierpła.

– Przeczytaj mi. – Oddała pismo Oldze.

Prawnikiem rzetelnie podszedł do powierzonej mu sprawy, apelacja brzmiała przekonująco.

– Pozostaje czekać... – Irena westchnęła i podniosła się z krzesła. – Naprawdę mi

przykro z powodu tego wyroku i... tych wszystkich innych rzeczy – zakończyła szybko, bo nieopatrznie dotknęła drażliwego tematu.

- Przynajmniej uwolniłam się od Sebastiana. – Olga uśmiechnęła się gorzko.
- Wiesz... Mnie też przykro z powodu twojej mamy...  
Irena milczała. Nie mogła, nie umiała jeszcze o tym mówić. Oparła się o szafkę.
- Ira... To przeze mnie. – Olga zaczęła płakać. – Gdyby twoja mama nie przeraziła się widoku rannego Ignaca... Gdyby Seba nie był taki zazdrosny... I może gdybym była trzeźwa...  
– Przestań. To nie twoja wina. Miała chore serce, a ja o niczym nie wiedziałam.
- Ciężko opadła na krzesło. Odechciało jej krzątania, gotowania i wszystkich tych prozaicznych codziennych czynności, które zazwyczaj dawały jej poczucie bezpieczeństwa swą przewidywalnością i niezmiennością. – Ciągle się zastanawiam, dlaczego matka przyjechała tak nagle, bez zapowiedzi. Chciała mi o czymś powiedzieć? O chorobie? Została po niej mała apteka, tyle brała leków. Ukrywała to, nie widziałam ani razu, by cokolwiek łykała... Nie płacz.
- Lubiłam twoją mamę. Cały czas wierzyłam, że się obudzi, że z tego wyjdzie!
- Ja też przez moment byłam pewna, że tak będzie. Zawsze stawiała na swoim! Odejść tak bez jakiegoś efektownego gestu? To do niej niepodobne... No nie rycz...

Olga posłusznie otarła oczy.

– Naprawdę nie powiedziała ci nic o ojcu? Nadal nie wiesz, kto to? Może przyjechała, żeby ci powiedzieć, ale nie zdążyła, co? Chociaż, wierz mi... Ojców, których przy nas nie było, lepiej nie poznawać.

Irena tępo wpatrywała się w stół. Matka zabrała z sobą tajemnicę do grobu. Czy rzeczywiście chciała wyjawić ten skrzętnie ukrywany sekret i po to przyjechała, wiedząc o postępującej chorobie? W jej domu nie było żadnych dokumentów, żadnych starych listów, które mogłyby wskazać jakiś trop.

– Jednak postawiła na swoim... Nigdy nie będę wiedziała, czy jestem owocem nieszczęśliwej miłości, wakacyjnego szaleństwa, gwałtu czy może jakiegoś ostrego picia i urwanego filmu.

– Urwanego filmu? Do mnie pijesz, prawda? – Olga się skrzywiła. – Ile razy mam ci mówić, że nie mam problemu z alkoholem?! Potrafię się kontrolować. Piję, kiedy chcę, a nie dlatego, że muszę!

- Ta dyskusja nie ma sensu. – Irena podniosła ręce zrezygnowanym ruchem.
- Powiedz lepiej, co ustaliłyście z Marzeną na temat przyszłości twojej firmy.  
– Mam się zająć organizacją nietypowych ślubów. To na razie jedyna branża, w której mimo kryzysu wydaje się pieniądze bez opamiętania. Już mi podsunęła parę pomysłów i zadeklarowała dalszą pomoc... Masz niesamowitą córkę!

Irena uśmiechnęła się i pokiwała głową. Tak, najlepsze, co jej wyszło w życiu, to dzieci. Kochała je bezgranicznie.

– Szkoda, że już musiała wyjechać. – Westchnęła. – W ogóle się nią nie nacieszyłam! I ciągle nie wiem, dlaczego nie pracuje z Karolem, o co tak okropnie się pokłócili.

– A po co ci ta wiedza? – Olga schowała pismo od prawnika do torebki.

– W sumie po nic. – Irena wzruszyła ramionami.

Olga już stała w progu. Miała jeszcze zaczerwienione oczy, ale wyprostowała plecy i wyżej podniosła głowę.

– Irka... Dzięki za wszystko.

Niebotycznie wysokie obcasy jeszcze przez chwilę stuknęły na podjeździe. Im dalej, tym bardziej energicznie. Gdy ucichł warkot odjeżdżającego samochodu, Irena przez moment wsłuchiwała się w ciszę.

Była sama. Karol pojechał do Warszawy, Marzenka wypełnia jakąś tajną misję, Mikołaj dochodzi do siebie w szpitalu. Regina wyciągnęła Ignacego na przegląd sal weselnych.  
A Andrzej jeszcze się nie odezwał...

Dlaczego tu tak cicho i pusto? I czemu jej to nie cieszy, nie przynosi ulgi?  
Sięgnęła po telefon.

Miała do naprawienia jeszcze jedną rzecz, która wzbudzała w niej poczucie winy.  
Skupiona na sobie, zawiodła kogoś, kto był jej przecież bliski.

Nie mogła pozwolić, by Janusz cierpiał w samotności. Potrzebował jej. Czowała to.

Kilka par oczu wpatrywało się z napięciem w skórzaną elegancką aktówkę z kopertowym zapięciem i metalowym zamkiem. Młody mężczyzna wsunął do niego malutki kluczyk.

– Ostrożnie! – Profesor Marek Froglet stał tuż obok. – Może ja to zrobię.

Podniósł teczkę i wstawił ją do pustego akwarium. Powoli przekręcił kluczyk i położył na płask na wpół otwartą aktówkę... Nic się nie działo.

Aspirant Zuzanna Brodzik poczuła wielkie rozczarowanie. Myliła się? Spojrzała na pozostałych mężczyzn, w obawie, że zaraz zaczną się kpiny. Wszyscy jednak mieli poważne miny.

I nagle go zobaczyła...

Spod wieka te czki wysunęły się najpierw włochate odnóża, a potem okazały się odwłok.

– Wałesak brazylijski! – uroczyście potwierdził profesor Froglet. – Pająk przeżyje bez jedzenia kilka tygodni, zwłaszcza w takiej tezcze, gdzie nie jest ani zimno, ani zbyt gorąco. Gorzej z wodą, bo wymaga wilgoci i picia... Cóż, ratunek przyszedł w ostatnim momencie.

– Ratunek? – Młody mężczyzna spojrzał z odrazą na naukowca. – Raczy pan żartować.

Ruszył do akwarium z miną, jakby chciał rozgnieść pająka na miazgę.

– Spokojnie, spokojnie. – Zuzanna, widząc zaniepokojenie w oczach Frogleta, chwyciła mężczyznę za rękaw.

– Bronicie mordercy?! Bo rozumiem, że to on zabił mojego ojca... Piękna śmierć, tak?!

W pokoju zapadła cisza.

– No... Pana ojciec trochę na własne życzenie... – Profesor umilkł pod spojrzeniem mężczyzny.

Ten zacisnął zęby.

– Proszę mi oddać rzeczy ojca – wycedził. – Nic tu po mnie.

Froglet ostrożnie wyciągnął z akwarium teczkę. Pająk natychmiast przybrał pozycję obronną, unosząc przednie odnóża.

– Może sprawdzę, czy nie ma w niej jakichś niespodzianek – zaproponował naukowiec.

Delikatnie przechylił teczkę i powoli wysypał zawartość na stół. Oprócz notesu i paru drobiazgów wypadło z niej przezroczyste plastikowe pudełeczko z ukośnymi otworami po bokach przypominającymi rybie skrzela. Wieczko od pudełka leżało oddzielnie.

– No i chyba mamy odpowiedź, jak to się stało. – Profesor westchnął. – Pudełko nie było dostatecznie zabezpieczone... Pana ojciec prawdopodobnie sięgnął po notes lub długopis...

Mężczyzna bez słowa odsunął plastikowy pojemniczek, zaczął zbierać rozsypane drobiazgi i pakować je do aktówki. Zamknął ją, a zamek zaskoczył z cichym kliknięciem.

– Jesteście... – Nie dokończywszy, pełen urazy ruszył do wyjścia.

– Chwileczkę! – Zatrzymał go Froglet. – Mówił pan, że ojciec miał kolekcję różnych pajaków. Może lepiej, żebym obejrzał resztę?

– Nie ma potrzeby. Brat wywiózł wszystkie terraria do sklepu zoologicznego. Matka nienawidziła tej menażerii.

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Zuzanna z zaciekawieniem przyglądała się dużemu włochatemu stworowi.

– Obrzydliwy! – Wyrwało jej się z głębi serca. – Koszmarny!

– Żartuje pani. – Froglet znowu stanął przy akwarium, jakby chciał własnym ciałem zasłonić wałęsaka. – Wyjątkowo urodziwy okaz! Pozwolicie, że go zabiorę, powinien wreszcie się znaleźć w bardziej przyjaznych warunkach.

Włożył rękawice i sprawnie podstawił pojemnik, w którym prawdopodobnie przewożono wcześniej pajaka. Chwilę później wałęsak siedział w podróźnej torbie, a profesor się zegnał.

– Mówilem panu, że gdzieś tu jest *Phoneutria*, ha! – rzucił z triumfem na odchodne. Aspirant Brodzik zmarszczyła brwi.

– To ja na to wpadłam! – warknęła oburzona. – Od początku miałam rację! Ja! A pan mnie wyśmiał, profesorze!

– Oj, tam. – Froglet pobłażliwie machnął ręką. – Śmiałem się z sugestii, że ten oto pan właściciel morduje gości w swojej restauracji jadowitymi pajakami, i miałem rację. No, na mnie już czas! – Zniknął za drzwiami.

Zuzanna z zakłopotaniem przygryzła wargę. Zerknęła spod oka na Janusza Bosaka, który cały czas milczał.

Poszarzały na twarzy mężczyzna w niczym nie przypominał jeszcze niedawno pewnego siebie, eleganckiego i irytującego celebryty. Włosy, zazwyczaj lśniące i starannie ułożone, dziś zebrał w niechlujny kucyk, a zamiast służbowego czarnego uniformu z czerwonymi wypustkami miał na sobie dżinsy i prosty podkoszulek. Naprawdę trudno byłoby w nim rozpoznać słynnego mistrza kuchni pretendującego do gwiazdki Michelina. Zgarbiony, przygaszony, zobojętniały... Był wrakiem człowieka.

Siedzący obok Karol Wilk starał się podnieść go na duchu.

– W sumie to wszyscy mieli szczęście, że pajak przesiedział w tej torbie.

– Pociuszająco poklepał Bosaka po ramieniu.

– Zupełnie o niej zapomniałem! – Restaurator jęknął. – Tyle się działo.

– Dobrze, że była zamknięta na zamek, bo może z ciekawości by pan do niej zajrzał

– wtrąciła Zuzanna.

– Na pewno bym zajrzał. – Bosak patrzył przed siebie tępo, bez uśmiechu.

– Rodzina inspektora też miała szczęście, że aktówka nie powędrowała do domu

z innymi rzeczami zmarłego. – Zuzanna nadal szukała dobrych stron opieszałości restauratora.

– Przecież gdyby ją sami otworzyli... Nie chcę nawet myśleć!

Janusz Bosak podniósł się ciężko z krzesła.

– Wybaczcie, ale zaraz mam sesję u terapeuty. Idźcie coś przekąsić. Na koszt firmy, żeby wam nie przyszło do głowy płacić!

Opuścili razem gabinet na zapleczu Mapy i przeszli do sali. Przygarbiony restaurator pożegnał się przy drzwiach.

– Powiedz matce, że ten psychiatra, którego mi poleciła... Jest naprawdę dobry

– szepnął Karolowi na odchodne.

## Rozdział 39

Irena stała na werandzie, ręce miała oparte na biodrach i z zadowoleniem patrzyła na gromadę młodych ludzi ciągnących gałęzie na ognisko. Dowodzący tą zgrają ekolog Irek Kaługa sprawnie wydawał komendy. Akcja liczenia bocianów minęła właśnie półmetek, jak to pod koniec lipca. Dziś grupa się zmieniała: jedni odjeżdżali, drudzy zajmowali ich miejsce, wszystkich czekało powitalno-pożegnalne ognisko. Domek dla turystów był pełny.

– Ona jest niereformowalna! – westchnęła po raz enty Irena, patrząc na Olgę brylującą wśród młodych.

Słońce nie paliło już tak intensywnie, jak jeszcze parę godzin temu, za to uaktywniły się komary. Usłyszała za sobą solidne klapnięcie.

– Chcesz żel przeciw komarom? – Sięgnęła po tubkę i podała ją Mikołajowi.

Patrzyła, jak przyjaciel smaruje sobie ramiona. Siedział w fotelu i patrzył na zachodzące słońce. Doszedł już do siebie, ale ostatnie wydarzenia pozostawiły ślad.

Jak w nas wszystkich, pomyślała Irena.

– Nie wiesz, czego może ode mnie chcieć Janusz? – Mikołaj spojrzał pytająco na przyjaciółkę. – Zawsze gdy jest tak ożywiony, ogarniają mnie złe przeczucia.

– Ożywiony? Nareszcie! Nigdy bym nie przypuszczała, że będzie mi brakowało jego egzaltacji i dziwactw. Ta terapia czyni cuda... Myślisz, że będziemy mogli z nim już o tym porozmawiać?

– A po co?

– Każdemu pomaga, jak się wygada.

– A jak myślisz, co on robi trzy razy w tygodniu na kozetce terapeuty?

– No, właśnie! Mikołaj, czy on przypadkiem nie uzależnił się od tych sesji?

– Irka... – Mikołaj był rozbawiony. – Ciebie po prostu rozpiera ciekawość, a Janusz, jak na złość, milczy jak nigdy.

– Przyznasz, że to nie jest normalne! Oddaj ten żel!

Podwinęła nogawki spodni i zaczęła smarować nogi. Mikołaj podziwiał energię, z jaką wcierała żel w skórę.

– Nienormalne było to, co ten człowiek chciał zrobić Januszowi. I co w ogóle robił... – mruknął.

Irena wyprostowała się gwałtownie.

– Tak! Mnie też w głowie się nie mieści, że specjalnie sprowadził tego jadowego potwora, żeby oszpecić byłego kochanka. Ten Dominik był... – szukała właściwego słowa

– szalony!

– Był – potwierdził Mikołaj. – A właściwie jest... Bo raczej będzie żył...

– Od początku mi się nie podobał! Robił sobie takiego teletubisia na czubku głowy. Dorosły mężczyzna z loczkiem teletubisia! Przyznasz, że to żalosne.

– Żalosne.

– A pamiętasz, jak przyjechał na ognisko?! Wcale go nie zaprosiłam przez pomyłkę! Włamywał się do poczty byłego kochanka! I pracowników! To jakaś obsesja. Ma teraz to, na co zasłużył! I co chciał zrobić Januszowi! Nie jestem mściwa, ale jak myślę o tym, co mu się przytrafiło, mam chorą satysfakcję! Ciebie też o mało nie zabił! I moich dzieci!

Znowu załała ją fala gniewu i nienawiści.

– O matko, mnie też przydałaby się terapia! – Złapała się za głowę.  
– Powiem ci, że jak zobaczyłem Janusza w ekowiosce, przez chwilę myślałem, że to on stoi za tym wszystkim, że zabił tamtego chłopaka. Tymczasem nasz restaurator zamawiał ekologiczny drób do kulinarnych szaleństw.

Na podwórko powoli wtoczyła się captiva w kawowym kolorze.

– O wilku mowa – mruknął Mikołaj.

Napiął mięśnie, przygotowując się na rozmowę z Januszem. Restaurator był bardzo tajemniczy, gdy zadzwonił dziś rano. Mówił coś bez składu i ładu, a w końcu kazał czekać na siebie, choćby się waliło i paliło.

Janusz Bosak wyglądał już o niebo lepiej. Przedziałek w lśniących włosach miał idealny, jaskrawa czerwień awangardowej marynarki kłuła w oczy. Sprężyste wkroczył na schody werandy i postawił na drewnianej podłodze spory plastikowy transporter. Gdy otworzył okratowane drzwiczki, ze środka wyszły dwa bezwłose koty. Błysnęły dwie pary żółtych ślepi. Kocury natychmiast wskoczyły na rattanową kanapę i zajęły miejsca w dwóch przeciwległych rogach.

– Szybko się dogadały – zauważył Mikołaj.

– W końcu to bracia. – Janusz z dumą patrzył na koty. – Ale na wszelki wypadek jeszcze nie zostawiam ich samych na dłużej.

Irena przyglądała im się z uwagą.

– Który to Senator? Przecież one są identyczne!

– Jakie identyczne?! – Janusz się zirytował. – Senator to z lewej strony. A to jest Prezydent. Przecież widzisz, jaką ma wredną mordę, jak jego pan! Ale co miałem z nim zrobić? Utopić? Nie jego wina, że był w rękach szaleńca. Jest mu u mnie dobrze, szybko zapomniał o Dominiku.

Kocur, słysząc imię swego pana, podniósł łysy łeb i zaczął się wpatrywać przenikliwym wzrokiem Januszowi w oczy. Restaurator wziął go na ręce.

– Zajmiesz się nimi, jak wyjadę? – Uśmiechnął się przymilnie do Ireny.

– Co?! Tymi bandytami?

– Tylko tobie ufam. Z kim mam je zostawić? Z Regimą? Z Olgą?

Puścił kota, bo Prezydent zaczął się wiercić. Zwierzak znowu ułożył się na kanapie, a Janusz sięgnął do kieszeni marynarki. Wyciągnął elegancką kopertę i podał Mikołajowi.

– Pamiętasz, że wysłałem portret Senatora na konkurs? To jest zaproszenie na galę.

Fotograf ze zdumieniem wyciągnął elegancki kartonik. Irena klasnęła w dłonie.

– Super! A gdzie ta gala?

– W Mediolanie. Ale musimy tam pojechać razem: ja i Mikołaj.

– Aha... Pewnie ty jako zgłaszający, tak?

– Niezupełnie. Cóż... Może powinieneś wiedzieć, Mikołaj, że to trochę szczególny konkurs.

Fotograf uniósł brwi. Poczul lekkie mrowienie na karku.

– Dlaczego szczególny?... No mówże...

– A! – Janusz zamachał rękami. – Będą akty... I takie tam... Różne takie... gejowskie sprawy.

– Gejowskie sprawy?!

– A gdzie Regina i Ignacy? Nie widzę ich nigdzie...

– Nie zmieniaj tematu, Janusz! – Mikołaj zmarszczył brwi.

– O rany, coście tacy upierdliwi?! To taki międzynarodowy konkurs artystyczny tylko dla gejów. Trochę zakamuflowany.



- Oho... – Irena przeczuwała kłopoty.
- Zakamuflowany? Wysłałeś moją fotografię na zakamuflowany konkurs?
- Rany, przecież nie wiedziałem, że Senator wygra! Ale skoro już tak się stało...
- Janusz energicznie otrząpywał z rękawa marynarki nieistniejący pyłek.
  - Nie możesz pojechać sam? – Mikołaj się skrzywił.
  - Nie mogę.
  - Nie jestem gejem.
  - Nikt nie musi o tym wiedzieć.
- Irena, widząc minę Mikołaja, zaproponowała szybko:
  - To ja zaparzę herbatę. – Nie ruszyła się jednak z miejsca.
- Janusz usiadł między kocurami i założył nogę na nogę.
  - Mikołaj... Nie mogę tam pojechać sam... Zdjęcie wysyłaliśmy wspólnie z Dominikiem, mieliśmy jechać razem. Tam się nie jedzie samemu.
  - Matko Boska! Zaparzę tę herbatę! – Irena nadal stała w miejscu, w oczach miała przerażenie.
    - Musisz udawać mojego partnera! – wyrzucił z siebie wreszcie Janusz.
  - Mikołaj z trudem przełknął ślinę. Milczał.
    - Zrób to dla mnie! Proszę! Chcę tam pojechać! Chcę poznać kogoś ciekawego.
    - Porąbało cię. – Popukał palcem w czoło. – Jak chcesz kogoś poznać, jeśli mamy udawać parę?
  - Janusz spojrział na niego jak na idiotę.
    - Sami to przyjeżdżają tylko desperaci, których traktuje się jak desperatów. Wierz mi, moje szanse przy tobie kosmicznie wzrosną!... A ja muszę zapamiętać! Bo nawet nie wiadomo, czy dostanę tę cholerną gwiazdkę Michelina!
    - Wstawię wodę! – Irena ewakuowała się do kuchni. Gdy już była w bezpiecznej odległości, zawołała w stronę werandy. – Korona ci z głowy nie spadnie, Mikołaj!
    - Włączyła czajnik i schowała twarz w dłoniach, by nikt nie słyszał jej dzikiego śmiechu.
    - Kiedy wróciła z imbrykiem i filizankami na tacy, Janusz miał minę równie zadowoloną, jak jego koty, a Mikołaj warknął ostrzegawczo:
      - Ani słowa!

Ktoś wrzucił do ogniska gałązkę jałowca. Snop iskieł wzbił się wysoko i zapachniało płonącym igliwem. Noc poza kamiennym kręgiem była atramentowa. Irena patrzyła na roześmianych ludzi i cieszyła się w duchu, że nie ma tutaj Reginy.

Czy już zawsze będę się bała, że wyskoczy z głośnym wrzaskiem z mroku?

Bibliotekarka, mimo zaproszenia, nie przyjechała na ognisko, bo... Ignacy malował. Artysta wpadł w szał twórczy, a jego narzeczona czuła się w obowiązku podawać mu herbatkę, gotować obiady, robić zakupy, słowem – zdjąć z jego artystycznej rozczochranej głowy prozę życia codziennego... Regina i Ignacy... Kto by pomyślał?

Ślub już za miesiąc. Świadkami mają być Karol i ta sympatyczna policjantka. Regina nie znalazła sobie zbyt wielu przyjaciół, a że nie chciała, aby jej druhną była rozwódka, czyli Irena, ani nieodpowiedzialna alkoholiczka, czyli Olga, szybko zaakceptowała propozycję Karola, żeby pani aspirant Zuzanna Brodzik – mądra i odważna kobieta – wystąpiła u jego boku jako drużna.

Spryciarz.

Irena uśmiechnęła się do siebie. Coś czuła, że syn będzie częściej przyjeżdżał do domu.

Spojrzała w stronę, z której slychać było skrzekliwy śmiech Olgi. Przyjaciółka podstawiała kieliszek, do którego ktoś nalewał jej wódkę.

Nie będę teraz o tym myślała! Jest dorosła!

Poczuła, że jej telefon zawibrował krótko w kieszeni spodni. Przysunęła komórkę bliżej ognia, żeby odczytać SMS.

„Tęsknię, Bombeczko:)”

Zrobiło jej się ciepłej na sercu. Andrzej! W końcu się odezwał.

Zaraz, zaraz! „Bombeczko”?! Chodzi mu o te fałdki?!

– Co, dzieci dzwonią? – Mikołaj, z piwem w ręku, usadowił się obok Ireny. Szybko schowała telefon. – Powiem ci, czemu się pokłóciły... – Trochę plątał mu się język. Chyba próbował zneutralizować stres wywołany perspektywą podróży z Januszem na „takie tam gejowskie sprawy”. – Pewnego razu Marzenka się przestraszyła. Utknęli w windzie, gdy szalał tajfun, i nie miał im kto pomóc. Myślała, że to koniec. Wszystko skrzypiało, huczało, nie było prądu, a godziny mijały. Powiedziała mi, że jeszcze nigdy tak się nie bała.

– O, Boże!

– No... – Mikołaj kiwał głową. – Zrozumiała wtedy, jak ryzykują, kręcąc te zwariowane filmy, i prosiła Karola, żeby dali sobie spokój.

– A on odmówił... – Domyśliła się Irena.

– Powiedziała, że miała też dość strachu o niego. Zajęła się turystami, żeby nie patrzeć, jak jej brat codziennie ryzykuje życie, bo to było już ponad jej siły.

– Ale ona przecież też ryzykuje!

– Chyba teraz musi coś sobie udowodnić... Wiesz? Wolałbym, żeby zmienili zajęcie.

Mikołaj podniósł do ust puszkę i pokrzepił się piwem. Irena zastanawiała się nad tym, co powiedział.

– A dlaczego ona rozmawiała o tym z tobą, a nie ze mną?!

– No, jak to? Przecież jestem jej chrestnym ojcem. – Dla Mikołaja było to oczywiste.

– Chcesz piwa?

Kiwnęła głową potakująco. Patrzyła, jak szedł do wiadra z zimną wodą, w której chłodziły się trunki. Potężny, spokojny, solidny... Po prostu Mikołaj.

Aspirant Zuzanna Brodzik dołączyła do wiadomości zdjęcie domu, który miał już ściany z gliny i właśnie kładziono na nim dach. Twarz przyjaciółki na ekranie komputera była pełna podziwu.

– Zuza! Przecież ten dom wygląda jak... no, kurczę, wygląda jak prawdziwy dom!

– Paula śmiała się głośno. – A ja się bałam, że to będzie taka lepianka! To kiedy parapetowa?

– Jeszcze nie wiem. Na pewno dam ci znać. Ale możecie teraz przyjechać z Tomkiem, póki lato i w ogrodzie jest pięknie. Zobaczysz, jak tu płasko, nie to, co w Sanoku – odrzekła Zuzanna pełna dumy.

Paula zapiszczała z radości.

– Przyjedziemy! Super! Zuza, jak ja za tobą tęsknię! Kocham cię!

– Ja też cię kocham, wariatko.

Skończyły rozmowę. Zuzanna wyszła przed dom i natychmiast przy jej nogach znalazł się zadowolony Impet.

– Ale noc, co? – Wytarosiła go za sterczące uszy, a szczęśliwe psisko popisywało się podskokami.

Gwiazdy świeciły tak jasno, miało się wrażenie, że są na wyciągnięcie ręki.

Możecie przyjechać z Tomkiem.

Powiedziała to i głos jej nie zadrżał, serce nie pękło z bólu. Roześmiała się.

To już nie bolało! Nie kochała męża swojej najlepszej przyjaciółki!

– Aport! – Rzuciła kij, a Impet pomknął jak strzała i po chwili położył przed nią zdobycz. – Dobry pies! A teraz pani pójdzie spać. Bo pani musi wstać wcześniej niż zwykle. Od jutra pani będzie jeździć do pracy do Siedlec. To się nazywa awans, wiesz, piesku? Ha! Masz bardzo mądrą pańnię!

Zwierzak szalał z radości, a Zuza wzięła głęboki wdech i przeciągnęła się jak zadowolony kocur. Coś intensywnie zapachniało w ogrodzie. Karol by wiedział co.

Maciejka, Sherlocku.

Tak by pewnie odpowiedział.

Lubiła, gdy mówił do niej „Sherlocku”.

## Podziękowania

Wyobraźnia wyobraźnią, ale bez rad i podszeptów dobrych ludzi ta książka rodziłaby się w bólach, zwłaszcza gdy chodziło o szczegóły z tajemniczego świata groźnych stworzeń. Dziękuję zatem profesorowi Markowi Żabce, światowej sławy specjalście od pajaków – za cierpliwe odpowiadanie na najbardziej zwariowane pytania; Marcinowi Gorzdzowskiemu, wybitnemu fotografowi przyrody – za inspirujące sekrety z życia seksualnego węży, a pracownikom warszawskiego zoo – za oprowadzenie po ogrodzie i fascynujące opowieści, które wykorzystałam przy tworzeniu fabuły.

Dziękuję komendantowi miejskiej policji w Siedlcach, podinspektorowi Markowi Fałdowskiemu za konsultowanie tajników pracy operacyjnej jednej z bohaterek. Dziękuję Kasi Hordyniec za wspólną wizytę u Bożenki i Leszka, bo dzięki temu „urodziła się” Irena i jej wiejski dom. Kasiu – z irlandzkiego kubka piję herbatę do dziś!

Dziękuję ukochanym koleżankom pisarkom: Ani Fryczkowskiej za bezlitosne pastwienie się nad wysyłanymi rozdziałami, Joannie Jodełce za „konstrukcyjne rozkminianie” i bezcenne rady przy pysznym spaghetti, Ani Strzeleckiej za uwagi nad tekstem i jej „...koooleżanko”, co oznaczało albo naganę, albo aprobatę.

Dziękuję moim cudownym Przyjaciółkom Pisarkom z Grupy Siedleckiej za to, że są i mogą na nie liczyć w każdej sytuacji. Dziewczyny, jesteście dla mnie bardzo ważne!

Dziękuję fantastycznej redaktorce Ewie Witan, która ma niebywale oko i słuch do tekstu, a jej uwagi traktuję jako bezcenną lekcję pisarstwa, oraz mojej agentce Manuli Kalickiej, z którą łączy mnie przyjaźń i podobne postrzeganie świata.

No i dziękuję Pewnemu Sympatycznemu Panu za wycieczkę nad Bug oraz pokazanie Mielnika i Tokar, które wykorzystałam w powieści. To było magiczne! Nazwiska nie zdradzę, bo się zrobi polityczna burza, i po co mi to, głupia nie jestem:)).

Dziękuję też moim kochanym Czytelnikom! Uwielbiam Wasze pytania, uwagi, życzenia, dobre słowa... Piszcie o tym, co czujecie i czy podoba się Wam książka: [m.zaczynska@siedlecki.pl](mailto:m.zaczynska@siedlecki.pl). Uwielbiam Was poznawać! Po prostu kocham Was.

Mariola Zaczyńska